

PROWINCJA
KWARTALNIK
SPOŁECZNO - KULTURALNY
DOLNEGO POWIŚLA I ŻUŁAW

Nr 2

2010

Redakcja:

Leszek Sarnowski - redaktor naczelny
Wacław Bielecki - sekretarz redakcji
Marek Stokowski
Janusz Ryszkowski
Justyna Liguz
Andrzej Kasperek

Okładka:

Mariusz Stawarski

Skład i łamanie:

www.z8.com.pl

Korekta - redakcja

Wydawca:

Stowarzyszenie Inicjatyw Obywatelskich „TAKA GMINA” w Sztumie,
ul. Królowej Jadwigi 10, 82-400 Sztum, provincia@onet.pl, tel. 693527614

Druk:

Drukarnia W&P
ul. Akacyjowa 29, 82-200 Malbork

Redakcja składa serdeczne podziękowania za wsparcie naszej inicjatywy wydawniczej:

Andrzejowi Krzysztofiakowi Burmistrzowi Kwidzyna
Jerzemu Godzikowi Staroście kwidzyńskiemu
Piotrowi Stecowi Staroście sztumskiemu
Leszkowi Taborowi Burmistrzowi Sztumu
Mirosławowi Czapli Staroście malborskiemu
Tadeuszowi Studzińskiemu Burmistrzowi Nowego Dworu Gdańskiego

Dziękujemy również za współpracę przy promocji kwartalnika:

Kwidzyńskiemu Centrum Kultury
Sztumskiemu Centrum Kultury
Miejskiemu Domu Kultury w Malborku
Malbork Welcome Center
www.marienburg.pl
www.kwidzyn.pl
www.sztum.info.pl
www.portel.pl
www.malborczyk.pl/tvmalbork/

Miejsca w których można kupić kwartalnik „Prowincja”:

Kwidzyńskie Centrum Kultury
Sztumskie Centrum Kultury
Księgarnia „Bestseller” w Sztumie
Miejski Dom Kultury w Malborku
Księgarnia Idea Jz. w Nowym Dworze Gdańskim

ISBN 987-83-86590-22-3

ISSN 2082-0291

PROWINCJA

Nr 2 2010

Spis treści

Prowincja - druga odsłona	5
---------------------------------	---

Proza

Marek Stokowski - Stroiciel lasu – fragment powieści	6
Andrzej Kasperek - Skup opakowań szklanych	20
Janusz Ryszkowski - Małe prozy	28
Małgorzata Anna Jędrzejewska - Mnie się nie spieszy... zaczekam	34
Janusz Moździerz - Opowiadania	41
Dorota Maluchnik – Wspomnienie	48

Poezja

Jan P. Grabowski – Wiersze	53
Małgorzata Anna Jędrzejewska - Wiersze	58
Jerzy Wiśniewski – Wiersze	62

Wędrowki po prowincji

Krystyna Gromek – Kwidzyńska „Mała Ojczyzna”	65
Kordian Kuczma - Patroni naszych ulic - Jan Bażyński	74
Karolina Manikowska - Akcja Pardenowo	81
Anna Janiak - Tożsamość żuławska twórców ludowych	88
Witold Cyranowicz - Ekologia i dobre smaki w Parparach	102
Grzegorz Gola – Machandel - smak żuławski z wędzoną śliwką	108
ks. Andrzej Starczewski - Żuławskie świątynie. Mątowny Wielkie	113

Prowincje Europy

Przemysław Nehring - O pięknym kraju bunkrów i mercedesów	122
Maciej Wróblewski - Słońce, góry i golf – spacer po Irlandii	129

Ludzie Sierpnia

Jerzy Wiśniewski - Jerzy Kosacz- artysta z Kwidzyna	136
Leszek Sarnowski - Zapomniany bibliotekarz z „Solidarności”	141

Pasje, inspiracje

Leszek Sarnowski – Organista z Santander	147
Danuta Thiel-Melerska - Atelier fotografa w XIX wieku	152

Na tropach historii

Wojciech Kunicki - Zantyr na „Białej Górze”	165
Jacek Albrecht - Zantyr w Malborku	175
Andrzej Lubiński - Oświata polska na Powiślu w okresie międzywojennym	192
Leszek Sarnowski - Ocalona pamięć. Szkic do portretu Żydów sztumskich	201

Wspomnienia, zapiski, dzienniki

Stefan Piazza - Branicki - Z powstania na Powiśle	220
Sebastian Pauch - Zguba w niemieckim mundurze	228
Andrzej Wiłun - Celuloza z pamięci - Wielkie żarcie	233
Matra, Iga - Z dzienników młodej emigracji	239

Wystawy, koncerty, relacje

Bogumił Wiśniewski - Wielki mistrz Krzyżacki w Kwidzynie	246
Tomasz Drózda - Malbork wczoraj i dziś	250
Wacław Bielecki - Chopin w Waplewie	257
Paweł Paziak - Promocja w samo południe	264

Recenzje

Andrzej Lubiński - Panowie na Waplewie	267
Leszek Sarnowski - Bogate Mikołajki	269

Z przymrużeniem oka

Marek Stokowski - Prowincjonalia	271
--	-----

Noty o autorach	278
------------------------------	-----

PROWINCJA - druga odsłona

Wydanie pierwszego numeru kwartalnika „Prowincja” było spełnieniem naszych marzeń o poważnym i profesjonalnym piśmie kulturalnym. To było prawdziwe wyzwanie, a szczególnie chwila konfrontacji naszych pomysłów z Czytelnikami. Zawsze jest to wielka niewiadoma, szczególnie jeśli chodzi o nową inicjatywę wydawniczą. Mamy wrażenie, że udało nam się trafić w czytelnicze oczekiwania.

Jeden z uczestników spotkania promującego pierwszy numer naszego pisma powiedział: *- Byłem na spotkaniu promocyjnym i powiem szczerze, że z wrażenia zaparło mi dech w piersi i zapomniałem języka w gębie. Spodobałem się jakiejś kolejnej gazetki, ambitnej oczywiście sądząc po autorach, ale to co zobaczyłem, przerosło moje oczekiwania. Gratulacje.*

Inny po lekturze prowincji powiedział: *Czytałam bez przerwy przez kilka godzin i jestem w szoku, oczywiście pozytywnym. Wszystko to jest bardzo ciekawe, a dyskusja redakcyjna po prostu otworzyła mi oczy na wiele rzeczy, z których do tej pory nie zdawałam sobie sprawy. Jestem sztumianką z wyboru, pochodzę z niewielkiej miejscowości pod Sztumem. W zeszłym roku zbudowałam dom w Sztumie i to co piszecie o tożsamości regionalnej to mnie bardzo przekonuje, to porządkuje mój świat i sprawia, że nie żałuję swojego wyboru, choć przecież życie w małym mieście nie zawsze jest łatwe.*

Ktoś inny pisze: *Czytałam kwartalnik bez przerwy. Wszystko mi się podobało, a najbardziej dyskusja redakcyjna, a jeden z wierszy Janusza Ryszkowskiego znam już na pamięć. To super pomysł. Życzę powodzenia i dalszego ciągu. Już czekam z niecierpliwością.*

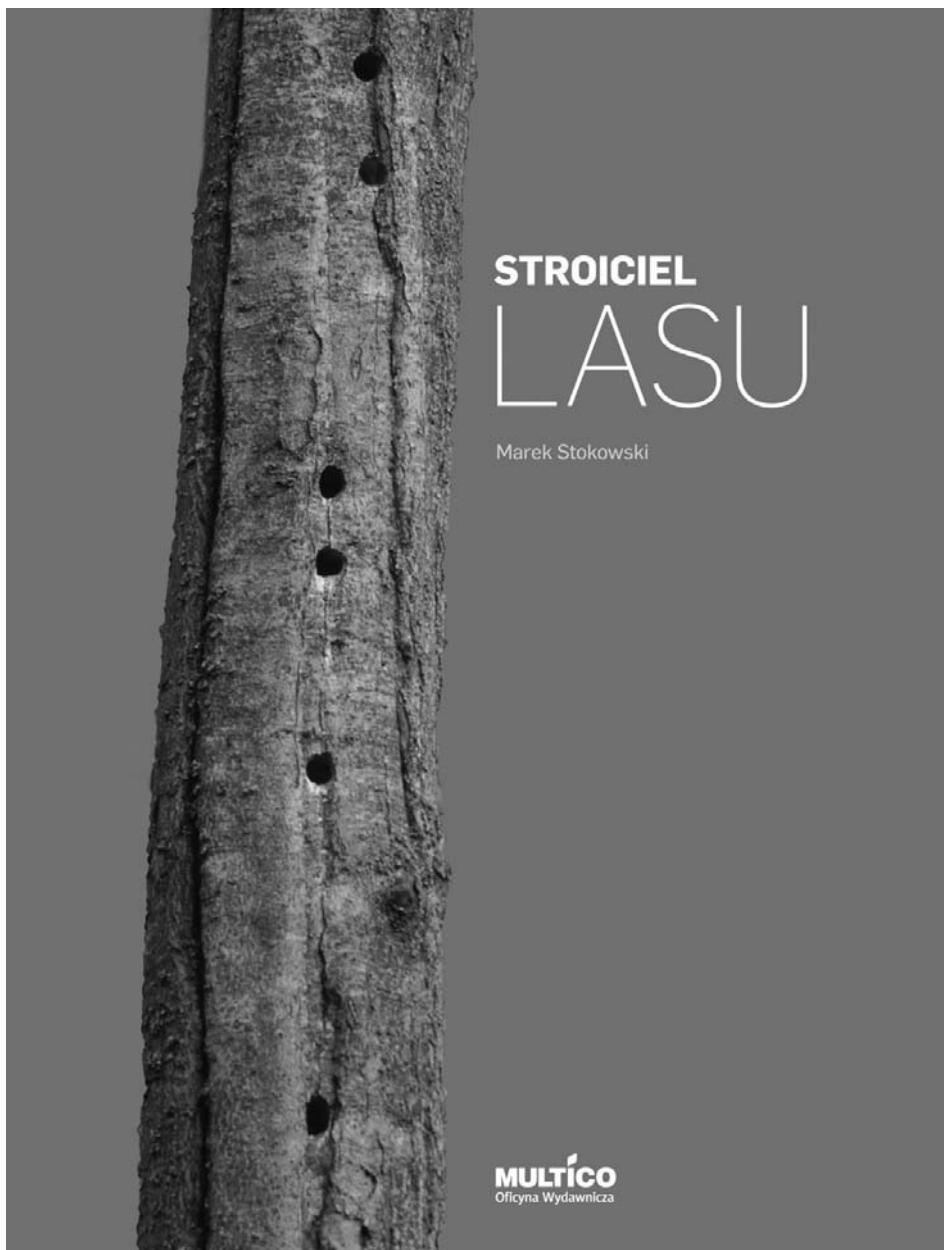
Dla tych kilku słów, a także tych wypowiedzianych w trakcie spotkań promocyjnych warto było podjąć społeczny trud. Dlatego działamy dalej. Oddajemy w Państwa ręce drugi numer naszego kwartalnika. Na pierwszy numer zawsze jest sporo energii i determinacji. O sukcesie i konsekwencji decydują kolejne wydania. Chcemy wierzyć w sukces i chcemy być konsekwentni. Mamy nadzieję, że różnorodność tematyczna drugiego numeru kwartalnika i tym razem przypadnie Państwu do gustu. Szczególnej uwadze Państwa polecamy teksty dwóch naszych kolegów redakcyjnych - Marka Stokowskiego i Andrzeja Kasperka, którzy w czasie który minął od ukazania się pierwszego numeru „Prowincji” wydali swoje autorskie książki. Marek Stokowski powieść pod tytułem „Stroiciel lasu”, Andrzej Kasperk zbiór opowiadań – „Back in the DDR”, który jest jego debiutem prozatorskim. Fragmenty obu książek publikujemy w tym numerze naszego pisma.

Życzymy miłej lektury i zapraszamy do współpracy.

Redakcja

Marek Stokowski

STROICIEL LASU¹



¹ Fragment powieści Marka Stokowskiego – *Stroiciel lasu*, która ukazała się we wrześniu 2010 roku, nakładem Wydawnictwa Multico. Powieść rozgrywa się na Dolnym Powiślu, w pradolinie Wisły w 1993 roku. Narratorem jest pies.

[...]

*

Na stacji paliły się lampy. Piętrowy pociąg z południa i pociąg piętrowy z północy zatrzymały się bok w bok jak konie, które kładą sobie łby na grzbietach. Zagalopowałem się, przepraszam. To była po prostu mijanka i tyle. Konduktorzy wyszli z obu składów, chwilę o czymś rozmawiali, a potem podnieśli latarki i jazda, każdy ruszył w swoją stronę.

Zlokalizowałem M od razu na peronie. On zobaczył mnie dopiero siedemnaście minut później.

Wtedy, na peronie, stał, poprawiał troki przy bagażu i był dumny, bo mniej więcej trzy kwadranse wcześniej fantastycznie poszła mu przesiadka na dworcu w Trybutach: bez problemu znalazł pociąg osobowy z południa regionu na północ, no a przecież nie miał doświadczenia w świecie torów i peronów w obcych miastach. Ostatni raz jechał koleją w roku 1970 i w dodatku podróżował wówczas z mamą. Przez następne lata raczej latał.

Mógł odczuwać dumę i dlatego, że już nie był tak zdenerwowany jak w ekspresie. Nawet więcej – ogarniało go szczególne zachwycenie. Ono się wiązało z tym, co słyszał wokół siebie. Szyny, drzewa, deszcz, milknący głos pociągów – wszystko brzmiało, tak jak trzeba. To znaczy współbrzmiało.

M na stacji Mleczne Pole nie był sam, jak elektryczny zegar. Po pierwsze, towarzyszył mu z ukrycia mój węsząco-lokalizujący nos – mówiłem. Po drugie, piętrowiec z północy zostawił dwie panie. Starsza z nich od razu poszła w stronę zabudowań położonych blisko torów. Tę młodszą przywitał duży pan w mundurze leśniczego. Pan wziął plecak młodej pani. Rozmawiając, przeszli kilkadziesiąt kroków, wsiedli do passata kombi, rocznik 84. i ruszyli po błyszczącym bruku wzdłuż szeregu jarzeniowych latarni.

M też ruszył tamtą drogą. Na piechotę, chyba jasne. Na szczęście, nie lało tak mocno jak wcześniej. Szedł zgodnie z marszrutą zapisaną przez p. kierownika Jareckiego. M nauczył się na pamięć szczegółów opisu. Miał taką ambicję. Przecież ćwiczył, od miesięcy, zapamiętywanie nowych rzeczy.

Wszystko się zgadzało co do joty. Najpierw były kocie łby, topole i latarnie – wspominałem – potem szosa. Wchodziło się na nią na przejeździe kolejowym ze szlabanem. Za przejazdem zwykła szosa zamieniała się w aleję, wysadzaną z obu stron lipami. Po stu metrach zakręcała w ciemne pola, rozjaśnione tu i ówdzie starą łatą stwardniałego śniegu, a następnie biegła prosto, w stronę czarnej linii lasu.

Szedł, lekko kulejąc. Na ramieniu niósł dobytek. Całe jego mienie mieściło się w worku, który dostał razem z ubraniami i butami od Andrzeja i od Goški. Bardzo dobrze, że trenował w DPS-ie sprawność ciała i codziennie maszerował w puszczy przy parkanie, bo żołnierski worek, zrazu lekki, stawał się po każdym kroku o gram cięższy. A w dodatku mocno wiało.

Wiatr tarosił bezlistnymi gałęziami. Od czasu do czasu na asfalt spadały badyły. M kroczył z nadzieją, że wyczerpał limit razów w głowę i jedyne, co go może teraz trafić, to kolejny meteoryt, oby nie tak głupi jak zazwyczaj. Piechur modlił się pod nosem, nie ze strachem albo narzekaniem, lecz z wdzięcznością za tę drogę, za to wszystko, co jest za nim i co przed nim.

Siedemnaście minut od wymarszu, gdzieś ze sto dwadzieścia siedem kroków przed rosnącą ścianą lasu, człowiek z workiem zauważył cień sporego czworonoga. Cień przesunął się po polu, blisko szosy. M się zdziwił. S. Jarecki nie wspominał ani jednym słowem o zwierzętach. Zdziwienie minęło tak prędko, jak przyszło, za to pojawiło się słyszalne w całej okolicy bicie serca. Serce biło nie pod żebrem idącego, ale w gardle.

Pytam, po co była ta panika? Pytam, po co, skoro wędrujący spostrzegł w polu właśnie mnie, a nie zgłodniałego wilka psychopatę? Czy ktoś chciał mu zrobić jakąś krzywdę? Całkowite nieporozumienie. Niefachowe odczytanie znaków nadawanych grą ogona, pracą tylnych łap i linią ciała. M był psim analfabetą i za swój analfabetyzm płacił strachem. A może ktoś z państwa uważa, że to była moja wina? To co, miałem dawać ogłoszenia przez megafon albo nieść przed sobą planszę z informacją: „Wcale nie chcę pana ugryźć, panie z workiem”?

Teraz cisza! Skoro pojawiłem się przed państwem już nie tylko duszą, lecz i ciałem, to wypada mi uklonić się uprzejmie i wyjaśnić to i owo. Cała ta opowieść nie jest o mnie, więc niniejsze wyjaśnienia będą skromne. Najpierw garść niezbędnych informacji ankietowych, później reszta.

Owej nocy, kiedy lekko kulejący człowiek zbliżał się do czarnej linii lasu, ukończyłem cztery lata, a poza tym miałem krótką, żółtą sierść, kaflasty łeb i byłem duży. Można było mnie określić dosyć prosto – pies wielorasowy, czyli summa doświadczenia, piękna i inteligencji gatunkowej. Wszyscy, którzy mnie lubili, powtarzali, że tak przyjaznego pyska i spojrzenia nie widzieli nigdy w życiu. Absolutnie się nie chwalę! Przekazuję tylko, co słyszałem, bo mówiono o tym w mojej obecności, jak przy dziecku, no i oczywiście uważano, że ja, głupie bydlę, nie rozumiem.

Wcześniej w moim pieskim życiu było różnie. Na początku całkiem dobrze –przez trzy lata miałem panią, która mi dawała co dzień żarcie. Pan był draniem i pił wódkę, ale pani mnie broniła i przeżyłem. Nie przeżyła moja pani. Wprzód długo chorowała, potem ją zabrali i już nigdy nie oddali. Oczywiście wyłem i cierpiałem. Panu nie udało się mnie nigdzie sprzedać, a więc wywłókł gada darmozjada poza miasto i porzucił w młodym lesie (na szczęście nie zabił – na przykład łopatą). To jest jeden ze zwyczajów dżentelmenów, którzy zamieszkują nory i meliny na nizinach nad brzegami rzeki Wisły.

Pewnie zdechłbym wtedy z głodu, gdyby nie wziął mnie w opiekę ktoś ogromnie doświadczony. Pamiętają państwo mego wuja? To ten mędrzec ze zdefasonowanym w walce lewym nozdrzem, który się zajmował studiowaniem dziejów świata oraz linii rozwojowej *Canis lupus familiaris*, ten, co obwąchiwał rzeczywistość, nasłuchiwał, obserwował i uważnie czytał strzępy gazet walające się po ziemi, by wyciągać własne wnioski, przez co siwiał. Mówiąc prawdę, to był wuj cokolwiek przyszywany, ale – proszę mi uwierzyć – równie dobry jak rodzony.

Ogromnie mi pomógł. A znalazłem się na lodzie, zupełnie dosłownie, bo akurat była zima. Dodatkowo, trzeba to powiedzieć, ludzie w owej okolicy dość oszczędnie i niechętnie objawiali swoje cnoty. Sam się dziwię, że nie zniechęciłem się do naczelnych tak na amen.

Przez ten rok mój wuj nauczył mnie o wiele więcej, niż zdołałem pojąć w ciągu pierwszych lat mojego życia, przede wszystkim walki o przetrwanie. Tresował mnie także w myśleniu, tylko nie udało mu się sprawić, żebym trzymał jęzor za zębami. Uważał, że jestem gadułą i że tego nie da się wytrzymać. Zatem musieliśmy się rozdzielić, tym bardziej że tamten zakochał się w pewnej dosyć wrednej suce z Babich Górek i przestał być dla mnie tak dobry jak wcześniej.

Po wyjściu ze spółki jakiś czas dawałem sobie radę w pojedynkę, całkiem nieźle, z tym że w końcu coś mnie naszło, coś poczułem, jakiś rodzaj konieczności. No i właśnie w tym nastroju wyniuchałem w Mlecznym Polu podróżnego z kanadyjskim workiem koło nogi. Szła od niego silna woń powinowactwa, tak to ujmę. Ogarnęło mnie najgłębsze przeświadczenie, że spotykam kogoś mi bliskiego, kogo znam od bardzo, bardzo dawna, i że jestem mu pisany, a on mnie, i koniec pieśni, trzeba działać.

Zrazu człowiek wędrujący mokrą szosą najwyraźniej nie podzielał mych przekonań. Zapewne dlatego że z oddali i w ciemnościach nie był w stanie dojrzeć i ocenić, jak przyjazne mam spojrzenie. Znacznie później, chyba w maju, zdradził mi, że tam, na drodze, przed ucieczką na koronę najbliższego drzewa powstrzymało go wyłącznie to, że złowił uchem miłe brzmienie mego cienia. Usłyszał w nim trójdźwięk: samotności, szlachetności i nadziei. Taki akord.

Tymczasem sam zabrzmiał paskudnie jak gawron:

– Do budy! Już, choda!

Wybaczyłem mu od razu. Podkuliłem lekko ogon, żeby tamten myślał, że się boję i czmychnąłem – niedaleko. M, niestety, nadal lekko śmierdział ludzkim strachem, co tłumiło woń powinowactwa, jakże miłą. Musiałem odczekać pięć minut; chciałem, żeby trochę się wywietrzył.

Tak więc pierwsze wejście miałem kiepskie. Drugi raz musiałem zrobić to o wiele lepiej. Byliśmy już w lesie. Obiegiem piechura, przemykając pośród choin, i stanąłem na rozległej łące śniegu blisko szosy. Ten, kto kiedyś

chował się przed przeciwnikiem, nocą, w zimie, wie aż nadto dobrze, o czym mowa, bo zapewne strzegł się takich białych luster pośród mroku. A mnie teraz zależało, żeby wszystko było widać. Merdałem ogonem, z uśmiechem, a białawe tło na ziemi pozwalało to zobaczyć jak na dłoni. Dodatkowo zaszczekałem kilka razy dobry wieczór, najgrzeczniejszym i najłagodniejszym tonem psiego gardła. A M znowu się wystraszył i jeszcze raz wrzasnął:

– Pójdziesz! Paszoł won! Do budy!

Trudna rada. Pozostała mi wyłącznie procedura awaryjna, standardowa, znana psom od tysiącleci – podążanie za człowiekiem, krok po kroku. Stałem cierpliwie, w odpowiedniej odległości. Kiedy M przystawał, przystawałem i merdałem, kiedy ruszał, szedłem dalej. Tak to trwało. On coś gadał, chyba prosił, żebym wreszcie zniknął, dał mu spokój, chyba pytał, skąd się wziąłem i dlaczego idę jego tropem. Nie odpowiadałem ani słowem – tego psy nie robią, chociaż mogą.

Kiedy zbliżyliśmy się do zachodniego krańca lasu, odezwały się szczekania, zaczął zalatywać dym z kominów i zabłyśły jakieś światła. Wkrótce dotarliśmy do Nowego Jaru, małej wsi, kolonii, przycupniętej tuż przy sosnach.

M szukał domostwa pod adresem, który zapisany miał na kartce, a psy za płotami ujadły głośniejsze niż potrzeba. Normalnie bym szalał, ale teraz traktowałem dzicz za parkanami powściągliwie i wyniosłe. Tu i ówdzie wyglądały z okien ludzkie głowy, zapalała się żarówka ponad wejściem albo ktoś wychodził na dwór i się gapił. Nie kulilem się i nie uciekałem.

Po paru minutach M znalazł posesję opisaną przez p. kierownika Jareckiego, wszedł przez bramkę do ogródka i zatrzymał się przed drzwiami niewielkiego domu, na którym wisiała tabliczka z numerem 12. Mógł to wszystko zrobić bez ryzyka strat na ciele, bo akurat w tym obejściu brakowało psa, strażnika terytorium.

M zapukał do drzwi z szybką.

Przystanąłem całkiem blisko i zerkąłem w jego stronę. A on w moją. Podobąło mi się, że nie rzucił kamieniami. To było niezwykle szlachetne, jak na kogoś z kręgu Homo sapiens. Wiedziałem coś o tym. Naprawdę.

*

Pani Stanisława Kosakowa była bardzo piękna – pięknem sędziwości siwej, smukłej i pobożnej. I szorstko troskliwej. Stała w progu – bez palta czy chusty, chociaż wiało i padało. M uklonił się, przedstawił, po czym wręczył gospodyni skierowanie ze stemplami. Nawet nie rzuciła na nie okiem, tylko powiedziała:

– O, synek przyjechał.

M zupełnie się nie zdziwił, że nazwany został synkiem, zapewne dlatego że nie przyzwyczał się do swego wieku.

– No, już jestem – odpowiedział.

– To ci mokro! Takie cuda!

– Nieźle pada – przyznał M i wolną dłonią strzepnął parę kropel wody z przodu kurtki.

– A ten pies to czyjże? – zapytała pani Kosakowa.

– A przyplątał się po drodze.

– Pójdiesz mi stąd, ty psia jucho!

Nie poszedłem, chyba jasne. Przytuliłem się do ściany pod okapem dachu, żeby nie leciało mi na ogon, i tam stałem. Tymczasem lokator, wcześniej zaproponowany, uzgodniony i zapowiedziany przez panią Celinę Pikulską z Gminnego Zespołu Pomocy Społecznej przy wójcie, wylądował w ciepłej kuchni.

– Zzuj, synek, kamasze, tam w nich pewnie żaby skrzek składają – zakomenderowała gospodyni.

M zdjął je, posłusznie, chociaż wcale nie przemiękły, bo to były buty dla myśliwych z kanadyjskich puszczy i lasów.

Kuchnia w domu pani Kosakowej różniła się znacznie od tych, których fotografie zamieszczano w kolorowych pismach o romansach, pięknych willach i ogrodach. Szczyt umiarkowania i prostoty. Przede wszystkim – na framudze drzwi wisiała kropielnica z posrebrzonym krucyfiksem. W blaszanej westfalce, to znaczy kuchence na nóżkach, po bukowych szczapach biegał ogień. O dwa kroki od westfalki, pod przeciwną ścianą kuchni, dominował żywioł wody. Przypominał o nim kran i emaliowany zlewozmywak. W trzecim kącie co i rusz wzniecała hałas Gruba Berta, to znaczy niemiecka lodówka z odzysku, od Hinza. Przechylała się na plecy, bo coś było źle z podłogą – deski zapadały się pod ścianą. Wraz z lodówką osuwały się zmęczone szafki kredensowe. Dostyć kiepski stan podłogi maskowany był chodnikiem, utkanym przed laty z gałganów i pończoch na osnowie z lnianych nici. Chodnik miał trzy wypalone dziury i ciągle się zsuwał. To zsuwanie i ślizganie mogło być naprawdę niebezpieczne, zwłaszcza dla osoby już leciwej, ale pani Kosakowa się nie przewracała, być może dlatego, że ktoś czuwał nad nią i jej domem.

Jeszcze jedno, bardzo ważne. Pod oknem, jak trzeba, stał stół, dość solidny, a przy nim dwa krzesła, akurat dla dwójki: gospodyni i nowego lokatora. Z tym że w kuchni był ktoś trzeci, kto się do tej pory nie odzywał, a dla kogo brakowało, proszę państwa, krzesła. Odezwał się wtedy, kiedy pani Stanisława Kosakowa powiedziała:

– Zładowałam kolacyjo, siadaj.

– Tutaj! Tutaj! Tutaj!

M rozejrzał się dokoła. Gospodyni się zaśmiała.

– Tutaj! Tutaj! – ktoś zawołał jeszcze raz i gwizdnął.

Na lodówce kuczał szpak (*Sturnus vulgaris vulgaris*), w zimowych barwach. Gapił się na gościa jednym okiem i wyraźnie go przynaglał, żeby usiadł. M przyjął zachętę i spoczął. Gospodyni podsunęła mu krojony chleb, pasztecik z puszki, cebulę i masło. Do popicia dostał słomkę, to znaczy herbatę, co nie psuje człowiekowi serca.

– A o widzisz, taki szpaczek. Umie gadać. Jedz, synku, co dałam. U nas dostałbyś pasztecikę swojską, a tu nie mam. W całej okolicy nie uświadczysz. Takie cuda. I białego salcesonu także samo. Jest kiełbasa i kaszanka, ino bez należytego smaku...

– Aku! Aku! Aku! – wrzasnął ptak przedrzeźniacz i przeskoczył na wiszącą szafkę z talerzami.

Latał, łobuz, nieporadnie, jak trafiony serią mig 21. Miał kłopot ze skrzydłem. M od razu to wypatrzył, bo on znał się na lotnictwie i kalectwie bardzo dobrze.

– Ot, mądrała!

– Tresowany?

– Eyii, gdzie tam! Tu go trzymam, bo by wrony go rozdarły.

Bardzo, bardzo chciałbym oddać urok świętokrzyskiej mowy pani Stanisławy Kosakowej. Niestety, nie umiem. Nawet M nie umiał tego zrobić, co dopiero pies przybłąda! I dlatego proponuję, żeby wypowiedzi gospodyni, cytowane w dalszej części opowieści, każdy z państwa sam przerabiał sobie w głowie na muzykę, jaka rzeczywiście brzmiała w naszych uszach, tych psich i tych ludzkich. Kto ma chociaż odrobinę słuchu – poza-małżowinowego – ten usłyszy to, co trzeba, jestem pewny.

Pani Kosakowa nic nie jadła. Dla niej było już za późno. Dzięki temu, że nie gryzła chleba z masłem, dużo łatwiej mogła opowiadać i o szpaku, i o całym swoim życiu. Przybyszowi pozostało z tego w głowie ledwie kilka głównych haseł, zwłaszcza te akcentowane wrzaskiem ptaka: kuźnia na wsi w Świętokrzyskiem, ruskie i niemieckie wojska, ogier z Unry, przeprowadzka tu, na północ, bóle w kościach, córka z zięciem mieszkający w Wuppertalu i ten fakt, że dni się robią coraz dłuższe, Bogu dzięki. Nie był w stanie zapamiętać nazbyt wiele, przede wszystkim z tej przyczyny, że podróż pociągiem i droga ze stacji niesłychanie go zmęczyły. Gospodyni to zauważyła.

– Idź już, synek – rzekła w końcu. – Idź już leżeć.

Objaśniła, gdzie się myje zęby i tak dalej, i zaprowadziła M na piętro. Właściwie poddasze. Wskazała mu tapczan z pościelą, poleciła Panu Bogu i zeszła do siebie.

M był tak znużony, że nie chciało mu się nawet przyjrzeć miejscu, gdzie go rzucił los z pomocą urzędnika Makowskiego oraz kierownika Jareckiego. Rozsznurował worek, aby znaleźć rzeczy na noc, jakieś ciepłe, bo w pokoju było zimno. Od razu, na wierzchu, natknął się na dwie kanapki z kuchni

DPS-u, których nie zjadł podczas drogi. Przez dwadzieścia siedem sekund, czyli długo, gapił się na chleb z wędliną. Potem, wbrew zmęczeniu i senności, zwałókł się na dół.

Na parterze, z pokoju przy sieni dobiegał wyraźnie pogłos modlitw gospodyni i subtelnych sponsoriów szpaka. M wsluchiwał się przez chwilę w rytm komplety, po czym wciągnął kanadyjskie buty, kurtkę i wełnianą czapkę, możliwie najciszej przekręcił klucz w zamku w drzwiach z szybkością i wyszedł.

Czekałem przed domem.

Wiedziałem, że wyjdzie. A on wiedział, że ja czekam. Młóciłem ogonem jak wiatrak. Rozwinął z papieru kanapki i położył je przed progiem.

– Wcinaj – szepnął.

Bardzo ładnie z jego strony, każdy pies to państwu powie.

M przyglądał mi się z boku. Nie za bardzo lubię, jak ktoś patrzy na mnie, kiedy wcinam, ale wtedy się nie denerwowałem, zwłaszcza że zmłóciłem wszystko bardzo prędko. Nie certolę się za długo z dobrym żarciem, a kanapki smakowały fantastycznie. Może tylko ten pergamin nie za bardzo. Przez wrodzoną grzeczność nie wypłułem.

Deszcz ustał zupełnie. Wiatr poszarpał chmury nad dachami wsi i nad lasami. Tu i tam błyszczały gwiazdy. M gapił się w niebo. Polizałem go po grzbiecie dłoni. Aż podskoczył. Wytarł dłoń o mokrą kurtkę. Sprawiał mi tym lekką przykrość, nie ukrywam. Zauważył to, jak sądzę, i zrobiło mu się głupio. Dość nieśmiało uniósł rękę – w moją stronę. Podszedłem, pomału. Dotknął mego łba, jak gdyby badał formę czaszki mastodonta. Nie kulilem się, bo byłem pewny, że ta ręka nie uderzy.

Wtedy M usłyszał albo raczej zwiertzył coś w powietrzu. Wyprostował się, obracał głowę tak jak wyżeł, po czym ruszył w głąb podwórka i ogrodu. Oczywiście, podreptałem zaraz za nim. Minęliśmy szopkę z cegieł, całkowicie cichą, potem drugą, znacznie większą, z grubych desek, z której dochodziły dziwne gwary. M jeszcze nie wiedział, co się kryje w tym drewniak. W owej chwili nie zamierzał tego badać, ciekawiło go zupełnie coś innego, inne głosy. Dotarł do samego końca śpiących grządek gospodyni i zatrzymał się przy płocie. Właściwie przy furtce. Przy furtce do lasu.

Stał i gapił się w szumiącą ciemność. Z wolna jął rozróżniać wzrokiem pojedyncze drzewa: sosny, dęby i – gdzieś tam – niskie świerki. Gadały do niego. M zrozumiał, że go pozdrawiają. Zawstydył się nagle, jako że na szlaku do Nowego Jaru w żaden sposób nie przywitał i nie uczcił ofiarowanego mu cudownie lasu, do którego tak ogromnie przecież tęsknił i jechał z daleka, jak pielgrzym. Nie przywitał się przeze mnie.

Nie za bardzo wiem, dlaczego – zamiast spóźnionego słowa powitania bądź przeprosin – M wymówił inne słowo i to nie w kierunku drzew, lecz w stronę popękanych chmur na niebie:

– Dzięki.

Dłuższą chwilę trwał przy furtce, a na koniec siknął koło płotu.

Też siknąłem, blisko niego, żeby cały świat zrozumiał, zapamiętał, że tu się zaczyna nasze wspólne wilcze terytorium. I że wszystko jest przed nami.

[...]

*

W niedzielę obudził się z lękiem pod skórą, jak dawniej. Przypomnę, ostatnio nie miewał kłopotów nad ranem, czuł się uwolniony od piekielnych wizji chorób, nieszczęść i tragedii, no a teraz wszystko powróciło, więc i M powrócił bardzo prędko do aktów strzelistych i do strzelistego świerka na tle nieba. Wpatrywał się w drzewo i szukał pociechy. Daremnie.

Leżałem pod stołem i było mi przykro. Tam, w wąwozie, najwyraźniej celowali we mnie, a trafili w mego przyjaciela.

Skulony pod kocem, starał się przeczekać uporczywe kołatanie pytań:

Czy naprawdę musi zwiewać, umykać jak zwierzę i porzucić wszystko, co ukochał? Co będzie z Moniką? Co się stanie z nim i Martą? Czy dobiega końca jego podróż? Czy zostaje mu wyłącznie wegetacja w DPS-ie, urozmaicana występami na jarmarkach cudów dla medyków? A jeżeli nie ucieknie, nie opuści lasu ani ludzi, to czy tamci z obrzynami walną go w kręgosłup, w nogi, w głowę, czy raczej wpakują w mrowisko, związanego drutem jak baleron? I tak dalej, i tak dalej. Było nawet trochę o mnie – zastanawiał się, co zrobić ze mną.

Koło szóstej wstał, wyciągnął sobie cztery, a mnie dziewięć kleszczy i powoli poszedł do kościoła. W drodze ciągnął koci ogon z dowiązanym doń żelastwem dużo starszych i znajomych pytań, które znów się rozbrzęczały:

– Po co, kurde, mnie zrzucili? Dlaczego tu jestem? Czy dlatego, żebym ciągle tracił to co najważniejsze?

Kołatanie i brzęczenie nie ustało nawet wtedy, kiedy mój przyjaciel usiadł już na swoim miejscu pod ścianą kościoła. Nie ustało, chociaż mury nałykały się letniego słońca i nie było zimno tak jak w marcu, Bąbel leżał przed konfesjonalem, na tęczy królował lipowy krucyfiks, po lewej błyszczała Maestá, skamieniały święty Michał, tak młody i jasny jak chłopcy z Powstania, wbijał płomienisty miecz w rozwartą gardziel smoka, a w pobliżu kruchty klęczał Wirkus, popłakując, jakby musiał zrównoważyć i odkupić swą powszednią radość życia.

Pośród wiernych brakowało tych, co mieli rezerwację ławek na dziesiątą, czyli pani Neugebauer, pani Piłat z łysym mężem, pani Drywy, najważniejsze zaś, że nie pojawili się I. Zajac i A. Rehlich oraz paru innych cnych parafian – Bogu dzięki, bo M bałby się, że będą strzelać. W dodatku nie ryczał chór rodziny Pakizerów, który ubogacał sobą tylko sumę.

Hałas w myślach M wyraźnie osłabł, kiedy do ołtarza wyszedł ksiądz wikary. Nie cudował ani nie grzmiał, za to niewątpliwie wierzył. Wierzył, że sprawuje Eucharystię. I pewnie dlatego zrobiło się jaśniej, niż było, spokojnie i cicho jak w lesie. Nie liczyło się za bardzo to, że organista H. Jarocha rzadko trafia we właściwy klawisz manualu, i nie przeszkadzały trzaski damskich portfelików ani nawet kaszel i kichanie.

M prosił o jedno: o pomoc. I tyle. Święty Michał ze skrzydłami czasem popatrywał w jego stronę. Sublokator pani Kosakowej nie umiał odczytać, co archanioł pragnie mu powiedzieć. Cokolwiek to było, M nie zauważył żadnych zmian w kosmosie i najbliższej okolicy. Kiedy wracał na zydłungi, wciąż łapał się na tym, że rozgląda się na boki z niepokojem, właściwie ze strachem. Czuł się tym upokorzony.

Pod koniec śniadania gospodyni zmiotła kantem dłoni pięć okruchów, jakie pozostały na ceracie, i mruknęła:

– Coś ty, synek, taki jakiś? Ja ci mówię, wydobrzał pies wtedy, to wylize się i teraz.

Poprzedniego dnia M nie wdawał się w szczegóły sytuacji, jaka miała miejsce w jarze ponad Czarną Strugą, bąknął o tym wydarzeniu ze dwa słowa, tylko tyle żeby wytłumaczyć gospodyni, czemu miałem prześwit w tyłku, ale ona dośpiewała sobie całą resztę.

– Tamtymi się nie gryź, co ma być, to zawdy będzie. Ty zobacz, myślały, że mocne, a masz ci, ten Sawczyn, Skórowa mówiła mi rano, ma złamaną rękę. A poobijany, łajdus, jak gruszka pod drzewem.

– Niedobrze... – jęknął M i przymknął oczy.

– Cykor! Cykor! – wrzasnął ptasi głos z lodowy.

Mój przyjaciel był zupełnie przekonany, że szpak woła: „Tutaj, tutaj!”, tylko nastąpiły jakieś zakłócenia.

M siedział przy stole i było mu przykro. Trąciłem go nosem. Wstał i zaczął robić coś pożytecznego, czyli zajął się przeglądem mojej rany, a potem szykował mi żarcie i wodę.

Panią Stanisławę Kosakową nie zainteresowały wrzaski szpaka, za to przyglądała się z uwagą, jak jej sublokator krząta się po kuchni. Obserwując, powiedziała, że był u nich taki jeden – Szczepan Kret ze Starych Brzeziny – który też miał kłopot z bandytami. To dlatego, że narobił sobie długów w Opatowie. Po miesiącu tamci z miasta przyszli i żądali zwrotu całej sumy. I procentów. Kret nie chciał nic oddać. Zagrozili, że mu spalą dom i chlew ze swinią, to im odpowiedział, proszę bardzo. Zagrozili, że to samo zrobią ze stodołą, to zawołał, żeby się wypchali. Jego babę chcieli zabrać, to się uśmieł. Ale jak zaczęli wyprowadzać mu ze stajni konia, to się strasznie zdenerwował, złapał kosę i przezynał tamtych z taką furją, że już nigdy nie wrócili.

– Musi, każdy człek ma coś takiego, coś drogiego, czego będzie bronić aż do końca – zakończyła pani Kosakowa.

Z tą myślą w plecaczku M ruszył nad Wisłę. Ja zostałem w domu – byłem ranny, poza tym ktoś musiał pilnować obejścia.

Dlaczego wyruszył nad Wisłę? Po pierwsze, okropnie zatęsknił za rzeką. Po drugie, tego dnia nie wybrał się do lasu, pierwszy raz od chwili, kiedy tu przyjechał, a czemu tak zrobił, to już wszyscy dobrze wiedzą.

Gospodyni pożyczyła M niemiecką damkę. Pedałował na rowerze wąską szosą pośród pól z łanami zboża. Dzień był z tych zupełnie przezroczystych. Od zachodu wiał spokojny, lekki wiatr, pasący cumulusy. Pomiędzy chmurami krążyły bociany. Pod okiem rodziców najmłodsze ćwiczyły wznoszenia w kominach termicznych i łagodne przyziemianie. M rozpoznał te manewry, bo miał doświadczenie – ostatecznie przez dwadzieścia jeden lat zajmował się lotnictwem, absolutnie zawodowo.

Jechał w słońcu, z gołą głową – jego kaszkiet, który mi posłużył jako bandaż, odmakął w mydlinach. Bez czapki czuł lepiej całą przestrzeń wokół siebie. Za plecami miał szeroki łuk lesistych wzniesień pradoliny i strzelistą wieżę dzwonną, dokoła żuławę, a na horyzoncie wał, za którym przepływała niewidoczna jeszcze rzeka. Z pszenicy, po prawej, wyskakiwał kozioł sarny, w powietrzu szalały skowronki, brzegi Czarnej Strugi i melioracyjnych rowów porastały trzciny i pokrzywy, na niewielkich terpach, jak na rozrzuconych w morzu wyspach, czerwieniły się samotne domy. Było lato, pełne światła i owadów, zapachów i ciszy. Nie było Puławskiej, Komarowa i Banacha. M poczuł nareszcie, że przez jego lęk i ciężkie myśli przebijają się znowu pęd wielkiej radości.

Potem gapił się z korony wału na szmat świata – lasy, pola, łągi, zakręt rzeki, znaki żeglugowe, niskie wzgórza z drugiej strony wody i cztery narożne wieżyczki krzyżackiego zamku sterczące z zieleni, dość daleko, na południu.

Zjechał na dół, nad sam brzeg, zostawił rower i przycupnął na kamieniach wiślanej ostrogi, osłonięty liśćmi drobnej wierzbki. Nie było nikogo, wywiało wędkarzy, pozostały tylko ryby rzucające się w zakolach, pracowite ptaki-hydroplany i żuraw zastygły bez ruchu na piaszczystej, sezonowej wyspie. Żuraw obserwował przepływ wody. Obaj – on i mój przyjaciel – nasycać się potęgą rzeki.

Później było jeszcze bardziej nie do wiary, ponieważ na niebie pojawił się bielik, jeden z tych z naszego lasu. Zrobił kilka kół nad Wisłą i odleciał w stronę zamku, jakby miał tam coś do załatwienia.

Wszystko brzmiało, jak powinno, tak że nic nie trzeba było stroić.

Świat wyraźnie zmierzał do tej chwili. Kto wie, może zmierzał i do innych, ale M zupełnie wystarczało to, co ofiarowywano mu dokładnie tu i teraz. Zatykało go z zachwytu i mamrotał jak półgłówek, powtarzał pod nosem to jedyne greckie słowo, jakie znał – ευχαριστώ – jedyne, jakie mogło unieść jego wdzięczność.

*

Powracał dokładnie tym szlakiem, jakim wcześniej jechał w stronę rzeki. Teraz za plecami miał wiślany wał, zaś na horyzoncie łuk lesistych wznieścień pradoliny i wysoką wieżę dzwonną. Był czerwiec, nie było Puławskiej i Hożej, krążyły bociany, w zbożu podskakiwał kozioł, a nad Czarną Strugą rośło zielsko.

M zobaczył ich z daleka i od razu wiedział, że go zatrzymają. Stali przed zaparkowanym na poboczu autokarem – kilku mężczyzn w skromnych, ciemnych garniturach. Stali w samym środku pól, przed skrzyżowaniem wyboistych, wąskich dróg na końcu świata. Jeden z nich, najwyższy, zaczął machać w stronę rowerzysty. M dojechał do krzyżówki i postawił stopę na asfalcie.

Ten najwyższy spytał mego przyjaciela, czy rozumie po rosyjsku, spytał właśnie w tym języku. M trochę się zdziwił, jako że autokar miał niemiecką rejestrację, a ludzie na drodze i ci, którzy nie wysiedli i przyjaźnie uśmiechali się przez okna, nie za bardzo wyglądali na wycieczkę komsomolców. Wyjąkał, że łatwiej byłoby mu mówić po angielsku.

Sublokator pani Kosakowej pamiętał dość dużo angielskich konstrukcji – jeszcze z kursu w klubie osiedlowym na Okęciu, sprzed ćwierćwiecza – no a jednocześnie zapominał większość tekstów przeczytanych ledwie przed godziną. Niepojęte są kaprysy pamięci osoby, która uderzyła łbem o beton i spała dość długo bez wstawania za potrzebą.

Człowiek górujący wzrostem nad pozostałymi skwapliwie wyjaśnił, czemu on i jego towarzysze pozwolili sobie niepokoić pana na rowerze: Chcieliby się porozumieć z kimś miejscowym. Przyjechali z Fryzji i szukają śladów, miejsc pamięci po swych przodkach. Tak najbardziej to zależy im na odwiedzeniu kaplic i cmentarzy, w drugim rzędzie – starych domostw i gospodarstw. Są mennonitami.

Mój kumpel o mało nie usiadł na ziemi. Zupełnie go ścięło. Z wrażenia.

Ten wysoki mówił dalej: Zgubili się w drodze, może nawet nie zgubili, tylko nie potrafią znaleźć, zidentyfikować poszczególnych miejscowości. Dysponują szkicem terenowym – pokazał kawałek papieru z oszczędnym rysunkiem i nazwami geograficznymi w języku niemieckim. Wczoraj, w mieście między jeziorami, próbowali kupić polską mapę tych terenów. Nie dostali. Sprzedawca tłumaczył, że skończyły się zapasy, że sprowadzi nowy towar w poniedziałek, jednak co to za pociecha dla tych, którzy podróżują dzisiaj? Więc czy on, to znaczy rowerzysta, nie potrafiłby im wytłumaczyć, wskazać, gdzie znajdują się te wioski zaznaczone na ich szkicu, albo może wie, jak trafić na cmentarze, albo orientuje się, czy zachowała się kaplica w... no właśnie, oni znają tylko przedwojenną nazwę owej miejscowości – *Rendhof*.

Dookoła falowało zboże, gryzły bąki, nad głowami przepływały cumulusy. M widział tych ludzi i słyszał ich głosy, ale nadal miał wrażenie, że są to wyłącznie omamy i zwidy wywołane mocnym słońcem. I pewnie dlatego nie powiedział im, że tyle razy szukał ich na ziemi i nad ziemią. I nie zdradził im, jak bardzo pragnął poznać tajemnicę ich milczącej obecności i nieobecności. Za to ofiarował się, że wskaże drogę na cmentarz w Dynowie.

Okazało się, że było to jedyne ważne miejsce, jakie odnaleźli już i odwieźli.

M chwilę pomyślał. Jeżeli nie Dynów, to może Karwina, niech po prostu jadą za nim. Zasugerowali, żeby zapakował rower do ich autokaru. Właśnie zbierał się, by to uczynić, kiedy przyszło mu do głowy, że byłoby lepiej, gdyby nieznajomi pozostali sami ze swoim wzruszeniem. Jakoś nie chciał wtryniać się w intymność cudzych spotkań z umarłymi. Przeprosił i nie wsiadł, i zaproponował coś innego.

Z wielkiego przejęcia trochę trzęsły mu się ręce, gdy z plecaka umocowanego przy rowerze wyjął ukochaną mapę nadleśnictwa, rozłożył na jezdni i zaczął wyjaśniać, gdzie znajdują, co trzeba, nie tylko Karwinę. Ukucnęli i uklękli obok niego. Dołączali do nich inni, z autokaru, wszyscy najwyraźniej poruszeni faktem, iż w przestrzeni pól i nieba zjawił im się ktoś z zadziwiającą orientacją w tym, co było dla nich ważne, i że zjawił się dokładnie w chwili, kiedy go potrzebowali.

Potem M po prostu dał podróżnym swoją mapę, oni zaś przyjęli ten sfałtgowany, pognieciony papier, jakby otrzymali wszystkie skarby świata.

Paru mężczyzn w szarych garniturach głośno rozważało rady i wskazówki przekazane przez swojego przyjaciela, i porównywało nazwy z mapy z tymi ze starego, niemieckiego szkicu. M nie uczestniczył dłużej w tej naradzie. Podniósł rower i szykował się do pożegnania. Wtedy ów najwyższy z całej grupy zbliżył się do niego i rzekł cicho, twardą angielszczyzną:

– Muszę panu coś powiedzieć. Pół godziny temu, na cmentarzu pod Dynowem prowadziłem nabożeństwo. Prosił Boga, żeby przysłał do nas kogoś... kogoś, kto by pomógł nam odnaleźć drogę.

Tak to przetłumaczył mój przyjaciel, potem tak mi to przekazał.

Gryzły bąki, dookoła falowało zboże, nad głowami przepływały cumulusy.

Pożegnali się przed drzwiami autokaru. Ktoś z podróżnych ofiarował M niewielką puszkę z orzechami. Sublokator pani Kosakowej nie wzbraniał się przed tym, bowiem zdążył się przekonać, że czasami nie wiadomo, jak okazać swoją wdzięczność i wychodzi to niezręcznie. Później machał za odjeżdżającymi, a oni machali mu z okien, aż zniknęli w płaskim krajobrazie.

Czuł się trochę jak pijany. Nie za bardzo wiedział, jakim cudem wrócił z pól do domu na zydlungach, jak odstawił rower, jak zjadł rosół, jak dotarł na górę i legł na tapczanie. Jadąc, jedząc, wchodząc, leżąc, nadal słyszał ludzi napotkanych na żuławie, słyszał ich spokojne zapewnienia, że otoczą go modlitwą. M też im obiecał swą pamięć.

Opowiadał mi to ze ściśniętym gardłem. Trudno dziwić się emocjom kogoś, kto zyskał świadomość, że przez 11 minut i 49 sekund był posłany, w małej sprawie, ale jednak. Na dodatek ogarnęło go głębokie przekonanie, że ci, którym pomógł, też byli posłani – do niego. Czy nie pojawili się z odpowiedziami na pytania, jakie nieustannie ciskał w niebo?

– Zostajemy, Wabi – wymamrotał.

Chyba jasne. Tamci z obrzynami mogli nam naskoczyć. Leżałem pod stołem i zdrowiałem jak szalony.

[...]

Andrzej Kasperek

SKUP OPAKOWAŃ SZKLANYCH¹

ANDRZEJ KASPEREK



Back in the DDR i inne opowiadania

słowo/obraz terytoria

¹ Fragment debiutanckiej książki Andrzeja Kasperka - Back in DDR i inne opowiadania, która ukazała się w tysięcznym nakładzie wydawnictwa Słowo/Obraz/terytoria.

Spędy w Stegnie odbywały się we wtorki. A może to były czwartki? Nie pamiętam, ale przecież nie jest to istotne dla tej opowieści. Wszak ten brak precyzji nie wyrządzi szkody niniejszemu opowiadaniu, wręcz przeciwnie, bo każda historia musi być miniona i im bardziej jest miniona, tym lepiej, rzec można, dla samej historii jako takiej i dla opowiadającego, którego tajemny szept wyczarowuje to, co przeminęło.

Rolnicy z całej gromady zjeżdżali się na furmankach wyładowanych żywcem, rzadziej ciągnąc za sobą krowy. Świnie niemiłosiernie stłoczone między drewnianymi burtami wozów kwiczały wniebogłosy, jakby przewidując swój niechybny los... Za to krasule spoglądały spod swych długasných rzęs melancholijnie, jak gdyby to, co miało nastąpić, było im zupełnie obojętne...

Lubiliśmy dni spędowe. Gospodarze skracali sobie czas oczekiwania w kolejce do wagi i rozpijali niezliczone flaszki z jabolami, ćwiartuchny monopolki, a po udanych transakcjach sprzedaży rogaczyny i nierogaczyny to nawet połówki wódki. Podochoceni alkoholem zupełnie nie dbali o zwrot butelek. To się zupełnie nie liczyło, gdy pieniądze były już zaportkowane. Nikt nie zwracał uwagi na porzucane beztrosko opakowania szklane. Jedy- nym, czego wtedy pilnowali, poza forszą oczywiście, był bat. Każdy trzymał go przy sobie, mając świadomość, że to coś tak samo ważnego dla powrotu do domu, jak kluczyki do samochodu.

Uwijaliśmy się pomiędzy stojącymi wozami, na których kwiczały wie- przki i maciory, uważając na nieuprzątnięte końskie i bydłce kupy, wdy- chając zapach przepoconej uprzęży, świńskiego łajna i szczyń – końskich czy ludzkich, po kilku godzinach oczekiwania było to już bez znaczenia. Chłopom nie chciało się wychodzić do sławojki za potrzebą, ponieważ bali się stracić miejsce w kolejce.

Uganiał się za pustymi butelkami. Wiedzieliśmy, że łup będzie bo- gaty i jak się poszczęści, to zarobimy nawet po kilka złotych. Przypomina- liśmy wróble, które po żniwach zlatują się do stodoły, bo wiedzą, że przy młócce dużo obrywek się trafi. Albo te małe rybki – czyścicielki, które kręcą się przy wielkich okazach, bo są pewne, że im też coś skapnie. Jeden z nas stał z boku ze sznurkową siatką, a my donosiliśmy mu swoje trofea.

Niekiedy na placu stało po kilkadziesiąt furmanek. Kolejka była na cały dzień. Już idąc do szkoły, wprawnym okiem ocenialiśmy, czy dziś będzie mały, czy duży spęd. Zależało to od terminów kontraktacji trzody chlewnej, od pory roku i od potrzeb pieniężnych rolników. Dla nas liczyło się tylko jedno, że za kilka godzin, gdy będziemy wracać po lekcjach, na pewno znaj- dziemy wiele puściutkich flaszek.

Och, te spędy! Czego to się człowiek tam nie naoglądał. Ot, choćby ten Morawetz, repatriant z Wołynia. Spasiony jak knur, wielgachne chłopisko. Ileż on potrafił wychłać. Pod jego wozem gromadziły się nie tylko końskie pączki, ale też pokaźne ilości butelek. Morawetz pił nie tylko J-23, czyli wino

patykiem pisane, i czyściochę. Jak miał gotówkę, to lubił zaszaleć i udawał konesera. Ku ucieście pań ze sklepu GS-u, upłynniających niechodliwy towar, kupował ratafię lub, o zgrozo, Vermouth Bacchus z obrazkiem przedstawiającym radośnie podchmielonego Dionizosa w wieńcu z winnej latorośli.

Jego popisowym numerem były zakłady, kto szybciej wypije butelkę wina marki Wino. Nikt z nim nie wygrał. Co to znaczy technika i lata ćwiczeń! Grubas sprawnie odbijał korek, zatykał otwór szyjki kciukiem i potrząsał butelką. Na dany znak przystawiał flachę do swych wiecznie spragnionych ust i pociągał ogromny haust. Nazywało się to: picie z gwinta z wirem. Zawartość butelki zniknęła błyskawicznie w jego trzewiach. Chyba szybciej, niż komuś udałoby się po prostu wylać płyn z butelki. O mało nie przypłacił życiem tych zawodów, bo kiedy nikt nie miał już ochoty na konkurowanie z nim w szybkim spożywaniu tanich win owocowych, Alojzy Morawetz podbił stawkę i zaproponował, że wypije z przyłożenia butelkę wódki. I może by się to mu udało, ale zakład pozostał nierozstrzygnięty, bo wódka się w nim zapaliła, co ponoć się zdarza takim ochlapusom, co to ich wątpia przesiąknięte są alkoholem. Chłop padł na ziemię jak rażony gromem, a z gęby buchały mu płomienie, niczym u cyrkowców zionących ogniem. Chłopy, wśród których trzeźwego byś nie znalazł, stały jak замуrowane, mamrocząc coś o ogniu piekielnym albo samozapale. Większą przytomność umysłu wykazała stara pijaczka Koprowa, zwana pieśczośliwie Iwonką, która rozkraczała się nad nieborakiem i po prostu nasikała mu do gęby. Ten środek jest znany, ale przynosi dyshonor, toteż przez parę miesięcy Morawtza nikt we wsi nie oglądał, bo wstydził się pokazać. Ale pić nie przestał. Miał tylko kłopot, bo nie miał kto mu przynieść gorzałki. Żona przed laty, jeszcze w ich rodzinnej wiosce Kopaczowski Posiołek, gdzieś tam na Wołyniu, przysięgała od wódki. Ślubowała, że alkoholu do ręki nie weźmie. Stało się to po tym, jak ją mąż po pijanemu w siódmym miesiącu ciąży, z brzuchem pod brodą, fest poturbował. Skończyło się to poronieniem, po którym już dzieci mieć nie mogła. Nigdy tego swojemu mężowi nie darowała i nie miał co na nią liczyć w tej materii. Po wódkę dla ślubnego nie poszłaby za żadne skarby. Ale do chałupy zajeżdżał listonosz Grzemiński, także repatriant, prawie krajan, z Uładówki na Podolu. Listów do starego Morawtza nie miał kto pisać, ale listonosz przywoził w swej przepaścistej torbie wódkę i panowie spożywali powoli, wspominając i śpiewając czastuszki ze swoich stron rodzinnych:

Ej horyłka myła, myła,
Jak ty mene poiła.
Ja za tebe srybło, złoto,
A ty mene buch w bołoto!
Ja za tebe sryblniaki,
A ty mene w budziaki!
Hej, horyłka z buraka,

Robysz mene w duraka!
Ja za tobą aż do Lwowa,
A ty mene buch do rowa!

Żona nienawidziła tych śpiewów, nienawidziła męża pijaka i jego kompanów. Trudno się jej dziwić, bo stary z żelazną konsekwencją powoli przepijał majątek, zaczął już nawet sprzedawać ziemię, a przecież jeszcze niedawno był to najbogatszy gospodarz w okolicy, który z Nowego Dworu potrafił wrócić taksówką, a na tacę w niedzielę rzucał czerwoną setkę.

Ze spódowych klimatów zapamiętałem jeszcze niesamowitą jazdę wagowego Nowaka na świni, w dodatku tyłem do kierunku ruchu. Nowak był drobnej postury, rzadkie włosy na głowie rozczesywał na środku z przedziałkiem, a całość jego fizjonomii uświetniał wąsik przystrzyżony à la Clark Gable. Mikra postura nie przeszkadzała mu w spożywaniu okazałych ilości alkoholu i pewnego razu, próbując przepędzić nader oporną maciorę z wagi, tak się po pijaku zaciętrzewił, że w pewnym momencie, nie wiadomo zupełnie jak, usiadł na upartym zwierzaku okrakiem i uczepony świńskiego ogona, rozpoczął szaloną jazdę po placu. Wyglądał niczym kowboj na rodeo, tylko zamiast byka ujeżdżał wielką świnię. Skończyło się to ku ogromnej uciechu gawiedzi efektownym saltem i – niczym w piosence – Nowak zrobił „buch w bołoto”. Oj, długo wspomniano ten występ.

Amatorów zbierania pustych butelek na placu spędu było nieraz wielu. Konkurencja często stosowała metody niesportowe, czasem po prostu starsi zabierali nam uzbierane z takim trudem flaszki.

Jedyna nadzieja była wówczas w tym, że uda się coś znaleźć po drodze, bo chłopci, wracając do domu, jeszcze się dopijali i – jak to nazywaliśmy, korzystając z popularnej wówczas terminologii kosmicznej – „odpalali puste człony rakiety”. Jeśli spadły do rowu, to grosze były nasze.

Kilka razy do roku odwiedzaliśmy dalekich krewnych mieszkających w Junoszynie, ładnej wiosce ukrytej w lasach nadmorskich. Gdybowie mieszkali w starych poniemieckich zabudowaniach. Kim byli ich pierwotni mieszkańcy, trudno było dociec, choć zwykle nie sprawiało to wielkiego problemu, bo w zabudowaniach często można było znaleźć pozostałości niemieckie gazety, poupychane gdzieś w kącie na strychu „Tigenhöfer Wochenblatt” lub „Danziger Vorposten”, a także drukowane gotycką czcionką książki. Pewnego razu, ganiając z kuzynami po poddaszu starej, na wpół rozwalonej stodoły, natknąłem się na książeczkę zawiniętą w płócienną szmatkę i wetkniętą za deski powały. Nie miała okładek. Ale nie to było dziwne. Niezwykle było to, że nie sposób było przeczytać w niej choćby jedno słowo. Podobny problem mieliśmy ze szwabskim liternictwem. Tam jednak była pewność, że teksty pisane szwabachą są niemieckie. Oglądaliśmy ze wszystkich stron to dziwne znalezisko i wreszcie doszliśmy do wniosku, że to pewnie jakiś szyfr. A jak szyfr, to może gdzieś ukryta jest jakaś mapa, na której

zaznaczono skarb. Nasza dziecięca wyobraźnia, wykarmiona powieściami Jules'a Verne'a i Wyspą skarbów Roberta Louisa Stevensona, podsuwała nam obrazy skrzyni wypełnionej kosztownościami. Gapiliśmy się bardzo przejęci na te dziwne ni to litery, ni to kombinacje kreseczek albo jakichś robaczków i zastanawialiśmy się, kto mógłby to odczytać. Sprawa wyjaśniła się nadzwyczaj szybko i niespodziewanie prosto. Wystarczyło, że tata wziął do ręki moje znalezisko i z miejsca oznajmił: „Dziecko, jakie szyfry? Toć to żydowska książka, pewnie modlitewnik...”. Chyba wiedział, co mówi. Pochodził z okolic Chęcina, a tam do września 1939 roku przeszło połowa mieszkańców była starozakonna.

Wyprawy do kuzynów zawsze wywoływały u mnie stres. Jego przyczyną była ogromna góra pustych butelek po wódce, piętrząca się niczym starożytny kurhan za stodołą. Ileż tam mogło być tych flaszek? Pewnie więcej niż sto! Ileż tam pieniędzy się marnowało! I pomyśleć, że nikomu z Gdybów nie przyszło do głowy, żeby je sprzedać. Nie mogłem tego zrozumieć. Z każdą nową wizytą widziałem, że butelek przybywa. To stary, Gdyb Wincenty, codziennie dorzucał tam nowe. Stary był pijakiem pewnie dorównującym Morawtowski, z tą tylko różnicą, że konsumował alkohol wyłącznie w domu, co sprawiało, iż wielu ludzi wcale nie wiedziało, że ciągnie jak smok. Co tam smok! Pewnie jak dwa smoki. Dziadek był tyranem, liczyło się tylko jego słowo. Rodziną poniewierał. Ciągłe powtarzał bełkotliwie, że na wycug do dzieci nie pójdzie. Zupełnie nie pojmowałem, o co mu chodzi. To dziwne słowo kojarzyło mi się z paleniem w piecach, bo wtedy mama czasem powtarzała, że cugu nie ma. Ale wstydziłem się zapytać, czy wycug i cug to to samo. Syn oprócz tego, że musiał harować w gospodarstwie, zatrudniał się na kolei wąskotorowej przy rozładowywaniu wagonów z węglem lub innymi towarami, żeby mieć na swoje wydatki.

Strasznie mnie ta hałda wnerwiała. Bo jak to: to ja latam po zafajdanym placu spędu, włączę do wilgotnych rowów po jakąś utyłaną flaszkę, a tu tyle dobra się marnuje? Ale co było robić? Przecież to nie były moje butelki. Długo się biłem z myślami, zanim spytałem tatę, czyby nie poprosić Wincentego o możliwość uszczknienia z marniejącej kolekcji opakowań szklanych. „Ani mi się waży!” – odpowiedział ze złością. „A co to? Dziadem jesteś?! Swoją honor trzeba mieć!” I na tym się skończyło. Już nigdy podczas pobytów w Junoszynie nie zachodziłem za stodołę.

W końcu przestaliśmy tam bywać. Stary Wincenty stawał się coraz bardziej okropny, potrafił już tylko bluzgać i wszystkich obrażać.

W końcu mama miała dosyć i powiedziała, że jej noga więcej tam nie postanie. Tata przyjął to z ulgą, bo Wincenty Gdyb, choć krewny, to ojca strasznie wnerwiał nieustannym przymuszaniem do picia. Ta niekończąca się przynuka. Owo nieustanne: „Wypij, no, czemu nie pijesz? Chluśnięm, bo uśnięm. No, to chłup!”. Doprowadzało to tatę do ledwo hamowanej wście-

kłości. Bo ojciec nie był trunkowy. Nigdy nie widziałem go pijanego, a alkohol pojawiał się w domu tylko na święta. Dwa razy do roku powtarzał się alchemiczny rytuał rozrabiania spirytusu z sokiem wiśniowym. Powstała w ten sposób wódka starczała zwykle na kilka tygodni. I jak tu równać się z takim pijakiem, któremu wystarczyłoby to pewnie na dzień, góra dwa.

Kilka lat później córka znalazła go na podłodze kuchni wśród poprzewracanych butelek. Leżał niedaleko kaflowego pieca, a z ust sterczała mu ścierka służąca do mycia garów. Okazało się, że stare Gdybisko udusiło się nią. W nocy czasem wstawał, kiedy go kac zaczynał męczyć, i człapał do kuchni, gdzie na płycie pieca całą dobę musiał stać dyżurny sagan kawy zbożowej. Nocą była już przestudzona i świetnie nadawała się do gaszenia pragnienia w tej chwili przekłętej, gdy suchość w człowieku od gardła do duszy... Miał pecha, bo ktoś przesunął gar z kawą, a w jego miejscu stał garnek z pomyjami dla świń, z którego nie wyjęto ścierki. Spragniony Wincenty pomylił gary, a że jego smak już dawno był zniszczony przez wodę, gardło zaś przepalone, nie rozpoznał, co pije. Żłopał tak długo, aż usta zatkała mu ta brudna szmata i się nią udławił. Czy ktoś sprzedał te niezliczone, opróżnione przez starego satrapę flachy? Nie wiem.

Butelki można było opylić szmaciarzowi, który od czasu do czasu pojawiał się na naszej półpolnej ulicy i gromko wykrzykiwał: „Szmaty, butelki kupuję! Szmaty, butelki... Szmaty, choć obsrane, mogą być też wyprane!”. Zawsze przyciągały te nawoływania grupę ciekawskich, którzy schodzili się, żeby zobaczyć, co szmaciarz proponuje w handlu wymiennym. Zwykle były to nieobecne w sklepach GS-u emaliowane garnki, jakieś chustki, ręczniki i inne domowe utensylia. Skurczybyk potrafił kobietom nawciskać do głów takich farmazonów, że znosiły mu jeszcze całkiem przyzwoite rzeczy z szaf i schowków. Mamę też kiedyś omamił i przyniosła mu kilkanaście butelek, owoc moich tygodniowych poszukiwań. Stały sobie w szopce – czyściutkie, umyte, bez śladów laku na szyjce i pozostałości po etykietach. Prawie nowe, wyglądały, jakby je dopiero co wypuszczono z huty szkła. Bo tylko takie przyjmowano w skupie. Ociągałem się z ich odstawieniem, bo rower miał popsute torpeda, a dźwigać ich mi się nie chciało. I takie butelki mama oddała za jakiś fajansowy dzbanuszek! Byłem zły przez kilka dni, ale mi przeszło. Po prostu na mamę nie można się było gniewać. Nie na nią... A poza tym produkcja pustych opakowań szklanych nie ustawała. Stałem nad ocynkowaną wanną wypełnioną wodą i myłem flaszki, cierpliwie zdzierałem z nich lak albo zrywałem pierścionki powstałe po odkręceniu metalowych zakrętek. Największy problem był z suszeniem szkła, bo nie znałem wówczas genialnego w swej prostocie dzieła Marcela Duchampa pod tytułem *Porte-bouteilles*. Problem byłby bardzo prosto rozwiązany.

Szkoda tylko, że to moje zbieractwo przynosiło tak mizerne efekty. Ile pieniędzy można było uzbierać ze sprzedaży butelek? Zbyt mało, by wykonać moje wielkie i pilne dzieło. Ciągle miałem za mało pieniędzy, żeby spełniło się moje marzenie. Moje pragnienie kupienia Małej encyklopedii powszechnej PWN. Powtarzałem sobie zdanie zasłyszane w telewizyjnym serialu: „O Leonardo, czemu się tak trudzisz?”. Bo przecież ciułałem już od kilku miesięcy, a w starej skarbonce w kształcie góralskiej chaty, którą kupiłem kiedyś w Sukiennicach, będąc na koloniach w Krakowie, było ledwie sto parę złotych.

Codziennie po szkole wchodziłem do księgarni w Stegnie i sprawdzałem, czy jeszcze stoi na półce. Na szczęście była. Cena dwieście pięćdziesiąt złotych skutecznie odstraszała chętnych i zainteresowanych. Niby to oglądałem inne książki na półkach, ale mój wzrok ciągle wędrował do tego miejsca, gdzie stała ONA. Czasami sprzedawczyni litowała się nade mną i pozwalała mi kolejny raz jej dotknąć. Delikatnie chwytałem za solidne okładki pokryte zieloną imitacją skóry i ostrożnie układałem ciężki tom na blacie. Otwierałem na pierwszej stronie, na której królowała litera A, i powoli przewracałem stronicę owej „akademii wszelkiej sciencji pełnej, na różne tytuły jak na classes podzielonej, mądrym dla memoriału, idiotom dla nauki, politykom dla praktyki, melancholikom dla rozrywki erygowanej”. Wolniutko kartkowałem kilkanaście z tysiąca dwustu stronic i z zachwytem patrzyłem na niezliczone ilustracje, tabele i wykresy. Z zazdrością oglądałem barwne plansze, na których przedstawiono budowę człowieka, grzyby, motyle, ptaki i rośliny. A także te ukazujące odznaczenia, stroje ludowe, flagi państwowe i reprodukcje dzieł sztuki. A do tego wspaniałe kolorowe mapy... Ech, to było po prostu чудо. Ale tak to już jest z cudami, że nie tak łatwo się do nich zbliżyć. Wydawało mi się to ponad ludzkie siły i możliwości.

Brat, który już pracował i zarabiał, czasem, widząc moje strapienie, podrzucał mi po parę zetów. On też poradził, żeby zająć się zbieraniem złomu, a poza tym powiedział, że za kilogram suszu jasnoty w skupie płacą sto złotych! Nie chciałem w to uwierzyć. Sto złotych za kilogram! Ale na jasnotę jeszcze nie była pora. Skupiłem się na starym żelastwie. W końcu emaliowana tablica przybita do starego dębu rosnącego koło kuźni zachęcała: ZAMIAST Z HELĄ ROBIĆ KSIUTY ZBIERAJ ŻŁOM DLA NOWEJ HUTY. Napis był co prawda ledwo widoczny, bo z tej właśnie tablicy zrobiliśmy sobie cel do strzelania z procy. To była nasza zemsta, bo przecież wolelibyśmy sobie robić ksiuty z Helą czy z inną. Problem był taki, że żadnej chętniej nie było. Czy ten napis był reklamą, czy też zawierał jakiś ładunek indoktrynacji? Nawet dziś nie potrafię na to pytanie odpowiedzieć. Bo czy indoktrynował nas napis: 3 X TAK!, wysmarowany na stodole Mańkowskich, czy ten na pokry-

tym tłuczonym szkłem murze GS-u: GŁOSUJ NA LISTĘ FJN? Kompletnie nas to nie interesowało. Mnie zajmował tylko jeden problem, czy zdołam uzbierać upragnione dwieście pięćdziesiąt złotych?

Zaczynało to już przybierać formy obsesji. Złapałem się na tym, kiedy po dokładnym oczyszczeniu najbliższej okolicy ze starych puszek po konserwach, kawałków drutu zbrojeniowego i jakichś przerdzewiałych wiader zacząłem przemyśliwać nad odkręceniem nakrętek mocujących szyny naszej wąskotorówki. Na szczęście nie miałem odpowiedniego klucza, bo kto wie, czy pociąg by się nie wykoleił, ludzi by pozabijało. Kiedy wreszcie przyszło wczesne lato, pojawiła się jasnota. Jak wolno rośla ta cholera! Wycinając na poboczach rowów żywokost, który stanowił suplement diety świń, patrzyłem, kiedy wreszcie będzie można zrywać kwiaty. Na strychu nad chlewikiem rozłożyłem już gazety do suszenia... Niestety po kilku tygodniach się poddałem. Prędzej mityczny Tantal obżarłby się jabłkami, niż ja zebrałbym kilo suchego kwiatu. Może gdyby zebrać ją z całego powiatu, toby się udało. Byłem kompletnie załamany. Skąd wziąć brakujące siedemdziesiąt sześć złotych?! I wtedy zdarzył się cud, bo oto anioł w postaci mojej mamy wyjął z kieszeni spranego niebieskawego fartucha zawiniątko, w którym przechowywane były pieniądze ze sprzedaży jajek. Te pieniądze mama trzymała na czarnej godzinę, choć nigdy nam nie wytłumaczyła, co to ma oznaczać. I teraz spytała, choć dobrze wiedziała, ile mi potrzeba. Skrupulatnie odliczyła brakującą kwotę. Wprost nie mogłem uwierzyć. Miałem całe dwieście pięćdziesiąt złotych. Mama z czułością patrzyła, jak rozkładałam na kuchennym stole papierkowe dwudziestki, jak układałam koło siebie dychy, a w słupki – drobniejsze monety. Było, zgadzało się. Kochana mama! Pewnie trochę głupio jej było z powodu moich butelek tak lekkomyślnie oddanych szmacciarzowi i teraz chciała mi to wynagrodzić. Ale czy trzeba szukać jakichś wyjaśnień? Była aniołem u mego boku.

Tata zrobił mi stojak pod moją świętą księgę, który do złudzenia przypominał podstawkę stojącą na ołtarzu, jakiej używał ksiądz do kładzenia mszału. Zrobił to dla mojej wygody, a poza tym denerwowało go, kiedy wygięty jak znak zapytania, klęcząc na krześle, pochylałem się nad stołem. Choć tak naprawdę trochę mi było żal, że nie mogę jej czytać w swojej ulubionej pozycji, kiedy to kładłem się w poprzek łóżka, a stopy opierałem wysoko o ciepły piec kaflowy. Była na to po prostu zbyt ciężka. No, ale trzydzieści dwa tysiące haseł musiało swoje ważyć. I pomyśleć, że to ja byłem panem i władcą całej wiedzy świata! Tak mi się przynajmniej wtedy zdawało.

Janusz Ryszkowski

MAŁE PROZY

DWULWICE

J. wydawał mi się wówczas dobrotliwym staruszkiem, a teraz jestem jego rówieśnikiem. Po jego śmierci opowiadano, że w młodości wyrabiał straszne rzeczy. Aby zademonstrować swój ateizm, załatwił się w konfesjonale. Nie wiem, czy tego jego wrogowie, których miał przecież sporo, po prostu nie wymyślili.

O Bogu nigdy nie rozmawialiśmy. Lubił mnie częstować anegdotkami sprzed lat.

– Dlaczego najmniejsza ulica w mieście nazywa się Neonowa? Bo było tam ciemno, jak u murzyna wiesz gdzie. Jeździliśmy bryczką, chlaliśmy wodę i jako komisja magistratu niemieckim nazwom nadawaliśmy polskie. Staraliśmy się szukać odpowiedników, a gdy nie mieliśmy pomysłu, chrzciliśmy tymi rodem z naszego rodzinnego miasta. Bo tak się złożyło, że trafiło na samych warszawiaków. Ale czasem wygłupialiśmy się, tak jak z tą Neonową. Jak dziś czytam książkę, skąd się wzięły powojenne nazwy ulic, dopowiadam w duchu autorowi: często z kaca.

Ktoregoś dnia dostałem wezwanie do poradni skórno-wenerologicznej. Ki chuj? Stawilem się na wyznaczony dzień i w głowę zachodziłem, kto mnie w to wrobił. Czyżby zemsta jakiejs panienki? Ostatnie miesiące prowadziłem się naprawdę moralnie, więc nie powinienem mieć żadnych obaw, ale zawsze jakiś niepokój się czał. Wchodzę do poczekalni, prawie puste... Prawie, bo na krześle wierci się mój dobry znajomy, zresztą niebywały plotkarz. Jeszcze tego mi brakowało. Rzuciliśmy sobie „cześć” i zapadliśmy w milczenie. Pielęgniarka wzywa mnie wreszcie do gabinetu, wypisuje jakąś kartkę. Potem kieruje do lekarza. – Spuście, kolego, spodnie – słyszę. Jestem tak przestraszony, że nie rozpoznaję znajomego głosu. Odpinanie paska przerywa głośny śmiech doktora Sumerskiego. – Daj spokój – mówi. – W poczekalni jest już Kornacki? Przytaknąłem. – To go zawołaj.

Sumerski miał ubaw po same pachy, kiedy tak staliśmy przed nim, wiercąc się ciągle nerwowo.

– Napijemy się teraz wódeczki – doktor sięgnął do biurka. – Wezwałem was, bo dawno się nie widzieliśmy. Warto przecież pogadać...

Odwiedziłem J. w szpitalu. Żona uprzedziła mnie, że ma przed sobą jeszcze dwa, trzy miesiące. Rozmawialiśmy na korytarzu, w jednej z wnęk ukradkiem ćmił papierosa.

– Boli mnie to kurewskie biodro – i mimo grymasu zaciągnął się z lubością. – Gdyby nie to, wróciłbym do pracy. Wiesz, że Wydawnictwo Łódzkie przyjęło moją powieść? Dopiero teraz zrozumiałem, na czym cały pisarski pic polega. Skrobię coś nowego. W zasadzie nawet powoli kończę. Dwie godziny dziennie ścibolę, czasem więcej. Tu jak w Domu Pracy Twórczej. To będzie moje opus vitae. Przekonasz się...

Trzy tygodnie po jego kościelnym pogrzebie wziąłem się odwagę i zadzwoniłem do jego żony. Zapytałem o szpitalny brulion.

- On już wtedy błdził – opowiadała dość spokojnie. – Przeglądałam ten zeszyt. Niewiele można odczytać, urywane zdania bez sensu, czasem falowane kreski, jak u małego dziecka.

- Mógłbym na to rzucić okiem?

- Niech mi pan wierzy, że to nie ma sensu.

- Ale ma to pani?

- Córnka zabrała sobie na pamiątkę. Żal jej było to tak po prostu wyrzucić.

Na mojej półce z poezją do dziś leży skromny, „powielaczowy” tomik, który należał do J. Nie zdążyłem oddać. To się zdarza. Tak wszedłem w posiadanie (jakoś lubię ten eufemizm, który często znajdowałem w sądowych aktach) „Dwulwic”, debiutu Bogdana Chorążuka, autora niezapomnianego przeboju. Pamiętacie chyba: „A kiedy przyjdzie także po mnie / zegarmistrz światła purpurowy / by mi zabełtać błękit w głowie / to będę jasny i gotowy”. I ta muzyka, i interpretacja Tadeusza Woźniaka...

Ale tę frazę z „Dwulwic” zna niewielu, a godna jest zapamiętania: „Najjutrz wyobrazić sobie, że to było co innego, co i tak nie ma znaczenia”.

NASZA PRZYJACIÓŁKA

Romek przedstawiał Hanię swoim znajomym po prostu: „Nasza przyjaciółka”. Odwiedzała nas w pokoju akademika nie tylko w przerwach między zajęciami, kiedy już nie opłacało jej się wracać do domu, ale także często w soboty i niedziele. Miała oryginalną urodę, na którą zwrócił nam uwagę jeden z kolegów ze starszego roku, bo tego nie dostrzeżliśmy. Może dlatego, że jej twarz była nieco przysłonięta dużymi okularami ze szklami krótkowidza. Raczej jednak chodziło o coś innego. Jako koleżanka, z którą spędziliśmy wiele godzin na zajęciach i poza nimi, straciła walor niezwykłości, stawała się coraz bardziej siostrą niż dziewczyną, przyjaciółką, jak mówił Romek.

Gadaliśmy z nią przy mocnych herbatkach Ulung, czasem winie, albo i czymś mocniejszym. Hania była w stanie stałej wojny z matką, uwielbiała za to ojca, zawodowego wojskowego. To był jeden z wiodących tematów.

Po trzecim roku Hania wyjechała z rodzicami do Bułgarii. Wróciła rozpromieniona. Opowiadała, nie szczędząc nam pikantnych szczegółów, o swojej miłości znalezionej w Żółtych Piaskach.

Po zimowym semestrze Hania pojechała znowu do Bułgarii. Nie pamiętam szczegółów, ale po powrocie fruwała pod sam sufit. Miała tylko jeden problem, z którego musiała nam się zwierzyć.

- Ciotka mi się spóźnia – powiedziała bez skrępowania. – Ale jak tylko przyjedzie, to postawię wam wino. Bułgarskie...

Kilka dni potem Hania zjawiała się z butelką Egribikaver, a pod pachą miała „Utwory zebrane” Rafała Wojaczka.

- Gdzie dostałaś? Szukałem po całym mieście – nie mogłem ukryć podziwu. Okazało się, że w księgarni rolniczej. Tak popularnie nazywano skład książek z literaturą fachową dla fachowców tej branży.

Bredziliśmy o czymś mało wzniosłym, gdy podochocona Hania („Mam głowę do picia po ojcu” – śmiała się) zaproponowała mi transakcję. Butelka wódki żytniej, którą wspólnie wyszczymy, za tom Wojaczka. Chyba nigdy tak chętnie nie skakałem na róg...

Nie koniec to książek związanych pośrednio z Hanią. Ale po kolei.

Kilka tygodni po historycznej aneksji Wojaczka Haneczka wypłakiwała się nam, że jej bułgarski chłopak przestał się odzywać. Przestały od niego przychodzić listy. Po prostu dramat, dramat, dramat. (Kiedy moja 14-letnia córka czytała przypadkiem ten tekst, wykrzyknęła z tym miejscem: „Nie mogła mu głupia wysłać SMS, albo mejla?”). Tłumaczyłem, że żyliśmy w innych czasach, ale jej nie przekonałem.

Hania zdecydowała się pogrzebać swoją wielką miłość. Uroczystości żałobne urządziła w naszym pokoju. W pewnym momencie przyłączył się do nas Zbyszek. Studiował rok wyżej, pisał magisterkę o filozofii Stanisława Brzozowskiego u docenta K., mającego opinię opozycjonisty. Ale mniejsza o to. Z miejsca zaczął Hanię czarować, rwać, podrywać, zalecać się, emblować, uderzać w koperczaki, smalić cholewki. Patrzyliśmy z Romkiem na te zabiegi z uśmiechem, podobnie reagowała Hanka. Nie zdawaliśmy sobie jednak sprawy z tego, jak dalece jest po miłosnej tragedii osłabiona, jak łaknie dowodów hołdu dla swojej kobiecości.

Za trzy miesiące oświadczyła nam, że wychodzi za Zbyszka, choć matka jest temu przeciwna. Następnego dnia przyszedł rozpromieniony kandydat na pana młodego. Wyprowadzał się z akademika po obronie magisterki. Wyciągnął z dzinsowej torby kilka książek. – To dla was, podzielcie się jakoś.

To było czymś w rodzaju podziękowania za Hanię. Tak to na początku odebraliśmy z Romkiem. Potem dopiero, przy podziale łupu, on zauważył, że wszystkie książki miały nie tylko podpis Zbyszka, ale i byłej dziewczyny, z którą mieszkał przez całe trzy lata studiów. Pewnie z tego tylko powodu wołał pozbyć się naprawdę wartościowych pozycji.

Jakoś krótko po ślubie Hania dostała list. Odezwał się chłopak z Bułgarii. Ale nie sądzę, że miało to wpływ na to, że po kilku latach jej małżeństwo się rozpadło.

SEANS SPIRYTYSTYCZNY

„Listy: Do przyszlęj narzeczonej przez Juliana Mohorta, Do cudzej żony przez Klemensa Junoszę. Z przedmową Teodora Jeske-Choińskiego”. Wydane z Warszawy w 1898 roku. Ktoś kiedyś uznał, że broszurową, miękką oprawę należy zastąpić bardziej trwałą. Widać z jakichś powodów cenił tę książkę. Przedostatnim jej właścicielem był farmaceuta N. Kupił ją zapewne w antykwariacie, o czym świadczą zapiski na ostatniej stronie. Jakiś numer i cena: 25 złotych. Mohort to pseudonim Juliana Ochorowicza, specjalisty od wywoływania duchów. Z tej wiekowej książki bije silna aura. Nie przesadzam. Lekko zamykam oczy i już widzę, jak N. wchodzi do suteryny w odrapanej kamienicy, przedziera się przez półmrok, potem strząsa z siebie niewidzialną pajęczynę. – Czym mogę służyć, panie poruczniku? – pyta antykwariusz, bo farmaceuta przyszedł tu w mundurze żołnierza armii Andersa. Właśnie wrócił do kraju, choć mu odradzano. Nie miał złudzeń, że przyjechał do ojczyzny, bo ta jego została gdzieś za wschodnią granicą. – Szukam czegoś z medycyny, dokładniej farmacji – odezwał się. Antykwariusz rozłożył bezradnie ręce. – Na razie niczego nie mamy, ale będę o panu pamiętać... – Nie warto... Jutro stąd wyjeżdżam – powiedział tylko. Przyglądał się tytułom, będąc myślami przy Jance, narzeczonej, której nie widział od sześciu lat. Czekala na niego w jakiejś wschodniopruskiej mieścinie, do której trafiła z innymi przesiedleńcami spod Wilna. Nazwy miasteczka nie mógł długo zapamiętać i skojarzyła mu się z szumem. Do morza było – obliczył to na mapie – jakieś 50 kilometrów w linii prostej. Pojutrze, jeśli dobrze pójdzie, uściska bliską-daleką Jankę. Cieszył się w takim samym stopniu, co i bał tego spotkania. Co będzie, jak zobaczy obcą sobie kobietę? Czas robi swoje. To nie będzie ta sama Janka z czasów wileńskich, a i on się zmienił... „Narzeczeni, którzy się łączą na całe życie, na dolę i niedolę, na wielki nieraz trud i ból, nie uważają zwykle za potrzebne przypatrzeć się sobie bliżej przed ślubem, poznać się lepiej, policzyć swoich sił. Zamiast spojrzeć w głąb swoich dusz, starają się przedstawić się sobie wzajemnie ile możliwości ze strony odświętnej i bawić się swoim kosztem. Panna nigdy nie wie, jaki jest jej narzeczony poza salonem, a mężczyzna, jaką jest panna. Z chwilą kiedy narzeczony wchodzi do narzeczonej, „wszystko nastraja się na ton sztuczny, wstawiają się dekoracje, rozdają role i zaczyna się komedyjka.” Czytał jeszcze przez chwilę, wreszcie spojrzął na tytuł książki: „Listy: Do...” . Zapłacił i wyszedł.

W mojej imaginacji farmaceuta N. jest do złudzenia podobny do popularnego aktora znanego z filmów o tematyce wojennej, bo za nic nie mogę sobie przypomnieć jego prawdziwej twarzy. A powinienem, bo coś mu jednak zawdzięcza. Mama zabrała mnie do apteki, którą prowadził razem z żoną. Mama podała mu receptę, którą czytał z uwagą, kręcąc z dezaprobatą głową.

Potem spojrzał na mnie spod okularów. – Po co zaraz takimi świństwami dzieciaka truć – powiedział. Potem zniknął na zapleczu. Wrócił z jakimiś flakonikami i wytłumaczył mamie, jak te specyfiki ma stosować.

STASZEK

Wczoraj przyśnił mi się Staszek F. Po raz pierwszy od dwunastu lat. Obudziłem się około czwartej, wierciłem przez godzinę, a potem złapałem resztkę ciężkiego snu. Zaczęło się od koszmaru związanego z pracą w redakcji. Przeglądałem najnowsze wydanie gazety. W dziale wiadomości lokalnych nie znalazłem swojego tekstu, były za to aż trzy informacje mojej serdecznej koleżanki. Zacząłem mieć przeczucie, że to początek kłopotów z kierownictwem. Piszesz za mało, poszł won.

Zaraz też znalazłem się na zebraniu redakcyjnym. Wtedy go zobaczyłem. Czytał swoje opowiadanie, może wiersze – nie dosłyszałem. Dziwne, literat wśród dziennikarzy. Dostał potem brawa i bukiet czerwonych kwiatów. Nie wiem, skąd wiedziałem, że ostatnią swoją książkę sfinansował sam, gdy minister kultury odmówił dotacji („Zabolało, bo to przecież wreszcie mój minister...” – krzywił się). Wydał całe odszkodowanie otrzymane za kilka lat odsiadki w Peerelu, jeszcze przed gomułkowską odwilżą.

Staszek w pewnym momencie wręczył mi kwiaty. Pocałował w policzek. Szedłem potem na dworzec i zastanawiałem się (mając świadomość, że jeszcze jestem w świecie snu, ale zdążam do szczeliny rzeczywistości) nad sensem tej ostatniej sceny. Może chodziło o to, że go nie pożegnałem?

W upalnym czerwcu tamtego roku powaliła mnie angina. Kiedy wróciłem do pracy, dowiedziałem się, że Staszek od nas odszedł. Umarł na białaczkę, z którą zmagał się przez kilka miesięcy. Napisałem początkowo: „długich miesięcy”, ale nie jestem pewien, że to właściwe określenie. Czy ostatnie miesiące życia mogą się dłużyć?

Walczył do końca, jak były ciężarowiec i kulomiot. Wydawało się, że ten ciężar także podniesie w górę, pchnie tę kulę na przekór nicości.

Małgorzata Anna Jędrzejewska

**„MNIE SIĘ NIE SPIESZY...
ZACZEKAM”**

1.

- Mnie może pan powiedzieć, może być pan ze mną całkiem szczery. Choć ja wiem, to trudno... Bo o raku to zawsze trudno... Ale ja dużo zniosę. Dużo już zniosłam i jeszcze mogę.

- Tak, rozumiem, to czerniak. Nie musi mi pan tłumaczyć, co to jest czerniak. Mąż kuzynki miał, parę lat się leczył, ale...

- Nie, no oczywiście, że nie patrzę czarno, przecież wiem, optymistycznie trzeba... Wiara czyni cuda, jak będę chciała wyzdrowieć, to sama zwalczę raka, prawda...?

- Ja wiem, że gadam bzdury... Przepraszam... To... ile mi zostało? Czy... Ach, jeszcze pan nie wie. Szkoda. Mogłabym...

- Nie wiem, co bym mogła... A... kiedy pan będzie wiedział? No tak, po badaniach... Ale będzie też widać, jak się zaczną przerzuty, prawda?

- Przepraszam, to miał być żart, ale mi nie wyszedł. Rzadko mi coś wychodzi, ten rak będzie prekursorem, on mi wyjdzie...

- Ja wiem, że gadam głupoty, ale... Panie doktorze, co ze mną teraz będzie? CO ZE MNĄ TERAZ BĘDZIE???

2.

- Rozumiem, przede mną szpital. Będziecie mnie ciąć, szyć, wycinać, zszywać... Otworzyście moje ciało... Może wypełźnie z niego dusza... Jak nie będziecie uważać... gotowa uciec...

- Ciekawe, jak ona wygląda... moja dusza... Ja ją sobie wyobrażam jako pomarszczone, robaczywe jabłko... wszyscy je odrzucają ze wstrętem...

- Przepraszam, wiem, że gadam głupoty, ale nic na to nie poradzę. Pewnie, że się boję. Bólu. Nie chcę cierpieć... Wie pan, jak byłam chora i lekarz mnie pytał, czy mogę brać penicylinę, nigdy się nie przyznałam, że mogę... Unikałam bólu. Tego fizycznego. Bo ból psychiczny... Oooo, w tym byłam zawsze dobra, sama go sobie na zawołanie załatwiałam....

- Panie doktorze, ile dni będę w szpitalu...? Nie wie pan? No tak, nigdy nie wiadomo, co może się zdarzyć... Mogę mieć gorączkę, albo rany nie będą się goić... albo zaczną się przerzuty...

- Nie chcę pytać, dlaczego to mnie spotyka... takie pytania nie mają sensu... Nic nie wyjaśniają, tylko rozdrażniają... a pan i tak nie zna odpowiedzi... Ale i tak spytam: dlaczego to mnie spotkało? DLACZEGO TO SPOTYKA MNIE???

3.

- To już jutro? No i dobrze, mam dość czekania... Tak, anestezjolog był, zrobił ze mną wywiad. No, ale niech pan sam pomyśli, doktorze... 26 lat paliłam i to dużo, prawie dwie paczki dziennie... Byłam pewna, że umrę na raka płuc... A tu taki pech... Czerniak... Ironia losu... Nie spodziewałam się...

- Nie jestem nudna? Jest pan pewien? Bo ja ciągle tylko o tym samym z uporem maniaka... Jakby nie było ciekawszych tematów...

- Ale wie pan, ja miałam jeszcze tyle planów. Książkę chciałam wydać, wie pan, opowiadania, wiersze...

- Bo ja zawsze pisałam, odkąd pamiętam, do szuflady... Jak chodziłam do podstawówki, to pisałam tragiczne opowiadania o miłości. Moje bohaterki miały zawsze wrednych starych i były nieszczęśliwie zakochane... Takie monotematyczne to było... ale żałuję, że powyrzucałam je, miałabym dziś ubaw...

- Bo pamiętnik to mam, zaczęłam go pisać w ósmej klasie. Jaka ja głupia byłam! Okropna! Ale niewiele się zmieniłam, nadal myślę tylko o jednym: żeby ktoś mnie pokochał... Później też pisałam. Jak mój były mąż zapił, to zatapiałam się w marzeniach i pisałam. Ale jakoś tak nigdy nic nie kończyłam... brakowało mi natchnienia czy czegoś tam... sama nie wiem, czego...

- Nie, no raz udało mi się złożyć wszystko w całość. Napisałam całe opowiadanie. Nawet je dałam do zrecenzowania. Oooo, to było straszne. Pierwszy recenzent trzymał „Zuzankę” z dwa miesiące, a później niemiłosiernie skopał ją i mnie. Myślałam, że się z tego nie otrząsnę, a jednak...

- Wola walki, pan rozumie, doktorze. I wysłałam do jeszcze jednego recenzenta. Też skopał, ale zrobił to w bardzo sympatyczny sposób. Dał mi nadzieję, że może kiedyś coś się we mnie obudzi...

- Później już znowu nic w całości, tylko wiersze.... Opowiadania zaczynałam i nie kończyłam. To jakieś dziwne, bo jak wymyślam w głowie historie, to one mają jakiś sens i porządek, są naturalne. Jak chcę przelać na papier, zaczyna się chaos, anarchia i sztuczność.

- Ja wiem, to pracy nad sobą trzeba... I talentu... Ale ja już nie mam czasu, prawda? Bo talentu, takiego prawdziwego, na miarę moich mistrzów, nigdy nie miałam... Kiedyś wysłałam SMS-a do programu „Spełniamy marzenia”. Moim marzeniem było spotkanie z panią Kasią Grocholą. Chciałam, żeby zrecenzowała moje opowiadania. Nie udało się. Nie wybrali mnie. Może to i dobrze. Wszystko, co piszę, to takie depresyjne jest... A przecież w życiu tak naprawdę najczęściej byłam wesoła. Owszem, miewałam stany depresyjne, ale tak w ogóle to starałam się być optymistką. A moja pisanina taka ponura... Jak moje życie uczuciowe... Teraz i tak to wszystko nie ma sensu... I tak już za późno. JUŻ NIE ZDAŻĘ!!!

4.

- Jak się czuję? Dobrze... No, może nie tak całkiem... Ale nie chcę narzekać... Jeszcze żyję... Jeszcze jestem... Myślałam, że już się nie obudzę... że pod nożem... przy moim pechu...

- No nie, oczywiście że panu tego nie życzyłam... Ja wiem, co by było, prokurator, sąd, obrońca... i moja mama... O, ją miałby pan przeciw sobie, a to jeszcze może być niebezpieczny przeciwnik...

- No dobrze, w głowie mi szumi i jestem cała obolała... Dobrze, że już nie palę, bo przeżywałabym strasznie, że nie mogę iść palić...

- Ale jeszcze żyję... To dobrze, mam tyle planów... Moje dzieci... jestem im potrzebna... tak, na pewno jestem... Może pan myśleć, że tak nie jest, oni przecież są już prawie dorośli. Bliźniaki, mają 16 lat. Świetnie sobie radzą na wyjazdach, ale w domu...

- Źle ich wychowałam, rozpieszczałam, nie kazałam nic robić, no to i nie potrafią. To moja najgorsza wpadka pedagogiczna.

- Dlaczego nie kazałam nic robić? A to dobre. Przy tylu godzinach w szkole, najczęściej byłam w domu pierwsza, oni więcej czasu spędzali na lekcjach niż ja.... ja za to więcej pracowałam w domu, oni najczęściej w ogóle... To co, miałam czekać ze sprzątaniami, zakupami czy obiadem aż wrócić...? No, a poza tym to biedne dzieci były... Ojciec alkoholik... Lepiej niech się w swoim pokoju zadekują, niech nie wchodzi mu w drogę...

- Co pan, doktorze, nie pozwoliłabym ich dotknąć! Bezstresowo? Ja? Nie, to nie tak. Ja ich nie wychowywałam bezstresowo, gdzie tam, do pewnego momentu rygor był w domu naprawdę duży... Chłopcy musieli słuchać... Ale nigdy nie pozwoliłabym pijanemu... żeby choć najmniejszym palcem... zabiłabym...

- No i tak to wyglądało, że chroniłam przed pijanym, a później, po rozwodzie, chciałam dać wszystko... Żeby nie odczuli, jak bardzo zostali skrzywdzeni przez los... Ja wiem, że tak się nie da... Teraz to wiem... Ta krzywda... Kto wie, czy ja nie zrobiłam większej, pozwalając na wszystko i dając wszystko, ponad miarę moich możliwości... nie wymagając nic w zamian...

- Nie, nie denerwuję się, po prostu mam poczucie winy... Chociaż nie tak całkiem... Bo te moje dzieci są kalekie w domu, ale za to społecznie się udzielają... Organizują imprezy, wyjazdy... Radzą sobie... Są podobni do mnie... Tak, teraz to stwierdzam z całą ostrością.... Jak mogę od nich wymagać robienia czegoś w domu, o ile sama tego nie robię... Nie nauczyłam ich dbałości o dom, bo sama o niego nie dbałam, ale za to jako społecznicy radzimy sobie wszyscy świetnie...

- Tak, tak, już się uspokajam... Nie, to nie gorączka. Co? A jednak? Przepraszam, doktorze, ale mimo wszystko martwię się, jak te moje dzieci poradzą sobie beze mnie... JESTEM IM PRZECIEŻ POTRZEBNA...

5.

- O, dzień dobry, doktorze! I co pan mi dziś powie? Ile to dzionków jeszcze do wyjścia? Co? Że ja tak optymistycznie? Już mówiłam, nie chcę narzekać... Ostatnio moja mama tak narzekała, tu ją bolało, tam ją bolało...

Tylko zapalenia jąder nie miała... to uciekałam od niej, nie chciałam z nią rozmawiać, nawet pięciu minut nie wytrzymałam w jej towarzystwie... Pan też ode mnie ucieknie, jak będę tak nudzić...

- Nie, tak generalnie to nie czuję się dobrze... Boli mnie kręgosłup od leżenia, chciałabym wstać i wyjść na dwór... Tam pewnie jest prześlicznie...

- No tak, mam kwiatki, przynoszą mi fragmenty swoich ogródków, ale to nie to samo...

- Dokąd bym pojechała? Nad jezioro. Bardzo lubię jeziora... położyłabym się wieczorem na brzegu i patrzyłabym na zachodzące słońce... Ptaki, szum drzew, powiew od wody... nie, nie chcę o tym myśleć, to zbyt trudne...

- Przecież wiem, że już tam nie pojadę... nie położę się na gołej ziemi, nie poczuję tej cudownej więzi...

- Ja nie płaczę, doktorze... nie, tylko... tak... samo się... Boże, ja nie chcę... to okrutne...! Dlaczego? Dlaczego ja???

6.

- Przepraszam za wczoraj, doktorze... nie wiem, co mnie opętało... Ja wiem, że pan robi wszystko... i inni lekarze, i panie pielęgniarki też... Bo ja tu naprawdę dobrze się czuję... Gdybym tylko wiedziała, że... wrócę do domu... niedługo...

- To już się nie powtórzy, będę spokojna. Wiem, że sama sobie szkodzę... ale już się nie będę denerwować, obiecuję... Proszę zostać przy mnie chwilę...

- Nie czuję się dobrze po tych naświetlaniach... Mam prawo? No to dobrze. Mówi pan, że to minie? A kiedy? Na tamtym świecie? Oj, przepraszam, zapomniałam się... Ale to był żart.

- No ja wiem, że głupi... Ale nie zdenerwowałam się, tylko zażartowałam, a żartować mogę... Też nie?? Ale pan doktor wymyśla... No dobrze, to o czymś innym, bo zaraz pan się zdenerwuje i panu trzeba będzie ten respirator...

- Dobrze, dobrze, już dość, już nic nie mówię... Niech się pan nie wścieka... Ale wie pan, trochę mi żal... Jeszcze tyle chciałam osiągnąć... Całe życie czekałam na drugą połowę... Byłam pewna, że prędzej czy później znajdzie się...

- Oczywiście, wołałabym, żeby prędzej... nie wzięłam pod uwagę, że w ogóle...

- Mój mąż? O, to nic ciekawego... Był, minął, jeszcze chwilami boli... A dlaczego może boleć, jak pan myśli? Z odrzucenia. Przeżył pan kiedyś odrzucenie? Jedno? Potem drugie? Potem trzecie?

- To jest trudne do zniesienia, gdy człowieka dotyka ciągła negacja... nie byłam kobietą, choć urodziłam dzieci i pełniłam funkcje życiowe kobiety... nie byłam kobietą dla mężczyzny...

- Nie rozumie pan? No dobrze, to inaczej. Czy ja się panu podobam?... No, sam pan widzi, odpowiedź nie jest prosta... Tak, tak, ja wiem, szpital, choroba, to zmienia... Rozumiem, ale nie w mojej sytuacji... Ja zawsze tak samo, zdrowa czy chora, nie zmienia faktu, że brzydka...

- Nie, nie musi pan zaprzeczać. To znaczy, ja wiem, że to nie brzydota, ja nie byłam brzydka, tylko brak mi było uroku... Urok to podstawa... Nie wiem, czy brak mi było tego błysku w oku, czy uśmiechu jakiegoś... nie wiem... Ale nigdy nie miałam powodzenia u mężczyzn. A jak już jakimś się spodobałam, to był to alkoholik lub... żonaty. A na żonatego to ja się zdecydować nie mogłam...

- Nie widziałam się w roli trzeciego boku trójkąta. Miałam taką próbę, gdy znalazłam internetowego przyjaciela... Pisałam SMS-a, a on akurat siedział w gronie rodzinnym i nie mógł odpisać. Wysyłałam sygnał, że możemy rozmawiać przez telefon, a on pisał SMS-a, że teraz nie może, jak wyjdzie z psem to zadzwoni... To był koszmar...

- Nie, nie zostaliśmy kochankami. Nie zdecydowałam się na takie funkcjonowanie związku. Ale chwilami żałuję...

- Dawno nie zaglądałam do mojej skrzynki mailowej... A ja mam naprawdę ciekawe kontakty... bo tak naprawdę, to ja jestem uzależniona od Internetu... To znaczy byłam... Teraz jestem uzależniona od całkiem czegoś innego... Od śmierci...

- No co pan, doktorze, przecież żartuję... To nie był żart? No to przepraszam, ale ... co prawda, to prawda... No dobra, dobra, już nic nie mówię... to znaczy, mówię, ale o czym innym...

- Bo ja tak sobie kiedyś pomyślałam, że jak nie mogę sobie znaleźć nikogo do kochania w świecie żywych, to może go poszukam w świecie innym, wirtualnym... No to sobie weszłam w portal randkowy, później znalazłam jeszcze dwa... i tak sobie szukałam ludzi... Co ja się z tym miałam, nie do uwierzenia...

- Kto odpowiadał? A różni... Ale pewnie wszyscy już o mnie zapomnieli... A tak w ogóle, to co miałabym napisać? ... „Cześć kochanie, to ja, Alicja. Dawno nie pisałam, bo byłam w szpitalu, ale teraz chcę Cię zawiadomić, że mam raka i pewnie za miesiąc umrę”...?

- Z różnymi miałam kontakt, oj z różnymi... Jeden przy pierwszej rozmowie telefonicznej opieprzył mnie, że jestem egoistyczną feministką, bo nie chciałam zapraszać go do siebie i gotować mu obiadu...

- Drugi był naukowcem... Fizyko-chemik... ale pracował w jakiejś prywatnej firmie... Po mailach doszedł do wniosku, że nie sięgam jego poziomu, więc urwał znajomość...

- Z kolei trzeci był tak pełen nienawiści do świata i ludzi, że bliższe kontakty nie wchodziły w grę...

- I tak ze wszystkimi... Niektórzy po trzecim czy czwartym moim mailu rezygnowali... Najpierw wygłaszali peany pod moim adresem, że tak pięknie piszę, a potem ulatniali się po angielsku... No, nawet nie dawali mi szansy...

- Nie, no niech mnie pan nie pociesza, doktorze... Ja wiem, że już nie dam rady się zakochać... Ani nikt nie zakocha się we mnie... nie mam szans... Przecież nikogo tu nie spotykam... Oprócz pana, oczywiście... Ha, ha, ale się pan przestraszył... Nie, niech się pan nie boi... nie będę pana podrywać... Ja już nikogo nie będę podrywać... Nigdy...

7.

- Już pan wie? No tak, miałam odwiedzin... Naprawdę wyglądam inaczej? Czy mi błyszczą? Może to gorączka?... Nie mam? No, może to i nie gorączka... Bo wie pan, to nie do uwierzenia, ale... Przyjechał ten mój przyjaciel netowy... Nie, nie wiedział, że jestem w szpitalu, myślał, że wyjechałam... Tak mu powiedziałam. Ale on wyczuł, że coś jest nie tak... Był służbowo w Gniewie i chciał przyjechać do mnie, bo się o mnie niepokoił... Tak, wiedział, gdzie mieszkam... Jak to skąd? Był u mnie kiedyś... Tak, jeden raz... Mieliliśmy coś sobie wyjaśnić... Zdecydować, co dalej... I ja zdecydowałam, że będziemy przyjaciółmi, niczym więcej...

- No to mu powiedziałam, gdzie jestem... I przyjechał do mnie, bo się stęsknił za mną, chciał mnie zobaczyć... A ja już też za nim tęskniłam... za naszymi mailami...

- On ma przepiękne oczy, doktorze... Ja utonęłam w nich, a teraz chcę żyć... On bierze rozwód z żoną... nie, to nie przeze mnie, chciał już wcześniej... W każdym razie ja nie chcę, żeby przeze mnie... ale chcę żyć. Dla niego! Bo on mnie chyba... chyba coś do mnie czuje... I powiedział, że wyglądam prześlicznie... chociaż to nieprawda, przecież wiem... ale chcę wierzyć w jego słowa... I chcę, żeby był przy mnie i ze mną... Panie doktorze, niech pan coś zrobi, żebym nie odeszła... Jeszcze nie chcę... Jeszcze mam tyle do zrobienia... Do zakochania... Do... Ja zaczekam...

Janusz Moździerz

OPOWIADANIA

Introspekcja

Może miał wtedy rację ? Może sam zapatrzył się w idealny obraz piękna Kobiety stworzony w swej rozwichrzonej wyobraźni, a rzeczywistość stała murem po stronie opinii Drugiego..? Któż to potrafi teraz rozstrzygnąć..?! Zresztą po co ?!

Tak to bywa durniu! Uwierzysz oczom – cudzym błękitnym oczom. Pięknym – to prawda. Bardzo ci bliskim – na odległość kawiarnianego stolika. Uwierzysz głupcze zapatrzony w ich niezbadaną głębię wszechoceanu – ty, niby dorosły, palancie..! I wówczas, kiedy sądzisz, że coś się zaczyna, następuje delikatne odepchnięcie – nie ma co! Nie jakieś tam, wara chłop-tasiu czy za wysokie progi etc...O nie! Dosłownie niewyczuwalne muśnięcie – niezwykle ostrożne, ale zatykające z wrażenia oddech. Prawie niedostrze-galny grymasik ściągniętych namysłem ust i odrzucenie fali pszenicznych włosów na plecy; tylko naprawdę niezłomna Kobieta potrafi zadać cios nie otwierając ust.

Cisza pełna nienaturalnego skupienia po zapytaniu o szansę, o jej skrawek choćby na dnie morza rzucony... i nic, ani drgnięcia powiek tylko cisza – jakby godziła prosto w serce.

Wtedy go zabolalo i zapiekło soczyćście gdzieś pod mostkiem. A strasz-na chwila ciszy wciąż trwała. Długa, jak oczekiwanie skazańca przed uru-chomieniem zapadni przez cierpiącego na sklerozę kata. Ona zabija skuteczniej niż dobrze mierzona seria z kałacha. (Kobiecie niepotrzebna żadna żołnierska broń - ta płeć dysponuje Ciszą Zabijania – zrozumiałeś cymbale ubogi ?!)

Ależ Ona wytrzymała na cudzy stres! Cudzy...?! Absolutna bzdura! Mój, jak najbardziej mój! – pomyślał wówczas, bo przecież wtedy wyznał wszystko, więcej niżby powiedział na spowiedzi, gdyby nie rozstał się dawno z wia-rą. Ale go ta sakramencka cisza dobiła. Nigdy w życiu nie zaznał czegoś bar-dziej przygnębiającego. Aż się skulił gdzieś wewnątrz, a szczęki zgrzytnęły bezwiednie.

Nie, nie w momencie rozmowy, a właściwie jego monologu, niemal bła-gania o to jedno słowo albo choćby dostrzegalny cień zrozumienia.

Tam, w pustym lokaliku nadrzecznym udało mu się – tak przynajmniej uważał – zachować twarz, może nawet ocalić resztki męskiego honoru... - bez blefowania, którego nie akceptował.

Nigdy nie starał się przechytrzyć partnera. Taki się urodził i uważał, że jest mu z tą zasadą po drodze.

Aż się nadział. Ale jak?! Kurwa mać!!! Wiedział, że mówi Jej prawdę. I czuł, że takiego wyznania nie składa się nigdy dwa razy. To powinno być trafienie jego życia! A pozostała gorycz porażki – przegrana z kreteśsem... Dlaczego?! Dlaczego musi być nadal sam...?! Za co?! Kto tym wszystkim tak kretyńsko kieruje do cholery..?!!!

Mieszał machinalnie zimną kawę i przestał cokolwiek rozumieć. Jakby w jednym momencie dobry Bóg odwrócił się od niego i pogroził palcem: koleś! – nie igraj z ogniem! Tobie nie wolno tego zaczynać...! Sięgnij głębiej do uśpionej zachwytem pamięci, koleś...!

No, przynajmniej na pocieszenie pozostał kolesiem nie byle kogo...

Pełnię klęski pojął później, kiedy odwiózł Ją na stację. Właściwie dopiero w drodze powrotnej, gdy zatrzymał wóz na leśnym parkingu, bo dobrą minutę ciągnęło go jakieś lichy ku urwisku prosto obok tego mostu w dół i ledwo opanował kierownicę i tylko zimny podmuch od rzeki ocalił samochód i zdrętwiałego kierowcę; i zapalił słabego papierosa – byle jakie siano, jakby powiedział o mentolowej machorze Drugi, gdyby przypadkiem odkrył, że starszy wrócił potajemnie do palenia – choć nie sprawiało mu to dawnej przyjemności, ale musiał czasem sięgnąć po fajkę, nawet tak słabą, bo chyba by dostał świra od codziennego myślenia o niej.

Wtedy, tam w lesie, wypalił prawie połowę nowej paczki kupionej koło dworca, gdy oczekiwali na przyjazd pociągu. Jeszcze próbowała mu coś powiedzieć, lecz szybko wypowiedane słowa porywał wiatr od strony napowietrznego tunelu, a on już wiedział, że to tylko zmyłkowy manewr na boczny tor, niby oferta pozostawiania na stopie zażyłości, kiedy on potrzebował czegoś innego. Nie potrafił się skupić na sensie głoszonego poszumem peronów monologu odjeżdżającej; już się zapadał w sobie, już tracił bezpowrotnie resztkę wiary w możliwość zmiany, na którą jeszcze liczył przed spotkaniem w przydrożnym zajeździe.

Zgodnie ze swoim zwyczajem od razu – zanim kelner podał im mikroskopijne filiżanki kawy – dał do zrozumienia, co czuje. Powiedział wszystko. I zaznaczył: żadnej wybranej litości czy niby zrozumienia – niech to będzie szczerą rozmową, trudną ale szczerą...

I dostał odpowiedź! Ależ mu dopiekła tą drgającą Ciszą w pustym lokalu... Boże! Tego się nie da wypowiedzieć... Taki ból można tylko wykrzyczeć, albo skrywać milczeniem...

- Czas to jest taki interes - twierdził przy dużej wódce Drugi - który kręci się tylko w jedną stronę i powinienes o tym pamiętać, szczególnie w kontaktach z kobietami... Ale on też czasami leczy – dodawał po drugiej setce.

Pierwszy zapomniał o przestrodze młodszego.

A dramat tkwił w tym, że Ona miała rację, i obydwójce musieli wiedzieć, że jego pragnienie jest nadzieją głupca... Nieprawda!!! On nie chciał wiedzieć! Wcale! Liczył w głębi duszy na cud!

STOP FACET! Popeliłeś błąd niewybaczalny; kiedy ujrzałeś Ją po powrocie, powinieneś zachować pełne Milczenie. Nie wolno było wystawiać Jej na niegodziwą próbę wymuszanej odpowiedzi, która przecież mogła być tylko jedna. Więc obwiniaj siebie wyłącznie, boś postąpił niehonorowo i złożył wyznanie godzące w Jej spokój – jakbyś wmaszerował w zabłoconych gumiakach cepie jeden na wernisaż sztuki...! Jesteś gorszym cepem niż się wydaje na pozór...! Coś bliżej kanalii, jeśli jeszcze pamiętasz treść tego słowa...

Zachowałeś się paskudnie, chciałeś wyłudzić niemal podstępnie przeznaczone dla kogo innego uczucia... Wstrętnie...

Wiem! Ale nie potrafiłem opanować odruchu serca, które tyle lat czekało w milczeniu. Czy to można zrozumieć?! Pojąć w jakiś racjonalny sposób? Czyżbym był rzeczywiście takim skurwielem czyhającym na okazję, pieprzonym egocentrykiem...?! Naprawdę...?! Nigdy nie zamierzałem nikogo krzywdzić. A już z pewnością Jej ! Tego jestem pewien... Intencje miałem czyste... I nadal mam – chociaż zostałem pokonany...

Niech mi ktoś powie: Czy można złamać lodowatą Ciszą ścinając ci krew w żyłach? No, można ?! ...

„Durak ty durak!” – powiedziałby dziad poległy w ojczyźnianym boju. Dziad brał kobity jak swoje bez pytania o przyzwolenie. I nigdy nie zaznał smaku porażki. Legenda o jego podbojach zawsze przygniatała wnuka swoją cudowną prostotą i brakiem jakiegokolwiek skruchy nieznanego protoplasty za uprawiany bezkarnie damski zamordyzm. Sama słodycz, nie ma co! W jednym Pierwszy okazał się lepszy od lwa salonowego; nie dał się zabić, wciąż jeszcze żył..., choć zaprzepaścił najpiękniejszą szansę w życiu.

Właśnie otrzymał celny strzał prosto w serce – niczym wyrok skazujący – i nie mógł już apelować w swojej sprawie; bo jak pozwać przed oblicze sprawiedliwości Ciszę drugiego serca.?!

P.S. Czy potrafię postąpić jak człowiek honoru...?! Czy naprawdę potrafię to zrobić...?! Dziad by z pewnością doradził właściwie, lecz wszedł już w strefę Stałego Milczenia...

Ci dwaj

Szli blisko siebie skrajem szarej plaży. Właściwie – ramię w ramię. Słońce było za nimi. Przymglone wysokimi nitkowatymi obłokami. Nie próżnowali w uciążliwej drodze. Szli i niespiesznie kłócili się o Marię bez złości w schrypniętych głosach. Jak wczoraj, jak zawsze – od dnia w którym pojawiła się w ich życiu.

Byli rybakami łodziowymi. Łowili z burty na Zachodniej zatoce. Cały czas, odkąd sięgali pamięcią. Przynajmniej starszy mógł tak o sobie powiedzieć bez żadnej blagi. Zresztą nie potrzebował nikogo informować o swoim

statusie; był na tyle dorosły, że wszystkie opinie miewał najczęściej w dupie. Nie tylko dotyczące jego osoby. Jedynie w kwestii Marii myślał inaczej. I nie dopuszczał innej możliwości. Od początku intrygującej znajomości.

Młodszy, trzecią część życia, dwadzieścia lat, spędził w celi odległego więzienia. Na obcym lądzie. Wtedy nie rybaczył, chociaż co wieczór wypływał w morze, zanim zapadł w nocne odrętwienie na zawszonej pryczy.

Ale teraz znowu byli razem, jak przed wywózką pomocnika, szli potracając się żylastymi barkami; wrócili dopiero z połowu, wyższy niósł w parcianym worku tego jedynego węgorza, i kłócili się bez oznak wzajemnej nienawiści po skończonej niefortownym zaciągnięciu porannej robocie na zielonkawej wodzie.

Przed cyplem przystanęli dla odpoczynku. Zamilkli. Trochę zalatywało im z ust mocnym trunkiem wypitym przed świtem dla wzmocnienia charakteru. Zapalili jednakowo pocerniałe krótkie, grube fajki. Były więzień popatrzył wzdłuż poszarpanego szczytu osypującej się nadmiernie, źle zabezpieczonej wydmy. - Pusto. Całkowita pustynia. Bezludzie – zatoczył czerwoną ręką półkole w stronę bielejącego wzniesienia.

- Normalnie – odpowiedział towarzysz, ugniatając starannie tytoń kciukiem lewej dłoni. Prawą przetarł drgające powieki. – Jaka piękna cisza – dodał po chwili mrużąc z przyzwyczajenia spłowiałe oczy, chociaż nie mógł już go zbyt mocno porazić odbłask pulsującej zatoki.

Miał mocno zaawansowaną kataraktę; widział nieostre rozmyte obrazy rozplywające się w mlecznej przesłonie powlekającej chore oczy. Nie skarżył się na los, a młodszy udawał, że wszystko jest jak dawniej. Bez zmian. Bez uchwytnych zmian. Przynajmniej dla niego. Reszta go nie obchodziła. Jedynie w kwestii Marii był nieprzekupny. I twardo obstawał przy swoim.

Stali w zatłuszczonych oliwą, wyszmelcowanych kurtkach przesiąknięci gorzkim zapachem soli, niezgrabni, na rozstawionych zbyt szeroko nogach, odciskając ciężkimi gumiakami na wilgotnym podłożu głębokie wzorzyste ślady obecności.

Siwy dobiegał siedemdziesiątki, był chudy, przerastał czerwonego o pół głowy i patrzył prosto na wodę, jakby mu wciąż jej było mało. Ten spozierający ku wzgórzom miał o dziesięć lat mniej, twarz i obie ręce odmroził jeszcze przed odbyciem całej kary i nigdy nie próbował nikomu wytłumaczyć, dlaczego zatrzymuje się tyłem do zatoki. Miał do tego prawo. Tak uważał od chwili powrotu nad zatokę. A starszy od ręki zaaprobował nowy zwyczaj przyjaciela. I nigdy nie zadał głupiego pytania o powody. Nawet o tym nie pomyślał.

Stali na skraju zatłoczonej letnikami plaży.

Ale doświadczeni rybacy nie dostrzegali tłumu i tumultu wzniesianego przez wypoczywających. Podobnie, jak samotny żeglarz nie odmierza biegnących sekund w dobrowolnym spotkaniu z bezmiarem przestrzeni wokół.

Oni mieli swoją Marię i spierali się niespiesznie o wszystkie szczegóły kobiety, które dla mężczyzny przebywającego wystarczająco długo na ruchliwej wodzie mają znaczenie: o jej oczy, usta, piersi i biodra, o smukłość nóg, brzmienie głosu, połysk rozpuszczonych włosów i kilka jeszcze istotnych drobiazgów... O całą Marię...

Chudy mówił głośniejsze. Z wysiłkiem formułował krótkie zdania. Jego starczy głos przypominał wieczorne skrzypienie studziennego żurawia, na jaki jeszcze można się niekiedy natknąć w czasie wędrówki szlakiem pogranicza. Dostrzegał w kobiecie surową siłę utajoną w idealnych proporcjach zwartej sylwetki, zaczajoną w ostrym napięciu linii wąskich warg, wyzierającą z głębin jasnych oczu, przed którymi nie ukryje się najmniejsze fałszerstwo. Wierzył w moc energii nagromadzonej w szczupłym, sprężystym ciele.

Ten z wieloletnim wyrokiem myślał przede wszystkim o sercu kobiety. O jego pojemności i wytrwaniu... I beznadziejności oczekiwania na odruch... Mniej obchodził go zwodniczy urok czy choćby uległość kruche go ciała. Patrzył w jego głębię – przynajmniej takie miał wrażenie... Ale nie był dobrym praktykiem – lata za kratami nie sprzyjały rozwojowi pięknego uczucia. One raczej wyzwalały podejrzliwość i nienawiść... i brak akceptacji zdrady. Nawet w myślach choćby...Więc starszy nie pojmował dziwnego zauroczenia młodszego, choć w skrytości ducha - nigdy nie wypowiadając na niebezpieczny temat choćby słowa – trochę go i podziwiał, ale też obawiał nawrotu nieuleczalnej głupoty, za jaką uważał uczucie, któremu uległ towarzysz... Więc nie potrafili w kwestii idealnego obrazu Marii dojść do porozumienia.

Słońce stawało się dokuczliwe. Letnicy wiwatowali; mężczyźni prężąc lśniąco olejkami muskuły, przed nie swoimi kobietami, te zaś w odwecie wypinając co trzeba, przed innymi.

Kiepskie popisy nigdy nie imponowały doświadczonym łowcom. I dwaj starzy mężczyźni ruszyli w dalszą drogę drążąc w gwałtownie schnącym, osypującym się piasku, coraz głębsze ślady. Przy kolejnym wyłomie wydmy rozpoczęli mozolną wspinaczkę. Z wysiłkiem, w milczeniu pokonali wzniesienie; mieli teraz przed sobą zieloną poszarpaną ścianę sosnowego - mocno steranego wichrami, jak oni sami - starodrzewu...

Jak zwykle weszli do baru bocznym wejściem. Tak wcześniej nikt tu zazwyczaj w sezonie nie zaglądał. Krzątająca się za ladą kobieta odrzuciła łagodnym ruchem w tył kosmyk siwych włosów; bez pośpiechu postawiła przed sobą trzy kieliszki. Niespiesznie nalała z nowej butelki – jak podczas każdej wizyty rybaków - Uniosła dłoń:

- Chłopcy, za tych co na morzu! - tylko nie mówcie mi znowu, że wciąż jeszcze mnie...

A obaj zadyszani rybacy, zgodnie, niczym na wydaną przez szypra komendę, odpowiedzieli, zaglądając dyskretnie na dno pustych kieliszków: - Masz Mario rację! - zawsze i... na zawsze..! i... od zawsze ! Ten młodszy dodał jeszcze po cichu: „I za tych, co na pryczy samotnie nocują”. Lecz Maria nie usłyszała szeptu rozlewając następną kolejkę; morze właśnie rozpocząło nucić kolejną balladę o niespełnionej miłości...

Trzy spracowane dłonie sięgnęły, gdzie należało...

Gdzieś zza wydmy przetoczył się pierwszy grzmot. Chłopcy zza baru wzruszyli ramionami; nie ponaglali Marii. Nigdy nie byli zwolennikami szybkiego picia bez powodu. I paru innych ważnych w życiu mężczyzny rzeczy...

Dorota Maluchnik

WSPOMNIENIE

Na polu u Lempkowej rosły śliwki. U schyłku lata zakradaliśmy się tam często, pełni strachu, że stary Lempke zobaczy nas, a także w obawie przed psem, który ujadł wściekle od rana do wieczora, a bywało i tak, że zrywał się z łańcucha i szalał po najbliższej okolicy, strasząc ludzi i nas - dzieciarnię z naprzeciwnika. Starą Lempkową można było ujrzeć dosyć często, czy to w ogrodzie, czy w drodze do pobliskiego sklepu spożywczego. Czasami dostawaliśmy od niej śliwki lub zsiadłe mleko, co braliśmy chętnie, bo nikomu w tych czasach się nie przelewało. „Lempka”, jak mówiło się o nim, baliśmy się raczej, bo był to dziwak i odludek, niezbyt przychylnie nastawiony do świata i często wzbudzający lęk, zwłaszcza gdy pojawiał się pijany w trakcie zabaw, grożąc wściekle, że poszczuje nas psem. Przeważnie zdarzało się to wtedy, gdy – chcąc skrócić sobie drogę znad jeziora - wstąpiliśmy nieopatrznie na jego pole.

Chałupa Antka przylegała do cmentarza, podobnie jak pole Lempkowej, ale od lewej strony, odgródzona płotem, za którym rosła leszczyna. Często jesienią chodziliśmy tam „na orzechy”, uważane przez nas za państwowe, czyli niczyje. Antek, mężczyzna wówczas w sile wieku, uważał jednak inaczej, toteż zdarzało się często, że spadał on nieoczekiwanie z gałęzi, a my uciekając darliśmy się:

Antek bosy klepał kosy
za stodołą z dupą gołą

Raz nawet zakradliśmy się tam po winogrona, chcąc pokazać, że za nic mamy jego pogróżki, ale finał tej wyprawy był raczej żałosny. W każdym razie do orzechów mieliśmy słuszne prawo i chodziliśmy tam nadal, starając się jednak nie spotkać z Antkiem.

W ciepłe wiosenne i letnie wieczory do późnych godzin bawiliśmy się na ulicy, grając w nogę lub w zbijaka, a także buszowaliśmy po ogrodach, bawiąc się w chowanego lub podchody. Śpiewaliśmy modną wówczas piosenkę:

Wietnam, Wietnam pali się
kukurydza praży się
Wietnamczycy skurczybycy
w chowanego bawią się

Pewnego letniego dnia, gdy nasze matki jak zawsze robiły pranie, schylając plecy nad miednicami z wodą, wydarzyło się coś nadzwyczajnego. Na doskonale błękitnym, cudownie czystym niebie pojawił się samolot i po chwili całe podwórko było zaśmieczone małymi kartkami, na których napisane było coś tłustym drukiem (treści już za bardzo nie pamiętam). To było chyba wtedy, kiedy wszyscy narzekali, że znowu podrożeje chleb, mąka, cukier i przeklinali Gomułkę.

Niedługo potem, zimą to już było, przeziębiam się i zachorowałam - ku swej wielkiej radości, bo nie lubiłam wówczas chodzić do szkoły, na zapalenie płuc. Cieszyłam się z tego, ponieważ na dwa tygodnie albo na miesiąc miałam pójść do szpitala. Któregoś wieczora po dobranocce, gdy zbliżała się już pora zastrzyków, salowe na korytarzu zaczęły opowiadać o czymś z wielkim przejęciem.

Nie rozumiałam zbyt dobrze tego, o czym mówiły. Podśluchałam strzępy rozmów, z których wynikało, że w Gdańsku po ulicach jeżdżą czołgi, w sklepach są powybijane szyby, a ludzie kradną co się da - mięso, czekolady, nawet materiały na ubranie, których pełno leży na chodnikach. Bardzo mnie to wszystko zdziwiło, ale gdy zapytałam kogoś z dorosłych, czy to prawda, usłyszałam odpowiedź przeczącą. Nie bardzo zatem wiedziałam dlaczego, podczas gdy ja leżę sobie w szpitalu, dostaję witaminy i oglądam „Misia Uszatka”, w Gdańsku, czyli „w województwie”, jak się mówiło, strzelają, bo podobno wybuchła jakaś bomba. I to nie taka z Jankiem, Marusią, Szarikiem i kapitanem Klossem, którzy nie bali się Szkopów i dzielnie wychodzili z każdej opresji, ale inna wojna - z komunistami. Gdy wyszłam ze szpitala, więcej już o tym nie usłyszałam, za to w telewizji bez przerwy przemawiał towarzysz Gierek, no i - chociaż miało się wszystko zmienić na lepsze - ludzie dookoła byli jacyś smutni, przygaszeni tamtej wiosny.

Nadeszło lato, kolejne lato mojego dzieciństwa. Znowu zaczęły się nieokiełznane podwórkowe zabawy i nie zaprzętałam już sobie głowy tym, co usłyszałam w szpitalu.

Pomiędzy polem Lempków a domem Antka był cmentarz - dla nas, dzieci będący miejscem zabaw po zmroku. Ileż to razy zakradaliśmy się tam, by w tajemnicy przed rodzicami, to znaczy głównie matkami, bo nasi ojcowie w owych czasach popijali sobie często, wypalać papierosy skręcone z łodyg jakiegoś dziko rosnącego krzewu. Ileż to wspaniałych kryjówek było w dziko rosnących krzakach w najbardziej oddalonych i zarośniętych - tam, gdzie leżeli krewni tych, co wyjechali na stałe do Niemiec - zakątkach cmentarza.

W porze Zaduszek, oprócz zabawy polegającej na laniu gorącego wosku na dłoń tak długo, aż powstała taka woskowa rękawica i przenoszeniu świeczek na opuszczone, samotne groby z „bogatych” pomników, bawiliśmy się również w podchody. A późnym wieczorem, gdy luna na niebie od palących się świec osiągnęła swe apogeum, zbieraliśmy się wszyscy - cała dzieciarnia z ulicy- by palić świeczki, śmieci i stare wieńce.

Zdarzyło się kiedyś, że stara Lempkowa, której pole sąsiadowało z cmentarzem od prawej strony, wypuściła swojego wściekle warczącego na nas psa, a sama złorzecząc- po niemiecku i częściowo łamana polszczyzną- goniła nas po ulicy. Wszyscy panicznie baliśmy się tego jej psa, któremu wiecznie ciekła piana z pyska.

Wiosną ryzykowaliśmy niemal życiem chcąc narwać pięknego podwójnego bzu, gęsto okalającego dom Lempków, zwłaszcza od strony stodoły. Zimą zjeżdżaliśmy na sankach prosto pod ścianę chałupy Lempków. Często do późnych godzin wieczornych bawiliśmy się na górkach pomiędzy przychodnią a wieżą ciśnień, na tyłach której znajdował się stary zdewastowany cmentarz.

Cmentarz ten, rzekomo poniemiecki, obecnie jest zrównany z ziemią, tak jak ten pożydowski w parku, gdzie przed wielu laty odczytywaliśmy z ciekawością dziwne napisy na połamanych płytach z marmuru. Bywało i tak, że w czasie tych zabaw stary Lempke, zwabiony hałasem okolicznej dzieciarni pojawiał się, ochryple wrzeszcząc, a gdy to nie skutkowało, spuszczał psa z łańcucha. I wówczas jedynie wysoki płot, okalający teren wieży ciśnień, stanowił w miarę bezpieczne schronienie. Nie raz, nie dwa zdarzyło się, że ktoś został poszarpany lub pogryziony przez tego psa, dlatego też potwornie baliśmy się chodzić sami w pobliżu chałupy Lempków, a jednak jakaś czarcia siła kusiła nas, by na przekór lekowi zaglądać tam wieczorami.

Zaniedbane domostwo Lempków chociaż napawało nas obawą, pobudzało zdominowaną przez ciekawość wyobraźnię. Prześcigaliśmy się więc w pomysłach, by podejrzeć jakiś szczegół z życia starych Niemców.

A tak poza tym? Wokół działa się różnie, wszak były to kwitnące lata siedemdziesiąte, o których nam dzieciom prawdę opowiedziano znacznie później.

Z tych dni pamiętam piosenkę:

Piękne są górskie szczyty

i miły szum strumienia

i piękny trud człowieka

gdy życie w lepsze zmienia.

Maj się do nas uśmiecha

słońce sieje złoty blask.

Wietrze majowy nasze pozdrowienia zanieś do wsi i miast.

Wracając do domostwa Lempków: ja i moje koleżanki z klasy bardzo chcieliśmy tam zajrzeć i wkrótce nadarzyła się po temu sposobność. Na godzinie wychowawczej w szkole pani kazała nam zdobywać punkty, od których zależeć miała ocena ze sprawowania. Oprócz zbierania złomu, przynoszenia makulatury i butelek, ważną sprawą były odwiedziny u staruszek - pomaganie starszym kobietom w zakupach oraz sprzątaniu, za co można było dostać sporo punktów.

Zgłosiłam się wówczas wraz z trzema koleżankami z klasy na ochotnika. Pierwsza próba niesienia pomocy zakończyła się niepomyślnie - staruszka mieszkająca w okolicy ruin zamku krzyżackiego zwymyślała nas i kazała nam się wynosić. Cóż było robić???

Pomyślałyśmy wówczas o pani Lempke, nazywanej przez wszystkich starą Lempkową.

Mówiono, że Lempkowie mają dzieci w Niemczech. Czasami pod ich domem można było dostrzec obcą rejestrację samochodu. Były to czasy, gdy mnóstwo ludzi emigrowało na stałe do Niemiec - prawie połowa miasteczka miała tam jakąś rodzinę.

W każdym razie wówczas, gdy szliśmy do Lempkowej ze szlachetnym zamiarem zarobienia sporej ilości punktów, bałyśmy się trochę, ale - o dziwo - Lempkowa przyjęła nas bardzo gościnnie.

Gdy już pomogłyśmy jej posprzątać dużą kuchnię, poczęstowała nas jakimś kisleem albo budyniem, nie polskim, tylko „z paczki”. wszyscy na podwórku wiedzieli, że to co z paczki, było najlepsze. Pamiętam, jak moja babcia, na starość unieruchomiona w łóżku, snuła rzewne opowieści, których leitmotivem było zdanie: „Za Niemca to były czasy.” Nasza wizyta u Lempkowej miała miejsce w tym okresie, gdy staruszka została w chałupie sama, stary Lempke bowiem zmarł jakiś czas wcześniej. Mówiono, że Lempkowa wybiera się na stałe do Niemiec do swoich dzieci. Spekulowano, co stanie się wówczas z domem, no i z psem.

Nam, dzieciom z komunalnych, wielorodzinnych domów bardzo się ten stary, zapuszczony dom Lempków podobał - zwłaszcza bez, śliwki, no i ogród. I stało się to, co naturalnym biegiem rzeczy musiało nadejść - w niedługi czas po mężu zmarła również stara pani Lempke, a psa podobno ktoś zakłuł nożem czy zastrzelił.

Długo jeszcze kikut domostwa Lempków stanowił cel naszych dziecięcych wypraw, aż w końcu wszystko zburzono, zaorano pole i zaczęto stawiać bloki mieszkalne. W tej chwili w miejscu tym znajduje się Osiedle Parkowe - wszędzie dookoła beton i nie uwierzyłby człowiek, że tam kiedyś rósł bez, dorodne śliwy kusily, by zerwać owoc, a latem wszyscy skracali sobie drogę znad jeziora deptając po burakach cukrowych, których łodygi gęsto okalały dolny kraniec pola Lempków.

Jan P. Grabowski

Motto:

*„Zarzucisz mi zapewne,
że nasza sztuka nie rozwiązuje żadnej zagadki przyrody.
Naszym zadaniem nie jest rozwiązywanie zagadek,
ale uświadomienie ich sobie,
pochylenie głowy nad nimi,
a także przygotowanie oczu na nieustających zachwyty i zdziwienie.”*

Zbigniew Herbert „Martwa natura z wędzidłem”

Tryptyk malborski

Część pierwsza

Kilka strof na początek lata

O zielony, szumiący oceanie
jabłoni, grusz i dojrzewających wiśni.
O kołyszący się oceanie liści
wznoszonych wiatrem pod niskie,
wypełnione ciemnością i deszczem chmury.

O wróble gnieźdzące się pod dachówkami,
unoszące trzepotem cały dach
– dom niemal – w powietrzny przestwór
nad powierzchnię rozkołysanych ogrodów.

O mały, biały domku dokąd
jak statek teraz mnie zabierasz?
W jaką podróż? Na jakie oceany:
zielonych, czy już niebiańskich krajobrazów?

O dniu zielony
wabiący otwartą przestrzenią,
zapraszający do lata. Ten twój przepych
dojrzewających owoców
to już z całą pewnością zapowiedź jesieni.
Ale to jeszcze tak daleko. Daleko?
Zaledwie na odległość
kilkudziesięciu dni. A może miesięcy?
A może lat? A może tylko kilku chwil?

O życie: niepowtarzalna,
jedyna szansa mojej tutaj obecności.
O życie, jesteś jak ożywczy Blask
rozświetlany zielonym aromatem,
który wyprowadza mnie stąd... Tam:
w transcendentalny wymiar
niebiańskiego oceanu: traw, liści i drzew.

Ojcu

Tryptyk malborski
Część druga

Zrywanie papierówek

Cały w powodzi,
w zapachu, w szeleście papierówek.
Cały przez złote jabłka
zamknięty, otoczony. W chryzopraz
zatrzaśnięty. Cały w barwach zielonozłotych.

Cały w powodzi
drzew. Głowę schylasz
przed ich szumiącym majestatem.
To one są ci tu najbliższe
(one i nic, i nikt poza tym?)
w ten dzień, w tej niepowtarzalnej chwili,
tak delikatnej i tak krótkiej,
że znika, rozplywa się rozpierzcha
w tej samej sekundzie, co powstaje...

A skórę dłoni długo jeszcze
przenika zapach papierówek.
Bo tylko pamięć zatrzymuje
– a kiedyś odtworzy i powtórzy –
szelest, zapach, dotyk, barwę – jabłek.
Poprzez powietrzny przestwór słysząc
świsty i trzepot szpacy.

Ptaki chmarami obsiadają
najwyższe gałęzie drzew. Aż Tam,
gdzie dłoń po jabłko wyciągasz

– niby po małą, zielonozłotą planetę –
nie dosięga najdłuższa drabina.

To jabłko – co na gałęzi zostaje –
jest na orbicie drzewnego świata.
Albowiem dotknięte złocąc się spada
w złożone dłonie. I znika świetlistą smugą.
I w kosmos ogrodu zapada.

Matce

Tryptyk malborski
Część trzecia

Przywożę z sobą
sierpnia już wczesną jesień

Przywożę z sobą nastrój domu,
niepowtarzalny zapach ogrodu, widok
– jakże zachwycający – słoneczników,
którymi obdarowujesz mnie na drogę.
A na odjezdny wszystkim tym,
co w ogrodzie i w domu najlepszego.

Przywożę z sobą
twoją spokojną zgodę na
te kilkadziesiąt lat w jesieni życia.
Twoje nieustające pożegnanie,
choć – przecież – w bezsenne noce
jeszcze w gwiazdy spoglądasz...

Jak młody człowiek
ogarniasz wzrokiem Mleczną Drogę.
I pogodę na dni najbliższe przepowiadasz:
że za dwa dni będzie nów Księżyc,
że upały jeszcze przez pięć dni się utrzymają.
Bo – mówisz – że niebo w dzień jest takie jasne...

Przywożę z sobą zapach ogrodu.
Tam zawsze i wszędzie można dostrzec
dotknięcia i ślady dłoni twoich. Nawet
zwyčajny koper – gdy mi go na odjeźdźnym dajesz –
pachnie jak najpiękniejszy bukiet kwiatów.

Przywożę z sobą
ostatni w tym roku kosz jabłek papierówek,
które szpaki na końcach gałęzi oszczędziły.
Teraz – w mieszkaniu nad zatoką,
w dużym mieście – tak smakują
jak nigdy i nigdzie żadne owoce.
Bo Słońce i lato w nich skupiły
najdoskonalszy kształt. I smak, i zapach.

Przywożę z sobą
każdy twój gest i każde słowo.
A każdy twój gest to
jak gdyby wciąż nieustające pożegnanie...
Przywożę z sobą
nastrój lata. A w nim wyraźnie
już dostrzegalny w owocach znak:
rychłą jesień. Przywożę z sobą
powolną – twoją – zgodę na przemijanie.
I trochę nadziei, trochę życia.
I wiele, wiele blasku z domu,
zapachu z ogrodu. I ciepła od ciebie, mamo.

Jeziora sztumskie

Lubię przyjeżdżać do Sztumu,
gdzie pośród dwóch jezior rzucone miasteczko.
Dwie w nim ulice, kościoły dwa i mały rynek,
skąd wszędzie blisko. Nawet do... nieba,
które – zdaje się – tak Tam jest nisko,
że pełno go przede wszystkim w jeziorach.

Myślami często Tam ptakiem lecę i
widzę tę nadjeziorną ciszę. W zatoczkach
– na brzegu – stojących wędkarzy,
którzy czyżby ryby łowili? A może
wody świetlistość? Srebrzące się blaski?
A może ciszę? A może tę i
tylko Tam istniejącą przestrzeń,
która niezmiennie trwa już od lat?

Tymi sztumskimi jeziorami
zachwycam się, zawsze czuję
– nawet z wielkiego oddalenia –
ich zapach wody o świtanu.

I widok łagodnych pagórków mam w pamięci.
I trzcin nadjeziorny szelest słyszę.
I nie przepłoszone, wodne ptaki.
Ich obecność tamten spokój uwzniośla i
wyprowadza w przestwór. Ponad miasteczko.
I dalej. Dalej. Aż do granicy... Niepojętego?

Małgorzata Anna Jędrzejewska

Fascynacja

Że to tak można –
zapisać
Że to tak można –
przeczytać
Że to tak można –
uwierzyć

Układam słowa w tekst
słowa wiążą się
rozwijają
brzmia
mówią co myślę

Radość pisania jest piękniejsza
niż radość wychowywania

Jeśli słowo krzyczy
z niemocy
mogę je skreślić

I nikogo przy tym nie skrzywdzę.

Jedna chwila

Telefon.
Krótkie „tak”.
Dreszcz oczekiwania.

Kroki przed domem.
Szczekanie psa.
Stukanie do drzwi.

A potem już tylko radość
że jesteś przy mnie, całujesz mnie.
Rosnę w twoich ramionach
mam na imię szczęście.

Oplatasz mnie pajęczyną ruchów
one zmieniają rytm mojego życia
na dziś i na jutro.

Pojutrze znów zacznę czekać na ciebie.
Umierając z rozpacz i samotności.
Rodząc się z nadziei na twój dotyk.

Moje miasto

Mieszkam tu od urodzenia
to długo
widzę wady i braki
jak się widzi
zmarszczki i fałdki tłuszczu
na ciele ukochanej osoby
Myślę
trzeba uciekać
bo trzeba
bo
ludzie już nie ci sami
a miejsca wciąż te same
W szarej codzienności
zabrakło wspomnień
rutyna odarła z magii
wszystkie zakątki:
tu był pierwszy pocałunek
tu pierwszy papieros
tu pierwszy fikołek
Patyna spowszedniała -
jest tylko
kurzem.
Myślę
trzeba uciekać
bo trzeba
bo...
Nie, to nieprawda
nie trzeba uciekać
jak nie ucieka się
od starej ukochanej osoby
Magię ma się w sobie

trzeba tylko spojrzeć
inaczej
pod innym kątem
z żabiej perspektywy
Miasto
wygląda wtedy inaczej:
jest duże i moje
moje własne
jest we mnie jak ja w nim
oddychamy jednym rytmem
i tylko to się liczy.

Na i nie na niby

Monotonnie
jedenstajnie
ot, tak sobie
kołyszą się witki wierzbowe
na wietrze
od niechcenia - niby
dla siebie - niby
bo chcą - niby.

Jak człowiek który
jak chce to może - niby
może wszystko - niby
jest wolny - niby.

Gałązki wierzbowe
gubią łzy - nie na niby
tracą soki - nie na niby -
Umierają - nie na niby.
Straszą swoim człowieczeństwem -
nie na niby.

Oblicza

Zmierzchem jestem sinym od łez
samotnych i bezsilnych.

Świtem jestem błyszczącym radością i życiem -
kibelą wodną
kaskadą kropel
skrzących się w blasku własnego
słońca.

Pustynią jestem
suchą spękaną bezpłodną
bez marzeń.

Te oblicza to ja.
Za każdym razem
ta sama.
Za każdym razem
inna

Starość

Starzy ludzie śmierdzą.

Ta woń to odór
starej pomarszczonej skóry
goryczy nad tym co niespełnione
strachu przed tym co nieuniknione
rozpaczy za tym co utracone

znam rozpacz
strach
gorycz
mam skórę... inną niż kiedyś...

Wącham się codziennie
biegam jak pies wokół swojego ogona

Nawąchuję
wypatruję
nasłuchuję
czy już idzie
ona

Jerzy Wiśniewski

Kawał historii

W wigilię balticum mare jednoryb ciągle jeszcze jednoryb
pływał w kropce zdania jakoby
wszyscy byli, są, będą wszystkimi
wszystko jest, będzie, było wszystkim
ja ludowym podaniem byłem pieczęcią króla nokautu
czekoladą co zjadła własną ciemnotę
najbardziej udanym zdjęciem chorej wyobraźni
i zdrowego rozsądku
rosło we mnie ciasto zrzucało nadwagę anten
ze strychu panabożego mogłem odbierać weneckie kanały
protestować mogłem choć mowę znały tylko trawy
konkretnej ewolucji zaznam po
szturmie na pałac zimowy
narazie opadłem na dno grinwaldy
jej przezielone ciało tańcząc i różańcząc
wbiło dwa nagie paznokcie w patriotyzm wokalny
ledwom zdołał odśpiewać kawałek we are the champion
a już zatatarzyło zablaszyło rozlazło po szmacie ziemi
kilka przystanków later taki niegolony niedomyty tramwaj
robił problem z trzeźwienia
po imprezce mój mechanizm omiodziła
ljubow/orłowa chyba jej było/
ze stakankiem tulipanówki
droczyła się kto nałapie widzów puści projektor
z torbami wyskoczy po bułeczki
trafiła z tych czternastu cali obłądny
telebim miał być główną postacią
tymczasem swołocze spalili morze czerwone
komu prochy komu

the siwi black

majlajf przegrałem na taśmę produkcyjną
ludzie posłuchajcie festiwalu prześcieradeł w oknach
to wieczne pasowanie rycerza na ciurę to cudowne przemiany
antybiotyków na maści od siedmiu boleści

doznaję uczulenia gdy potrącają mnie z emerytury ale znam
a jakże znam dzielnię atlasu i czasu-przecież widzę jak
z drewnianej lodówki podjada zapasy mojego mięsa- wolno-
amerykanka na przykład demonstruje te chwile
niezapłacone zaraz skasują lecz nim zgaszą prąd pokombinuję z
przeglądarką być może małośmigane lustreczko zanuci tłustym
panom- przeżyj to sam- następnej młodości poddaj argument

XXX

Zapach świeżych miast
szelest sukna zaraz po pracy
wymyśliła nową hutę na twarzy
malowało się tuzin winnych nie pudrowała
wołała krosty
po fakcie wstąpiłem do szeregu
nadszedł kelner socjalizm i wieczór trzech tenorów
byli wstawieni do story o sierotce i jasnoludkach
na krańcu świata kobiety układały marsze do snu
choć widywaliśmy o wiele piękniejsze w miejscowym dialekcie
oznaczają miotły
pełno ich wokół portu nabierają na szerokie wody
przez dziurkę od szyfru dochodzi do siebie kozak stróż
jak finezyjnie gubił kule automatu leniwiej od pierogów
beknął komputer - rozległ się widok
starucha powiła nakręconą lalę ciocia zamieszka
w latarni morskiej świnki codziennie będzie golić
turystów strząsając popiół z kufajki
zapamiętaliśmy nawet kod fenixa i fotos
a'la zwiezdy nawiedzają plażę zaprzęzoną w duet wron
w ten sposób dostarczają alibi okrętomo
bo z czego by zaślęły
mój domek wychylił parę głębszych
w nieczynnych szybach odbija firanki w godzinach
szczytu stają otworem - jak zwykle zakorkowanym
w budzie koleżanki i koledzy - psy na koleżanki wyją
ze śmiechu zrobili normę
ja zostaję
z rękopisu sklecę latawca
i puszczę w niepamięć jak by nie była

U źródła lemoniady

czy ustalono kiedy dziewiczo zaszumił
buk ojczym bug rzeka pannasz pseudonim panna Sz.
de facto była laską szamana
codziennie prowadziła anielskie włosy do cerkiewki z gazetami
dochodził głos cosmosu trybuna cudu and LITERACI OFICYNY PIW
od piany urastał problem tunelu z dziurką już na początku
maszynista orientu zorientował się że MUSI wydmuchać
podejrzaną parę lecącą z lesbos na maxa - wielkie mi hallo
latosie romanse jednopłciowców są tak samo honorowane jak
uczucia mieszane handel meczami jak odsrebrzony glob co
w niebie znalazł haka i nie poszedł do złomowni lecz został
h a k e r e m

Pamięci Mistrza van Gogha

Muszla upadła tam gdzie tęsknota za pięknymi trzewikami
ustąpiła miejsca chodakom
pan młody las bukowy ponad ugorem wypatrzył burdel
bukiet szmat owinął wokół - poczłapał za sztalugą i pistoletem
zanim zaczął się rozkładać strzelił - uwolnił płótna od siebie
bo farby należy traktować jak szewc nie jak muzyk
nawet gdyby to była ulubiona zieleń louis XV
obalił perspektywę z Aleją cyprysów uporał się wcześniej
cebule z pigwą narobiły tyle rabanu co nic
jestem splekana ryba islandzka w transie - bielarnia irysów
liliput bawiący się olbrzymem
chciałbym theo przykuć uwagę paryż - kowalem nie będąc
zaczynj proszę malować mój pokoik ale nie pokalaj zbyt łóżka
kosztowało przecież tyle wesel
lekarz mówił że kuli nie wyciągnie z tego przepicia
zatkał dziurawą rzeczkę
śnił mi się listonosz monsieur sunflower -
niech mu torba lekką będzie... dziękuję żurnalistom z auvers
za nekrolog /... zmarł obywatel holenderski niejaki... /
jak bliski byłem bracie nijakości ale wiedz
że kultura wolności siedzi w czaszce - dopiero potem pod mostkiem
zwozonym lub jakimkolwiek innym miejscu ładacznicy
ten żółty kościół ma pod skórą bladosiarczany smak oczekiwania

Krystyna Gromek

KWIDZYŃSKA „MAŁA OJCZYZNA”



Spotkanie Klubu Kwidzyńskiej „Małej Ojczyzny” w Benowie. (fot. K. Gromek)

Stowarzyszeń i klubów w Kwidzynie jest wiele. Nawet bardzo wiele, bo ludzie w każdym wieku chcą być ze sobą, spotykać się, rozmawiać, tworzyć, wspominać. I jest klub, do którego należą osoby aktualnie nie mieszkające w Kwidzynie. Ten klub, to prawie wyłącznie osoby spoza miasta. Dlaczego wybrały spotkania w odległym od swojego miejsca zamieszkania mieście, dlaczego zadają sobie pewien trud śledzenia jego życia, zachodzących w nim zmian? Mało tego, starają się uczestniczyć w tych zmianach. Starają się tu przyjeżdżać bodaj raz w roku. Dlaczego? Sympatia do miasta, a może coś jeszcze?

Każdy jest skądś, zwykle z małego miasteczka. Idąc dalej w świat, w dorosłe życie, jak najcenniejszy skarb pielęgnuje w pamięci wspomnienie o miejscu, które ukształtowało go jako człowieka. O mieście czy wiosce, gdzie ludzie mają w sobie głód przygody, gdzie potrafią marzyć. To właśnie jest mała ojczyzna. Zbiór wspomnień, smaków, zapachów i wartości. Początki tego, co robimy później. To wspomnienie stanowi o naszej sile, z niego wynosimy wartości, także podobieństwa poglądów, tam sięgają nasze korzenie, na których opiera się całe życie.

Stworzyła się w nas świadomość, że pochodzimy wszyscy stąd - z Kwidzyna. Ten ważny element tożsamości, mówi „kim jesteśmy”. Dzieciństwo w tym mieście to czas wielkiej wolności, której dziś dzieci nie mają. Bawiło się wszędzie, nie martwiąc się o nic, i niczego się nie bojąc. Nauczyciele wprowadzali w świat dobrej literatury i uczyli ją interpretować. Po latach, im szerzej otwierało się dla nas okno na świat, tym chętniej podkreślaliśmy nasz regionalizm. Bo globalizacja powoduje, że wszystko staje się takie samo w każdym zakątku globu, a taka jednolitość wywołuje zrozumiały opór. I dlatego pojawiają się, silnie zaznaczone zachowania lokalne. Bo człowiek nie cierpi iść w szeregu i na gwizdek. Zatem będzie hołubił wspomnienie swojej małej ojczyzny.

To szczególnie ważne w świecie, w którym często zmieniamy miejsce zamieszkania. I przecież my też to miejsce zmienialiśmy i tak naprawdę Kwidzyn nie jest miejscem urodzenia prawie nikogo z nas. Ale przyjęliśmy w naszej drodze przez życie, że to właśnie tu jest nasza mała ojczyzna. Także dlatego, że mieliśmy szansę na spotkania z przyjaciółmi z lat młodości. Z przyjaciółmi. Bo jak pisał Putrament, prawdziwa przyjaźń, podobnie zresztą jak miłość, jest atrybutem młodości. Później ma się przeważnie tylko znajomych.

Jak się to zaczęło? W tej chwili, po 8 latach funkcjonowania Klubu Małej Ojczyzny Kwidzyńskiej, wersji dotyczących pierwszych kroków jest kilka. Jedna z nich przypomina, że pomysł utworzenia Klubu Małej Ojczyzny Kwidzyńskiej miał Andrzej Krzysztofiak, burmistrz miasta. Pomysł zrodził się w czasie starań o przyłączenie Kwidzyna do specjalnej strefy ekonomicznej. Zabiegi organizacyjne o realizację tego ważnego tematu, związane były

z szeregiem rozmów, ustaleń. I wtedy okazało się, że mieszkające w różnych miastach, pracujące na różnych stanowiskach osoby często przypominały sobie, że mają serdeczne wspomnienia związane z miastem, że w nim mieszkały, uczyły się. I postanawiały sprawy załatwiać sprawniej, szybciej, życzliwiej. Kwidzyn został włączony do Pomorskiej Strefy Ekonomicznej, a miasto, w osobach jego przedstawicieli, postanowiło zaprosić do Kwidzyna jego byłych mieszkańców tworząc klub sympatyków miasta.

Jest i druga wersja mówiąca o tym, że kilku absolwentów ze starszych roczników Liceum Ogólnokształcącego w Kwidzynie zgłosiło się do obecnego dyrektora Szkoły Witolda Iwickiego, z propozycją utworzenia klubu przyjaciół Liceum i jednocześnie miasta. Informacja o tych zabiegach dotarła również do burmistrza Kwidzyna.

Jakby nie było, a może i tak, i tak, znalazły się osoby, które zadeklarowały swoją miłość do miasta, a burmistrz ich chęć działań zagospodarował godząc się na powstanie Klubu. Bo uznał, że należało pokazać miasto jego byłym mieszkańcom teraz rozproszonych po Polsce, posiadających swój dorobek naukowy, życiowy. Dlaczego akurat im? Mieszkańcy Kwidzyna doskonale wiedzą, jakie miasto jest, czego mu brakuje, nad czym trzeba popracować. A ta populacja, która kiedyś Kwidzyn opuściła, tęskniąc teraz za latami swojej młodości, niezbyt często ma okazję tu przyjechać.

Klub Małej Ojczyzny Kwidzyńskiej powstał jesienią 2002 roku. Propozycja uczestniczenia w jego spotkaniach skierowana została do byłych kwidzyniaków. Najpierw należy powiedzieć kto to jest, ci „byli kwidzyniacy”. Najczęściej pokolenie tuż powojenne, także z lat wojny, nawet jeszcze wcześniejsze. Przyjechały tu ówczesne dzieci pod opieką rodziców, albo i bez nich. Dorośli szukali swego miejsca na ziemi, miejsca na budowanie swojej nowej rzeczywistości. W ładnym, prawie nie zniszczonym mieście, pięknie położonym. Więc tu zostali. Dzieci pokończyły szkoły. Edukacja skończyła się na poziomie średnim, a ponieważ to pokolenie po swoich rodzicach i po swoich dziecięcych zmaganiach z życiem, miało wielkie ambicje, wyprawiło się w Polskę po wiedzę. Pokończono studia, zajęto się codzienną pracą, robiono swoje prywatne kariery w tym naukowe, muzyczne, literackie. No, więc dobrze byłoby pokazać tym wszystkim „byłym” jak wygląda miasto, w którym spędzili młodość i podejmowali swoje ważne, życiowe wybory.

Na pierwsze, założycielskie spotkanie byłych kwidzyniaków, przybyło około 30 osób. Zaciekawionych propozycją utworzenia klubu sympatyków miasta. Podpisana deklaracja określa cel powołania Klubu Małej Ojczyzny Kwidzyńskiej.

*„Czy jest sens szukać plam na Słońcu
kiedy ono pięknie świeci i cudownie grzeje?
Czy takim Słońcem nie jest Kwidzyn miasto,
w którym wyrosliśmy?”*

*Przecież wspomnienie o nim ogrzewa serce,
a to, co ze sobą zabraliśmy wyjeżdżając oświeć nam drogę.
Czy nie warto tam wracać nie tylko myślami?
Tak - będziemy wracać, krzycząc głośno,
że jest takie miasto, z którego wyruszyliśmy w świat.
Zadbamy o to, aby tutaj pozostał po nas ślad,
bo przecież ten kto daje może wymagać,
a ten kto wyłącznie bierze może tylko dziękować.
Obiecujemy wracać do swoich korzeni,
będziemy ambasadorami Kwidzyna,
będziemy słać jego imię,
bo temu miastu jesteśmy i będziemy potrzebni."*

Deklaracja podpisana została przez członków Klubu w dniu 14 września 2002 roku. Wybrano Kapitułę klubu w składzie Krystyna Gromek, Anna Różycka (nawiasem mówiąc koleżanki z jednej ławki szkolnej ze szkoły podstawowej, liceum, szkoły muzycznej), prof. Mieczysław Jankiewicz. Postanowiono organizować coroczne spotkania.

Kwidzyński czas klubowiczów to czas ich dzieciństwa, wczesnej młodości. Myśląc o mieście, wraca się myślą do siebie samego, do swego dorostania. Nauczyciele edukowali nas starannie. W zakresie wiedzy podstawowej, prawd życiowych, zasad moralnych. Przekazywali kanony życia. I była to dobra edukacja dająca podstawy do analitycznego myślenia. Nie był to czas testów, a nauka konstrukcji wypowiedzi, umiejętności napisania bodaj wspomnień.

Takie były emocje i wspomnienia uczestników tego pierwszego spotkania. A przede wszystkim nadrzędne pytanie: co dać sobie w ramach tych klubowych spotkań, co podarować miastu, jak zrealizować postanowienia deklaracji, jak zostawić w mieście swój ślad, jak słać imię naszego miasta. Radość przypomnień znów spowodowała powrót do tamtych, odległych przecież czasów, uświadomiła, że dobrze byłoby zapisać nasze losy. Dla siebie i dla obecnych mieszkańców Kwidzyna. Wywodzących się niejako od nas. Tych, dla których miasto jest najważniejszą ojczyzną, bo pierwszą i aktualną. Po to, by czas, który minął, zaistniał w pamięci.

W roku 1945 w Kwidzynie mieszkało około 1000 osób, jeden z klubowiczów (Helmut Kurowski) wspomina, że najwyżej 350. Już w 1949 roku mieszkańców było około 9-10 tysięcy. Głównie tych, którzy przyjechali na te tereny z tzw. Kresów wschodnich. Także tych, z głębi Polski, ale i z Pomorza, zza Wisły. Znaleźli się w Kwidzynie w wyniku zawieruchy wojennej i powojennej, która spowodowała konieczność wędrówki, podejmowania decyzji życiowych. Ci ludzie, których skrzywdziła historia, stali się zaczątkiem społeczności ludzi odważnych, przebojowych, aktywnych. Rodzin przedwojennych w Kwidzynie prawie nie było. Ale ci, którzy nadal w mieście byli, też musieli

podejmować decyzje, trudne decyzje o pozostaniu w państwie dla nich nowym, w nowej sytuacji. Wymagało to odwagi. To początki nowej generacji Kwidzynian. Dzieci tych odważnych, tych pierwszych powojennych obywateli tu rozpoczynały swoją wędrówkę przez życie. Potem ruszyli, stąd właśnie, na podbój świata, na swoje w nim posadowienie. Na szczęście, na początku tej podróży wprawdzie znali kierunek, ale nie zawsze uświadamiali sobie jakie czekają ich przeszkody ani jaki czas zajmie im wędrowanie. Po prostu wyruszyli w wędrówkę jaką jest życie. I stali się takimi jakimi teraz są.

Często z tych wędrówek, ze świata, wracali do Miasta, często pozostawali gdzie indziej, ale zwracali wzrok, uczucia, służyli i służą miastu swoim dorobkiem. Dodają swoje zdobycze do majątku intelektualnego Kwidzyna. Powiedzieć można, że mieszkając tu i tam, stali się początkiem kwidzyńskich rodów. Stali się elementem historii Miasta.

Nasze miasto ma swoją historię, ale nie ma historii rodów kwidzyńskich, bo takich w Kwidzynie, z racji zawirowań czasu i polityki, nie było. Nie ostały się albo nie stworzyły. Może tworzą się teraz. Więc trzeba wiedzieć jakie były ich początki.

I już na pierwszym spotkaniu Klubowicze postanowili, że z osobistych wspomnień zapisane zostaną powojenne dzieje mieszkańców Kwidzyna. Wszyscy członkowie Klubu to dziś ludzie dojrzały. Powojenny czas Kwidzyna ostał się już tylko w ich pamięci. I tylko w ich. Młodsze pokolenia miasta tworzą historię obecną, codzienną. Klubowicze wspominając przeszłość, swoją historię, uzupełniają wiedzę o powojennych losach Kwidzyna. Najpierw były rozmowy, bo trzeba było wymyślić scenariusz wspomnień, by ułożyły się w logiczny, jak najpełniejszy ciąg wydarzeń. I to taki, który stwarzał prawdopodobieństwo, że wydawnictwo będzie czytane, że będzie i dokumentem, i serdecznym wspominaniem. Napisane, w sposób przywołujący obrazy miasta, adresy, ludzi bliskich i właściwie wszystkich, bo wszyscy się wtedy znali. Także przypominający pojęcia już zagubione, jak na przykład rysik, stalówka, patentki, muchy w kałamarzu z atramentem. Zastanawiając się co przywieziono w pociągach repatriantów, gdzie instalowane były krowy czy inne domowe zwierzęta, przywożone głównie z kresów jako część ocalałego dobytku.

Pierwsza część wspomnień wydana została w roku 2005, druga rok później w 2006. Obie pod wspólnym tytułem „Kwidzynianie - ptakom podobni”. Tytuł jest zapożyczeniem z jednego z tekstów, bo pasował do tych trudnych losów. „Ptakom podobni”, bo przylecieli, odlecieli, sercem wracają. Dwa tomy wspomnień, kilkadziesiąt wypowiedzi, by czas, który miastu i nam uciekł, zabrał tamte lata, został przywołany. Ze szczególną uwagą w obu tomach wspomnień zostały pokazane losy dzieci i młodzieży, które trafiły do pięciu domów dziecka w Kwidzynie. Dzieci, które zostały przywiezione tu z różnych stron świata, przede wszystkim z „nieludzkiej ziemi”. Przede

wszystkim z pustką w sercu po stracie najbliższych i swojego rodzinnego miejsca. Straszne losy. I pewnie o nich by się zapomniało, pewnie odeszłyby, jak to się mówi „w mrok” historii.

Teksty przynosiły różne informacje. To, co na pierwszy rzut oka wręcz zdumiewało, to to, że ci ludzie, którzy teraz opowiadali o sobie, to znajomi, koledzy, nawet przyjaciele, sprzed wielu lat. I nie znali swoich wzajemnych losów. Bo dzieci czasu wojny były nauczone, że nie opowiada się nikomu, NIKOMU, o sprawach rodziny, problemach, skąd się jest, dlaczego się tu przyjechało, dlaczego... dlaczego. Bo dzieci wiedziały, że o tym nie należy mówić, że to po prostu niebezpieczeństwo.

Zaciekawienie budziły losy każdej osoby, bo pochodząc z czasów okrutnych, czasów wojny, i często z domów ubogich, młodzi ludzie po latach, prawie „nagle” stawali się postaciami znanymi powszechnie. Wśród klubowiczów, każda osoba jest postacią ważną, bo jej losy składają się na losy miasta. Są też osoby powszechnie znane - profesorowie: Józef Bachórz, Włodzisław Duch, Mieczysław Jankiewicz, Barbara Krupa-Wojciechowska, Władysław Rozwadowski, Dominik Rutkowski, Marian Szarmach, Józef Andrzej Lisowski, Ryszard Pawłowski, Witold Carewicz - wśród nich czterech rektorów wyższych uczelni. Artyści plastycy - Jerzy Kosacz, Zdzisław Walter, artysta fotografik - Krzysztof Kamiński.

Multiinstrumentalista i kompozytor - Włodzimierz Nahorny, muzyk i piosenkarz - Edward Hulewicz, poeta - Bogdan Chorażuk. Pisarze - Eugeniusz Kabatc, Stanisław Bortnowski, Józef Bachórz. Wspaniały sportowiec medalista olimpijski - Waldemar Baszanowski. Generał - Andrzej Kaliwoszka. Charakterystyczny jest brak w tym gronie znanych polityków w których krąg wszedł tylko uznany prawnik - Jacek Taylor.

Wszystkie przeżycia, problemy, ale i radości są elementami budującymi wiedzę o Kwidzynie. Każde nazwisko autora tekstów jest ważne, najważniejsze, bo wszyscy przeszli przez życie godnie, wykorzystując swoje umiejętności, wzbogacając kulturę i naukę polską. Każdy los, każde wspomnienie okazywało się niezwykle.

Kiedy sądziłam (książki są wspomnieniami poszczególnych osób opracowane przez mnie), że temat został już w reprezentatywny sposób wykorzystany, zwróciły się do mnie osoby z najstarszej grupy wiekowej deklarując chęć przedstawiania swoich losów. Kolejny tom wspomnień wydany w 2009 roku nosi tytuł „Kwidzyn - drogi do Małej Ojczyzny”. Drogi prowadzące z bardzo daleka, z odległych miejsc, ze swojego wnętrza, do miasta, w którym udało się zamieszkać, znaleźć swoje, na jakiś czas, miejsce.

Temat inny, podjęty przez Klub Małej Ojczyzny, to pomysł, by wykorzystując dorobek naukowy, artystyczny klubowiczów podarować go niejako bodaj w części, mieszkańcom miasta. W formie wykładów, koncertów, wernisaży. Temat został zaproponowany przez profesora Mieczysława Jankiewi-

cza i jego kolegów, dawnych uczniów Liceum Kwidzyńskiego. Od początku istnienia Klubu prowadzony jest cykl wykładów z różnych dziedzin nauki. Wykłady kierowane są do młodzieży kwidzyńskiej, także do całej populacji miasta, są wygłaszane przez członków Klubu, luminarzy nauki i kultury polskiej. Są darem byłych mieszkańców miasta dla obecnych kwidzyniaków. Profesorowie przyjeżdżający do Kwidzyna, spotykający się z jego mieszkańcami, doświadczają radości obdarowywania swoją wiedzą tych, którzy chcą ich słuchać. Raz w miesiącu odbywają się wykłady o starannie dobranej tematyce. Dla młodzieży jest to niejednokrotnie pierwszy kontakt z wykładami o charakterze akademickim. Przybliża młodzieży kwidzyńskiej system wykładów uniwersyteckich, co dla absolwentów szkół średnich jest cennym wprowadzeniem na drogę do wielkiej nauki. Wykłady dla dorosłych mieszkańców Miasta mają charakter popularnonaukowy.

Klub, na stronie internetowej miasta ma swoją podstronkę, która informuje o działaniach, spotkaniach, ważnych wydarzeniach. Pomaga odnaleźć się przyjaciółom, czasem nawet podejmuje się interwencji lub wskazuje na problemy w mieście. Tematów, które interesują członków klubu jest wiele. Uważnie jednak dobierane są te, którymi można się szczególnie zainteresować czy nadać im bieg. Bo nie o to chodzi, by wymyślić przebogaty program a o to, by zrealizować wartościowe tematy. By wesprzeć miasto w realizacji zadań, które sobie stawia.

Kiedy z entuzjazmem zabierano się do tworzenia programu spotkań klubowych, do działań na rzecz miasta, wielką niewiadomą było, na jak długo starczy pomysłów i energii twórczej. Okazało się, że na długo. Początkowe podporządkowywanie się pomysłom Kapituły z czasem rozszerzyło się na pomysły własne. Takie jak np. wyprawa Darem Młodzieży po Zatoce Gdańskiej. Tę wyprawę zaproponował prof. Józef Lisowski - Rektor Akademii Morskiej w Gdyni - nie tylko członkom Klubu, ale i młodzieży szkół kwidzyńskich. To była świetna zabawa, wielka przygoda i znakomita informacja o programie morskiej uczelni. Naturalnie propozycja spotkała się z entuzjastycznym przyjęciem i w dniu 22 września 2007 roku kilkudziesięciu klubowiczów w towarzystwie burmistrza Kwidzyna Andrzeja Krzysztofiaka, około 50 uczniów szkół średnich Kwidzyna, zainteresowanych w tym lub w następnym roku studiami w Akademii Morskiej w Gdyni, reporterów regionalnej telewizji, rektora Akademii Morskiej wypłynęła w rejs. Pogoda dopisała nad podziw, humory także. Nie brakowało sytuacji zabawnych, nie brakowało rozmów. Była to wspaniała impreza integracyjna. Klub daje mądrość swoich członków w prezencie Kwidzynowi, a sobie radość kontaktów.

W zamian miasto, w osobie lokalnych władz, daje taką życzliwość, że klubowicze chętnie tu przyjeżdżają. Każdorazowy pobyt w Kwidzynie jest spotkaniem z Miastem i jego osiągnięciami, jego urodą. Burmistrz, Andrzej Krzysztofiak zadbał, by klubowicze zobaczyli największe zakłady miasta, by

zapoznali się z zabytkami w katedrze włącznie z najnowszymi odkryciami. By mieli szansę uczestniczenia w dużych imprezach, by poznali przedstawicieli władz lokalnych. Zawsze z klubowiczami spotyka się Grażyna Krzysztofia - sekretarz powiatu kwidzyńskiego. To nie jest zwykły komplement pod adresem władz, to uświadomienie, że okazywanie klubowiczom sympatii i szacunku jest największą wartością jaką mogą otrzymać. I ta struktura, w całości się sprawdza. Na „liście obecności” Klubu jest już ponad 100 osób.

I jeszcze jedno przedsięwzięcie, które wpisało się w urodę miasta, a także było znów, jak zawsze, imprezą dla klubowiczów. Na wniosek Kapituły, posadzone zostały na terenach rekreacyjnych nad Liwą czerwone buki - 50 sztuk, po jednym drzewku na parę klubowiczów. Pod pierwszym drzewkiem wkopana została butelka zawierająca tekst intencyjny podpisany przez wszystkich członków Klubu - „... uświadomiliśmy sobie, że nasze Miasto nie jest dla nas miejscem zwyczajnym. Gdziekolwiek się pojawiajemy, w którąkolwiek stronę spojrzymy zaczyna działać magia. I dlatego, postanowiliśmy w rocznicę istnienia Klubu na „wieczną pamiątkę” miłości do Miasta, posadzić drzewa. Dziś wysadzamy 50 czerwonych buków, które zaznaczą się nad Liwą, na tle lasów Miłosnej kolorową wstążeczką. Na wieczną rzecz pamiątkę. Rok 2008”. Aleja nazwana została, i jest to upamiętnione tablicą na okazałym kamieniu, Aleją Kolorowych Wspomnień. Wspomnień z przeszłości i tych, które każdego roku zapadają w nasze serca. Piękna impreza sadzenia drzew zawierała w sobie kolorowy epizod pochodzący nie tylko z racji koloru czerwonych buków. Każdy z klubowiczów wydmuchiwał kolorowe bańki mydlane, które na pewno niosły ze sobą dobre życzenia dla wszystkich, a przede wszystkim dla Kwidzyna.

Na ostatnim spotkaniu klubowym, w czerwcu 2010, wykład wygłosił prof. Ryszard Pawłowski, który mówił o strukturach DNA. Temat znakomicie opracowany przybliżył i uporządkował aktualne tematy, które zaprzątały ostatnio emocje Polaków. Zaprezentowana też została książka „Z głębokiego ładu nad morze” Henryka Spigarskiego będąca opowieścią o klubowiczu Józefie Andrzeju Lisowskim wieloletnim rektorze Akademii Morskiej w Gdyni. Dyskusje, propozycje, prezentacja zdjęć, degustacja miódów pitnych z miodosytni konfratra Witolda Cyranowicza z Izby Smaków i Trunków w Parparach. To są wartościowe i miłe kontakty.

Działalność Klubu została zauważona i nagrodzona: Klub Małej Ojczyzny Kwidzyńskiej otrzymał za swoją działalność Honorową Nagrodę Przewodniczącego Rady Powiatowej Kwidzyna za wybitne osiągnięcia na rzecz rozwoju powiatu kwidzyńskiego (2005 rok), profesor Jankiewicz został uhonorowany tytułem Człowieka Roku (rok 2005).

Ta opowieść o ośmioletniej działalności Klubu ma charakter trochę sprawozdania, trochę jest kolejnym wzruszeniem mówiącym o miłości do Kwidzyna o wieloletniej przyjaźni byłych kwidzyniaków. Czy tak będzie na-

dal, czy kolejne lata przyniosą podobne emocje i radości. Uświadamiamy sobie sami, że działalność Klubu jest czasowo ograniczona. Bo w naturalny sposób będą, niestety piszę o tym ze smutkiem, wykruszały się szeregi. Taka jest kolej rzeczy. Czy można te szeregi zasilić? Tak, ale przez osoby bliskie obecnym klubowiczom wiekiem. Roczники młodsze zwyczajnie osiadły w Kwidzynie i tu jest ich rzeczywista ojczyzna, tu pracują, uczą się, przebywają, po prostu są, żyją. Ci młodszy, którzy znów odlecieli w świat muszą znaleźć swoją drogę do Miasta sami. Niekoniecznie nasze ścieżki są dla nich atrakcyjne i zrozumiałe. Myślmy, w tym kontekście, także o cyklach wykładów. Z dumą prezentując dorobek naukowy, pasje i umiejętności, przez lata wyeksploatowaliśmy wykładowców Naszego Uniwersytetu. Naturalnie wykłady są dla coraz to nowych pokoleń, wykładowcy potrafią wprowadzić nowe tematy, ale nowych nazwisk jest coraz mniej.

Wspomniałam o tych nasuwających się problemach i refleksjach, żeby tekst nie miał charakteru przesłodzonej laurki. Żeby ewentualnie zachęcił do poszukiwania swoich dróg prowadzących do nadrzędnych wartości, by wskazywał nie tylko cele i radości ale był refleksyjnym myśleniem nad długoletnim planem każdego przedsięwzięcia. Tym bardziej, że struktura organizacyjna klubu jest tworem dość oryginalnym, ale dobrze pomyślanym. Nie ma władz formalnych będących na etacie, nie ma nawet żadnych finansów ani dotacji. Pisanie tekstów do książek, reportaże do gazet, oficjalne wystąpienia, zdjęcia, wykłady, wszystko to jest darem klubowiczów dla Miasta. Więc w nagrodę mogą dostać tylko sympatię mieszkańców i władz Kwidzyna. I to dostają.

W Polsce jest wiele miast i miasteczek, wiele miejscowości znaczących, może sprawdzona formuła klubowa kierująca się życzliwością dla Miasta i ludzi jest formułą do przyjęcia i powtórzenia? Choćby na rok, choćby na dwa, a może i na więcej lat? Bo tak to już jest. Jeśli otworzysz dla kogoś, dla czegoś, serce to „coś” tam już pozostanie.

To „coś” to dla nas, nasze miasto Kwidzyn.

Kordian Kuczma

PATRONI NASZYCH ULIC

CZ. 2

Jan Bażyński

Zanim przystąpię do prezentacji bohatera drugiego odcinka cyklu „Patroni naszych ulic” chciałbym podzielić się z czytelnikami „odkryciem”, którego przypadkowo dokonałem, już po zakończeniu pracy nad pierwszą częścią. Zawsze marzyłem o bazie danych, która umożliwiłaby sprawdzenie, ilu ulic w Polsce patronem jest dana osoba. Okazuje się, że tego typu zestawienia prowadzi Główny Urząd Statystyczny pod szyldem Krajowego Rejestru Urzędowego Podziału Terytorialnego Kraju (TERYT). Stosowna wyszukiwarka znajduje się pod adresem <http://www.stat.gov.pl/broker/access/showSearch.jspx>. Pozwala ona również na przeglądanie pełnej listy ulic (a także parków, rond, skwerów itp.) w danej miejscowości. Jeżeli terminem wyszukiwawczym jest nazwisko lub konstrukcja złożona z kilku wyrazów, należy ująć ją w dwie gwiazdki. W przeciwnym razie w wynikach pojawiają się jedynie ulice, w wypadku których nie sprecyzowano imienia patrona.

Z danych GUS-u wynika, że opisywani w pierwszym numerze Ernest i Jan Wejher są jedynie patronami interesujących nas ulic w Nowym Dworze Gdańskim i Malborku. Imię Jakuba Wejhera noszą trzy ulice (Kościerzyna, Człuchów, Gdańsk) i – jak już wspominałem – plac w Wejherowie. W północnej części województwa pomorskiego (m.in. w Pucku i Rumi) znajduje się jeszcze sześć innych enigmatycznych „ulic Wejhera”.

Personalalia kolejnej postaci z historii naszego regionu pojawiają się w nazwach 9 ulic. Jak czytelnik będzie miał okazję się przekonać, najczęściej (choć nie zawsze) znajdują się one w miastach związanych z jej biografią: Braniewie, Elblągu, Gdańsku, Gdyni, Malborku, Olsztynie, Orneć, Ostródzie i Tolkmicku¹. Od razu trzeba jednak zauważyć, że nie jest do końca pewne, czy przyjęta w polskiej historiografii wersja „Jan Bażyński” jest właściwa. W języku niemieckim przyjęła się bowiem forma „von Baysen”, spolszczana jako Bażeński. Tak też nazywa się też rodowy herb tego wielmoży. Sam dostojnik podpisywał się jednak w korespondencji „Hans von Baysin”, co uwiarygodniałoby uzus wypracowany w polskiej literaturze historycznej. Co charakterystyczne, miejscowość koło Ornety, od której pochodzi to nazwisko, obecnie nazywa się Bażyny, mimo że w niemieckich dokumentach zawsze figuruje Baysen lub jej warianty uwarunkowane niejednością ortografią.

Za protoplastę rodu Bażyńskich uważany jest pochodzący z Flandrii Albert Fleming, któremu brat, biskup warmiński Henryk, nadał w 1289 r. 110 włók na terenie, na którym obecnie znajduje się wieś Bażyny. Innego zdania był zasłużony dla obrony polskości na Warmii i Mazurach w XIX w. historyk Wojciech Kętrzyński (właśc. Adalbert von Winkler). Twierdził on, że historia „herbowych” Bażyńskich (Flemingów uważał za mieszczan) rozpoczęła

¹ W Toruniu znajduje się ulica Bażyńskich.

się dopiero w 1321 r., kiedy bracia (?) Piotr z Heselechtu, Heineman i Konrad otrzymali w Bażynach nadział w wysokości 1440 włók. Tego drugiego podobnie już wcześniej nazywano Heinemanem z Bażyn, ponieważ jeszcze przed tym aktem był właścicielem części wsi. Kętrzyński przypisuje im polskie pochodzenie ze strony matki.

W Heselehcie (obecnie Leszcze koło Dąbrówna na Warmii) około 1390 r. urodził się Johannes lub Hans von Baysen, który przeszedł do historii Prus i Polski jako Jan Bażyński. Jego ojciec Peter (Piotr) sprawował w miejscu zamieszkania urząd sędziego ziemskiego, ławnika sądu w Elblągu. Prawdopodobnie Peter i jego synowie Albrecht i Heinrich zginęli w bitwie pod Grunwaldem, ponieważ po 1409 r. nie pojawiają się o nich żadne informacje. Na arenie dziejowej pozostali jedynie potomkowie Piotra z drugiego małżeństwa: Jan, Ścibor, Gabriel i Aleksander².

O znaczeniu rodziny świadczy fakt, że Heinrich von Baysen w 1408 r. uczestniczył w krzyżackim poselstwie do Jagiełły. Prawdopodobnie wraz z innymi członkami rodziny w czasie bitwy grunwaldzkiej należał do świty Ulricha von Jungingena. Doświadczenie dyplomatyczne zdobywał w młodości, także wychowywany na zamku w Malborku Jan. W 1412 r. brał udział w poselstwie wielkiego mistrza Henryka von Plauen do Anglii. W latach 1419-22 jego następcą Michała Küchmeistera wysyłał von Baysena z samodzielnymi misjami ponownie do Anglii, Danii i Portugalii. Podczas pobytu na Półwyspie Iberyjskim młody przybysz z północnej Europy wyróżnił się w walkach z Maurami na terenie dzisiejszego Maroka. Po zwycięskim pojedynku z muzułmańskim wodzem, który pozwolił chrześcijańskiej armii uniknąć krwawej bitwy, został pasowany na rycerza przez portugalskiego księcia Eduardo. Po powrocie w rodzinne strony w dowód uznania jego męstwa do wiewiórki w herbie Bażyńskich została dodana postać Murzyna, która pozostała w nim aż do dziś. Według przekazów z epoki, ma ona upamiętniać niewolnika, którego młody wojownik sprowadził ze sobą do Prus.

W tym samym czasie nastąpiło wydarzenie, które miało przesądzić o późniejszych antykrzyżackich poczynaniach von Baysena vel Bażyńskiego. Okazało się bowiem, że pod jego nieobecność wielki mistrz oddał rękę jego narzeczonej innemu rycerzowi. Aczkolwiek trudno wykluczyć, że nawet w epoce, w której lojalność wobec suwerena stawiano wyżej niż małżeńskie przyrzeczenia, rozłąka z ukochaną pozostawiła w sercu Jana uraz do mocodawcy, jednak nie odważył się na otwarty bunt. Najwidoczniej był świadomy tego, że okazywanie niezadowolenia może przekreślić jego dotychczasową karierę

² Gwoli ścisłości Peter von Baysen miał również córkę Elisabeth, która wyszła za mąż za niejakiego Klauke von Peterkau.

Na pewno młody dyplomata czuł się również osobiście zobowiązany wobec Küchmeistera za dotychczasową protekcję, ponieważ wycofał się z czynniejszej działalności w zakonie dopiero po jego ustąpieniu z funkcji wielkiego mistrza. W następnych latach pozycja Bażyńskiego w Prusach nie uległa jednak osłabieniu. W 1432 r. wszedł w skład wpływowej Tajnej Rady oraz otrzymał jako spłatę długu dobra w Kadynach nad Zalewem Wiślanym. W tym okresie pośredniczył w sporze pomorskiej szlachty z biskupem pomorzańskim Janem Winklerem.

Już wtedy zaczął jednak wyrastać na jednego z przywódców opozycji. Wydaje się, że podobnie jak innych członków powstałego w 1397 r. Towarzystwa (Związku) Jaszczurczego oraz jego następcy - Związku Pruskiego do panowania Zakonu Niemieckiego zniechęciła go przede wszystkim jego autokratyczna i wręcz rabunkowa polityka, której przejawem były m.in. wygórowane podatki. Mieszczanie i właściciele ziemscy zakonnego państwa domagali się przywilejów stanowych na wzór innych państw ówczesnej Europy oraz współudziału w rządach. Pewną rolę w politycznej wolcie bohatera tego tekstu mogły odegrać również więzy przyjaźni, jakie łączyły go z Gunterem z Dylewa, którego teść Mikołaj z Ryńska został stracony za swoją antykrzyżacką działalność.

Prawdopodobnie po raz pierwszy otwarcie przeciw ówczesnym panom tej ziemi Bażyński wystąpił na zjeździe szlachty w Mikołajkach Pomorskich w 1435 r. Kiedy pięć lat później działacze Towarzystwa Jaszczurczego powołał do życia Związek Pruski, został on przewodniczącym jego Tajnej Rady. Podpis dziedzica Kadyn widnieje na akcie erekcyjnym Związku z 14 marca 1440 r., obok sygnatur 12 innych przedstawicieli ziemi ostródzkiej, której był w tym okresie chorążym. Po przejściu na stronę Krzyżaków Jana Cederberga stał się jego jedynym przywódcą. Z tej racji występował przeciwko próbom zdławienia aktywności kierowanej przez siebie organizacji drogą cesarskich wyroków śmierci i banicji oraz fałszowania klątw papieskich. Róża, którą pieczętował się w korespondencji, przetrwała do czasów współczesnych w herbie Ostródy.

Zwalczani przez Krzyżaków, opozycjoniści znaleźli sojusznika w królu Kazimierzu Jagiellończyku. Bażyński stał na czele delegacji, która 21 lutego 1454 r. zwróciła się do władcy Polski o włączenie Prus w granice jego państwa. Monarcha dokonał inkorporacji Prus 6 marca tego roku, co zapoczątkowało wojnę trzydziestoletnią. Trzy dni później Jan Bażyński otrzymał nominację na stanowisko gubernatora Prus. Funkcję tę sprawował nieprzerwanie aż do śmierci 9 listopada 1459 r. Jego pierwszą siedzibą na nowym stanowisku był Elbląg, skąd w 1457 r. przeniósł się do zdobytego przez polskie wojsko Malborka. Dwukrotnie (w 1457 i 1459 r.) dowodził obroną tej twierdzy przed próbującymi ją odzyskać Krzyżakami.

Dawni mocodawcy nie mogli wybaczyć Bażyńskiemu nielojalności. Skrytobójcze zamiary Krzyżaków nie zakończyły się jednak sukcesem. W ostatnich latach życia gubernator borykał się z bliżej nie określonymi problemami zdrowotnymi, które zmuszały go do częstego przebywania w Bażynach, którym wcześniej nie poświęcał większej uwagi. Ponoszone trudy król wynagradzał mu nadawaniem kolejnych prestiżowych tytułów i intratnych dzierżaw. Jeszcze w 1454 r. warmiński możnowładca został starostą sztumskim, zaś w 1456 – tolkmickim. Tytułował się także kasztelanem elbląskim, co uprawniało go do czerpania dochodów z posiadłości wokół miasta, a nawet rybołówstwa w Zatoce Ryskiej. Umierał więc jako człowiek majątny, chociaż źródła historyczne przekazują, że prowadził skromny tryb życia, co zjednywało mu sympatię otoczenia. Śmierć zastała go w Malborku, jednak pochowany został w Elblągu.

Postać jak z rycerskiego romansu czy zręczny, wyrachowany gracz polityczny? Patriota polski czy wyłącznie lokalny? Po ponad pięciuset latach trudno jednoznacznie odpowiedzieć na te pytania. Na pewno wyróżniał się wśród swoich współczesnych majątkiem, wykształceniem, ogładą, rozumem, talentem krasomówczym, który miał okazję ujawnić goszcząc w 1454 r. w Krakowie. Dzięki tym wszystkim przymiotom zdobył powszechny szacunek, który wykorzystał, aby zwrócić uwagę polskiego dworu na sprawy Prus oraz wzmocnić pozycję swojego rodu w zmieniających się realiach. Udało mu się osiągnąć obydwa cele.

Bracia Gabriel i Ścibor byli jego bliskimi współpracownikami w Związku Pruskim. To Ścibor w 1457 r. zajął na czele polskiego oddziału Malbork, zaś Gabriel w 1456 r. stłumił bunt zwolenników Krzyżaków w Toruniu i finansował działania zbrojne z pieniędzy uzyskanych ze sprzedaży majątku Stążki koło Dzierzgonia. Obydwaj sprawowali godność gubernatora Prus Królewskich – Ścibor w latach 1459-67, Gabriel – 1467-75, chociaż faktycznie aż do śmierci w 1480 r. decydujący głos w sprawach regionu miał nadal pierwszy. Obydwaj w 1454 r. otrzymali także tytuły wojewodów – Ścibor królewieckiego, następnie zaś malborskiego, Gabriel – chełmińskiego. Mimo, że Ścibor otrzymał także po zmarłym bracie dochodowe starostwa (elbląskie, sztumskie, tolkmickie), po pokoju toruńskim przestał popierać politykę króla, co na pewno miało wpływ na pozbawienie go funkcji gubernatora. Jego pozycja nad Bałtykiem pozostawała jednak na tyle silna, że w 1472 r. Kazimierz Jagiellończyk uczynił go starostą generalnym Prus Królewskich. Obydwaj bracia brali udział z ramienia Związku Pruskiego we wstępnych rokowaniach pokojowych, które miały miejsce w Stegnie na Mierzei Wiślanej. Uczestnikiem tych nieudanych rozmów z Krzyżakami był także m.in. Jan Długosz.

Najmłodszy z braci, Aleksander, właściciel majątków Zwierzewo i Lubajny koło Ostródy, również należał do współtwórców Związku Pruskiego, jednak w 1451 r. zmienił front i rok później reprezentował Zakon na sądzie

cesarskim we Wiedniu. Po zdobyciu Ostródy przez siły Związku Pruskiego w lutym 1454 r. został uwięziony w zamkowym lochu jako, mówiąc dzisiejszym językiem, kolaborant. We wrześniu uwolnili go Krzyżacy, których sojusznikiem pozostał. Prawdopodobnie zmarł przed zakończeniem wojny trzynastoletniej.

Znaczenie rodu Bażyńskich na Pomorzu i Warmii utrzymywało się także w następnych pokoleniach. Na przełomie XIV i XV wieku udało im się skumulować w swych rękach wiele starostw, także na zachód od Wisły, m.in. gniewskie, nowskie, skarszewskie i sobowidzkie. W wojnie trzydziestoletniej uczestniczył syn Ścibora – Jan I młodszy. Nie odniósł jednak sukcesów bojowych – był zmuszony kapitulować przed Krzyżakami w obydwu miastach, których obroną dowodził: Morągu i Starogardzie. Nie przeszkodziło mu to w osiągnięciu godności podkomorzego pruskiego w 1467 r., zaś w 1478 r. – kasztelana elbląskiego.

W tym samym roku kasztelanem gdańskim został Mikołaj Bażyński, który dwa lata później objął po śmierci Ścibora funkcję wojewody malborskiego, którą sprawował przez 13 lat. Był on zdecydowanym zwolennikiem zwiększenia ciężarów pańszczyźnianych żuławskich chłopów. W 1490 r. na zjeździe stanów w Grudziądzu proponował ustanowienie na terenie województwa kary śmierci za zbiegostwo oraz nieuwzględnianie kosztów utrzymania w wypłatach robotników rolnych. Według wniesionego przez niego projektu ordynacji schwyty uciekinier miał być przybijany za ucho do pręgierza i otrzymywać nóż, przy pomocy którego mógłby się uwolnić. Te sprzeczne z żuławskimi zwyczajami zamierzenia nie zostały wprowadzone w życie. Nie trzeba chyba tłumaczyć, że ich wprowadzenie najprawdopodobniej osłabiłoby silną pozycję delty Wisły w polskim rolnictwie, a na pewno odstręczyłoby od osiedlania się na tych terenach menonitów.

Ostatnimi senatorami z rodu byli bratanek Mikołaja Jerzy, wojewoda malborski 1512-46 oraz jego syn Jan II młodszy, kasztelan elbląski 1546-48. Co ciekawe, ten ostatni ożenił się z Dorotą Mortęską, co czyniło go powinowatym opisywanych w poprzednim numerze Wejherów. Na trzech synach tej pary wygasła główna linia rodu Bażyńskich. Ważną osobistością średnio-wiecznej Warmii był również urodzony w Bażynach Tomasz Bażyński, absolwent uniwersytetu w Lipsku, starosta braniewski i fromborski oraz wójt ziemski biskupstwa warmińskiego w latach 1483-86. Stanowisko to wiązało się z przewodniczeniem sądowi kryminalnemu oraz dowodzeniem oddziałami zbrojnymi pozostającymi w dyspozycji biskupa. Nie udało mi się ustalić, jakie pokrewieństwo łączyło go z Janem. Być może dzielili jedynie nazwisko i herb.

W późniejszych wiekach potomkowie warmińskich rycerzy trafili m.in. na terytorium dzisiejszej Litwy. Poszczególne przekazy różnią się nawet co do przybliżonej daty ich osiedlenia się w miejscowości Burbiszki na Żmudzi

(podawany jest XIX, XVII, a nawet XIV wiek). Pewne jest, że w latach 1819-1941 posiadali tam majątek, który był bujnym ośrodkiem życia towarzyskiego i kulturalnego. Dzięki temu Emilia, córka ówczesnego dziedzica Michała Bażeńskiego i Marii Wilejszysówny, poznała Kornela Makuszyńskiego, za którego w 1912 r. wyszła za mąż. Małżeństwo aż do wybuchu I wojny światowej mieszkało w Burbiszkach, bywali w nich również po odzyskaniu przez Polskę niepodległości. Wspomnienia z tego okresu życia pisarz zawarł w tomie „Pieśń o Ojczyźnie”, który w 1926 r. przyniósł mu państwową nagrodę literacką. W czasie studiów na lwowskim uniwersytecie bluszcząca wśród koleżanek urodą Emilia zetknęła się również z Tadeuszem Boyem-Żeleńskim, który dedykował jej kilka wierszy.

Innym częstym gościem dworu był rzeźbiarz Kazimierz Ulański. Pomnik Adama Mickiewicza jego autorstwa w 1912 r. ozdobił niedaleki park. Była to pierwsza statua wieszczka na Litwie. O przeszłości tych stron spacerowiczom przypominał podobny pomnik wielkiego księcia Witolda, przeciwko którego siłom – o ironio – walczyli pod Grunwaldem przodkowie rodziny. Zabudowania uległy zniszczeniu po przyłączeniu okolicy do ZSRR. Po upadku znajdującego się w Burbiszkach kołchozu zamieszkały w Gnieźnie Adam Bażeński przekazał majątek miastu Radviliszkki pod warunkiem, że zostanie on odnowiony i przekazany lokalnej społeczności. Jego życzenie zostało spełnione (dworski park otoczono ochroną już w 1986 r.), a Bażeński został uhonorowany za swój gest tytułem „Dobroczyńcy Kultury Litewskiej”. Podobną drogę przebył pewien zespół pałacowy w naszym regionie, ale o tym już w następnym odcinku...

Zachęcam do nadsyłania propozycji tematów do następnych odcinków cyklu na adres poczty elektronicznej: kordian.kn@gmail.com

Bibliografia

<http://baysen.de>

[http://pl.wikipedia.org/wiki/Jan_Bażyński_\(ok._1390_-1459\)](http://pl.wikipedia.org/wiki/Jan_Bażyński_(ok._1390_-1459))

Biskup Marian, Walka o zjednoczenie Pomorza wschodniego z Polską w połowie XV wieku, w: Labuda Gerard (red.), Szkice z dziejów Pomorza. Pomorze średniowieczne, Warszawa 1958.

Gierszewski Stanisław, Elbląg. Przeszłość i teraźniejszość, Gdańsk 1970.

Kozłowski Bogdan Piotr, Ślady pamięci, www.akant.telvinet.pl

Jackiewicz Mieczysław, Krewieństwo i miłość,

<http://www2.tygodnik.com.pl/tp/nowy/listy.php>

Co wiemy o historii Żuław?, kserokopia tekstu w posiadaniu autora.

Krajoznawstwo: Bażyński Jan, www.jezioro.com.pl (komentarze Lidii von Baysen-Bażeński i Tadeusza Petera).

Średniowieczny polski Prusak, człowiek orkiestra..., vantomas.salon.24.pl

Karolina Manikowska

Akcja Pordenowo



Członkowie Stowarzyszenia Miłośników Malborka „Forum”. (fot. K. Manikowska)

Pordenowo – wieś w powiecie malborskim, w gminie Lichnowy, lokowana w średniowieczu, ponownie zasiedlona w XVII w. W 1869 r. wieś liczyła 245 mieszkańców, w tym 51 mennonitów. W 1800 roku, na północ od wsi, wybudowano drewniany dom modlitwy dla mennonitów z Pordenowa i okolicznych wiosek. Przy nim powstał cmentarz mennonicki. Budynek przetrwał do 1945 r., kiedy to w wyniku działań wojennych spłonął.¹

Zaniedbany cmentarz mennonicki w Pordenowie był jednym z wielu tematów poruszanych na stronie malborskiego forum internetowego poświęconego historii miasta i regionu - www.marienburg.pl. Kolejni użytkownicy dzielili się swoimi spostrzeżeniami z wizyt na cmentarzu i wszyscy, bez wyjątku, ubolewali nad katastrofą, jaka spotkała to spokojne, oddalone od centrum wsi, miejsce. Zamieszczane zdjęcia oddawały obraz całkowitej dewastacji zadbanego jeszcze w 1945 r. cmentarza, towarzyszącego wybudowanej w 1800 r. filialnej kaplicy mennonitów. Pojawiały się również głosy, żeby coś z tym zrobić. Jednak konkretne działania wymagały pracy wielu ludzi.

Przełomowym wydarzeniem dla cmentarza w Pordenowie, jak się potem okazało, było powstanie Stowarzyszenia Miłośników Malborka „Forum”. Jest to grupa składająca się z osób w różnym wieku, dzielących miłość do historii Malborka i okolic, kolekcjonerów przeróżnych staroci, miłośników fotografii oraz wszelkiej maści zapaleńców, którym zależy na promowaniu regionu Żuław. Połączyło nas wymienione wyżej forum, gdzie się poznaliśmy, co doprowadziło do zacieśnienia znajomości niektórych użytkowników w świecie realnym. Zaowocowało to powstaniem stowarzyszenia, gdyż taka organizacja, prawnie zarejestrowana, może dokonać więcej, np. pisać projekty i starać się o pozyskanie środków na różne cele, związane, w naszym przypadku, z rozwojem turystycznym regionu Żuław w obrębie powiatu malborskiego.

Na początku roku 2010 prezes innego z malborskich stowarzyszeń – MC2, Waldemar Klawiński, przedstawił nam pomysł napisania projektu mającego na celu pozyskanie pieniędzy z Urzędu Marszałkowskiego na rozwój turystyczny regionu. Jako stowarzyszenie, ustaliliśmy, że udałoby się nam z nich sfinansować tablice informacyjne w trzech gminach – Malbork, Miłoradz i Lichnowy, oznakować szlaki turystyczne, wyznaczyć atrakcyjne trasy i wydać je w formie map, a dodatkowo zaproponowaliśmy uporządkowanie trzech zaniedbanych cmentarzy żuławskich. Wtedy powrócił temat Pordenowa. Z taką propozycją udaliśmy się na początku lutego do wójtów wymienionych gmin, którzy podeszli do tego z dużą przychylnością.

Do Pordenowa pojechaliśmy 11 lutego 2010 roku. Była gęsta zadymka śnieżna i zapadał zmrok, kiedy zjawiliśmy się na podwórzu sołtysa. W jego pięknym, starym domu odbywało się właśnie spotkanie wójta gminy Waldemara Lamkowskiego i urzędników, z mieszkańcami wsi, na które zostaliśmy

¹ Katalog zabytków osadnictwa holenderskiego www.holland.org.pl



Podnoszenie stelli w Pordenowie. (fot. K. Manikowska)

zaproszeni. Chcieliśmy bowiem sami poinformować mieszkańców o tym, co moglibyśmy zrobić i uzyskać ich aprobatę. Pierwsze, co usłyszeliśmy z ich ust to pełne niedowierzania pytanie: to coś jeszcze tam zostało? Pordenowianie pamiętali bowiem, jak niszczone nagrobki (potrzebne do czegoś innego), jak jeżdżono po cmentarzu ciężkim sprzętem. W ten sposób w powojennej Polsce postępowano z cmentarzami, które zostały tu „po Niemcu”. Na szczęście, ten wyczyn nie do końca się powiódł, choć wiele nekropolii bezpowrotnie przepadło, zaś piękne nagrobki wykonane ze szlachetnych marmurów i granitów wzbogaciły wielu polskich kamieniarzy.

Ze spotkania wracaliśmy ośnieżoną drogą, po uprzednim wykopaniu samochodu z zasy, jaka zdążyła się utworzyć, ale za to z lekkim sercem, bowiem udało się nam przekonać mieszkańców do naszego pomysłu. Niestety, wspólny projekt MCz i naszego stowarzyszenia przepadł w morzu innych. Postanowiliśmy jednak nie zrezygnować z planu uporządkowania cmentarza, bowiem wymagało to głównie siły fizycznej i rąk do pracy. A tego nam akurat nie brakuje.

Po ciężkiej zimie, która długo nie chciała opuścić naszego regionu, ustaliliśmy wreszcie pierwszy termin prac na 10 kwietnia. To był szczególny dzień. Rano padał deszcz, było ciemno i zimno. Kiedy zebraliśmy się w umówionym miejscu, zaczęły do nas docierać informacje o katastrofie lotniczej



Przenoszenie nagrobka w Pordenowie. (fot. K. Manikowska)

rządowego samolotu pod Smoleńskiem. Mimo tego pojechaliśmy do Pordenowa, a po naszym przyjeździe na miejsce deszcz przestał wreszcie padać. Niespodzianką było pojawienie się osób z Malborskiej Grupy Rowerowej „Rama”, które zadeklarowały swoją pomoc przy porządkowaniu.

Niektórzy byli tu po raz pierwszy. Dopytywali się, gdzie jest cmentarz, gdyż nie było widać dookoła żadnych nagrobków. Stan cmentarza sprawiał wyjątkowo przykre wrażenie. Przede wszystkim, nie sposób było odczytać jego pierwotnego układu. Teren zdominowały samowolnie rozsiane drzewa i krzewy. Resztki nagrobków, które udało nam się znaleźć, leżały bez ładu pośrodku, pokryte mchem i glonami, wkopane w ziemię. Mimo tego, część z nich dawała się odczytać – były tam zarówno nazwiska pochowanych tam przed ponad wiekiem mennonitów, jak i fragmenty sentencji, wypisane, a to surowym „gotykiem”, czyli niemiecką frakturą, a to eleganckim, pochylłym pismem angielskim – Copperplate. Te dwa kroje pisma dominują na nagrobkach wytworzonych w XIX w. dla mennonitów.

Oglądając ten żałosny widok, stwierdziliśmy, że jedynym ratunkiem jest utworzenie lapidarium cmentarnego z tego, co pozostało. Nie sposób było bowiem ustalić pierwotnego położenia poprzewracanych, wbitych w ziemię resztek nagrobków. Jedynie pojedyncze tumby i betonowe obramienia grobów, jakie zachowały się w zarośniętej drzewkami i krzewami części cmen-



Cmentarz w Pordenowie. (fot. K. Manikowska)

tarza, wskazywały miejsca pochówków. Te, oczywiście, pozostawiliśmy. Pozostałe elementy zaczęliśmy mozolnie przenosić na wyznaczone uprzednio miejsce ekspozycji. Podzieliliśmy się obowiązkami – jedni z nas grabili sterty liści, które zalegały na ziemi i usypywali je w przeznaczone do spalenia sterty oraz zbierali pozostawione przez kogoś gałęzie, zaś reszta przenosiła elementy nagrobków w docelowe miejsce.

Mieliśmy do dyspozycji siłę mięśni, drewniane gałęzie i parciane pasy – zaczepiając je o gałęzie, utworzyliśmy coś w rodzaju nosidła, w którym spoczywał przenoszony nagrobek. Takie nosidło trzymało po obu stronach po kilka osób. Kamienne nagrobki w kształcie prostopadłościanu – cippusy i podstawy krzyży ważyły bowiem po kilkadziesiąt, a nawet po kilkaset kilogramów. W pewnym momencie zaczęliśmy odkopywać jakiś kawałek kamienia, leżący na brzegu rowu, nieopodal dawnego torowiska żuławskiej kolejki wąskotorowej. Okazał się być pięknym nagrobnym obeliskiem Bernharda Claassena (nazwisko jest tak popularne wśród mennonitów, jak u nas „Kowalski”). To nie był koniec niespodzianek – pod obeliskiem, w ziemi, kryła się jeszcze stela (ustawiona pionowo, prostokątna płyta nagrobna, u mennonitów najczęściej zwieńczona trójkątnym naczółkiem) Sary War-kentien, z d. Fieguth. Nazwisko zmarłej okazało się szczególnie popularne

na tym cmentarzu, bowiem później znaleźliśmy i odczytaliśmy jeszcze kilka pozostałości nagrobków zmarłych, którzy nazywali się tak samo. Inna, złamana stela Petera Warkentiena, kryła pod ziemią swoją drugą część.

Przy jednym z nagrobków byliśmy bliscy rezygnacji. Leżąca na skraju sąsiadującego z cmentarzem pola stela była po prostu zbyt masywna, byśmy dali radę ją przenieść. Wtedy, dzięki panom z Ochotniczej Straży Pożarnej z Lichnów i jednej z koleżanek ze stowarzyszenia, udało nam się pozyskać pomoc od jednego z mieszkańców – pana Henryka, właściciela sąsiedniego pola, który swoim ciągnikiem przetransportował stelę na wyznaczone miejsce. Panowie strażacy dopilnowali wygaszenia resztek po spaleniu liści i gałęzi.

Bilans dnia zamknął się w 9 odnalezionych nagrobkach lub ich fragmentach i 12 zidentyfikowanych nazwiskach zmarłych. Najstarszy nagrobek pochodzi z 1815 roku, najmłodszy z 1925 roku:

- Johann Wiens z Pordenowa, ur. 1778 r. (nie podano miesiąca i dnia), zm. 03.11.1815 r.
- Catharina Janzen z domu Toews, ur. 18.09.1799 r., zm. 05.03.1832 r.
- Jacob Dýck z Pręgowa, ur. 13.03.1770 r., zm. 02.06.183 (2?) r.
- Peter Warkentien z Pręgowa Żuławskiego, ur. 12.01.1782 r., zm. (1?)2. 09.1834 r.
- Maria Warkentien z Pordenowa, z domu Ens, ur. 05.03.1786 r., zm. 18.07.1844 r.
- Cornelius Toews z Nowej Cerkwii, ur. 10.05.1760 r., zm. 22.07.1846 r.
- Sara Warkentien z domu Fieguth z Pordenowa, ur. 28.10.1814 r., zm. 27.11.1850 r.
- Johann Warkentien z Pordenowa, ur. 19.03.1797 r., zm. 05.08.1868 r.
- Bernhard Claassen z Palczewa ur. 02.04.1835 r., zm. 21.05.1881 r.
- Wilfried Dyck ur. 28.01.1905 r., zm. 23.10. 1925 r.

Na dwóch nagrobkach udało nam się jedynie ustalić nazwiska, bez żadnych dat:

- Catharina Dýck z domu Wi(-ens?)
- Katharina Warkentin, z d. Claassen z Pręgowa Żuławskiego (nagrobek uszkodzony)

Zmęczenie, które czuliśmy po pierwszym dniu porządkowania, nie zniechęciło nas do kontynuowania prac. Już w następnym tygodniu pojechaliśmy tam ponownie. Tym razem pogoda nam dopisała. Nie doczekaliśmy się spektakularnych odkryć, lecz dalej przenosiliśmy i powoli ustawialiśmy nagrobki. Nieoczekiwanie z pomocą przyszli nam najmłodsi mieszkańcy wsi – Andżelika, Mateusz i Weronika, którzy zaproponowali swój udział w akcji. Byliśmy autentycznie poruszeni tym nieoczekiwanym aktem dobrej woli. Naszym podziwem dla ich postawy podzieliliśmy się z zespołem szkół, do których uczęszczają dzieci, wysyłając listy pochwalne.

Kolejny raz, w nieco okrojonym składzie, pojawiliśmy się na cmentarzu miesiąc później. Gros prac to nadal przenoszenie i ustawianie obiektów w odpowiednim miejscu. Podczas wykonywania tych czynności zostaliśmy

odwiedzeni przez kilkoro niemieckich turystów. Okazało się, że są to dawni mieszkańcy sąsiedniego Palczewa, mennonici, którzy w 1945 r., jako małe dzieci, uciekli z rodzicami przed radzieckim frontem. Właśnie wracali z Palczewa, gdzie odwiedzili swój dawny dom. Pani, która z nami rozmawiała, w chwili wyjazdu miała 4 lata. W Pordenowie pozostał grób jej babci. Poprzednio odwiedziła cmentarz 11 lat temu. Nasze działania spotkały się z jej zaskoczeniem i zadowoleniem.

Wzrastająca zieleń zaczęła wdzierać się w miejsce przeznaczone pod lapidarium, lecz mimo tego, nie rezygnujemy z prac. Podczas ostatniej wizyty skosiliśmy trawę sierpem i odczyściliśmy kilka nagrobków, które dzięki temu ponownie zabłyśły świeżością i szlachetną bielą.

Nasza akcja, choć pozbawiona reklamy, spotyka się z żywymi reakcjami osób postronnych. Niektóre z nich wspierają nas życzliwym słowem na forach internetowych.

Z nieoczekiwaną propozycją wystąpił natomiast Marek Opitz, prezes Klubu Nowodworskiego. Przy zorganizowanym przez Klub lapidarium w Cyganku przechowywał on zabezpieczony jakiś czas temu przed kradieżą element jednego z pordenowskich nagrobków w formie wąskiej piramidy. Kiedy dowiedział się o prowadzonej akcji, przekazał ów fragment naszemu stowarzyszeniu. Dzięki wnikliwości jednej z koleżanek, która przeanalizowała tekst zamieszczony na jednym z cippusów, wiemy już, że „piramida” jest jego częścią. Na koniec planujemy połączyć elementy nagrobka w całość.

Obecnie chcemy uzyskać pozwolenie na wycinkę wszystkich samosiejek i niepotrzebnych krzewów, uniemożliwiających dostanie się do grobów, które zachowały się w zachowanej części cmentarza. Chcielibyśmy też połączyć i posklejać połamane nagrobki, ostatecznie uporządkować teren lapidarium, zrobić alejkę i postawić tablicę informującą o tym, co się tutaj niegdyś znajdowało. Mamy nadzieję zdążyć ze wszystkim przed końcem roku.

Chcemy, żeby potomkowie dawnych zmarłych, którzy odwiedzą to miejsce, widzieli, że ich bliscy otoczeni są należnym im szacunkiem. Ich zadowolenie z akcji jest dla nas najcenniejszą rzeczą. Cmentarz w Pordenowie nie będzie wyglądał tak, jak w 1945 r., ale jako lapidarium będzie prezentował się znacznie lepiej, niż jeszcze rok temu. W planach mamy również uprzątnięcie terenu dwóch innych cmentarzy w gminach Miłoradz i Malbork. Jesteśmy też świadomi tego, że w okolicach jest jeszcze wiele podobnych miejsc czekających na ratunek. Być może, uda nam się je ocalić od zapomnienia.

Alicja Janiak

TOŻSAMOŚĆ ŻUŁAWSKA TWÓRCÓW LUDOWYCH

Według Słownika Języka Polskiego tożsamość to „*bycie tym samym*”. Termin ten odnosi się do konfiguracji cech, które pozwalają zidentyfikować daną osobę lub grupę osób. Ustalenie czyjeś tożsamości polega więc na rozpoznaniu specyficznych cech danej osoby, czy grupy, które odróżniają tę osobę (grupę) od innych. Anita Jacobson oraz Zbigniew Bokszański podkreślają, iż tożsamość ma dwa zasadniczo różniące się znaczenia. Jedno odnosi się do kontynuacji, bądź pozostawania tym samym. Drugie odnosi się do odrębności, odróżniania się. Jest to więc utożsamianie się z pewnymi wartościami, kontynuacja swojej tradycji, dziedzictwa kulturowego z jednej strony, z drugiej zaś o poczuciu tożsamości możemy mówić wtedy, gdy czujemy się odrębni, inni od wartości reprezentowanych obok nas.

Zdaniem Jerzego Nikitorowicza zagadnienie tożsamości zbiorowej, to coś, co pozwala odróżnić ją od innych i świadczy o ciągłości danej kultury, a wywodzi się z wypadkowej zachowań członków danego społeczeństwa. Źródła tożsamości kulturowej autor upatruje w wyniku kontaktu jednostki z inną grupą, sposobem określenia samego siebie poprzez przynależność do różnego typu grup społecznych. O odrębności można mówić wówczas, gdy członkowie danej grupy uważają siebie za odrębnych i za takich uważani są przez innych. Ważną płaszczyzną budowania tożsamości opartej na więziach terytorialnych i powiązanej ze społecznością lokalną jest tzw. mała ojczyzna, zwana *ojcowizną* (w j. niemieckim – *Heimat*). Kształtuje się ona wokół poczucia swojskości względem otaczającej nas przestrzeni. Obszar ten wraz ze swoimi geograficznymi wyróżnikami, historycznym i kulturowym dziedzictwem oraz specyfiką życia jego mieszkańców staje się poprzez osobiste doświadczenie istotną częścią naszej tożsamości.

Żuławy są przykładem regionu, w którym nastąpiło przerwanie transmisji kulturowej. Ludność rodzima (głównie niemiecka) musiała opuścić ten teren, a na jej miejsce przyjechała (dobrowolnie lub przymusowo) nowa fala osadnicza. Współcześni mieszkańcy Żuław to ludzie, którzy osiedlili się tu zarówno z terenów Kaszub, Kociewia, Kieleckiego, Rzeszowskiego, Lubelskiego, Białostockiego, Mazowsza, polscy repatrianci ze wschodu, głównie z Wołynia i Wileńszczyzny, oraz przesiedleni, w ramach Akcji Wisła, Ukraińcy. Dlatego obszar Żuław jest w pewnym sensie niejednorodny kulturowo, etnicznie i wyznaniowo, współistnieją obok siebie przedstawiciele różnych kultur, obdarzeni odmiennym dziedzictwem i tradycją. Żuławy wielokulturowe były też przed wojną, bo obok siebie żyli Niemcy, Holendrzy, Polacy, w tym katolicy, ewangelicy czy mennonici.

Obecnie obszar Żuław zamieszkują już trzy pokolenia nowych, powojennych osadników, rodzi się kolejne. Wszyscy mieszkańcy, zarówno ci, którzy przybyli tu po wojnie, jak i ich potomkowie, wraz z instytucjami, ludźmi aktywnymi tworzą współczesny obszar kulturowy Żuław. Współczesnym ar-

tystom ludowym problemy odnajdywania własnej tożsamości są szczególnie istotne i potrzebne, gdyż poprzez swoją działalność mają wpływ na wizerunek Żuław.

Tożsamość regionalna w ludowej twórczości artystycznej

Zespół Żuławskie Bursztyнки

Zespół powstał w 1991 roku w Nowym Dworze Gdańskim. Tworzy go 10 kobiet, w wieku powyżej 60 lat. Dzięki spotkaniom nie czują się samotne, mają pretekst do rozmów, wspólnego spędzania czasu, wyjazdów. Początki zespołu to amatorski śpiew podczas spotkań Związku Emerytów i Rencistów, skąd zespół się wywodzi, założony przez prezes związku – panią Klarę Gajdul. Śpiewają piosenki biesiadne, cygańskie i żuławskie. Śpiewają również w języku niemieckim, ukraińskim, rosyjskim. Członkinie najbardziej cenią piosenki o tematyce żuławskiej, które tworzą same, szczególnie pani Erna, która do muzyki układa stworzony tekst: *„Na Żuławach na równinie/ blisko morza, pośród wierzb,/ z dnia na dzień nam życie płynie, / rozbrzmiewa radosny śpiew, / Lecz gdziekolwiek ulokować, chcesz marzenia swe / o Żuławach nie zapomnisz, nie zapomnisz nie...”*

Oprócz śpiewu panie zajmują się haftem, koronkami, wypiekami. Największym osiągnięciem było stworzenie gobelinu. Powstał on w ramach współpracy miast partnerskich Anglii, Francji, Niemiec i Polski, gdzie każde z miast mogło zaprezentować historie związane ze swoją miejscowością. Gobelin wyszywany był ręcznie na płótnie żeglarskim o długości ponad 9 metrów. Polski fragment przedstawiał historie i legendy o Nowym Dworze, w tym legendę o Tudze, jak i tematy związane z krajobrazem Żuław.

Panie początkowo występowały w stroju tzw. galowym - białe bluzki i czarne spódnice. Z czasem strój ewoluował i dziś zespół ma własny styl czyli zielone spódnice, brązowe kamizelki, wyszyte cekinami, białe bluzki i fartuszki. Jak mówi twórczyni stroju: *„tak sobie pomyślałam, musi być ziemia, musi być zieleń. I tak, kamizelka jest brązowa jako ziemia, spódnica zielona jak trawa, i do tego fartuszki i chusty”*. Strój ten stał się z czasem, już bez cekinów, strojem żuławskim.

Członkinie zespołu określają siebie jako mieszkanki Żuław, związane z tym regionem. Najsilniejsza tę więź czuje Pani Erna. Tu mieszkali jej rodzice, tu się urodziła, jej dziadkowie byli mennonitami, co podkreśla i z czego jest dumna. Żuławy są zatem miejscem bliskim jej sercu, jedynym, z którym się utożsamia.

Zespół Pieśni i Tańca Szuwary

Zespół powstał w 1993 roku w Markusach, na Żuławach Malborskich, w województwie warmińsko-mazurskim. Założyła go Pani Jadwiga Jarocka. Składa się z 17 osób. Najstarsza ma ponad 70 lat, a najmłodsza około 20. Występują w nim całe rodziny. Członkom zespołu, próby, występy oraz nieformalne spotkania, dają poczucie zadowolenia, satysfakcji w upowszechnianiu kultury, jak i chwile relaksu z powodu przebywania wśród bliskich i przyjaciół.

„Szuwary” działają jako stowarzyszenie i są odpowiedzialne za koordynację imprez kulturalnych, gdyż poza biblioteką, to jedyna instytucja kultury w gminie. Zespół prezentuje tańce i piosenki z różnych regionów Polski - lubelskie, rzeszowskie, kaszubskie, krakowskie, warmińskie, mazurskie, powiślańskie. *„W naszym regionie, ludzie są z różnych krańców Polski i niejednokrotnie przypominają sobie o swoich bliskich, że kiedyś to śpiewano, ich babcia, dziadek, i uczą się, poznają coś nowego, jakąś nową kulturę, że jest taki taniec, że jest taka piosenka. Babcie opowiadają, że były takie tańce, przypominają się tradycje, a przede wszystkim chyba ludzie są spragnieni tej kultury, powrotu do tradycji. W naszym regionie tej tradycji wcale nie ma, ale wydaje mi się, że przekazujemy ją z pokolenia na pokolenie, ale i tworzymy na swój sposób w tym regionie. Tym starszym ludziom niejednokrotnie łza się kręci w oku, bo akurat śpiewamy piosenkę z terenu, na którym kiedyś żyli... to utrwalanie i przekazywanie tradycji”.*

Obecnie Zespół Szuwary nie śpiewa piosenek o tematyce żuławskiej, choć takie tworzyli na początku starsi członkowie zespołu, kiedy zespół był jedynie zespołem śpiewaczym. W jednej z nich słyszymy, że: *„Żuławy to kraina / pięknieje z każdym dniem / bo piękna to nizina / moc urodzaju w niej / A jest tu bardzo pięknie / zbieramy duży plon /...Kochamy naszą ziemię / Nie opuścimy jej / Żuławy hej Żuławy / W Żuławach dobrze jest”.*

Zespół początkowo posiadał strój żuławski - czerwone spódnice i kamizelki, obszywane żółtą tasiemką oraz białe bluzki i fartuszki. Obecnie zespół występuje w stroju lubelskim - krzczonowskim, który powstał na okoliczność wyjazdu zespołu na występy do Anglii. Większość uczestników Zespołu Szuwary, szczególnie młodszych, uważa że warto by było wprowadzić strój żuławski, jak również piosenki o tematyce żuławskiej i w ten sposób promować zespół w regionie i poza nim. Osoby koordynujące zespołem nie podzielają jednak tego zdania. Choreograf zespołu kojarzy piosenki żuławskie z okresem PRL-u, uznając je za smutne i niefolklorystyczne, dlatego niechętnie są one wprowadzane do repertuaru. Mimo to, członkowie zespołu Szuwary określają się mianem Żuławiaków, choć czują się zespołem ogólnopolskim: *„My nie tworzymy własnej tradycji, my po prostu próbujemy przekazać ludziom żyjącym tu, tradycje z różnych regionów, także tu ciężko*

powiedzieć o tożsamości... Zespół jest stąd, ale nikt nie pisze o Żuławach piosenek, które by mogły w przyszłości stać się źródłem tradycji, my staramy się z każdego regionu po troszku czerpać”.

Hanna Florek - poetka i śpiewaczka

Pani Hanna Florek urodziła się w 1950 roku pod Grudziądem. Tam przeżyła wojnę, czas biedy, zacołania, braku perspektyw, dlatego nie czuje się związana z tamtymi terenami i nie chce wracać do czasów dzieciństwa. Zupełnie inaczej czuje się na Żuławach. Przybyła tu w 1977 roku z mężem i mieszka do dziś. Uważa się za współczesną twórczynię ludową. Sama nauczyła się śpiewać, grać na instrumentach, tworzyć pieśni. Jako artystka czuje się jednak niedoceniona, mówi, że nie ma szczęścia, spotykała się z niesprawiedliwością społeczną. Pisze wiersze i pieśni o przyrodzie, tematyce miłosnej, społecznej, związane z dniem codziennym i ludzkimi problemami, dające człowiekowi nadzieję i radość życia: „*One muszą przychodzić, z czymś, pod jakimś wpływem emocji, jakimś przeżyciem, a jeżeli ona jest pisana na zamówienie, no to właściwie nic sobą nie reprezentuje. (...) A tak w zasadzie to staram się pisać pieśń, która przychodzi, dotyczy matki, miłości, albo nietrwałości jakiegoś związku, jak to w życiu jest, (...) i to mi się wydaje ta poezja ludowa, ma pewne wartości zaczerpnięte, czy przekazane przez rodziców, czy przez inne osoby z którymi się stykamy*”.



Hanna Florek (fot. A. Janiak)

Od 1995 roku pisze pieśni inspirowane żuławskim pejzażem. Pierwsza z nich „Gdzie rzeka Nogat”, powstała 15 lat temu: *„Żuławska ziemio w schylonych głowach / Żuławskich wierzb / Żuławska ziemio, czy jest piękniejszy zakątek gdzieś / Gdzie rzeka Nogat sny opowiada / Wśród szeptu trzcin / Gdzie tu w zaściankach / Tej polskiej ziemi - wiersz piszę Ci / Gdzie rzeka Nogat, gra żab kapela piękna jak świat / A ta muzyka w rymy się składa / Jak dni mych lat / Gdzie furkot skrzydeł białych łabędzi pieśnią mi gra / Spokojna wodo, gdzie ptasi koncert jak bajka trwa / Żuławska ziemio w schylonych głowach / Żuławskich wierzb / Żuławska ziemio, czy jest piękniejszy zakątek gdzieś / Czy mi wierzycie, czy nie wierzycie – Ja mówię Wam / Tu na Żuławach ja najpiękniejszy zakątek znam”*.

Twórczość daje jej powody do zadowolenia, spełnienie, realizację samej siebie. Ważny dla pani Hanny jest również fakt promowania Żuław, tutejszej kultury: *„Już nie mówię, że chcę jakąś gwiazdą zostać, bo po co mi to potrzebne, ale chcę zostać prawdziwą pieśniarką żuławską, która będzie znana po prostu w całej Polsce, żeby pokazać to piękno Żuław... to jest takie uduchowienie człowieka, daje radość życia, daje cel życia, daje wartość, podnosi wartość człowieka i przede wszystkim każe człowiekowi myśleć nie rolą pieniądza”*.

Artystka występowała do tej pory między innymi w Kazimierzu nad Wisłą, na Kaszubach, w Grudziądzu, Iławie, Kwidzynie, Debrznie, Toruniu, Tarnobrzegu, Chojnicach, okolicach Warszawy. Najbardziej ceni występy na Żuławach, w Nowym Dworze Gdańskim, Malborku, Starym Polu, czy Gdańsku.

Pani Hanna od dwóch lat występuje w stroju żuławskim, który zakupiła, jednak wprowadziłaby do niego pewne zmiany: *„Ja bym może inaczej to zrobiła - spódnica w ciemnym, a serdaczek w zieleni, odwrotnie, spódnica bo ziemia jest, no to dół, powinna być w lekkim brązie, ciemniejszym, a zieleń piękna do tego – trawy i jakiś haft bluzki inny, bo to jest haft kupiony, a musi być wymyślony. Bo tu było bardzo dużo paproci, wrzосу... dobrze, gdyby nasze hafciarki coś zrobiły”*.

Pani Hanna czuje się dziś Żuławianką, co podkreśla, i z czego jest dumna: *„Bardziej się czuję związana z Żuławami, bo tutaj tak pięknie. Ma ta ziemia coś w sobie, ma pewną historię, ma pewne dawne dzieje, puszcze, dawne szlaki bursztynowe, jest fantastyczna, ona przemawia do mnie, jak ja tu jestem, ona coś znaczy”. Szczególnie pokochała Wierciny – miejscowość, w której żyje i tworzy.*

Artystka uważa, że należy znać historię Żuław i sama ją upowszechnia. Na spotkaniach w innych regionach mówi o Muzeum Żuławskim, kościołach, wiatrakach. Nie urodziła się na Żuławach, jednak Żuławy są dla niej tak ważne: *„Kocham tę ziemię tak bardzo... dla mnie to jest wszystko, to jest piękno całe”*. Nie chce odwoływać się do przedwojennego dziedzictwa kultu-

rowego regionu. Według niej to, co najcenniejsze na Żuławach to patriotyzm i polskość tych ziem, oraz wkład jaki wnieśli polscy osadnicy po wojnie, a także ich obecni mieszkańcy i kultura, którą tworzą.

Stanisław Suska – rzeźbiarz

Stanisław Suska urodził się w 1958 roku w Dąbrówce, w województwie lubelskim. Życie wtedy, jak wspomina rzeźbiarz, było ciężkie i trudne, dlatego też wraz ze swoim ojcem, zaczął rzeźbić. Miejsce jego dzieciństwa i młodości to swoiste zagłębienie rzeźbiarskie. Tworzył tam jego wuj – Bolesław Suska, oraz inni znani twórcy ludowi – Marian Adamski, Bronisław Chojęta, Tadeusz Lemieszak, czy Ryszard Sęka.

Na Żuławy pan Stanisław przyjechał 30 lat temu, z przyczyn ekonomicznych – do pracy jako murarz: *„Najbardziej uderzyła mnie niesamowita zieleń, wszystkie rowy, dużo rowów, bo u nas w lubelskim są miedze, a tutaj rowy. Jak się jedzie to bez przerwy rowy i ta zieleń, ta trzcina, te rzepaki kwitnące to robi wrażenie, wierzby płaczące, mosty pontonowe, zwodzone, no i woda i to świeże powietrze niesamowite, niesamowicie się tak wspaniale i głęboko oddycha. Tutaj żeśmy pracowali, i ja się dobrze czułem, tamte tereny były dla mnie za suche”*. Jednak na Żuławach artysta nadal czuje się obco, nie potrafi w pełni zintegrować się z tutejszą społecznością. Wspomnieniami wraca do rodzinnych stron i ludzi. To też tematy jego twórczości: *„Rzeźbię różne scenki wiejskie, które pamiętam z tamtych stron, takie ludowe jak się robiło na polu, z kosą, z motyką z widłami, grabiami, różne baby także z kurami, kogutami (...), bo tutaj takich scenek nie było, na Żuławach było zmechanizowane rolnictwo, wszystko, te scenki które pamiętam z dzieciństwa to się rzeźbi”*.

Tworzy w drzewie lipowym. Jego rzeźby wyróżniają się delikatną, przełamana kolorystyką, której użycie twórca tłumaczy szarą kolorystyką polskiej wsi, zaś jego postaci posiadają duże, silne ręce i szeroko otwarte oczy: *„Nnauczyłem się kiedyś od takiego rzeźbiarza w naszych stronach – Ryśka Sęki – on już nie żyje, właśnie on robił duże ręce i zawsze mówił- pamiętaj Stasiu, jak będziesz rzeźbił (bo robiłem takie bardzo małe dłonie) - ta ręka musi być duża (...) i później chyba te oczy zrobiłem takie troszkę większe i tak styl swój wyrobiłem i ludziom się podoba”*.

Najbardziej lubi wyczarowywać z kawałka drewna rzeźby wielopostaciowe: *„Rzeźba ma największą wartość, jak ja najwięcej wykradnę drzewa z tego klocka i są prześwity, i ta rzeźba jest mocno wycięta, wtedy jak się narobię przy takiej rzeźbie, wtedy wiem, że będzie ładna. Czym więcej się tego drzewa wykradnie, wtedy rzeźba nabiera smaku artystycznego. A scenki robiłem nawet po 50 osób... Sąd Ostateczny, gdzie wycięte są wszystkie postacie nago, gdzie Zmartwychwstanie jest – z ziemi wychodzą, jedni idą do piekła, inni do nieba”*. Artysta ceni sobie zarówno tematykę związaną z życiem codziennym, bo to przypomina mu dawne życie na wsi, a także tematykę

sakralną: „Chrystus Frasobliwy to jest kultura polska. (...) wiary swojej się nie wstydzę, przeciwnie, głoszę ją od dziecka dłutem, ksiądz głosi słowem, a ja dłutem”.



Stanisław Suska (fot. A. Janiak)

Jako symbole Żuław artysta wskazuje płaczące wierzby, zieleń, kormorany, czaple, mewy, łabędzie, a także rybaków. Jest cenionym rzeźbiarzem i swoje prace sprzedaje zarówno klientom indywidualnym, jak i muzeom, czy galeriom - w Warszawie, Gdańsku, Krakowie, Niemczech i Anglii. Każdego roku uczestniczy w jarmarkach w Kazimierzu Dolnym nad Wisłą, Białymstoku, Wdzydzach Kiszewskich, Żninie koło Bydgoszczy, Gnieźnie, Warszawie, Węgorzewie.

Po 30 latach życia na Żuławach wreszcie znalazł swoje miejsce: *„człowiek się związał z tymi pięknymi terenami, z tym świeżym powietrzem, tu się dobrze czuję, tu dom pobudowałem. Cała rodzina została, na wschodzie - powiat Łuków, Adamów. Ale ja już żyję tyle lat i czuję się tu dobrze i reklamuję ten teren. Zawsze zapraszam, czy w telewizji, to zapraszam na Mierzeję Wiślaną, na Żuławę, opowiadam o tych terenach zielonych, wierzbach płaczących, o tych rzepakach, wodzie, że statki są, morze, kanały, barki”*. Nie czuje się artystą żuławskim, choć wiele motywów właśnie żuławskich w jego pracach, temu przeczy. Myśłami wraca w rodzinne lubelskie, ale dom zbudował w Sztutowie i tu właśnie tworzy.

Mirosława Suska – hafciarka

Pani Mirosława Suska urodziła się w 1956 roku w Kartuzach na Kaszubach. Wychowała się w rodzinie twórców ludowych - Jadwigi i Leona Grotów. Jej mama pracowała jako chałupniczka w Cepelii, gdzie zajmowała się haftem kaszubskim. To od niej, pani Mirosława poznała tajniki haftu. Tata był z zawodu zdunem, prywatnie również rzeźbił.

Na stałe pani Mirosława zajęła się haftem kaszubskim ze szkoły żukowskiej, który charakteryzuje się spośród innych haftów kaszubskich lekkością wzornictwa i prostotą. Technika haftu od lat jest stała, nie zmienia się również paleta barw (trzy odcienie niebieskiego, żółty, czerwony, zielony i czarny). Na charakter szkoły żukowskiej duży wpływ miały Jadwiga i Zofia Ptach (wnuczki jednej z sióstr norbertanek w Żukowie), dzięki czemu poznały wzory i techniki haftu złotego: *„Myśmy jako dzieci mamie pomagały, takie proste rzeczy – mreżki, drobne gałązki, listki, to mama nam pokazywała jak się robi, a myśmy się uczyli, no i właśnie tak nas wciągnęła w te hafty kaszubskie... Ja haft traktuję nie jako zarobek, ale jako podtrzymywanie swoich tradycji, i zdolności”*.

Twórczość daje pani Mirosławie powody do zadowolenia: *„Mnie haft uspokaja, jak mam jakiś kłopot, jakieś problemy w życiu, to na przykład siadam, zapalam lampeczkę i siedzę do nocy, wszyscy śpią, a ja sobie wyszywam, i wtedy w głowie mam różne pomysły jak mam te problemy rozwiązać. Spać mi się nawet nie chce, bym siedziała i wyszywała do rana. To po prostu wciąga, bo najpierw jeden kwiatek, potem listek, potem jeszcze i jeszcze i robi się, świta, a człowiek jeszcze robi”*.



Mirosława Suska (fot. A. Janiak)

Na tereny Żuław Pani Mirosława trafiła dopiero w 1997 roku i od tego czasu mieszka w Sztutowie wraz ze swoim mężem. Wspomnienia z Kaszub i związek z tym terenem jest jeszcze u Pani Mirosławy bardzo silny. Chociaż Żuławy się jej podobają, zachwycają krajobrazem, roślinnością, zwierzętami, to jednak mentalnie pani Mirosława związana jest z Kaszubami. Artystka uważa, iż na Żuławach nie ma tradycji, czegoś, co by mogło wyróżniać region. Symbole Żuław to dla hafciarki przede wszystkim te związane z morzem, mierzeją: *„Zalew przepiękny, latarnia morska, kormorany, pola rzepaku, tulipany, łąny, szpaki przede wszystkim(...)domy podcieniowe”*. Czuje się Kaszubką, bo *„tam są moje korzenie. To znaczy tu jest pięknie na Żuławach i nie chciałabym już mieszkać na Kaszubach, bo mam tutaj męża, rodzinę, ale... tam wszystkich znam, tam się urodziłam, tam ciągnie myślami, ciągnie, wspomnienia, także nie ma o czym mówić. Tutaj nie ma tego, nie czuję jeszcze Żuław, może kiedyś za 20 lat jak będę staruszką”*.

Na Żuławach nadal czuje się obco, ale nie wyobraża sobie życia gdzie indziej.

Aleksandra Charko – pisankarka

Pani Aleksandra Charko urodziła się w 1931 roku na Ukrainie w Przemyślawowie koło miasteczka Bełż. Wraz z rodzicami i rodzeństwem podzieliła losy rodzin ukraińskich, które zostały wysiedlone ze swoich wiosek i trafiły na północne ziemie Polski w 1947 roku w ramach Akcji Wisła. Po

długim i męczącym okresie wywózki rodzina jej trafiła do Górowa Iławeckiego, a w 1951 roku na Żuławy, do Nowotek. Z Żuławami i swoją wsią pani Aleksandra czuje się związana, jednak, jak podkreśla - zawsze będzie Ukrainką: „*bo jak mogę czuć się inaczej? Czuję się już związana, mam swoich przyjaciół, swoje koleżanki, to już jest dobrze, ale jeszcze tęsknota jest za*



Aleksandra Charko (fot. A. Janiak)

tamtymi stronami. Byłam tam kilka razy". Nie myśli jednak o powrocie na Ukrainę, bo *„tamtych ludzi już nie ma, kto inny zajął, już nie ma na co wracać”*. Pani Aleksandra podtrzymując swoją tradycję i tożsamość ukraińską. Działa w Związku Ukraińców w Polsce.

Pani Aleksandra słynie przede wszystkim z pisankarstwa, którym zajmowała się wraz z rodziną jeszcze na Ukrainie. Pisanki robiono w każdym domu. Zajmowały się tym głównie dzieci i kobiety w trakcie całego postu: *„A barwniki to robiło się z kory jabłoni, ale to czarne się odrzucało, później było takie żółte i to się skrobało i jeszcze taki ałut był do tego. W aptece się kupowało i farbowało na żółto, a czerwoną i czarną się kupowało, była taka kraska u Żydów, jak herbata takie coś, to się zalewało wrzątkiem, jedne na czerwono, inne na czarno, a takie różne, zielony to z takiej bibuły marszczono, robili, to z takich traw jakiś i z cebuli, no różne, z żyta, z szyszek olchy, różne takie były sposoby”*.

Pisankarstwem na szerszą skalę Pani Aleksandra zajęła się na emeryturze. Wysłała swoje prace na ogólnopolski konkurs w Gorzowie Wielkopolskim i zajęła pierwsze miejsce: *„Tak się zachęciłam, że do tej pory wysyłam. (...) Zawsze jest pierwsze, drugie, trzecie, nigdy nie było bez miejsca”. Nie uznaje swojego rękodziela za twórczość. Dla niej jest to kontynuacja rodzinnych tradycji, ukraińskiej kultury, jest to coś naturalnego: „Nie czuję się twórczynią, bo każda u nas to robiła i każda taką twórczynią ludową była, to jest naturalne dla mnie. Tylko że nie wszyscy teraz chcą, może nie mają cierpliwości, czasu, a ja to bardzo lubię i mogę”*.

Pani Aleksandra nie handluje swoimi pisankami: *„Wolę dać. Lepiej się czuję, jak dam od serca”*. Oprócz tworzenia pisanek wyszywa. To dla niej również kontynuacja tradycji: *„Wyszyciami również zajmowałam się już od małej dziewczynki... teraz takie robię modniejsze serwety, obrusy. Ręczniki - ikonostat to się nazywa, obrazy życia pana Jezusa. Kiedyś wyszywano również tradycyjne ukraińskie koszule – soroczki. Też zaczęłam od 7 roku życia. Najpierw dała mama kawałek płótna i taki paseczek, albo zygzaczek, prosty wzorek pokazała, a później się robiło takie trudniejsze. (...) Taką jedną koszulę, to już miałam 15 lat jak zaczęłam wyszywać, dla siebie. (...) Taką koszulę to całą zimę trzeba wyszywać, siedziały panny wieczorami przy takich lampach naftowych”*.

Z jednej strony jej tożsamość jest jakby fizycznie zawieszona - wie, że nie wróci już na Ukrainę, gdyż ludzi i kultury w której się wychowała w jej rodzinnej wsi już nie ma. Nie zakorzeni się również już na Żuławach na tyle, by móc powiedzieć *„tak, to moja ojczyzna, moje miejsce na ziemi”*. Poprzez dystans miejsca, i fakt przymusowego wysiedlenia ze swojej ojczyzny, i poprzez późniejsze podtrzymywanie swojej kultury na terenach obcych kulturowo, pani Aleksandra czuje się przede wszystkim związana z ukraińskimi tradycjami. Celem artystki nie jest upowszechnianie wiedzy i kultury

na temat Żuław, gdyż nie wychowała się tutaj, dla niej te tereny zawsze będą obce kulturowo: „*Mówią, że tu ziemia urodzajna jest, że to spichrz Polski, to prawda... ludzie na Żuławach nie wyróżniają się specyficzną kulturą, wszelkie tradycje się tu ścierają*”.

Podsumowanie

Analizując działalność i twórczość zespołów regionalnych i twórców ludowych tworzących na terenie Żuław można stwierdzić, że nie ma tu jednej, spójnej tożsamości, wspólnej płaszczyzny, do której odnoszą się wszyscy mieszkańcy, ponadregionalnych wartości, które wszyscy jednakowo by podzielali. Tożsamość regionalna Żuław jest raczej konglomeratem odmiennych form utożsamiania. Na tych zaledwie kilku przykładach – jak w soczewce skupiają się różne postawy postrzegania regionu i sposoby utożsamiania się z nim.

Zespół Żuławskie Bursztyнки oraz Hanna Florek odnoszą się do tworzonej współcześnie, powiązanej z terytorium tożsamości, poszukując nowych znaków, głównie związanych z miejscem zamieszkania. Ważne stają się tu aspekty geograficzne, charakterystyczne cechy, polskość ziem i swojskość budowana na własnym doświadczeniu. Członkowie zespołu Żuławskie Bursztyнки, a głównie pani Erna, czerpie z własnego doświadczenia, poczucia przynależności do Żuław, związanego z dziejami jej rodziny mieszkającej tu od pokoleń. Natomiast pani Hanna Florek – choć nie urodziła się na Żuławach, czuje się związana z tym terenem, chyba najbardziej spośród wszystkich osób, co do których podjęta została analiza systemu identyfikacji. Dla niej ważna jest historia Żuław, ale ta najbliższa – powiązana z polskimi osadnikami przybyłymi na Żuławy po drugiej wojnie światowej i odnajdywanie polskości tych ziem.

Zespół Szuwały chce prezentować się jako zespół ogólnopolski. Członkowie, nie odnoszą się do regionu Żuław, choć czują się z nim związani. Dla nich, to co najważniejsze, to spuścizna polskiego folkloru ujawniająca się w pieśniach i muzyce, z której mogą czerpać i upowszechniać ją mieszkańcom Żuław. Być może, paradoksalnie, to młode pokolenie twórców zdecydowało o w przyszłości i silniejszym związku z regionem.

Twórczość ludowa Żuław jest konglomeratem odmiennych tradycji, jakie przynieśli ze sobą nowi, powojenni mieszkańcy. Omawiani twórcy czerpią przede wszystkim z kultury w której się wychowali, w większości poza Żuławami. Rzeźbiarz Stanisław Suska, z jednej strony odnosi się do obszaru skąd pochodzi, czerpiąc stamtąd motywy do swojej twórczości, choć coraz częściej zaczyna adaptować do swojej sztuki także symbole żuławskie. Jego żona Mirosława czuje się przede wszystkim Kaszubką i ten koloryt dominuje w jej twórczości. W twórczości pani Aleksandry Charko nie widać żad-

nych elementów związanych z Żuławami. Czuje się Ukrainką, jej tożsamość jest jakby wyrazem nostalgii za terenami, gdzie się urodziła, wychowała, do którego wraca poprzez swoją sztukę i twórczość.

W większości przypadków trudno zatem mówić o tożsamości żuławskiej. Istnieje raczej tożsamość powiązana z danym miejscem zamieszkania, oswojonym na bazie doświadczeń, codziennych kontaktów społecznych, poczucia atrakcyjności danego miasta, wsi czyli tożsamość lokalna. Tożsamość, która wytworzyła się na Żuławach, to ta oparta na własnym doświadczeniu poszczególnej jednostki, bądź grupy, która odnosi się przede wszystkim do terytorium zamieszkania – wsi, miasta, a nie obszaru Żuław jako całości.

Witold Cyranowicz

EKOLOGIA I DOBRE SMAKI W PARPARACH

jednostronnym okiem pasjonata i społecznika



Witold Cyranowicz w Parparach. (fot. arch. autora)

Na początku był smród

Zaczął się, bo wszystko kiedyś się zaczyna, w 2003 roku, kiedy kilka osób z Parpar i Uśnic zaczęło walczyć ze... smrodem. Niezbyt to może górnolotne, ale tak było. W pierwszej połowie 2003 roku zrazu w tych dwóch miejscowościach i w Pogorzałej Wsi, a potem dalej - aż do Malborka, na drugą stronę Wisły czy do Sztumskiej Wsi zaczął docierać przeraźliwy smród z firmy utylizacyjnej SNP Uśnice Sp. z o.o. zlokalizowanej nad Nogatem w Uśnicach. Na terenie firmy zgromadzono parę tysięcy ton (sic!) na wpół przerobionych odpadów z ubojni. Zanieczyszczono niewyobrażalnie Nogat, a po wielorakich interwencjach głównie na szczęblu wojewódzkim, bo wóldarze Sztumu ani smrodu, i zaniegbań ani nie czuli, ani nie widzieli, problem się ... rozszerzył, bo zaczęto na łeb, na szyję wywozić śmierdzący „surowiec” w okolice Prabut i do Tczewa. No, „działo się”! Nie kontynuując tego okropnego tematu dość powiedzieć, że ludzie wpierw animujący, a później działający w Kole NOGAT Polskiego Klubu Ekologicznego popełnili błąd. Dali się omamić obietnicami budowy instalacji przeciwodorowych w zakładzie, obietnic podlanych łzawym sosem o dramacie bezrobocia po ewentualnym zamknięciu utylizatorni.

Bardzo szybko animatorzy Koła NOGAT doszli do wniosku, że dla lepszego ich wizerunku nie mogą być jednostronni. I tak w latach 2004 i 2005 zorganizowali w Uśnicach konferencje poświęcone ochronie Nogatu w odebraniu od katastrofy spowodowanej przez SNP. Spróbowano też inwentaryzowania zasobów dziedzictwa przyrodniczego, historycznego i kulturowego regionu. Szybko nawiązano współpracę z takimi organizacjami jak kwidzińska Eko-Inicjatywa. Współpraca środowiska z kwidzińskimi trwa zresztą do dzisiaj i można nawet ją określić jako modelowy przykład ogniwa sieci współpracy organizacji pozarządowych.

Potem było wino

Odejdźmy już wreszcie od tego tematu, można powiedzieć, hard-ekologii i zajmijmy się czymś odrębnym, aczkolwiek robionym przez wiele lat przez te same osoby, do których piszący te słowa zalicza się z całą pewnością. W lipcu 2003 roku z mojej inicjatywy Parpary zorganizowały chyba pierwszy w historii domowego winiarstwa w Polsce zlot twórców domowych napitków. Dzięki wielkiej przychylności Witolda Zapolskiego-Downar zlot miał miejsce na terenie jego sporej posiadłości w Parparach. Miejsce można powiedzieć magiczne, bo od 2003 roku, wraz z położoną tam słynną Drewnutnią jest miejscem na ogół letnich pielgrzymek winiarzy, miodosytników, piwowarów i – jak się okazało – nie tylko...

Ale na razie wróćmy do winiarzy i roku 2003. Ominął nas wszystkich smród z utylizatorni, skutkiem szczęśliwego ukierunkowania wiatrów w tym czasie. Powstały nowe przyjaźnie, znajomości, które często prze-

trwały do dzisiaj, a już w następnym roku Parpary były miejscem I Konkursu Win, Miodów i Nalewek Domowych. Jesienią, w listopadzie odbyły się po raz pierwszy warsztaty tematyczne – amatorzy zapragnęli nawzajem podwyższać swoje umiejętności.

Podczas zlotu letniego w 2004 r. postanowiono założyć stowarzyszenie. I założono je rok później na zjeździe założycielskim w Warszawie. O ile siedzibą nominalnie była Warszawa, to „centrala” znów była nie gdzie indziej, jak w pewnej małej wsi nad Nogatem. Tam, gdzie był również Oddział Pomorski Stowarzyszenia Winiarzy i Miodosytników Polskich, bo o tej organizacji cały czas tutaj mówimy. Cześnikiem Wielkim Koronnym (prezesem zarządu) i jednocześnie Cześnikiem Pomorskim byłem ja.

Na własny rachunek

Jednocześnie nie mogę nie powiedzieć o rozwijaniu mych pasji, które z jednej strony były i są pasjami ekologicznymi, a z drugiej... w sumie też ekologicznymi. Z tej pierwszej to jakby pozostałość, resentyment po swym wkładzie w Koło NOGAT. W prowadzonym przeze mnie gospodarstwie agroturystycznym pod nazwą Izba Smaku i Trunków Domowych w Parparach można by zrobić wywieszkę – strefa wolna od chemii i żywności modyfikowanej genetycznie. Z drugiej zaś poświęciłem się wytwarzaniu miodów pitnych wychodząc z założenia, że tylko one, a nie trunki robione z cukru buraczanego zasługują na miano trunków i tradycyjnych i ekologicznych. Łączę je zazwyczaj z owocami leśnymi, co dopełnia miary tej ekologicznej ortodoksji.

Tak jak tereny u Witka Zapolskiego są miejscem większych imprez, tak również moja piwnica przekornie nazywana Bejzmętem (uwaga korekta!) są miejscami, do których ciągną pasjonaci i ... smakosze pragnący posmakować czegoś innego, czegoś co z żadnymi substancjami typu E-ileś tam wspólnego nie ma. Ci to smakosze bywają – obok normalnych, pomieszkujących u mnie turystów – w każdy pierwszy piątek miesiąca, kiedy są tzw. Otwarte Podwoje mego „agro”.

A u Witka, na Gapiorach będących dawną nazwą przysiółka, na którym leży jego posiadłość są corocznie Jarmarki Tradycyjnego Rękodzieła i Wiejskiego Jadła. Nie mówiąc już o tym, że znajduje się tam Drewutnia. Co to jest Drewutnia i jak ważką rolę integracyjną pełni ten obiekt - można się dowiedzieć pośrednio z naszych stron internetowych lub też uczestnicząc w niezliczonych imprezach tam robionych przez nasze środowisko.

Konfratrzy na swoim

Skoło padło słowo „środowisko” wróćmy choć na chwilę do grupy ludzi, którzy w okresie lat (mniej więcej) 2005 -2 007 stanowili grupę 20 - 30 osób stanowiących Oddział Pomorski Stowarzyszenia Winiarzy i Miodosytników

Polskich. Otóż na przełomie lat 2007 i 2008 poczuliśmy, że za ciasno nam w gorsecie pasjonatów samych trunków domowych, że chcemy włączyć się w potężniejący z każdym rokiem nurt powrotu do tradycyjnej kuchni, do zdrowej naturalnej żywności. Że chcemy wreszcie odrzucać możliwie cały bagaż tzw. żywności przemysłowej i że to jest dla nas najważniejsze. Stąd też – jak to bywa w takich sytuacjach – poszliśmy na tzw. „swoje”. A to „swoje” to nowe stowarzyszenie pn. Wielka Konfraternia Zaczynającego Jada, Napitku i Rękodzieła.

Siedziba – oczywiście w Parparach. Największe przedsięwzięcia stowarzyszenia oczywiście także w Parparach. Blisko 100 członków stowarzyszenia – już nie tylko w Parparach. Konfraternia ma dwie Kasztelanie. Jedną w Kielcach, a drugą w Gdańsku, skąd pochodzi największa grupa członków organizacji. Inna sprawa, że konfratry z Trójmiasta nader chętnie przyjeżdżają na Gapiory przy każdej możliwej okazji. Od – co jasne i oczywiste – dorocznego jarmarku w sierpniu, do okazji w rodzaju „pępkowego”, kiedy tylko grono subkonfratrów się powiększa. Wtenczas – Drewutnia, te sprawy...

Skorośmy już przy Trójmieście to koniecznie trzeba nadmienić, iż Kasztelania Gdańska pod Kasztelanem Robertem Klimkiem dwa razy w roku w miejscowości Radunica Koło Pruszcza Gdańskiego urządza Warsztaty Masarnicze. To nie jedyne miejsce aktywności Konfraterni poza Parparami, Trójmiastem i Kielcami. Nawet w Warszawie zrobiliśmy udany konkurs nalewek, w którym zespołowi sędziów przewodził Karol Majewski.

Rodzi się kolejny, potencjalnie bardzo prężny ośrodek aktywności stowarzyszenia – Kwidzyn. Nie zapraszamy na razie... No i koniecznie nie zapominajmy o Starostwie Sztumskim Wielkiej Konfraterni Zaczynającego Jada, Napitku i Rękodzieła, gdzie starościną jest Sylwia Monkielewicz.

Koncepcja

Wróćmy jednakowoż do głównego nurtu rozważań o Konfraterni, która jest już teraz jakby miejscem docelowym, czy głównym naszej, jak się okazuje nie tylko lokalnej aktywności. Ambicją konfratrów jest koncentryczny rozwój organizacji w dużej mierze opartej o nowoczesne środki komunikacji (internet) przy zachowaniu jednak zdrowego rozsądku. Chodzi bowiem o to, że wśród konfratrów jest bardzo liczna grupa osób ainternetowych, jeśli można tak powiedzieć. W ogóle średnia wieku sytuuje nas jako organizacja pozarządowa o charakterze raczej dojrzało-członkowskim. Co nie znaczy, że całościowo nie stanowimy jakby przekroju polskiego społeczeństwa pod tym względem.

Musi, koniecznie musi paść pytanie o środki finansowe oliwające tą chyba dość sprawną maszynę. Prócz składek wielkie znaczenie ma wkład pracy i świadczeń, które można nazwać niematerialnymi lub – może lepiej –

nienaliczanymi. I tak mój Bejzmeć wraz z energią, wodą różnymi czynnikami technologicznymi oddawany jest często w pacht warsztatującym u mnie miodosytnikom czy piwowarom.

Witek Zapolski już dawno oddał naszemu środowisku w okresie władanie Drewutnię, Wiatę i przeuroczy teren na Gapiorach dokładając niemałe środki finansowe na utrzymanie tej całkiem sporej i bardzo funkcjonalnej infrastruktury. Gdańszczanin Jurek Szurdak - zwany przez wszystkich Karolem - udostępnia swoją działkę wraz z dużym budynkiem gospodarczym w Radunicy na wspomniane warsztaty masarnicze, a zresztą i nie tylko na nie. Michał Kiziński z Kielc w pocie czoła urządza Kasztelanię Kielecką w podziemiach starej kamienicy.

To było o bazie, może coś przeoczyłem, ale cóż, pamięć czasem płata figle... Trzeba teraz koniecznie powiedzieć o wykorzystaniu tej bazy, o napełnianiu jej życiem i o współpracy, w tym o współpracy w szerszym kręgu.

W działaniu

Nasza baza służy do organizowania wspomnianych przedsięwzięć w rodzaju Jarmarku Tradycyjnego Rękodzieła i Wiejskiego Jadła, czy różnych warsztatów dla konfratrów lub innych osób zainteresowanych. Ale o to, by stać się znanym, a musi na tym zależeć każdej organizacji, staramy się w dość niekonwencjonalny sposób.

Idzie bowiem generalnie o to, że nie mamy środków finansowych na nawet minimalną promocję. Kwartalnik KONFRATER wydawany w nakładzie 1000 sztuk zawisł w próżni z oczywistych względów. No to jak? Ano organizujemy cały szereg coraz bardziej prestiżowych konkursów, które swym propagandowym zasięgiem wykraczają zdecydowanie poza Pomorze. By nie być gołosłownym wyliczę to, co dotyczy samego tylko 2010 roku.

W maju:

- *Konkurs Nalewek, Kremów i Likierów w Klubie PRACOVNIA na warszawskim Żoliborzu*

W sierpniu:

- *IV Pomorski Konkurs Piw Domowych im. Sławomira Pahlke**

- *II Ogólnopolski Etykiet Piw Domowych*

- *IV Pomorski Konkurs Nalewek, Kremów i Likierów im. Elżbiety Szurdak***

- *VII Ogólnopolski Konkurs Win Domowych w Parparach*

- *„Szukając Zapomnianych Smaków Powiśla i Żuław” - Konkurs Jadła*

W październiku:

- *Turniej Bab Ziemniaczanych w Kwidzynie, edycja 2010*

W listopadzie:

- *VII Ogólnopolski Konkurs Miodów Pitnych, w którym po raz pierwszy wezmą udział profesjonaliści wystawiając miody produkowane na rynek w ramach kategorii open.*

Kiedy dodać do tego bardzo aktywną stronę internetową stowarzyszenia – można sądzić, że przyjęta przez zarząd Konfraterni strategia rozwoju ma szanse powodzenia.

W pojedynkę – bez sensu

Na koniec koniecznie trzeba wspomnieć o roli współpracy. Jest to z jednej strony prywatny konik piszącego ten artykuł, z drugiej autentyczna potrzeba czerpania sił z synergii wielu współdziałających organizacji pozarządowych i administracji lokalnej. Konfraternia prócz wspomnianej kwidzyńskiej Eko-Inicjatywy, z którą związana jest od lat szczególnie mocno, współpracuje z Kołami Gospodyń Wiejskich, agendami Urzędu Marszałkowskiego, Starostwem Sztumskim, Malborskim, Tczewskim i Kwidzyńskim. Nie sposób nie wspomnieć o współpracy stowarzyszenia ze Specjalnym Ośrodkiem Szkolno-Wychowawczym w Uśnicach, którego dyrektorka Krystyna Jankowska była zresztą w 2008 roku jednym z założycieli Konfraterni, a wcześniej jednym z filarów Koła NOGAT.

Kończąc...

Jeszcze słowo o dość zagadkowym tytule tego artykułu. No, że od ekologii się wszystko zaczęło – to już wiadomo. A gdzie (względny) koniec? Wyjaśniam, że o ile wyłączyłem się z szerszego działania w organizacjach ekologicznych, bo doba ma tylko 24 godziny, to w dalszym ciągu staram się włączać w najprzeróżniejsze akcje. Skoro mam gospodarstwo agroturystyczne, w którym epatuję uprawą biodynamiczną warzyw i owoców oraz gdzie przy wytwarzaniu żarełka restrykcyjnie odrzucam surowce, które mogą mieć tylko związek z GMO – idę dalej! Ostatnio, przy okazji Turnieju Bab Ziemniaczanych w Kwidzynie zbierałem podpisy przeciwko zgodzie rządu polskiego na uprawę genetycznie modyfikowanych kartofli AMFLORA w naszym kraju.

I tak to mieszczuch (przeprowadziłem się z aglomeracji warszawskiej do Parpar raptem w 2001 roku) cały czas tkwi w obrębie szeroko pojętej ekologii...

witold.cyranowicz@konfraternia.org

Członek Europejskiej Sieci Dziedzictwa Kulinarnego

www.konfraternia.org

www.parpary.pl

* Marketingowiec, którego wysiłek legł u podstaw rosnącej potęgi AMBER-a, który też zasłużył się piwowarstwu domowemu nie tylko na Pomorzu.

** Ela była jedną z założycielek Konfraterni, a w cywilu genialną kucharkę (uwaga korekta!) i wędzarniczką; nie mówiąc już o nalewkach...

Grzegorz Gola

MACHANDEL

smak żuławski z wędzoną śliwką



Naklejka na butelce Machandel.

Działania na rzecz ochrony dziedzictwa kulturowego i naturalnego i odbudowy tożsamości regionalnej Żuław delty Wisły nie zawierają zbyt wielu elementów dotyczących zachowania, promocji i zagospodarowania tradycji kuchni i produktów kulinarnych. Nie jest dobrze wykorzystany tradycyjny potencjał rolniczego regionu oraz istniejące doświadczenia polskie i zagraniczne w celu stworzenia, opartego na bogatej wielonarodowej kulturze, standardu żuławskiej marki produktu kulinarnego.

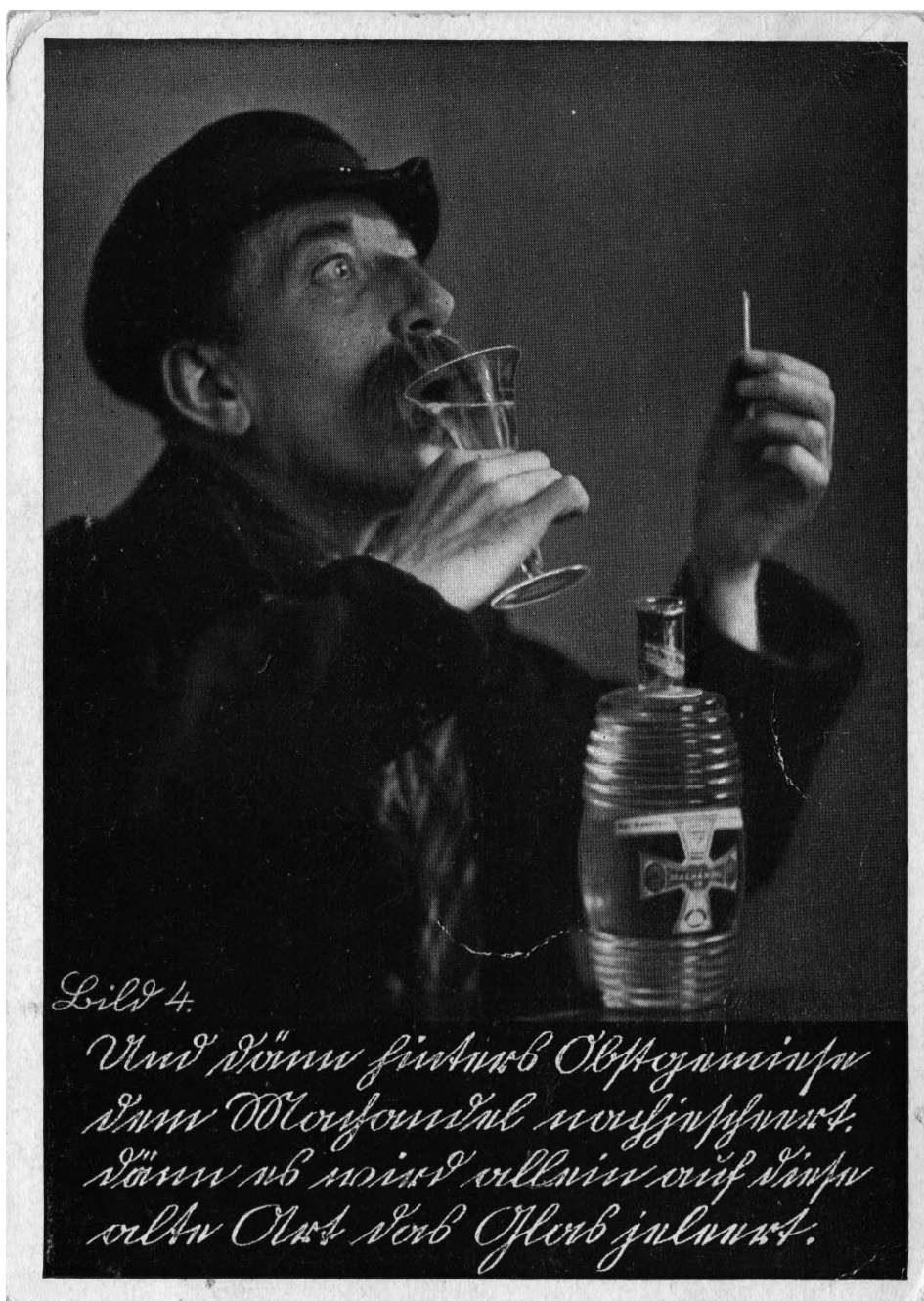
Jednym z tradycyjnych i najbardziej znanych w świecie produktów pochodzących z delty Wisły jest Stobbes Machandel – jałowcówka produkowana od 1776 roku przez rodzinę Stobbe w Nowym Dworze Gdańskim (dawniej Tiegenhof). Wytwórnia znajdowała się ongiś w miejscu, gdzie od początku istnienia dworu Loitzów i osady znajdowała się gorzelnia, czyli nad Tugą przy dzisiejszej ulicy 3 Maja oraz naprzeciwko tego miejsca, na prawym brzegu rzeki, gdzie stały spichlerze, dom i kantor kupiecki należący do rodziny.

Po wkroczeniu Armii Czerwonej na Żuławy w marcu 1945 roku istniejące wówczas zasoby wytwórni skonfiskowano. Ówczesny właściciel firmy Bernhard Stobbe został wysłany do radzieckiego obozu pracy skąd został zwolniony w 1949 roku. Dwa lata później, dzięki ocalonej recepturze, udało się w Oldenburgu wznowić produkcję Machandla. W 1970 firmę Stobbego przejęła niemiecka wytwórnia G. Vetter. Obecnie oryginalny Stobbes Machandel produkuje firma niemiecka Marken Horst w Osnabrück. Stamtąd jest on sprowadzany na specjalne okazje na Żuławy.



Degustacja Machandla w Cyganku. (fot. M. Opitz)

Zwyczaj picia Stobbes Machandla upowszechnił się w okresie istnienia Wolnego Miasta Gdańska, na obszarze którego znajdował się wówczas Nowy Dwór. Najbardziej znany jest sposób jego spożywania, opisany w lite-



Instrukcja picia Machandla w wykonaniu gdańskiego aktora Gustawa Norda.



Sklep Machandla w Gdańsku.

raturze i znany z przedwojennych reklam trunku, z suszoną śliwką nadzianą na wykałaczkę. Po spożyciu śliwki, namoczonej w Machandlu, wypija się trunek, a wykałaczkę łamie i pozostawia w kieliszku. Charakterystycznym atrybutem Stobbes Machandla jest także kształt butelki i kieliszków w formie beczulek. Można je obejrzeć, m.in. w Muzeum Żuławskim w Nowym Dworze Gdańskim.

Grupa osób skupionych w Klubie Nowodworskim postanowiła wskrzesić pradawny ceremoniał. W tym celu, w kwietniu 2009 roku, podczas zjazdu byłych mieszkańców Żuław i Nowego Dworu Gdańskiego w Lubece-Travemünde, zwróciła się do potomków rodziny Stobbe – Rudolfa i Ott-Heinricha o nadanie prawa do publicznego demonstrowania rytuału degustacji, jako dawnym żuławskim obyczajowi kulinarnym. Pomysł został zaakceptowany. Mianowano Mistrzów Ceremonii Degustacji Stobbes Machandel. Są nimi Barbara Chudzyńska, Grzegorz Gola, ks. Dariusz Juszcak, Bolesław Klein, Szymon Klein, Harry Lau, Piotr Opitz i Marek Opitz. Mistrzowie Ceremonii mają prawo nadawania certyfikatów uczestnictwa w ceremonii degustacji Stobbes Machandel osobom, które osobiście wezmą udział w tradycyjnym rytuale.

Certyfikat posiada następujące brzmienie: *Niniejszym potwierdzam, że (tu imię i nazwisko osoby) posiada znajomość kilkusetletniej, sławnej w świecie, tradycyjnej żuławskiej i gdańskiej procedury spożycia Stobbes Machandel z nadzianą na wykałaczkę suszoną w dymie śliwką – tu widnieje podpis Mistrza Ceremonii Degustacji Stobbes Machandel. Na certyfikacie dopisu-*

je się także miejsce i datę degustacji oraz uwagę: tytuł Mistrza Ceremonii Degustacji Stobbes Machandel nadali 18 kwietnia 2009 roku Ott-Heinrich Stobbe i Rudolf Stobbe.

Jedną z pierwszych certyfikowanych degustacji odbyła się 13 maja 2009 r. podczas zakończenia Roku Żuław w Sali Siedmiofilarowej na Zamku w Malborku. Oprócz tego ceremoniał degustacji był prezentowany na konferencji naukowej „Historie kuchenne. Rola i znaczenie pożywienia w kulturze” w Cieszynie, 19-20 czerwca 2009 roku. Certyfikaty otrzymało już kilkaset osób, w tym głównie członkowie grup odwiedzających Muzeum Żuławskie i jego filię – Lapidarium 11 wsi w Żelichowie-Cyganku.

Ukazanie cech wyjątkowości dziedzictwa kulinarnego, takiego jak rytuał degustacji Stobbes Machandla, ale także innych, mniej lub bardziej znanych, również tych powojennych, potwierdza atrakcyjność regionu, zwiększa się stopień utożsamiania mieszkańców z miejscem zamieszkania. Jest to bowiem bardzo atrakcyjna część dziedzictwa kulturowego Żuław.

Zdjęcia pochodzą z archiwum autora.

ks. Andrzej Starczewski

Żuławskie świątynie



Mątowy Wielkie – feretron z przedstawieniem bł. Doroty z Mątew. (fot. Andrzej Starczewski)

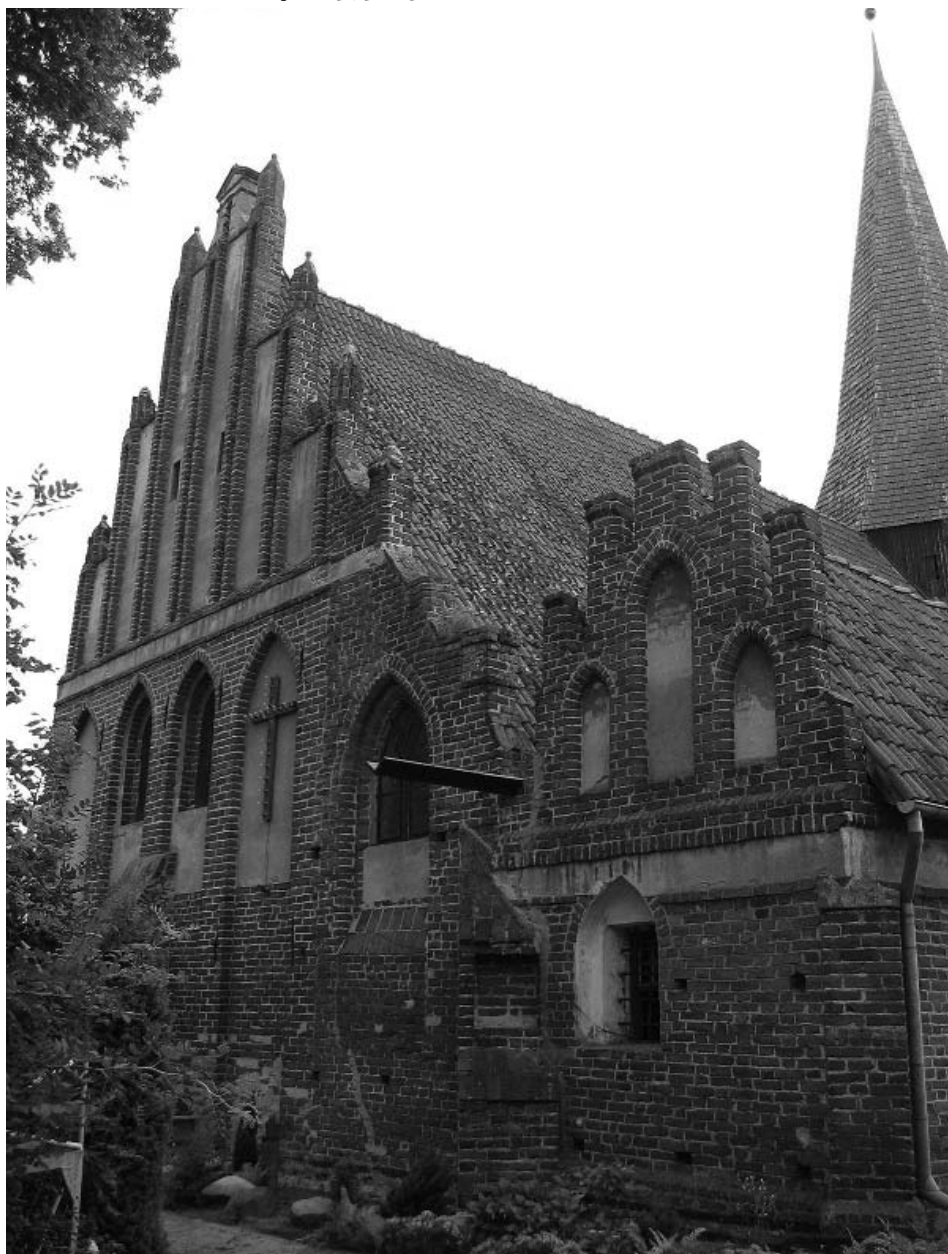
Mątowny Wielkie

Żuławy, ze względu na żyzne ziemie już w średniowieczu były magnesem osadnictwa. Bardzo trudne warunki – gęsta sieć cieków wodnych, urodzajna, choć wymagająca wytężonej pracy, ziemia – uczyły szacunku i sprzyjały ukształtowaniu specyficznej kultury materialnej. Jej najbardziej reprezentatywnymi elementami były budowle hydrotechniczne – ziemne wały przeciwpowodziowe, kanały, wrota wodne oraz wiatraki jako urządzenia pompujące. Powstawały również domostwa z zagrodami gospodarczymi typu „olęderskie”. Materialnym wyrazem kultury duchowej były powstające budowle sakralne. Te zabytki architektury budowano w okresie, gdy ziemie te znajdowały się pod panowaniem Zakonu Krzyżackiego. To wszystko stanowi dzisiaj indywidualny walor oblicza tego pięknego zakątka Polski. W gminie Miłoradz zbudowano siedem kościołów. Dzisiaj, stanowią one zespół cennych zabytków architektury gotyckiej na Żuławach. Kościoły w Kończewicach, Miłoradzu, Starej Kościelnicy i Mątownych Wielkich, zachowały zabytkową substancję gotycką. Ten ostatni, jest też „świadkiem” chrztu, bierzmowania i ślubu błogosławionej Doroty. Podniesiony jest do rangi sanktuarium tej świętej z Mątownych Wielkich. Świątynia w Gnojewie jest jedną z najstarszych budowli szkieletowych. Kościół w Pogorzałej Wsi został w 1829 r. przebudowany na bazie murów gotyckich. Jedynie nie zachował się kościół w Bystrzu, który został rozebrany w 1820 r. Cennym i niepowtarzalnym zabytkiem tamtej epoki jest *ossarium* (*krypta, urna zawierająca prochy zmarłego, kościelnica*) w Bystrzu i kapliczka przydrożna w Gnojewie. Ta żuławska architektura średniowieczna, stanowi charakterystyczną grupę zabytków nie tylko w skali regionu, ale całej Polski i Europy. Również ich wyposażenie jest niezwykle bogate i wyjątkowo cenne. Wszystko to stanowi świadectwo zmiennych dziejów i wielokulturowości tej krainy geograficznej.

Miejsce narodzin błogosławionej Doroty

Błogosławiona Dorota Swartze urodziła się 25 stycznia 1347 r. w Mątownych Wielkich, jako najmłodsze z dziewięciorga dzieci Agaty i Wilhelma. Ochrzczona została 6 lutego tego roku, zaś Pierwszą Komunię św. przyjęła 8 kwietnia 1357 r. Te pierwsze sakramenty zostały udzielone w tutejszym kościele, zbudowanym w pierwszej połowie XIV wieku. Proboszcz Doroty, ks. Otto, zaświadczał, że wiernie zachowywała posty, a do przyjmowania Komunii św. przygotowywała się dodatkowymi wyrzeczeniami. To tłumaczy, dlaczego tak szybko, jak na ówczesne czasy wyjątkowo, Dorotę dopuszczono do tego sakramentu.

W siedemnastym roku życia, w 1363 roku, Dorota wyszła za mąż za starszego od siebie o dwadzieścia lat Alberta, płatnerza z Gdańska. Po ślubie zamieszkała w Gdańsku przy ul. Długiej, gdzie mąż miał swój warsztat. Małżeństwo Doroty obdarzyło życiem dziewięcioro dzieci. Z wyjątkiem najstarszej córki Agaty i najmłodszej Gertrudy - Elżbiety - pozostałe siedem zmarło wskutek zarazy w 1373 i 1382 r.



Mątowy Wielkie – widok na wschodnią ścianę kościoła i zakrystii. (fot. Andrzej Starczewski)

Dorota spędzała długie godziny na modlitwie w kościołach gdańskich, ściągając na siebie szyderstwa nie tylko miejscowej ludności, ale nawet ze strony męża. Została też przez niego tak dotkliwie pobita, że będąc w stanie zagrożenia życia przyjęła sakrament namaszczenia chorych. Wszelkie trudy Dorota znosiła jednak z cierpliwością, modląc się o nawrócenie męża, który prowadził życie towarzyskie i zabiegał głównie o dobrobyt materialny. W 1384 r., mimo różnic charakteru, Albert odbył jednak z Dorotą pielgrzymkę do Akwizgranu i Finsterwalde – już po śmierci siedmiorga dzieci. To doświadczenie, modlitwa żony, miały odmienić zachowanie Alberta. W roku 1389 pozwolił Dorocie na samodzielną podróż do Rzymu. Podczas pobytu Doroty u grobu Św. Piotra w 1390 r., w Gdańsku Albert zmarł. Dorota moment śmierci męża, będąc na modlitwie, odczuła duchowo. Po powrocie z Rzymu została sama, gdyż jedyna córka Gertruda – Elżbieta wstąpiła do cystersek w Chełmnie. Dorota mogła teraz swobodnie dysponować swoim czasem.

Jej stały spowiednik ks. Mikołaj z Pszczółek, skierował ją po porady duchowe do słynnego krzyżackiego teologa ks. Jana z Kwidzyna. Czas spędzony w stolicy biskupstwa pomezańskiego, należy do najbogatszych w przeżycia duchowe przyszłej rekluzy (*zakonnica zobowiązująca się do nie opuszczania własnej celi i nie kontaktowania się z innymi zakonnicami*). Błogosławiona Dorota odznaczała się bardzo głębokim życiem religijnym, które pielęgnowała przez całe swoje życie. Mała Dorota naśladowała pobożność rodziców, szczególnie matki. Rozważała na kolanach mękę Chrystusa. Podczas odprawiania Drogi Krzyżowej, występował na jej twarzy zimny pot. Dorota codziennie odmawiała *Wierzę w Boga i Ojcie nasz*.

Według zeznań Jana Reymanna, jednego z ostatnich jej spowiedników, już od dziesiątego roku życia, matka pozwalała jej pościć w Adwencie i Wielkim Poście. Pościła także przed przyjęciem Komunii. Św. Dorota dużą czią obdarzała Mękę Chrystusa. Odmawiała rodzaj różańca świętego – codziennie rozważała pięćdziesiąt razy *Zdrowaś Maryjo*. W późniejszym czasie codziennie spowiadała się, a nawet uzyskała pozwolenie na częste przyjmowanie Komunii św. Pod koniec życia mogła codziennie przyjmować Pana Jezusa w Komunii św. i nieustannie adorować Chrystusa Eucharystycznego. Modlitwa przed Najświętszym Sakramentem stanowiła dla niej najwyższą wartość.

Do Kwidzyna Dorota przybyła 23 maja 1391 r. Bardzo szybko wyjawiała Janowi z Kwidzyna, swój zamiar spędzenia reszty życia w zamurowanej celi katedry. Po zasięgnięciu opinii kapituły biskup wyraził zgodę. Podobną zgodę wydał w końcu kwietnia 1393 r. wielki mistrz – Konrad von Wallenrod. Zbudowano przy katedrze małą celę tylko z otworem, przez który był widoczny ołtarz. Przez ten otwór Dorota otrzymywała Komunię św. W dniu 2 maja 1393 r., po uroczystych nabożeństwach, procesyjnie wprowadzono Dorotę do celi i zamurowano wejście. Tak wreszcie zostało spełnione jej ży-

czenie. Od tej pory mogła żyć w bliskim kontakcie ze swoim Panem. W celi trwała na modlitwie, czuwaniach i umartwieniach. Ciągłe adorowała Najświętszy Sakrament.

Do córki Gertrudy, cysterki, pisała: *Panie, pragnę Cię przyjąć. Rozpoznaję Cię jako potężnego sędziego nad wszystkimi grzesznikami i grzesznicami, sama poznaję siebie jako człowieka, siedzącego przy drodze i żebrzącego.*



Mątowy Wielkie – ołtarz boczny w nawie północnej. (fot. Andrzej Starczewski)

*go z prawdziwej potrzeby: Panie Jezu, Synu Dawida, pomóż mi. Zamilknąć powinno wszystko to, co jest blisko mnie: świat, zły duch, moje własne ciało. Jeszcze raz wołam: Panie Jezu, Synu Dawida, pomóż mi! A jeśli zapytasz się Panie, czego chcę, to odpowiem Ci, że w mojej duszy widzę tylko Twoją chwałę. Panie wpadłam w sidła złoczyńców i leżę tam prawie bez znaku życia. Po-
lej winem Twojej łaski i olejem Twego miłosierdzia na moje śmiertelne rany, abym godnie przyjęła Twoje święte, prawdziwe i szlachetne Ciało.*

Dnia 25 czerwca 1394 r. Dorota zmarła w kwidzyńskiej katedrze w opinii świętości. Uroczystości pogrzebowe trwały 30 dni. Wziął w nich udział biskup Jan, a kazanie na temat jej świętego życia wygłosił ks. Jan z Kwidzyna. Ciało Doroty złożono w krypcie biskupów pomezkańskich. W roku 2006 minęło 30 lat od kiedy to papież Paweł VI w dniu 9 stycznia 1976 roku, zezwolił Kongregacji do spraw Świętych na opublikowanie Dekretu, który zatwierdzał, zgodnie z Konstytucją papieża Urbana VIII kult Doroty z Mątew, wdowy i rekruty zwanej „Błogosławioną lub Świętą”. Jej święto wyznaczono wówczas na 25 czerwca – dzień „narodzin dla nieba”.

Parafia i kościół

Pierwsza wzmianka o Mątowach pochodzi z 1321 roku. Parafia, której przywilej lokacyjny wystawił wielki mistrz Ludolf König, powstała w latach 1342–1345, tuż przed narodzeniem Doroty. Wówczas rozpoczęto też budowę kościoła parafialnego. Tajny radca budowlany Bernhard Schmid (1872–1947), pełniący obowiązki konserwatora zabytków Prus Wschodnich, prowadząc badania mątowskiego kościoła na początku XX wieku, określił go jako jeden z najstarszych kościołów ryglowych w Prusach. Świadczą o tym zachowane fragmenty muru ryglowego w postaci kratownicy, której słupy i ukośne przypory wbudowane są w ścianę wschodnią wraz ze szczytem i w przylegającą do niej część ściany południowej. Z tego czasu do dzisiaj zachowała się wschodnia część drewnianej więźby dachowej. Profesor historii sztuki Uniwersytetu Gdańskiego Christofer Herrmann w 2005 roku, na podstawie badań dendrochronologicznych datuje tę część więźby na lata 1362–1365. Z tego okresu pochodzi też drewniana konstrukcja nośna dzwonów. Zachowały się dwie belki ze wschodniej części wieży. Są to najstarsze i jedyne belki dębowe, gdyż cała konstrukcja więźby dachowej i wieżowej jest z belek sosnowych.

Pierwotnie istniała tylko nawa główna, która miała 8,65 m szerokości zewnętrznej. Jednak w krótkim okresie przebudowano ściany na masywniejsze i jednocześnie powiększono kościół. Profesor Politechniki Gdańskiej Jerzy Stankiewicz twierdził, że przebudowę kościoła ryglowego na murowany w wątku gotyckim przeprowadzono obmurowując od zewnątrz konstrukcję ryglową, albo kolejno wymieniając poszczególne ściany ryglowe na ceglane.

Obmurowano najpierw ścianę wschodnią, dostosowując architekturę blend do istniejących słupów. Podobnie postąpiono ze wschodnim fragmentem ściany południowej. Prace te wykonano w połowie XIV wieku. Natomiast część zachodnią ściany południowej rozebrano i postawiono nowy, pełny mur, dobudowując południową kruchtę złączoną organicznie z tą ścianą. Następnie usunięto drewnianą podstawę wieży, budując w jej miejsce murowaną, zachowując jedynie drewnianą konstrukcję dla dzwonów. Kolejnym etapem prac było dobudowanie nawy północnej i trzech przęseł arkad między nawowych. W ostatniej fazie zbudowano zakrystię przy północnej ścianie kościoła. Wszystkie te prace wykonano w drugiej połowie XIV wieku.

Podczas wizytacji w 1647 roku bp Andrzej Leszczyński napisał, że kościół parafialny w Mątowach Wielkich zbudowany jest z muru łączonego z ryglem, natomiast dzwonnica zbudowana jest z muru pełnego w dolnej części, a z drewna w części górnej. Podczas II wojny szwedzkiej (1626–1629) poważnie została uszkodzona wieża kościoła trafiona kulą armatnią. W 1700 roku bp Teodor Potocki zapisał, że dach i dzwonnica kościoła są w tak złym stanie, że deszcz przelatuje do środka. Także podczas jednej z kolejnych wizytacji bp Feliks Kretkowski upomniął i zachęcał proboszcza aby zatroszczył się o odnowę i konserwację kościoła. W 1741 roku wieża została ponownie odbudowana. Dach kościoła został pokryty dachówką, a hełm wieży dębową klepką. W 1908 roku hełm wieży był remontowany pod kierownictwem Krajowego Zarządu Budowlanego. Wieża została całkowicie pokryta nowym gontem dębowym. W roku 1995 przeprowadzono remont wieży.

Gotycki kościół pod wezwaniem Św. Piotra i Pawła w Mątowach Wielkich to obiekt orientowany, dwunawowy, założony na planie prostokąta bez wydzielonego architektonicznie prezbiterium, o wewnętrznych wymiarach 10,75 m szerokości i 19,80 m długości. Korpus nawowy nakryty jest wysokim, dwuspadowym dachem. Do północnej ściany, na wschodniej linii elewacji, dobudowana jest zakrystia nakryta dwuspadowym dachem.

Od zachodu, kościół ma masywną, trzykondygnacyjną wieżę, założoną na planie kwadratu, pod którą znajduje się główne wejście do kościoła. Dwie dolne kondygnacje wieży są murowane. Na izbicy znajduje się metalowy krzyż jerozolimski, a pod nim wykuty w metalu kogut z rytymi dwiema datami: 1766 i 1908. Wieża ma 21,30 m wysokości. Wewnątrz, w pomieszczeniu dzwonnicy na trzeciej kondygnacji, zawieszony jest dzwon odlany w 1651 roku. Jest również dzwon alarmowy, z napisem *me fecit* A. W. Ano 1700 („stworzył mnie A.W. w 1700 r.”) umieszczony na wschodnim szczycie kościoła.

Kościół wzniesiony został z różnych rozmiarów cegły wiązanej w wątku gotyckim. Wnętrze kościoła jest dwunawowe. Południowa nawa jest dwukrotnie szersza i nieco wyższa od północnej. W 1669 roku stropy zostały pomalowane i ozdobione wzorami kwiatowymi. Około 1740 roku stropy obu

naw wymieniono na nowe, a dwa lata później pomalowane według wzorów barokowych. Kruchtę pod wieżą nakrywa strop belkowy. Zakrystia natomiast przesklepiona jest ceglanym stropem o konstrukcji pozornej beczki.

Wypośażenie kościoła

Kościół Św. Piotra i Pawła w Mątowach Wielkich ma obecnie barokowe wyposażenie wnętrza z elementami gotyckimi. Ołtarz główny pochodzi z 1723 roku. Ma architektoniczne, dwukondygnacyjne *retabulum*, (rzeźbiona lub malowana nastawa ołtarzowa, umieszczona na postumencie) ze zwieńczeniem o bogatej dekoracji rzeźbiarskiej. W części centralnej znajduje się neobarokowy obraz Św. Piotra i Pawła, a w drugiej kondygnacji owalny obraz *Koronacja Najświętszej Maryi Panny przez Trójkę Przenajświętszą*. Ołtarz ozdobiony jest czterema rzeźbami: św. Jakuba Starszego i św. Kazimierza oraz św. Jana Chrzciciela i św. Jana Ewangelisty. W zwieńczeniu znajduje się symbol *Oko Opatrzności Bożej* i rzeźby dwóch aniołów.

Ołtarz boczny w nawie północnej pochodzi z pierwszej połowy XVIII wieku. Ma jednokondygnacyjne, architektoniczne, trójosiowe *retabulum*, ze zwieńczeniem. W środkowej niszy, pomiędzy parą kolumn znajduje się drewniana, polichromowana gotycka rzeźba Matki Bożej Stolicy Mądrości. Ta bezcenna rzeźba pochodzi z pierwotnego, gotyckiego ołtarza głównego. Na cokole ustawiony jest tron z wysokim oparciem i ściankami policzkowymi zdobionymi maswerkami. Na tronie widnieje siedząca postać Matki Bożej z uniesioną lewą ręką w geście błogosławieństwa, z prawą zaś podtrzymującą Dzieciątko. Rzeźba ta pochodzi z przełomu XIV/XV wieku i jest najstarszym tej klasy zabytkiem w mątowskim kościele.

Południowy ołtarz boczny w prezbiterium pochodzi z pierwszej połowy XVIII wieku. *Retabulum* tego ołtarza jest jednoosiowe, dwukondygnacyjne ze zwieńczeniem. Znajdują się w nim dwa okrągłe obrazy: św. Agnieszki i nad nim bł. Doroty. Ten drugi obraz pochodzi z 1750 roku i przedstawia błogosławioną trzymającą w dłoniach serce, w które skierowane są trzy strzały.

Tabernaculum z XIV wieku znajduje się w występie filaru przy głównym ołtarzu po stronie zakrystii. Ma formę kasy pancernej wmurowanej w filar. W latach 70-tych ubiegłego stulecia po Soborze Watykańskim II, zastąpiło średniowieczne *sacramentarium*. Pozostały w kościele jedynie drewniane drzwi z gotyckimi okuciami i zamkiem zasuwowym. Na zewnątrz namalowana była kiedyś postać Ecce homo. Wewnątrz zachowała się malowana temperą (prawdopodobnie ok. 1450 r.) postać księdza w ornacie, prawdopodobnie św. Jacka trzymającego monstrancję.

Pierwotne *sacramentarium* z tego kościoła zachowało się do dnia dzisiejszego. Od 1975 roku do 2005, eksponowane było w Muzeum Archidiecezji Gdańskiej. Obecnie, po zabiegach konserwatorskich, powróciło do parafii

św. Piotra i Pawła w Mątowach. *Sacramentarium* wydrążone jest z jednego pnia dębu, umocnione dwiema metalowymi listwami. Można przypuszczać, że to wyjątkowe, niepowtarzalne, bezcenne gotyckie tabernakulum, zostało zamontowane w drugiej połowie XIV wieku, podczas ostatniej przebudowy kościoła. Do 1637 roku używano go do przechowywania Najświętszego Sakramentu, następnie przez jakiś czas przechowywano w jego wnętrzu oleje święte.

Ambona barokowa pochodzi z połowy XVIII wieku. Ma sześcioboczny korpus, ozdobiony na płycinach malowidłami czterech Ewangelistów. Baldachim jest także sześcioboczny, zwieńczony wolutami z koroną i krzyżem. W pierwszej połowie XVIII wieku zbudowano drewniane, ażurowe *baptysterium*. (gr. „baptidzein”- zanurzać w wodzie – budowla sakralna służąca obrzędowi chrztu mieszcząca chrzcielnicę lub basen chrzcielny). Usytuowane jest ono pod chórem, w północno-zachodnim rogu kościoła. Wewnątrz stoi gotycka chrzcielnica z XIV wieku, składająca się z czaszy wykonanej z czerwonego granitu w kształcie półkuli, osadzonej na walcowatym trzonie. Chrzcielnica znajdowała się pierwotnie pośrodku kościoła, a po zbudowaniu *baptysterium*, przeniesiono ją pod chór. Ma drewnianą pokrywę, a wewnątrz metalowy kocioł na wodę. Barokowa polichromia stropowa pochodzi z połowy XVIII wieku.

Błogosławiona Dorota rodząc się w 1347 roku, z biegiem lat, stała się świadkiem budowy pierwszej świątyni w Mątowach Wielkich i później jej przebudowy. Tu przyjęła sakrament chrztu świętego, tu przystąpiła po raz pierwszy do sakramentu pokuty i tu przyjęła sakrament eucharystii oraz zawarła sakramentalny związek małżeński. Jest wielce prawdopodobne, że istniejące do dziś elementy architektoniczne oraz gotyckie elementy ruchome wyposażenia wnętrza, były historycznym świadkiem wtajemniczenia chrześcijańskiego Doroty. Świadczy o tym część pierwotnej bryły kościoła z zachowanymi elementami drewnianej więźby dachowej wieży. Chrzcielnica, w której 6 lutego 1347 roku została ochrzczona Dorota, czy *sacramentarium* gotyckie mogły stanowić w ówczesnym czasie elementy wyposażenia kościoła.

Budynek kościelny w Mątowach w sensie duchowym jest symbolem Kościoła, ludu Bożego, a zarazem symbolem niebieskiego Jeruzalem. Jest orientowany – zwrócony na wschód (orient), tzn. jego oś podłużna przebiega z zachodu na wschód. Dzięki temu nawa kościelna staje się symbolem wędrówki ludu Bożego podążającego z ciemności ku wschodowi słońca, ku Chrystusowi – prawdziwej Światłości. Swoją drogę do świętości Błogosławiona Dorota rozpoczęła właśnie w kościele parafialnym w Mątowach Wielkich.

Przemysław Nehring

O PIĘKNYM KRAJU BUNKRÓW I STARYCH MERCEDESÓW



Berat - Albania (fot. P. Nehring)

Kilka lat temu, zwiedzając sławną galerię Tate Modern w Londynie wszedłem do sali, w której wyświetlano niezwykle film dokumentalny. Dziełem sztuki nowoczesnej, które stało się eksponatem pokazywanym za pomocą tego medium, było tajemnicze miasto. Widz oglądał je z okien samochodu wolno snującego się nocą po marnie oświetlonych ulicach, a w tle słysząc było opowieść jadącego na tylnym siedzeniu pasażera, jak się okazało, tamtejszego burmistrza. Nie tylko nie potrafiłem rozpoznać języka, jakim mówił, ale nawet przyporządkować go do żadnej ze znanych mi rodzin językowych. Dzięki angielskim napisom zorientowałem się natychmiast, że tajemniczy kraj, w którym leży to miasto, znajduje się gdzieś w Europie. Wydawało mi się wtedy, że przemierzyłem już Stary Kontynent wzdłuż i wszerz, i że nie ma na nim takich miejsc ani języków, które nie mogły mi się zupełnie z niczym dotychczas znanym kojarzyć. A tu niespodzianka.

Fasady wszystkich niemal domów w tym mieście były pomalowane jaskrawo, wesoło i odważnie, jak piękne dekoracje projektowane przez Anatola Radzinowicza do starego filmu o Królu Maciusiu I, który pamiętałem z dzieciństwa. O ile jednak tamta bajkowa sceneria, zbudowana przez scenografów, zajmowała cały kadr filmu, o tyle w kadrze, zakreślonym kształtem okna samochodu burmistrza, kolorowe ściany domów stanowiły tylko tło dla szarej sceny, na której rozgrywało się smutne życie miasta. Na brzegu rzeki kłębiły się zwaly śmieci, nieogoleni mężczyźni o smagłych cerach grzali się przy koksownikach, a przy drogach straszyły wraki starych mercedesów. Estetyczny kontrast między dwoma światami – artystyczną wesołością kamienic i smutną, a nawet groźną scenerią, w której tkwili, jak statyści w kręconym właśnie filmie, prawdziwi nocni mieszkańcy mijanych miejsc – nadawał całemu obrazowi irracjonalnego, a zarazem poetyckiego niemal kolorytu. Burmistrz, z wykształcenia malarz, opowiadał o swoim mieście, którego smutek postanowił leczyć szczególną terapią za pomocą sztuki. Tym miastem, poddanym niezwyklej kuracji, była stolica Albanii – Tirana, a ów lekarz-wizjoner nazywał się Edi Rama. Żaden inny eksponat szacownej londyńskiej galerii nie zrobił na mnie tak wielkiego wrażenia jak ten prosty dokumentalny film. Zawładnął on moją wyobraźnię o wiele bardziej niż sławne prace Picassa czy Kandinsky’ego, które miałem tu na wyciągnięcie ręki. Wtedy jeszcze nie wiedziałem, że uda mi się zobaczyć to kolorowe miasto na własne oczy, nie wiedziałem też, że odkryję całą gamę innych, nieznanymi mi dotychczas estetycznych doznań i zmysłowych wręcz smaków, którymi Albania hojnie może obdarować każdego, kto zechce ją odwiedzić.

Ruszając w moją podróż „do Babadag” wiedziałem bardzo mało o tym dziwnym kraju, którym przez całe dziesięciolecie powojennej historii władał despotyczny Enwer Hodża, a który z wielkim trudem stara się w ostatnich dwóch dekadach wydobyć z totalnej izolacji, w jaką wpędziło go polityczne szaleństwo przywódcy. Jedynymi Albańczykami, których do tego czasu



Butrin (fot. P. Nehring)

kojarzyłem, byli smagli młodzi ludzie myjący na ulicach Rzymu szyby samochodów i sprzedający drobne towary kierowcom, zatrzymującym się na kilkadziesiąt sekund na ruchliwych skrzyżowaniach Wiecznego Miasta. Ci rzucający się w oczy biedni ludzie, którzy zwykle jako nielegalni imigranci przyrywali do Italii na rozklekotanych barkach, stanowili oczywisty dowód na to, że ich ojczyzna nie jest krajem mlekiem i miodem płynącym. Przemierzając pocięte wojną i powojennym bałaganem Bałkany zastanawiałem się, kogo spotkam na miejscu. Przewodnikowa turystyczna wiedza, telewizyjny program z gadającymi głowami, fabularny film nakręcony na podstawie powieści eksportowego pisarza Albanii czy w końcu proza Andrzeja Stasiuka zafascynowanego Bałkanami, dawały mi co prawda jakieś wyobrażenie o samym kraju i mentalności jego mieszkańców, ale i tak nie mogłem się wyzbyć podszytych stereotypem przedsądów, wedle których Albania „powinna była być” biedna, zacofana, nieufna a nawet do pewnego stopnia niebezpieczna dla obcych. Ponieważ doskonale wiem, jak bardzo krzywdzące bywają stereotypy – jako Polak spędzający sporo czasu w różnym miejscach Europy nie raz boleśnie się o tym przekonywałem – koniecznie chciałem na własne oczy zobaczyć ten najbardziej chyba jeszcze tajemniczy kraj Europy.

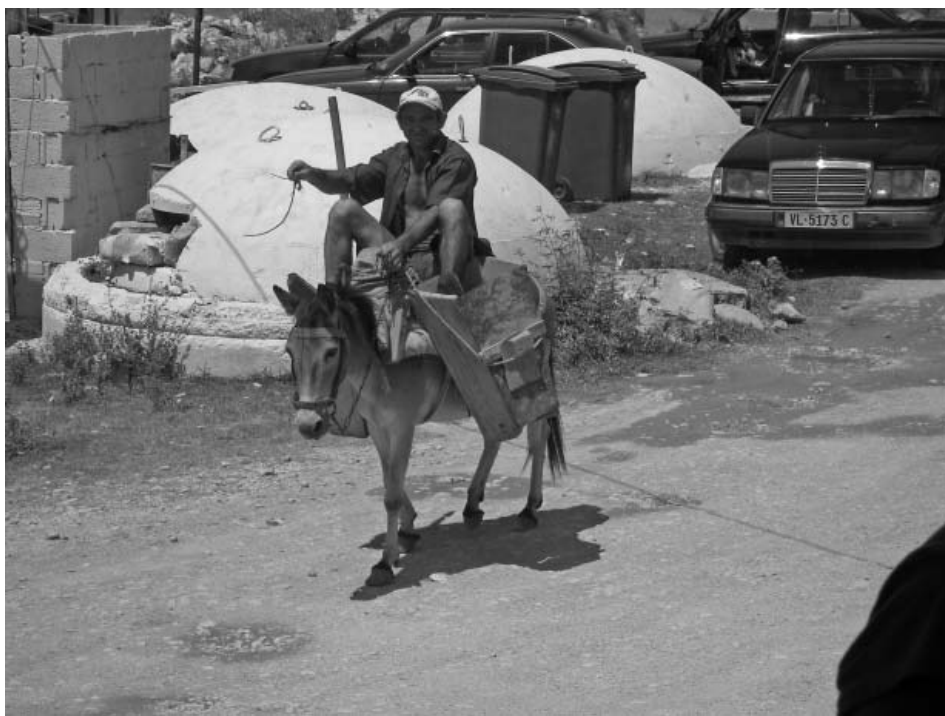
Miałem ogromne szczęście, że wśród towarzyszy mojej podróży były dwie osoby, które na bieżąco przekładały mi bałkańską i albańską specyfikę na język zrozumiały dla człowieka wykształconego w zachodniej kulturze:

moja serdeczna przyjaciółka Bułgarka, od lat mieszkająca w Polsce, i urodzony w Tiranie syn Albanki i polskiego dyplomaty, który dzisiaj jest honorowym konsulem Albanii w Polsce. Ci mądrzy i dobrzy ludzie pozwolili mi zobaczyć i zrozumieć znacznie więcej, niż można dojrzeć z okien turystycznego autobusu i dowiedzieć się z turystycznego przewodnika.

Nie ma drugiego takiego kraju w Europie, a pewnie i w świecie, którego krajobraz jest tak charakterystyczny, że nie sposób go pomylić z żadnym innym miejscem. Wcale nie chodzi tu o wspaniałą przyrodę, góry wyrastające wszędzie po horyzont, tarasowe uprawy czy piękne plaże albo specyficzną architekturę, ale obunkry. Jak mówią miejscowi jest ich ponad sześćset tysięcy. Betonowe grzybki i grzyby rosną wszędzie, gdzie tylko skierujemy wzrok: przy drodze, na górze, na cmentarzu, uprawnym polu, trawniku albo plaży. Absurdalność tych konstrukcji, które przypominają o czasach Hodży, gdy dyktator zatruwał swój naród poczuciem ciągłego zagrożenia, powoduje w przyszłości z zewnątrz co najmniej konsternację. Dzisiaj bunkry nie budzą grozy, zostały oswojone, na wielu z nich pojawiły się wesołe grafitti, ich zdjęcia znaleźć można na pocztówkach a miniaturki na nielicznych w tym kraju straganach z pamiątkami. Takich kramów tam mało, bo i turystów póki co niewielu. A jest tu co oglądać i czym się zachwycać.

W Albanii znaleźć można wszystko, czego miłośnik kultury śródziemnomorskiej szuka na południu Europy – od zabytków przez ciepłe morze, wspaniałą roślinność aż po świetne jedzenie. Geograficzne położenie tego kraju dawało mu niezwykle ważną pozycję w starożytnym świecie. To stąd wiodła najbliższa droga morską do najdalej wysuniętego na wschód portu Italii w Brundizjum. Do Dyrrachium, dzisiejszego Durres, przybywali Rzymianie po drodze do prowincji Achai – na studia do Aten, w politycznych misjach albo wojskowych podbojach. Piękny amfiteatr w Durres, który dzisiaj porasta trawą, był z pewnością areną widowisk na miarę wielkości Rzymu późnej republiki i wczesnego cesarstwa. Kompleksy archeologiczne w sławnej greckiej Apollonii i Butrincie, mieście założonym według legendy przez uciekającego spod Troi Eneasa, nie pozostawiają wątpliwości, że ponad dwa tysiące lat temu tętniło tu życie kulturalne i polityczne. Co prawda do Butrintu docierają jednodniowi turyści, którzy wypoczywając na plażach pobliskiej greckiej wyspy Korfu przybywają tu promem na kilkugodzinną eskapadę, ale i tak jest ich tutaj o wiele mniej niż w jakimkolwiek miejscu o podobnej historycznej atrakcyjności w Italii czy Grecji.

W czasach bizantyńskiego średniowiecza również przez góry dzisiejszej Albanii prowadziły handlowe szlaki, przy których rosły bogate miasta. Niezwykle wprost wrażenie musi zrobić na każdym podróżniku wizyta w Voskopoie. Niełatwo dzisiaj dotrzeć do tej ukrytej w wysokich górach wsi, która przed wiekami była jednym z większych miast na całych Bałkanach. Teraz prowadzi tam wąską i krętą szutrową drogą, po której mają odwagę jeździć



Esencja Albani (fot. P. Negring)

tylko miejscowi kierowcy. W tej wsi mieszka obecnie najwyżej kilkuset górali uprawiających swe maleńkie poletka, a na przełomie XVII i XVIII wieku żyło tu ponad 35 tys. ludzi. Z 24 istniejących tu kiedyś kościołów przetrwało ledwie 7, z których 6 popadło w ruinę. Piękne freski i ikonostas w jedynej dostępnej do zwiedzania świątyni, cerkwi pod wezwaniem św. Mikołaja, dają wyobrażenie o kunszcie artystów, którzy kształcili się w istniejącej tu przed wiekami szkole. Dzisiaj z tego kulturalnego centrum nie pozostało już prawie nic, a i tak warto to miejsce zobaczyć. Siedząc przy szklaneczce wyśmienitej rakii w wiejskiej karczmie w Voskopoie myślałem o Rzymie, który na tyle podupadł w średniowieczu, że na Forum Romanum pasły się krowy, o Atenach, które w XIX w. były już tylko małą wioską, o karmionej naszą ludzką pychą złudzie, że świat, w którym żyjemy i z którego jesteśmy tak dumni, będzie trwał na zawsze.

Po epoce grecko-rzymskiej starożytności, bizantyńskiego chrześcijaństwa, przyszły w Albanii wieki dominacji Turków Osmańskich. Sprawily one, że islam stał się dominującą religią na tym terenie. Choć lata dyktatury Hodży, gdy ateizm był zapisany w albańskiej konstytucji, zrobiły swoje i religijna żarliwość Albańczyków nie jest szczególnie widoczna, to jednak ogromna większość z nich przyznaje się do dzisiaj do wiary w Mahometa. Minarety, zazwyczaj niedawno zbudowanych meczetów, widać w każdej niemal wsi, a wschodnia ornamentyka na starych budynkach przykuwa uwa-

gę. Osmańską architekturę podziwiać można w kilku albańskich miastach, w sławnej Girokastrze, z której pochodził sam Hodża, czy pięknym Beracie, mieście przyklejonym do gór, które nie bez racji nazywane jest „miastem tysiąca okien”, bo fasady domów zasadzonych niejako w skale, zwrócone są ku rzece, a ich gęsto poukładane przy sobie okna sprawiają wrażenie wielkiej baterii słonecznej, która chłonie południowe światło.

Tirana wygląda dzisiaj zupełnie inaczej, niż było to kilka lat temu, gdy kręcono w niej dokumentalny film pokazywany w Tate Modern w Londynie. Być może malowane kiedyś jaskrawo ściany domów już przybladły, a być może nie rzucają się już w oczy z zupełnie innego powodu. Tło, na którym wydawały się zjawiskiem nie z tej ziemi, straciło bezpowrotnie swoją szarość. Kolorowe wystawy sklepów i reklamy, zieleń trawników ciągnących się wzdłuż rzeki, ulice zatłoczone różnymi samochodami a nade wszystko ludzie ubrani w barwne i modne rzeczy, sprawiają, że miasto nie różni się szczególnie od innych europejskich stolic średniej wielkości. Ciągłe rządzi nim ten sam burmistrz-artysta, Edi Rama, który okazał się nie tylko wizjonerem, ale i sprawnym administratorem. Tirana nie jest miastem szczególnie atrakcyjnym do zwiedzania, nie ma tu ciekawych zabytków, dość nudne i marnie urządzone jest muzeum narodowe przy centralnym w niej Placu Skandeburga, XV-wiecznego albańskiego bohatera, który przez niemal trzydzieści lat utrzymywał wydartą Turkom niepodległość. W stolicy natomiast znajdują się dziesiątki, a nawet setki mniejszych i większych restauracji i restauracyjek, gdzie za niewielkie pieniądze można się wysmienicie najęść i napić. Skomplikowana bałkańska historia, która odcisnęła często tragiczne piętno na losach mieszkających tu ludzi, w dziedzinie kulinariów okazała się niezwykle łaskawa dla tego kraju. Rodzime specjały, przygotowywane z dojrzewających w południowym słońcu warzyw, pachnące oliwą i lokalnymi przyprawami mieszają w sobie smaki charakterystyczne dla Orientu, Grecji i Italii. Kiedy w restauracji w okolicach tzw. Mostu Garbarzy czekałem na zamówioną bakłażanową musakę, obserwowałem tirańczyków w różnym wieku i różnej społecznej kondycie, pięknie wystrojonych, w środę tygodnia, którzy tańczyli przy grającym na żywo zespole, jakimś echem dawnej epoki wykonującym Podmoskownyje wiecziera i Oczi Cziornyje, przypominały mi się polskie, sztumskie festyny z połowy lat siedemdziesiątych. Jestem ostatnią osobą, która tęskniłaby za tamtymi czasami, ale nie mogłem wyzbyć się uczucia nostalgii, że straciliśmy gdzieś w tym codziennym pośpiechu umiejętność wspólnotowego bycia ze sobą. W jakim europejskim kraju zdarzyć się jeszcze może taka historia, że właściciel małej rodzinnej knajpki, który nie mówi w żadnym obcym języku, gdy dowiedział się, że jesteśmy z dalekiej Polski, zestawił ze sobą stoły, zastawił je suto i gościł nas na własny rachunek do późnej nocy. Taka przyjemność spotkała mnie właśnie w Tiranie.

Nie napisałem tu prawie nic o samych Albańczykach, o mentalności tego dumnego małego narodu, który zachłysnął się w ostatnich dziesięcioleciach swoją wolnością i niestety nie uniknął wielu grzechów wieku dorastania. O wielkiej biedzie panującej w małych miasteczkach i wsiach, które zamieszkują pracownicy dawnych zakładów zarządzających kiedyś wyeksploatowanymi już szybami naftowymi. Ich beznadziejna sytuacja przypomina pewnie znane nam nieszczęścia polskich wsi popegeerowskich czy górniczych osad wokół wygasłych już kopalni. Trzeba by też pewnie napisać o specyficznym stosunku mieszkańców tego kraju do państwa i prawa, ale wszystko to może stać się tematem oddzielnej opowieści.

Ciągle jeszcze w Albanii, szczególnie poza stolicą, najpopularniejszymi samochodami są stare, kilkunasto i kilkudziesięcioletnie mercedesy, ciągle jeszcze spotkać można dziadków na osiołkach przewożących jakieś towary, ale kraj ten rozwija się bardzo szybko i o własnych siłach próbuje gonić Europę. Niestety, czasem Albańczycy biegną w tym pościgu na ślepo. Dziesiątki wybudowanych w ostatnich latach wielopiętrowych hoteli o fatalnej architekturze szpecą piękne wybrzeże Morza Jońskiego. Ich standard jest najczęściej za niski dla bogatszych zachodnich turystów, a są zbyt drogie dla lokalnych podróżników. Przez ogromną większość roku, nawet w środku sezonu, mają one ogromny kłopot ze znalezieniem klientów. Bywa, że do wielkiego hotelu z basenem dojeżdża tylko żwirowa droga przez pole.... Za kilka lat Albania pewnie zrealizuje swoje cywilizacyjne dążenia i będzie miejscem na turystycznej mapie porównywalnym z Bułgarią czy może nawet z Grecją. Tylko wtedy dla mnie nie będzie to już taki wymarzony kraj na wakacje.

Maciej Wróblewski

SŁOŃCE, GÓRY I GOLF – SPACER PO IRLANDII





Przez długi czas wzbraniałem się przed podróżą do Irlandii, kuszącej w ostatnich latach moich rodaków lepszym, dostatniejszym życiem. Rozumiałem ich decyzje, nieraz bardzo trudne, za którymi kryły się smutki rodzinne, dramaty osobiste. „Jeśli do tej pory nie potrafiłem znaleźć dla siebie godnego miejsca w kraju, to powinienem poszukać go poza granicami, nie tracąc ani dnia dłużej” – w ten sposób myśleli zapewne Polacy, odlatujący w kierunku Wyspy, i rozglądali się tam z nadzieją na odnalezienie codziennego spokoju i materialnej stabilizacji. Otwarcie się w XXI wieku Irlandii na mieszkańców Europy Środkowej nie jest w historii tego kraju czymś wyjątkowym, gdyż położenie geograficzne zachęcało niemal od czasów prehistorycznych pasterskie ludy Brytanii, a później ekspansywnych i tajemniczych Celtów do zakładania na Wyspie siedlisk. W kolejnych okresach przeżywała Irlandia intensywne najazdy Normanów i Wikingów, którzy obok rozbójnictwa rozwijali handel oraz zakładali miasta. Poza tym Irlandczycy w ciągu kolejnych stuleci musieli zmierzyć się z umacniającą się wciąż dominacją Anglików, którym dali odpór dopiero na początku XX wieku. W kilka lat po nieudanym militarnie Powstaniu Wielkanocnym (1916 r.) rozpoczęła się wojna o niepodległość, zbiegająca się w czasie z tą, którą myśmy prowadzili z bolszewikami.

Gdy podjąłem ostateczną decyzję o tym, że kilka pierwszych lipcowych dni spędzę właśnie na Wyspie, nie myślałem o przeszłości kraju, do którego się udawałem. Inna refleksja mnie zaprzętała i – jak się później okazało – to właśnie ona zdecydowała o wyborze kierunku podróży. Miała ona postać fascynacji pisarstwem Jamesa Joyce’a, który już w liceum urzekł mnie swoim enigmatycznym światem, a zarazem przyciągał mówieniem o sprawach codziennych, fizjologicznych, banalnych językiem nie w pełni zrozumiałym, ale na swój sposób czytelnym, przekonującym; tak, Joyce w *Uliście* niecierpliwiał mnie mnogimi wyliczeniami oraz drażnił odwołaniami historycznymi lub tylko naśladującymi język historii. Wiem, że to nic nowego, bo opowieść o wędrującym po Dublinie Leopoldzie Bloomie doczekała się biblioteki opracowań, interpretacji, przekładów na język filmu i teatru. Ilekroć czytałem powstałe poza granicami Wyspy (w Paryżu, Zurichu i Trieście) dzieło Joyce’a, tylekroć poszukiwałem w nim klucza do zrozumienia Irlandii i Dublina (jak mawiał Joyce – „dużej wioski”). Być może jest tak, że pisarz musiał z opisywanego miejsca oddalić się, żeby uchwycić jego właściwe proporcje i powiedzieć kilka słów prawdy o jego mieszkańcach. Słońce Francji czy Szwajcarii dawało artyście właściwe światło do tego, by obejrzeć – ale już oczami wyobraźni – zadymiony, mglisty i „zadeszczony” krajobraz Wyspy. Nie, w moim wypadku nie była to jednak podróż „literacka” organizowana w celu bicia pokłonów wybitnemu pisarzowi, temu czy innemu (choćby Williamowi Butlerowi Yetsowi czy Samuelowi Beckettowi), niejechałem tam również ze względu na moje wczesnomłodzieńcze zaintereso-



wanie melodyjnymi piosenkami Bono. Im dłużej się teraz zastanawiam, tym bardziej jestem przekonany o „bezideowości”, przypadkowości podróży do Irlandii, choć najwięcej myślałem o autorze *Dublińczyków*. Nie byłem również turystą, żadnym wciąż nowych i nowych doznań, obrazów, miejscowej „egzotyki”, turystą patrzącym na tuziemców z niewytłumaczalną, irracjonalną wyższością.

Wyprawiałem się do Irlandii, mając w pamięci słowa z *Ulissesa* Jamesa Joyce’a, migawkowo pokazujące charakter Wyspy: „Urwiska Moheru, wietrzne pustkowia Connemary, jezioro Neagh z zatopionym, skamieniałym miastem, Giant’s Causeway, Fort Camden i Fort Carlise, Złota Dolina Tipperary, wyspy Aran, pastwiska królewskiego Meath, więz Brygidy w Kildare, stocznia Queen’s Island w Belfaście, Skok Łososia, jeziora Killarney”. Wszystkich tych obrazów nie szukałem uparcie, ale one same się przede mną zjawiały wraz z pokonywanymi kilometrami wąskich i dość niewygodnych szos gęsto przecinających Irlandię. Bo oto pokazał mi się ten kraj, ku memu zdziwieniu, górzysty, niemal bezleśny, z licznymi – choć nadal zbyt gwałtownie znikającymi – torfowiskami; Wyspa to kraina o niepowtarzalnym, melancholijnym uroku szczególnie wyraźnie widocznym w górach MacGillycuddy’s Reeks czy w baśniowo brzmiących wzniesieniach Wicklow. I nawet gdy przejeżdżałem któregoś dnia niemal całą Irlandię wzdłuż, by znaleźć się w Dublinie, spotykałem przede wszystkim rozległe pastwiska, łąki, między którymi znajdowały się obiekty „Horse&Jockey” tłumnie odwie-

dzane przez żądnych wrażeń Wyspiarzy. Mimo że w tym czasie trwały mistrzostwa świata w futbolu, to w tradycyjnych pubach Macroom, Killarney czy Cork przede wszystkim pasjonowano się wyścigami jeździeckimi i psów. Staralem się zrozumieć tę pasję Irlandczyków, szukając źródeł osobliwego sportu w ich zamięłowaniu do wszelkich istnień natury: roślin i zwierząt. Bo choćby w rzekach czystych i wartkich można spotkać wcale dorodne okazy ryb (głównie pstrągi i łososie), których jednak łowić nie wolno. Dzięki przybyszom ze Wschodu – Polakom, Białorusinom, Ukraińcom i Rosjanom – ten sposób spędzania wolnego czasu zyskuje na Wyspie popularność i nie pomagają tabliczki z ostrzeżeniami zapisanymi głównie w językach słowiańskich, by nie uprawiać kłusownictwa.

Nieurodzajna ziemia Wyspy nadaje się niemal wyłącznie do wypasania owiec, ale również coraz częściej starzy i młodzi Irlandczycy oddają się sportowi kojarzonemu z bogactwem i snobizmem, mianowicie golfowi. Pewnego deszczowego popołudnia wybrałem się na spacer po Macroom – niewielkim handlowym miasteczku, przegłądającym się w rzeczce Sullane – i na jego obrzeżach natknąłem się na kilku dziesięcio- lub dwunastoletnich wyrostków, którzy na zadbanym polu golfowym ćwiczili uderzenia. Widać, że była to ich pierwsza lekcja, a niezdarne zamachy i także same uderzenia w plastikową piłkę wzbudzały w dzieciach powszechny śmiech. Widać bawili się przy tym znakomicie, czyniąc z nobliwego sportu jedną z wielu gier dziecięcych, niewiele różniącą się od kopania piłki czy zabawy w berka.

Innego dnia, włócząc się po pięknym parku w Killarney (godny uwagi jest tam Castle Roses i liczne jeziora, nad którymi wznoszą się jedne z wyższych gór w Irlandii), natknąłem się na dwie starsze panie ciągnące po zielonym dywanie wózki z kijami golfowymi. Oddzielał mnie od nich jedynie rustykalny płot, mogłem więc bliżej przyjrzeć się ich strojom i ruchom. W odróżnieniu od wcześniej spotkanych chłopców, kobiety z niejakim znawstwem obchodziły się z kijami, wymieniały między sobą uwagi na temat gry i dostrzegłem, że nie przyszły tu dla towarzystwa czy odbycia przyjacielskiego spotkania. Duch rywalizacji widocznie nie zna płci i wieku, skoro podniecał do walki również niemłode kobiety.

Potem raz jeszcze przekonałem się, że Irlandczycy – nie oglądając się na panujące na Starym Kontynencie mody sportowe – oddają się dyscyplinom dość oryginalnym, wywołującym w takim przybyszu jak ja lekkie zdziwienie i rozbawienie. Otóż, jadąc do Clonakilty, okna na Morze Celtyckie, mój samochód zatrzymany został przez dość swobodnie ubrany tłum starych i młodych, kobiet i mężczyzn, którzy tłumnie szli za dwiema, może trzema osobami dynamicznie wymachującymi rękami. Wpierw sądziłem, że jestem świadkiem miejscowej tragedii – bójki czy wypadku – ale chwilę potem objaśniono mi, że mieszkańcy jednej z wiosek rozgrywają zawody dawnego,

tradycyjnego bowling. Cała impreza ekscytuje wszystkich, bo przyjmowane są pieniężne zakłady o to, który z zawodników tak precyzyjnie rzuci stalową kulą, by pokonała jak największą liczbę zakrętów.

Poza obserwowaniem irlandzkich „ekscesów” sportowych urządziłem samochodowe eskapady na zachód od Cork, trzeciego pod względem mieszkańców miasta Irlandii (obok Dublina i Belfastu), by spojrzeć na Atlantyck. Poniekąd pchała mnie tam ciekawość ogromu wody, który obmywa lub – należałoby powiedzieć – wymywa brzegi Wyspy. Najpierw dotarłem do miejscy zwanego Klifami Moheru. Tam wiatr, mimo lipcowej, słonecznej pogody, dął zimnem z wielką wytrwałością i z pewnym wysiłkiem utrzymywałem, tak jak wielu odwiedzających to sławne miejsce podróżnych, turystów i wólczegów, wyprostowaną postawę. Z informacji na temat Klifów Moheru wyczytałem, że właśnie tu wielu młodych ludzi, szybując w dół ku turkusowi oceanu, rozstaje się ze światem. Jak się później zorientowałem, nie jest to jedyne tak malownicze w Irlandii miejsce, silnie pobudzające znajdujących się w depresji lub przeżywających wewnętrzny dramat do targania się na własne życie. W jednej z miejscowości na południu Wyspy widziałem świeżo ustawiony kamień pamiątkowy, poświęcony kilkunastoletniej dziewczynie o niemiecko brzmiącym nazwisku, która rzuciła się ze stromych skał w odmęt oceanu.

Na kilka dni przed powrotem do Polski pojechałem w kierunku Półwyspu Mizen, sławnego ze wspaniałych widoków. Gdy dojechałem do Crookhaven, ostatniej miejscowości, która dzieliła mnie od wcinającego się w ląd oceanu, miałem sporo szczęścia, gdyż trafiłem na dobrą, słoneczną pogodę. Smagany rześkim, chłodnym wiatrem, a nadto w gorącym, palącym twarz lipcowym słońcu szedłem wzniesieniami na sam cypel, oznaczony jako Mizen Head. Po obu stronach rozciągał się pejzaż niepozbawiony uroku: z wysoka spoglądałem w dół rozjaśnionych światłem zatokom, nad którymi krążyły mewy srebrzyste oraz potężne albatrosy wędrownie. Poza wiatrem hulającym wśród porośniętych mchem skał i bujnych traw panowała w górze cisza, a tylko niekiedy dochodził mych uszu przenikliwy dźwięk krążących ptaków. Po drodze minąłem tylko jednego turystę, który pozdrowił mnie w języku Goethego, co nie było zaskoczeniem choćby dlatego, że – jak się później dowiedziałem – Niemcy wykupują parcele i domy tuż nad Oceanem Atlantyckim, by wśród takich pejzaży przepędzić czas na emeryturze.

Krajobraz rozświetlonej Irlandii, kojarzonej z aurą deszczową, był dla mnie wówczas takim samym zaskoczeniem, jak pasma górskie Wiclow czy Góry Shehy, oplatające Gougane Barra. Piekące lipcowe słońce nie dawało spodziewanego ciepła, a nawet odczuwałem chłód, gdy spacerowałem w stronę Mizen Head. Po obu stronach wdzierał się Atlantyck, dający złudze-

nie nieskończoności – błękit niebieski mieszał się bowiem z barwą oceanu. Jedyne latające mewy i albatrosy – a w zasadzie ich białe skrzydła – pozwalały rozeznać się, gdzie kończy się woda, a zaczyna nieboskłon.

W czasie wędrówek po południowej Irlandii miałem wiele porośniętych wysokimi trawami XIX-wiecznych nekropolii, będących smutnym świadectwem okresu Wielkiego Głodu. W czasie jego trwania liczba ludności Wyspy dramatycznie spadła na skutek śmierci głodowej, a niemała część z tych Irlandczyków, którzy przeżyli, porzucali swe domy, by szukać nowej, dostatniej ojczyzny za Atlantykiem. Również i dzisiaj w sytuacji narastającego kryzysu i bezrobocia wielu Irlandczyków szuka możliwości poprawy swojego życia albo w Anglii, albo w Ameryce czy Kanadzie. Ich miejsce bardzo często zajmują z kolei przybysze ze Wschodu – Polacy, Białorusini, Ukraińcy, Rosjanie, Litwini – przynoszący, jak przed wiekami Wikingowie i Celtowie, swoją kulturę. Być może w ten sposób rodzimi mieszkańcy Wyspy, nie oglądając się na inne kraje Zachodu, których rządy niechętnie witają na lotniskach przybyszy ze Środkowej Europy, zawczasu wzmacniają w tych trudnych czasach swój kulturowy i gospodarczy potencjał, by nie powtórzyły się czasy Wielkiego Głodu. Oczywiście, dzisiaj źródłem zagrożenia dla Irlandii nie jest zaraza niszcząca zbiory ziemniaka (tak jak w XIX stuleciu), ale opisywane przez ekonomistów siły targające światową gospodarką. Niemniej charakter obu zjawisk jest podobny – wszystko dzieje się bardzo szybko i nie ma przed „zarazą” prostej drogi ucieczki. Być może powszechnie uprawiana przez Irlandczyków gra w golfa czy tradycyjny bowling przywracają tak potrzebny w trudnych chwilach spokój.

Zdjęcia z Irlandii z archiwum autora.

Jerzy Wiśniewski

Jerzy Kosacz

artysta z „Solidarności”



Dzwonek w londyńskiej szkole... Przepraszam, dziwił się Państwo dlaczego właśnie tam? Zgoda. Przenieśmy akcję bliżej. A zatem w brukselskiej szkole zaczyna się lekcja historii najnowszej. Pani podaje temat: „Solidarność” - i kontynuuje: „Jedną z najbarwniejszych postaci tego związkowego ruchu wolnościowego był Lech... i na te słowa klasa zamiera. Ktoś protestuje. Pewna dziewczyna wstaje: „Ależ to przejęzyczenie madamme, bowiem monsieur Kosacz ma na imię Jerzy...” - Spróbuję przypomnieć znane i mniej znane epizody biografii tego przywódcy.

Urodził się w 1942 roku w Budstawiu (obecnie Litwa). Ukończył Uniwersytet Warszawski na Wydziale nauk Politycznych w 1971 roku. W marcu 1968 roku, brał udział w antyrządowych wiecach studenckich. Jeszcze przed studiami był robotnikiem w stoczni gdańskiej i bibliotekarzem w Kwidzynie. Był nauczycielem akademickim w Państwowej Wyższej Szkole Sztuk Plastycznych w Gdańsku, a w latach 1976-1981 kierownikiem Biblioteki Miejskiej w Kwidzynie. Tam założył „Solidarność” w 1980 roku, a następnie został szefem MKZ NSZZ „Solidarność” w Kwidzynie (od 25XI-MKK). Był współzałożycielem i redaktorem Biuletynu Związkowego MKZ NSZZ „Solidarność” w Kwidzynie oraz „Poradnika Prawnego MKZ NSZZ Solidarność” w Kwidzynie.

W nocy 12 grudnia 1981 roku jeszcze przed wprowadzeniem stanu wojennego został aresztowany i internowany w ośrodku odosobnienia w Iławie, skąd został zwolniony 18 I 1982. Dwa miesiące później w ramach dalszych represji został zwolniony z pracy. Od tego czasu, aż do 1990 prowadził własny zakład stolarski w Białkach k. Kwidzyna. W latach 1982-1989 współorganizował działalność Duszpasterstwa Ludzi Pracy przy katedrze św. Jana w Kwidzynie, pomagając innym represjonowanym. Był też szefem podziemnej „Solidarności” w Kwidzynie i członkiem podziemnych władz „Solidarności” regionu elbląskiego. W połowie grudnia 1985 został aresztowany i osadzony w areszcie w Kwidzynie, a następnie Elblągu. Zwolniony został dopiero po trzech miesiącach, za poręczeniem rzemieślników z Kwidzyna. Odznaczono go Krzyżem Semper Fidelis w 2003 roku, a w 2006 Krzyżem Kawalerskim Odrodzenia Polski...

Dziewczyna ciągnie swoją opowieść, a ja sobie uświadamiam, że to zaledwie cząsteczka jedynie planety KOSACZ. Ta strona oświetlona życiem. Ale jest ponad wszystkim ład dziewiczy, intymny, gdzie Jerzy, Jurkiem, Jurasem bywa. Kopie ogródek, niańczy wnuki, kocha żonę i przyrodę. Patrolując okoliczne lasy na rowerze odkrywa, że zielone błonia są filoetowo-wrzosowe, żwirowe dróżki trzeszczą - „hej stary”...Bo ON jest Artysta. Nienasycona bestia okupująca rozliczne rewiry sztuki. Małomówny, niewidoczny, ale z ikrą. Nie dajcie się zwieść mądrym oczom, palcom pianisty. Te oczy mogą schamieć w sekundzie, te palce mają utajone odciski. Od więziennych klawiszy i tych tak zwanych ludzi wytatuowanych w jego pamięci. Gnoili tylko za to, że ma

niewyparzone kubki smakowe i język biało-czerwony. Ci panowie zasrali mu ciszę i harmonię rodzinną. Na szczęście nie utracił poczucia piękna, iskier spadających na płótno, papier i duszę przeoraną przesłuchaniami.

Jurek to POETA, GRAFIK, MALARZ, LITERAT, OBROŃCA CZYSTEGO NIEBA I ZIEMI KWIDZYŃSKIEJ. To wieczna zagadka (po naszemu skromnota). Pamiętam jak kiedyś zaciął deszcz, a my ze Stachem Sodomą gościli-



Grafika Jerzego Kosacza.



Grafika Jerzego Kosacza.

śmy w Jego białkowskiej stodole. Na pieńsku paliło się rycerskie wino, u po-
wały wisiał magisterski dyplom politologa, a oni słuchali gdy cantowałem
szczepanikowe ewergriny pitoląc na gitarze. W pewnym momencie nasz
gospodarz wpasował się w tonację i pieśń pociągnął lirycznym, pięknym
barytonem. Zbaranieliśmy. Kosacz chłopie...ty masz głos? Nigdy nie posą-
dziłibyśmy magistra - stolarza o podobną niespodziankę. Łzy poleciały na
kolana. Dalej nie śmiały. Żeby nie kalać klepiska...

Inna historia. Jest 1962 rok. Jurek tyrał w stoczni. W tym samym czasie
jednoręki malarz i poeta Meiczysław Czychowski otworzył dodatek poetycki
w „Głosie Wybrzeża” i zaprosił Go do współpracy. Jurek miał szwung czyli
wenę i cotygodniowo dawał wiersze ilustrowane własnymi grafikami, za co
otrzymywał honoraria. Po stówie za tydzień. Wówczas młody człowiek mógł
znośnie przeżyć. Zresztą tam na wybrzeżu formował się przyjazny klimat
dla kreatywnych, zdolnych twórców. Grupa młodych intelektualistów, pod
wodzą profesora Selima Chazbijewicza, znawcy historii polskich Tatarów
założyła Klub Literacki przy renomowanym już „Rudym Kocie”. O dziwo
większość członków rekrutowała się z Kwidzyna. Bohdan Chorążuk, Jerzy
Kosacz, Krzysztof Karasek. Gdyby do kompletu dołączyć autora „Kwakina”
Waldka Kacprzyka, mielibyśmy super kwartet. I tak gadano „że Kwidzyn
POEZYą stoi”.

Warto dodać, że Kosacz ma naturę sportowca. Na każde wyzwanie odpowiada chęcią walki. Podczas studiów, gdy Wydział Polonistyczny, ogłosił konkurs na wiersz Kosacz oczywiście wystartował i wygrał, co by koledzy poloniści nie sądzili, że politolodzy liryki nie znają. Satysfakcja przeogromna. Skroić portki fachowcom od pióra. Należy przyznać, że tam gdzie muzy łydkami świecą tam pióra lecą. Na kolejnym konkursie imienia Cypriana Norwida Kosacz zdobył drugą nagrodę, a w kolejnych konkursach „Czerwonej Róży”, kolejne trofea potwierdzały jedynie wartość artystyczną dzieł politologa.

Na razie Jerzy Kosacz poprosił siebie o urlop z powodu lekkiego prze-sytu. Dla higieny twórczej pauzuje, co oznacza, że pisze zaledwie... kilka rtykułów miesięcznie. Toż to harówka, a nie urlop zdrowotny. Jak twierdzi, największą zaletą poety jest świadomość, że wiesz jest absolutnie skończony. Ciągłe poprawki są tylko pożywka dla zagłaskiwania strof, a w rezultacie „totalnej siary”, czego przykładem może być francuski impresjonista Claude Monet, który nawet podczas wystawy w Salonie Paryskim wlatywał z pędzlem w rękawie i wykorzystując nieuwagę komisarzy paćkał płótna własne, to tu to tam. Przyłapany wreszcie zamykał gęby twierdzeniem - „były niedoróbki”...

A cóż, to już dzwonek? W brukselskiej szkole skończyła się lekcja historii. Pani wstaje od pulpitu - ciągle zasłuchana w opowieść. Wreszcie pyta: „Jak się nazywasz - przypomnij? I słyszy - „Czyżbyś madamme mnie nie poznała? Jestem ENCYCLOPEDIA”.

Leszek Sarnowski

ZAPOMNIANY BIBLIOTEKARZ Z „SOLIDARNOŚCI”



Biuletyn Solidarności. Region Elbląg.

Leszek Koszytkowski pochodzi z Trop Sztumskich. Rocznic 1955. Liceum Ogólnokształcące ukończył w Sztumie. Absolwent historii Uniwersytetu Mikołaja Kopernika w Toruniu. Po studiach w 1978 roku wrócił do rodzinnej wsi, w gminie Stary Targ, ale pracę podjął w Wojewódzkiej Bibliotece Publicznej w Elblągu. Tam zastała go „Solidarność”.

Od początku zaangażował się w działalność związkową. We wrześniu 1980 roku był współorganizatorem kilkugodzinnego strajku ostrzegawczego w elbląskiej bibliotece. Został członkiem komisji zakładowej „Solidarność” w WBP, a od początku 1981 roku był pracownikiem etatowym MKZ „Solidarność” w Elblągu, a następnie Zarządu Regionu „Solidarność”. Od stycznia do czerwca 1981 roku był rzecznikiem prasowym elbląskiego MKZ. Od marca do lipca 1981 był współpracownikiem „Biuletynu Informacyjnego” MKZ „Solidarność” w Elblągu, a od sierpnia do grudnia 1981 redaktorem „Biuletynu Informacyjnego” Zarządu Regionu Elbląskiego.

W tym czasie mieszkał w Elblągu na stacji, ale związany był z ziemią sztumską rodzinnie. Kontakty z działaczami sztumskiej „Solidarność” nie były wtedy zbyt ciepłe. Drażnił go przede wszystkim fakt, że w związkowych władzach znalazło się wielu działaczy PZPR, którym mniej ufał. Poza tym, Sztum, podobnie jak Kwidzyn, ciążył bardziej do związkowych struktur w Gdańsku. Elbląskim działaczom z kolei zależało, żeby ich wojewódzkie struktury się rozrastały. Nie było to wówczas do pogodzenia i doszło do podziału, bo część komisji zakładowych wybrała Gdańsk, część Elbląg. Wszyscy jednak tworzyli ten sam związek i w strategicznych sytuacjach byli razem. Był pod wrażeniem, że w Sztumie udało się stworzyć gazetę - „Sztumską Solidarność”, co jeśli chodzi o cykliczność i stałość wydawania, było ewenementem nie tylko w skali województwa elbląskiego. Tym bardziej, że większość piszących redaktorów - działaczy „Solidarność” była z zewnątrz - Krytyna Muszyńska, Wacław Bielecki, Józef Tymiec, Mirosław Melerski. Wspólnie z innymi udało im się stworzyć ciekawą gazetę, która stanowiła ważne forum prezentacji związkowych postulatów, problemów ludzi pracy, ale i forum dyskusji i wymiany poglądów.

Od dnia wprowadzenia stanu wojennego ukrywał się. W niedzielę 13 grudnia pojechał z Trop do Elbląga. Próbował zabrać z Zarządu Regionu maszynę do pisania, ale redakcja był już spacyfikowana i o żadnym sprzeczcie do pisania nie było mowy. Pamięta, że wszędzie na podłodze w siedzibie związku poniewierały się cukierki, które „Solidarność” zbierała na święta dla dzieci. Wybrał Elbląg, bo tam miał wielu znajomych i w dużym mieście było łatwiej konspirować: *„W Sztumie niewiele się wtedy działo. Na początku stanu wojennego działacze sztumscy próbowali podejmować jakieś kroki, wydawać gazetę, ale szybko to się skończyło. Wiem że Bielecki i Szafrąński byli krótko aresztowani, ale poważniejszych represji nie było. Oni mieli znacznie gorzej, bo mniejsze środowisko i nie było zaplecza, a Elbląg był większym*

miastem, więc i z tego punktu widzenia bezpieczniejszym do działań konspiracyjnych. Dlatego zdecydowałem się na działalność w Elblągu, poza tym znałem ludzi i im ufałem.”

Znaczna część związkowców została internowana (Tadeusz Chmielewski, Ryszard Kalinowski, Bogusław Szybalski, Kazimierz Szeszele) i nie było tłumów żeby kontynuować podziemną działalność. Działał jednak w grupie podziemnej skupiającej byłych pracowników elbląskiego Zarządu Regionu „Solidarność”. Zajmował się drukowaniem i kolportażem ulotek, a także uczestniczył w demonstracjach ulicznych: „miałem kontakty z Mirkiem Sigerskim człowiekiem Tadeusza Chmielewskiego, byłego szefa regionu. Tadeusz został aresztowany w restauracji „Myśliwska”. Dostał wyrok, więc ja dalej się ukrywałem głównie na Zawadzie, bo moja stancja na Słonecznej była namierzona. Na święta wrocilem do Trop, bo przemeldowałem się do rodzinnego domu. Ale SB namierzyła mnie tam i przysłali wezwanie na komendę”.

Od początku wiedział, że jest na liście osób przeznaczonych do internowania. Mimo to zdecydował się ujawnić: „wszystko już siadało, nie było zaplecza, niewielu ludzi chciało się angażować, poza tym nie chciałem narażać ludzi, bo na moją stancję SB zachodziło często, a z ukrywaniem się też były coraz większe kłopoty.” 4 stycznia 1982 roku poszedł sam do KW MO w Elblągu i od razu został internowany: „cały dzień mnie maglowali, ale nie czuję się bohaterem, bo jest to wstydliva sprawa, że sam się ujawniłem, jakoś mi to mocno ciąży.”

Najpierw trafił do Ośrodka Odosobnienia w Iławie. Był tam do czerwca 1982 roku, w celi razem z Tadeuszem Syryjczykiem, Antonim Macierewiczem, Stanisławem Romańskim. Był też ktoś z działaczy związkowych z Ostrołęki, Piotr Adamowicz, brat obecnego prezydenta Gdańska, obecnie dziennikarz „Rzeczpospolitej”, dwóch lekarzy z Akademii Medycznej w Gdańsku, Piotr Mierzewski późniejszy minister zdrowia w rządzie Jana Krzysztofa Bieleckiego: „ubecy ze mną rozmawiali, próbowali wymusić żebym podpisał deklarację lojalności, ale jak powiedziałem im, że w kraju panuje zamordyzm to mi odpuścili i więcej do tematu lojalności nie wracali.”

W czerwcu 1982 roku został przeniesiony do obozu internowanych w areszcie w Kwidzynie: „Kwidzyn w porównaniu z Iławą wydawał się znośniejszy, bardziej otwarty, większy komfort, dłuższe spacery, nawet ks. Henryk Jankowski przyjechał i pozwolili mu odprawić mszę. Pamiętam, że przywiózł nam wtedy jajka. Mieliśmy nawet swoje radio ukryte w nodze od krzesła. Drukowaliśmy na sicie znaczki pocztowe, śpiewniczki, a nawet biuletyn jednokartkowy. Rodziny przywoziły farbę drukarską i drukowaliśmy. Kiedyś jeden skacowany klawisz nawet wypił u nas butelkę, bo go suszyło, a w butelce była farba drukarska, ale się nie zorientował. Ja drukiem się nie zajmowałem, głównie robili to chłopacy z Siedlec. Nawet z kryminalistami, którzy z nami siedzieli można było się dogadać, choć pewnie wielu z nich było kapusiami.

Byłem nieprzejednany, nie wchodziłem w żadne kontakty z klawiszami, choć niektórzy byli w porządku, jak miałem pieniądze to mi kupowali gazety sportowe, bo wtedy oglądaliśmy mistrzostwa świata w Hiszpanii, chociaż niektórzy mówili żeby nie oglądać bo to reżimowa telewizja.”

Najbardziej dramatyczne chwile internowani w Kwidzynie przeżyli w dniu 14 sierpnia 1982: „Rodziny mogły odwiedzać nas co tydzień. Władze więzienne wprowadziły zakaz i zezwoliły jedynie na widzenia raz w miesiącu. Wziąłem miednicę i zacząłem uprawiać kocią muzykę przed ogodzeniem, za którym czekali nasi bliscy. Być może jeden z kryminalnych rozkręcił ogrodzenie i sprowokował klawiszy. Puścili wodę z węży, jeden z naszych padł, podniosłem go bo byłem w pierwszej linii, ale woda zatykała dech w płucach. Ale się trzymałem, zaczęli nas spychać, poszły tylariery z psami, wycofaliśmy się do baraków. Próbowaliśmy barykadować łączniki, ale to nie miało sensu, bo oni mieli siłę i wchodził do cel i się zaczęło. Wpadła watacha klawiszy ze Sztumu, porucznik miał małą pałkę, ale bolało mocno. Najbardziej aktywny był Kegel. Zabrali nas do świetlicy i urządzili ścieżki zdrowia. Atanda z metrowymi pałami biła najmocniej, chociaż szliśmy szybko, żeby mniej razy dostać, to jednak plecy miałem zbite solidnie. Naliczyłem chyba z 80 pał, które dostałem na plecy. Jeden z Olsztyna mi masował plecy, potem okazało się że był agentem, ale wyemigrował do Kanady, nie żyje już. Może był, bo Kałudzinski jak palił materace na dachu to go powstrzymywał i kiedy zszedł z dachu wtedy go mocno skatowali. Klawisze pobili szkło przy wyjściu ze świetlicy. Chmielewski z regionu środkowego Pomorza miał pokrwawione nogi, bo był boso. Mirka Duszaka wtedy mocno skatowali, bo jak urządzili ścieżkę zdrowia to biegł. Ja szedłem wolno więc od każdego dostałem. Przy wejściu do celi dostałem w głowę i straciłem na chwilę przytomność. Bili nawet jak leżałem. Ból był straszny. Krzyczałem Panowie nie bijcie, a oni bili. Duszak był cały sprężowany, ja miałe dwie ścieżki, Duszak chyba cztery. Zającą oszczędzili.”

Pobicie internowanych rozniosło się szybko. Oficjalne media nie informowały o tym zdarzeniu. Informacje pojawiły się jednak szybko w podziemnych pismach i w „Wolnej Europie”. Koszytkowski wspomina: „Były okazania po pobiciu, pokazywali nam klawiszy. Prokurator Zaczek nas przesłuchiwał, żebyśmy wskazywali tych co bili, ale nikt nie wierzył że coś z tego wyjdzie. Ale i tak ważne było, że prokurator się zdecydował na taki krok. Skończyło się jak zwykle, klawisze pozostali bezkarni, a kilku z pobitych, między innymi Mirek Duszak, dostali jeszcze wyroki. Na znak protestu, po pobiciu 24 dni głodowałem. Piliśmy jedynie szklankę płynu dziennie. Schudłem wtedy 30 kg.”¹

¹ Koszytkowski jest w wykazie osób internowanych i ciężko poszkodowanych w wyniku pacyfikacji Ośrodka Internowania w Kwidzynie przez funkcjonariuszy ZOMO i Służb Więziennych w 1982 roku. Historia tamtych wydarzeń została spisana w książce „Kwidzyn. W niewoli brata mego”, autorstwa Bogusława Gołęba i Władysława Kałudzińskiego, Olsztyn 2005, s.381.

9 grudnia 1982 Leszek Koszytkowski został zwolniony z ośrodka internowanych, a po jego opuszczeniu został zwolniony z pracy. Do końca 1984 roku był bez zatrudnienia. W 1983 został wezwany do KW MO w Elblągu i nakłaniany do emigracji. Odmówił.

Od jesieni 1985, po aresztowaniu Edmunda Krasowskiego, który próbował reaktywować podziemne struktury związku, do 1987 Leszek Koszytkowski był redaktorem naczelnym, a także autorem tekstów i grafik w podziemnym Biuletynie Regionu Elbląskiego „Solidarność”. Zajmował się również kolportażem podziemnych wydawnictw niezależnych. Często wyjeżdżał do Warszawy po gazety i książki drugiego obiegu. Udawało się unikać aresztowania, bo często zmieniał lokale. W sierpniu 1988 roku został jedynka zatrzymany w areszcie przez SB na 48 godzin, a w mieszkaniu przeprowadzono rewizję.

W latach 1984 - 1985 był pracownikiem Archiwum Państwowego w Elblągu z siedzibą w Malborku, a w latach 1986 - 1990 był archiwistą w Międzywojewódzkiej Usługowej Spółdzielni Inwalidów w Gdańsku. W latach 1990 - 2005 był prezesem zarządu Spółdzielni Usług Specjalistycznych „Archiwista” w Gdańsku, 2005 - 2008 bezrobotny, od 2008 zatrudniony jako kierownik gminnej biblioteki w gminie Stary Targ. Od 2007 członek Stowarzyszenia Osób Represjonowanych i Poszkodowanych w latach 1980 - 1990 Regionu Elbląskiego.

Leszek Koszytkowski jest jedyną osobą z powiatu sztumskiego, której biogram znajduje się w monumentalnym dziele, jakim jest „Encyklopedia Solidarności”, najobfitsze źródło wiedzy o polskiej opozycji antykomunistycznej w latach 1976–1989. Obecnie zawiera ona ponad 3900 biogramów, 1400 haseł przedmiotowych i około 90 tysięcy stron prasy podziemnej (<http://www.encyklopedia-solidarnosci.pl>).

Dziś w działalność związkową się nie angażuję, bo „to nie moja „Solidarność”, bo działa jak kiedyś CRZZ”. W 1989 widział, że ludzie chcieli coś zrobić, ale nie widział dla siebie miejsca. Nie podobały mu się układy ówczesnej opozycji z komunistami: „Rząd Olszewskiego był ostatnim dobrym rządem, a potem było coraz gorzej. Można powiedzieć, że 10 milionów wygrało, a 30 przegrało tę zmianę ustrojową. Kolejne ekipy rządowe nie były przygotowane. Została masa ludzi wykluczonych, przywileje SB nadal są, mają się lepiej niż ci którzy działali i pracowali dla Polski, także w stanie wojennym. Konfitury mają inni, przywileje muszą być, ale to z ideami „Solidarności” nie ma nic wspólnego. Wałęsa powinien się przyznać i było by po sprawie, wszyscy by mu wybaczyli, a nie że nie ma lustracji czy dekomunizacji. Dalej jest sporo PRL”. Za oknem biblioteki w Starym Targu, gdzie Leszek Koszytkowski w tej chwili pracuje, jest na przykład ulica Świerczewskiego i 22 lipca. O czymś to

świadczy, zamyśla się. Niechętnie bywa na rocznicowych uroczystościach, tym bardziej, że rzadko go zapraszają. Być może dlatego, zastanawia się, że *„może niewiele miłego mam do powiedzenia”*.

Na 30 rocznicę „Solidarności”, którą organizowano w Sztumie w październiku 2010 r, jednak poszedł, uznając, że może już czas opuścić swoją samotnię. Razem z kilkoma innymi działaczami lokalnej „Solidarności” miał dostać medal „Zasłużony dla Ziemi Sztumskiej”, choć o tym nie wiedział. Dziesięć minut przed rozpoczęciem rocznicowych obchodów dowiedział się, że rzeczywiście miał dostać medal, ale powiatowa kapituła medalu odrzuciła jego kandydaturę, tłumacząc, że nikt go nie zna, niczym się dla powiatu nie zasłużył, że bardziej był związany z Elblągiem, niż z Ziemią Sztumską i że jego kandydatura była słabo uzasadniona. Wyszedł bez słowa....

PS. Kilkanaście dni później kapituła medalu ponownie rozpatrzyła kandydaturę Leszka Koszytkowskiego. Tym razem, niemal jednomyślnie, przyznano mu medal „Zasłużony dla Ziemi Sztumskiej”.

Leszek Sarnowski

ORGANISTA Z SANTANDER



Norbert Itrich w katedrze w Santander. (archiwum rodzinne)

Norbert Itrich urodził się w 1973 roku w Sztumie. W Kwidzynie skończył Technikum Wikliniarskie i podstawową szkołę muzyczną. Najpierw była waltornia, ale w końcu do dalszej edukacji wybrał saksofon. Muzyczną edukację na poziomie szkoły średniej ukończył w Grudziądzu, w klasie saksofonu. Instrumentem życia stały się jednak organy. Pierwszy poważny kontakt z organami miał w wieku 16 lat. Dwaj bracia, Roman i Arnold, grali już wtedy na organach. On tylko podglądał, jak pozwolili, to grywał od czasu do czasu. Czuł respekt, ale i wyzwanie. Kiedy najstarsza córka Romana miała chrzest nie miał kto zagrać w kościele na organach. Norbert powiedział, że może spróbować i tak już zostało. Potem było czteroletnie Studium Organistowskie w Pelplinie i Szkoła Muzyczna drugiego stopnia w Bydgoszczy. Najpierw przez sześć lat grał w wiejskich kościołach w Straszewie. Potem był Gdańsk, Wrocław, Kraków i w końcu Hiszpania. W tej chwili edukację organistowską kontynuuje w Wyższej Szkole Muzycznej w San Sebastian w Hiszpanii. Gra od ponad 20 lat.

To był przypadek, a może przeznaczenie? Na jednym z europejskich spotkań młodzieży poznał Hiszpankę. Zaiskrzyło. Zakochał się i wyjechał z nią do Kantabрії, do niewielkiej miejscowości Torrelavega, ponad 20 kilometrów od większego Santander, stolicy prowincji. Najpierw grał w kościele parafialnym w Torrelavega. W herbie miasta napis „Ave Maria”, brzmiał obiecująco i dość znajomo, jak dla przybysza z maryjnej Polski.

Podczas jednej z wizytacji biskup stwierdził, że nie może tak być, żeby małe miasteczko miało organistę z prawdziwego zdarzenia, a duże miasto Santander, stolica diecezji, nie. I zaproponował mu pracę. To było 6 lat temu. W katedrze są cztery Msze Święte w niedzielę. Do czasu jego przyścia tylko na jednej grał organista. Teraz Norbert, ku zadowoleniu biskupa i parafian, gra na wszystkich Mszach. Katedra w Santander należy do najstarszych zażytków miasta. W XIII-towiecznej świątyni nawet organy brzmią inaczej niż gdzie indziej. Sacrum przy akompaniamencie organów w gotyckich sklepieniach jest jakby pełniejsze.

Santander jest dużym morskim portem handlowym, rybackim oraz pasażerskim, leżącym nad Zatoką Biskajską, w północnej Hiszpanii. Jest stolicą wspólnoty autonomicznej Kantabria. Miasto swój rodowód wywodzi od św. Emeteriusa, męczennika, legionisty rzymskiego, który wraz ze św. Celeroniuszem został ścięty za wiarę. Według legendy ich głowy, trafiły tu jako relikwie w III albo IV wieku. Po upadku Rzymu nowi najeźdźcy - Wizygoci, uczynili Santander stolicą swojego królestwa. Podobnie zrobili w 714 roku przybyli po nich Arabowie. W wiekach średnich Santander było ważnym portem Kastylii i ośrodkiem handlu z Nowym Światem. Miasto było ulubionym miejscem letniego odpoczynku królów Hiszpanii. To właśnie tu zostały zbudowane okręty, którymi popłynęli na podbój świata odkrywcy Ameryki.

Hiszpanie są dość nieufni wobec obcych, ale Norbert Itrich nie miał problemu z wkomponowaniem się w miejscowe środowisko. Torrelavega, jak mówi Norbert, to większa wiocha. Mieszka tu zaledwie 60 tysięcy ludzi i wszyscy się znają. Jak się okazało, że nieznany przybysz z dalekiej Polski ożenił się z córką znanego miejscowego przedsiębiorcy, rodowitego Hiszpana z dziada, pradziada, to szybko uznali go za swego. Trochę było kłopotu ze śródziemnomorskim rytmem codziennego życia - popołudniowa sjesta, kolacja o jedenastej w nocy, ale szybko i do tego się przyzwyczaił. Hiszpanie są bardzo zdystansowani do życia, nie śpieszą się, to chyba kwestia kultury śródziemnomorskiej, jak trzeba coś zrobić, to jakoś się robi, pełen luz. W porównaniu z poukładanym i zaplanowanym Niemcem, a nawet z Polakiem, to był szok na początku. Patrzyli na niego dość podejrzliwie, bo sam wiele potrafi zrobić i nie wołał do prostych rzeczy fachowca, tylko sam robił, remontował, naprawiał. Dziś o tym wiedzą, nie dziwią już się, ale sami dzwonią po fachowca. Hiszpanie bardzo cenią muzyków, szczególnie z Europy Wschodniej, bo uważają, że są lepsi od miejscowych. Norbert odczuł to na własnej skórze, bo po dwóch miesiącach pobytu w Hiszpanii, już pracował w kościele, a pół roku później był już nauczycielem w klasie saksofonu w szkole muzycznej, mimo że nie znał jeszcze języka. Im to nie przeszkadzało. Cenili go za muzykę. To był jego ważny atut. Norbert nie miał kompleksów. Mimo, że jak mówi, orłem w szkole nie był, to to czego nauczył się w polskich szkołach, daje mu poczucie siły i kompetencji. Teraz może to tylko rozwijać i praktykować.

W Hiszpanii organista pracuje trochę inaczej niż w Polsce. Kiedy gra w kościele nie musi śpiewać, choć może, ale generalnie od śpiewu jest kantor, który przygotowuje pieśni. W trakcie mszy nie ma poza tym obowiązku śpiewania, wystarcza muzyka instrumentalna, która ilustruje kolejne części liturgii. Organy są trochę zapomniane w Hiszpanii, nie tylko zresztą tam, bo podobnie jest w innych krajach europejskich. W wielu muzycznych szkołach hiszpańskich nie ma nawet klasy organów. W Santander dopiero trzy lata temu wprowadzono organy jako instrument wykładowy do jednej ze szkół muzycznych. Powód jest prosty. Organistami zazwyczaj byli księża, a tych od lat ubywało i stąd nie miał też kto uczyć gry na tym instrumencie w seminariach duchownych. Od kilku lat, kiedy do Hiszpanii zaczęło docierać wielu muzyków z Europy Wschodniej, to oni zajęli się graniem i nauczaniem organów.

W Santander od wielu lat organizowany jest bardzo popularny festiwal muzyki klasycznej, w którym bierze udział wielu znanych muzyków z całej Europy. Nie ma tam jednak prezentacji organowych. Dlatego Norbert postanowił wypełnić tę lukę i zorganizował swój festiwal. To Międzynarodowy Festiwal Muzyki Organowej (FIMOC) w Kantabrii. W tym roku był nawet mały jubileusz, bo to już piąta edycja festiwalu (www.fimoc.es). Co roku kilkanaście koncertów odbywa się w kilku miastach prowincji, nie tyl-

ko w stolicy, w Santander, ale także w Torrelavega, Potes, Noja, Los Corrales de Buelna i Castaneda. Dzięki temu organy żyją, bo ludzie chcą ich słuchać. Na festiwalu kościoły są wypełnione. W przeciągu tych 5 lat na koncertach było ponad 12 tysięcy widzów.

Muzyka, zdaniem Itricha, to uniwersalny język, dzięki któremu ludzie łatwiej mogą ze sobą się porozumieć, a muzyka organowa jest szczególna, bo zachęca, by szukać tego co piękne i transcendentne. Organiści na festiwal Itricha do Santander przyjeżdżają z różnych stron świata, nawet z Japonii i Korei Południowej. Z reguły jest jakiś przedstawiciel z Polski, za każdym razem ktoś inny. Z Polski do tej pory wystąpili tacy organiści jak Marek Franc, Ireneusz Wyrwa i Radosław Marzec i chór „Canto” z Włocławka. Taka jest zasada, że organista nie może się powtórzyć. Do tej pory, przez pięć lat festiwalu, to się udawało. Druga zasada, że każdy organista połowę repertuaru przeznaczać na prezentację kompozycji z własnego kraju. W tym roku, oprócz tradycyjnej muzyki organowej, na festiwalu wprowadzono również kompozycje jazzowe.

Oprócz festiwalu i codziennej gry na katedralnych organach w Santander Norbert koncertuje w Polsce, we Włoszech. Wydał już cztery płyt, które poza klasyką organowych mistrzów zawierają również jego własne kompozycje.

Norbert ma dwóch synów - 5 i 7 lat. Pewnie pójdą w jego ślady, bo już chwytają za instrumenty i coś tam próbują grać. Mają swoje perkusje, pianino i też chętnie poświęcają im czas. Obaj są dwujęzyczni, z ojcem rozmawiają po polsku, z matką po hiszpańsku, no i hiszpańska szkoła, w której nie mają problemów z porozumiewaniem się, są Polakami i Hiszpanami. Żona nie gra, choć pochodzi z muzykującej rodziny. Matka była pianistką z wykształcenia, choć nigdy nie praktykującą zawodowo. Babka też grała na fortepianie, ale tylko w domowym zaciszu.

Hiszpania słynęła z organów w XVII-XVIII wieku. Były to organy z tak zwaną trąbką horyzontalną o specyficznym brzmieniu, nigdzie indziej w Europie nie spotykanym. Trąbka powodowała, że dało się w nich słyszeć jakby irlandzką kobzę. Był to czas baroku w muzyce hiszpańskiej. Później północno-wschodnią Hiszpanię zdominowały organy francuskie, organy o specyficznym symfoniczno-romantycznym charakterze. Wiek XX, wiek wojen, przyniósł nową serię instrumentów zwanych liturgicznymi, czasami również bardzo rozbudowanych, ale obecnie bardzo krytykowanych i wielokrotnie zmienianych na inne.

Może, zamyśla się Norbert, udałoby się zorganizować jakiś festiwal organowy w rodzinnych stronach, podobny do tego, który w tej chwili organizuje w Santander. Gdyby udało się zebrać trochę grosza na przykład na mały remont organów w kościele Świętej Anny w Sztumie, to miejsce było by bardzo dobre, mając na uwadze również inne organy w okolicy. Na ostatni koncert Norberta w Sztumie w połowie lipca tego roku, po niedzielnej mszy, przyszło



Norbert Itrich w katedrze w Santander. (archiwum rodzinne)

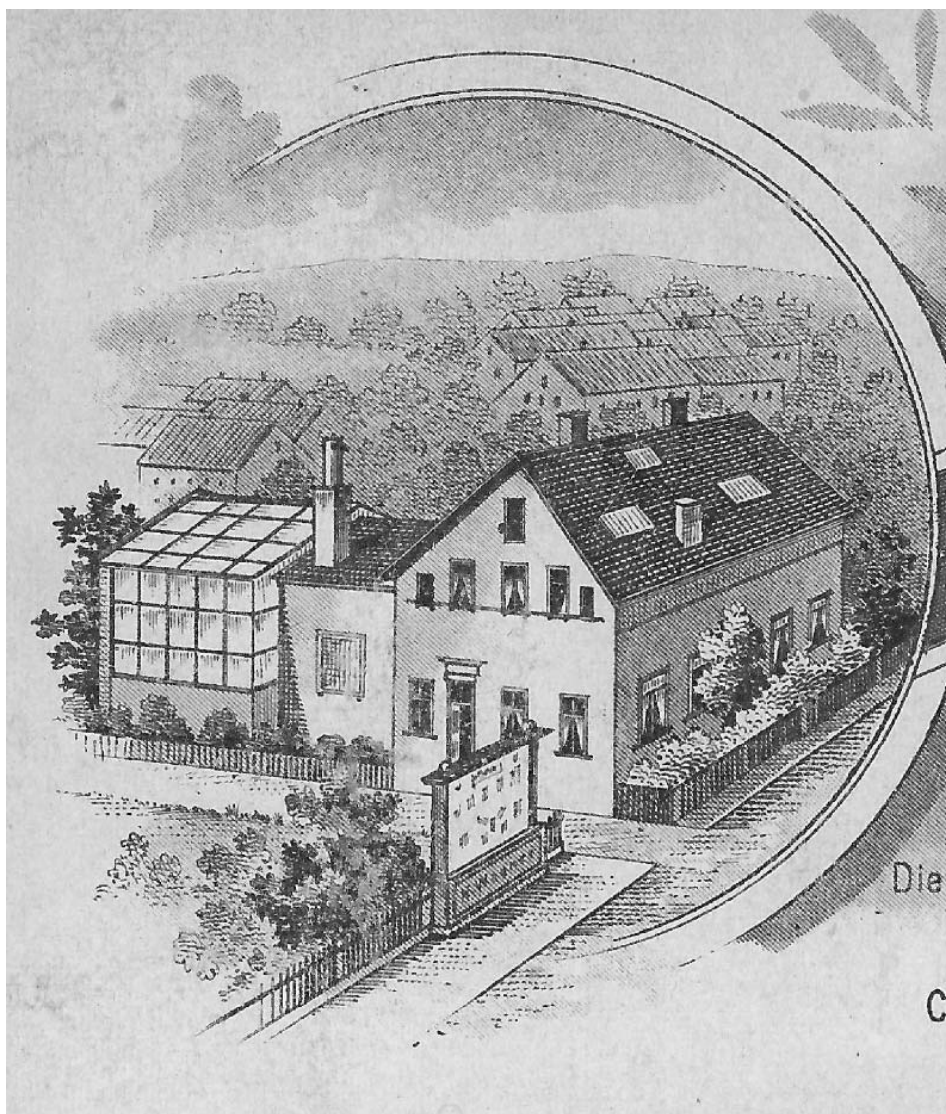
ponad 150 osób. Jak na małe miasteczko to spore osiągnięcie i dowód na to, że ludzie potrzebują kontaktu ze sztuką, tym bardziej, można by dodać, gdy miłą uszom muzykę uprawia „nasz człowiek” z dalekiej Hiszpanii. Do Polski hiszpańsko-polscy Itrichowie przylatują kilka razy w roku – w wakacje, święta, rodzinne uroczystości, czasem pracują przy organach w okolicznych kościołach. Norbert nie ma czasu na tęsknotę za polskimi klimatami, bo dużo pracuje, a częste przyjazdy do kraju rekompensują mu nostalgię i rozłąkę z rodziną. Hiszpania staje się jednak powoli jego nowym domem.

W okolicy Santander mieszka około pięćdziesięcioro Polaków. Na razie kontakty są dość sporadyczne i przypadkowe. Norbert myśli jednak, żeby założyć jakieś polskie stowarzyszenie, bo miło, jak mówi, jest pobyc razem w takiej Małej Ojczyźnie daleko od kraju. Może założą jakiś Dom Polski. To przyszłość, bo na razie pochłania go praca i studia. To w tej chwili jego najważniejsze plany artystyczne - skończyć studia, by mieć większą wiedzę teoretyczną. Studia pomogą mu też popracować nad rozszerzeniem swojego repertuaru organistowskiego, ale dzięki temu będzie mógł również budować czy rozbudowywać organy, bo często jest o takie prace proszony. Ostatnio z bratem Romanem zajmował się budową organów w Czerninie. Dzięki niemu po 19 latach rozbrzmiały też organy w Straszewie, gdzie zaczynał swoją karierę, choć unika tego słowa, bo to żadna kariera, normalna praca, no może trochę przyjemniejsza dla ucha. Dla niego to spełnienie marzeń i to na razie wystarcza.

Danuta Thiel – Melerska

ATELIER FOTOGRAFA W XIX WIEKU

Blejtramy i rodzina Omieczynskich z Nowego Targu

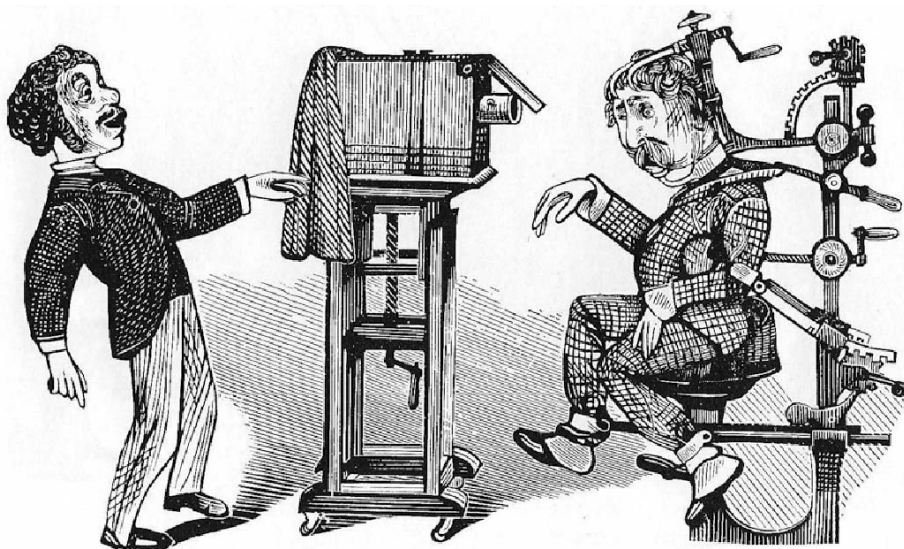


Atelier fotograficzne ze szklaną altaną.

Atelier fotograficzne miało wiele wspólnego z teatrem. Aby wykonać zdjęcie potrzebne były kulisy z rekwizytami. Klienci przychodzili jako aktorzy do fotografa, a ten wydawał im polecenia. Niezbyt okazałe atelier musiało pomieścić studio portretowe, poczekalnię lub, jak kto woli przygotowalnię, ciemnię, pokój retusзера, a także rekwizytornię.

Ważnym elementem, niezbędnym do osiągnięcia celu, czyli dobrego zdjęcia, było odpowiednie oświetlenie. Właśnie podczas wykonywania portretów fotograf mógł przez ustawienie światła, osiągnąć dobre lub złe efekty. Już przy wyborze miejsca na budowę atelier, fotograf musiał zwracać uwagę na padanie światła w różnych porach dnia i roku. Atelier nie mogło stać zbyt blisko innych budowli, aby nie było zbyt ciemno, a także aby z leżących w pobliżu domów nie odbijały się refleksy świetlne. Bezpośrednie działanie słońca było także szkodliwe. Najlepsze wyniki osiągnano, gdy ściana szkła wychodziła na stronę północną. Dla osiągnięcia dobrego zdjęcia potrzebne były zasłony, które pomagały fotografowi, aby jego model był oświetlony z góry, z przodu lub z boku. Dopiero w 20-tych latach XX wieku reflektory zastąpiły działanie światła dziennego.

Najważniejsza dla fotografa była jego kamera. Do końca XIX wieku używano stabilnych drewnianych aparatów. Obok kamery fotograf używał sprzęty pomocnicze, takie jak, np. stelaże do utrzymywania głowy i ciała przez dłuższy czas w bezruchu. Wprawdzie już pod koniec XIX wieku wykonywanie zdjęć znacznie skrócono, ale szczególnie dla ruchliwych dzieci polecano



Atelier fotografa w karykaturze amerykańskiego czasopisma z 1879 r.

jeszcze używanie tych aparatów. Gdy wybrano już pozycję dla modelu, wtedy asystent fotografa dopasowywał stelaż do ułożenia ciała. Następnie czekano na znane nam jeszcze zdanie: „A teraz proszę chwilę się nie ruszać“.

Tak też sfotografowali się moi przodkowie, których tu przedstawiam: rodzina Omieczyńskich z Nowego Targu. Jest to moje najstarsze zdjęcie rodzinne. Do jego wykonania fotograf użył wspomagających stelaży. Omieczyńscy upozowani są jak osoby portretowane, pełni powagi sytuacji. Zdjęcie to na pewno zostało wykonane przed 1866 rokiem. Od tego roku postępująca technika pozwoliła fotografom na wykonywanie popiersi, a nie jak dotychczas całych postaci.



Obok technicznego wyposażenia każdy szanujący się fotograf posiadał kilka blejtramów. Jeżeli był wykształconym malarzem, wykonywał je sam, inaczej musiał je zamawiać lub kupować w specjalnych sklepach. Jako tło fotografowie normalnie używali: charakterystyczne widoki danego miasta, romantyczne ogrody, malowane okna z kotarami, drzwi, czy przy zdjęciach komunijnych wystroj kościoła. Dla dzieci wykonywano specjalne blejtramy, np. kwiecistą łąkę. Jak ważną rolę pełniło tło u fotografów niech świadczy fakt, że powstawały kolekcje z blejtrami do wypożyczania. W 1900 roku firma z Królewca informowała, że dostarczyła fotografom 19 000 malowideł. Fotograf musiał pokazać fotografowanego na właściwym, odpowiadającym jego pozycji społecznej tle. Starano się wzbudzić takie wrażenie, jakoby przychodził on do klientów i w ich salonie w znanym im otoczeniu wykonywał zdjęcie. Autor zdjęć naszej rodziny musiał być wędrownym fotografem, bo moi Omieczynscy siedzą na zwykłych krzesłkach, tłem jest powieszony w pośpiechu ciemny materiał, a chodniczek nie przykrywa nawet całosci podłogi.



Na powyższych zdjęciach Omieczynscy z Królewca i Starogardu Gdańskiego otrzymali od fotografów Mey'a i Stutterheim'a odpowiedni do stanu swego posiadania wystroj wnętrza. Z rekwizytorni wystawiono kolumny, stoliki i krzeselka, aby zaprezentować rodzinę prawie jak w rodzinnym salonie. Nie zabrakło także kotar, dywanów i kwiatów.

Większość fotografów umiała prostymi efektami tworzyć iluzję. Obok kamery i rekwizytów, blejtramy były najważniejszymi w atelier fotograficznym. W XIX i XX wieku fotograf zawodowy musiał umieć wykorzystywać te akcesoria.

Pójście do fotografa było wielkim wydarzeniem i wiązało się ze znacznym wydatkiem. Jeszcze w 1880 roku tylko bardzo dobrze usytuowane rodziny mogły sobie pozwolić na wykonywanie zdjęć. Gdy rodzina była majątna, to fotografowano także dzieci. Robotnicy, rzemieślnicy czy chłopci musieli bardzo dokładnie przemyśleć swoją sytuację majątkową, czy pozwala ona im na tak znaczny wydatek. Rzemieślnik musiał pracować cztery dni na jedną fotografię. W przeliczeniu na dzisiejsze ceny jedno zdjęcie kosztowałoby około 270 euro. Pójście do fotografa było związane z ważnymi wydarzeniami w życiu człowieka w celu jego udokumentowania. Na początku życia był chrzest, komunია lub konfirmacja, zaręczyny i ślub, wykonywany zawód, śmierć. Na początku XX wieku rozszerzono okoliczności, które chciano uwiecznić, m.in: pierwszy dzień szkolny, narodziny następnego dziecka, kupno nowej sukni czy kapelusza, wyjście na pierwszy bal, służba wojskowa, czy grupowe zdjęcia ze spotkań towarzystw, ukończenia pensji, obchody jubileuszowe firmy lub modne wtedy tableaux.

Praca z dziećmi w atelier wymagała od fotografa wiedzy pedagogicznej, umiejętności i cierpliwości. W zabawny sposób trzeba było przekonać małe dziecko, aby przyjęło przed kamerą taką czy inną pozę. Szczególnie ciężko było przekonać małego człowieczka, żeby właśnie w chwili wykonywania zdjęcia nie poruszał się. Na zdjęciu dziecko powinno wyglądać niewinnie i naturalnie. Bardzo małe dzieci fotografowane były w białych koszulinach, siedzące na białej skórze zwierzęcej. Naturalność i czystość dziecka wzmocniana była poprzez jego biały ubiór. Ramionko dziecka, nóżki i ręce pozostawały gołe. Na tyle nagości w atelier fotograficznym mogły sobie pozwolić w tym czasie małe niewinne istotki. Czasami dawano dziecku zabawkę, aby przez krótką chwilę zachowywało się cicho. Do trzeciego roku życia wszystkie dzieci bez względu na płeć były ubierane w sukienki. Jedyną różnicą było uczesanie. Najczęściej dziewczynki miały włosy gładko zaczesane do tyłu, natomiast chłopcy zwłaszcza mający loki nosili je rozpuszczone. Przy późniejszym portretowaniu chłopców i dziewcząt zwracano już uwagę na różnice płci. Dziewczynki nosiły stroje jak dorosłe damy i przedstawiane były najczęściej jako delikatne i niewinne istoty. Chłopcy natomiast naśladowali swoich ojców, stali z wyprostowanymi plecami i pewnymi siebie minami.



Widać to na zdjęciu z Braniewa, wykonanym przez Aleksandra Dorn'a. Z analizy ubioru jednego z Omieczyńskich możemy wnioskować, że musiał widocznie uczęszczać do tamtejszego gimnazjum lub seminarium nauczycielskiego. Ile ci chłopcy mogli mieć lat? Dorosłym być i zachowywać się jak oni było marzeniem każdego już 14-letniego chłopca. Palmy, stolik i krzeselka ustawione przez fotografa wzmocniają jeszcze ten efekt.

Następne zdjęcie dwóch chłopców z Pelplina sfotografowanych przez Georga Rill'a, pokazuje dwóch zaprzyjaźnionych kumpli. Konwenanse i układy były im niepotrzebne. Inny chłopiec, Omieczynski sfotografowany w Gniewie przez Bernarda Weidemann'a już jest całkowicie upozowany do zdjęcia komunijnego. Świeca, książeczka do nabożeństwa, stroik w klapie pierwszego garnituru, krawat i leżący kapelusz. Są to już rekwizyty pozwalające wstąpić w dorosłe życie. W tle nie ma już kwiecistej łąki lub postaci bajkowych. Tło w tym przypadku jest już stonowane. Na innych zdjęciach komunijnych tłem był najczęściej ołtarz, kolumny lub surowo urządzony pokój.



August Grumbach z Nidzicy sfotografował młodego pana Omieczyńskiego w pozie dorosłego dostojnego młodzieńca. Panna Omieczyńska z Bartoszyc ukazana została przez fotografa Paula Petri w spokojnej ciemnej, ale z fantazyjnymi zakładkami i pufkami sukience, lekko się uśmiechając.



Następnym etapem w życiu młodych ludzi było zawarcie związku małżeńskiego. Kobiety do ślubu nosiły czarne, odświętne suknie, które dopiero z takimi akcesoriami jak bukiet, welon (często pożyczany od fotografa) stały się ślubnym strojem. W XIX wieku naśladowano chętnie wyższe sfery, ale tylko najzamożniejsze panny mogły sobie pozwolić na jednorazowo noszoną luksusową suknię. Pan młody nosił odświętne ubranie, rękawiczki, cylinder i stroik w kłapie. Portrety były zawsze inscenizowane, a młoda para nie miała żadnego wpływu na wybór pozy. Panna młoda zawsze stała po lewej stronie, pan młody po prawej. Pan młody trzymał opiekuńczo rękę swojej poślubionej młodej żony i tu Omieczynscy z Prabut są wyjątkiem. Kobieta stała wysunięta do przodu opierając się lekko o mężczyznę, który dawał jej silne oparcie. Mąż występował jako opiekun i obejmował ręką żonę. Fotograf dla młodej pary jako tło wybierał piękne kolumny, malowane płotki z wijącymi się roślinami, zaczarowane ogrody.



Fotografie rodzin w których było więcej dzieci były ustawiane według ustalonego porządku. Rodzice siedzieli z przodu, z tyłu za nimi stały starsze dzieci, obok rodziców stali młodszy, a najmłodsi usadowieni byli na kolanach, najczęściej matki. Tło i rekwizyty w takich zdjęciach nie grały żadnej roli. Między mężczyzną, a kobietą nie eksponowano bliskości, jedynie dzieci poprzez dotyk ręki lub układ ciała pokazywały łączące wszystkich więzy rodzinne. Na zdjęciach tych wydaje się, że małżonkowie siedząc w jednym rzędzie mają takie samo prawa, niestety tak nie było, bo to kobieta najczęściej zajmowała się dziećmi, dlatego na zdjęciu obejmuje je lub trzyma ręce złożone na padołku. Przedstawiona zostaje jako ta, która zachowuje się wstrzemięźliwie. Mężczyzna siedzi najczęściej trzymając zaciśnięte ręce na udach, miało to znamionować jego siłę.

Czasami na zdjęciach umieszczano zmarłych członków rodziny. Widać to na jednym ze zdjęć, gdzie między starszymi siostrami umieszczono zmarłą już wcześniej dziewczynkę.



Jak fotografowano kobiety? Musiały być wytworne i piękne. Do zdjęcia pozowały z wyprostowanymi plecami, z ramionami przyciśniętymi do ciała, głowa musiała być lekko odchylona na bok, z oczyma skierowanymi w lewą stronę. Poprzez tę pozę miały wyglądać nieosiągalnie, ale zachęcająco. W latach 1890 - 1910 umieszczano dużo rekwizytów za damami. Wspaniałe bajeczne tła, dworska architektura, kwiaty, balkony stanowiły kulisy dla drogich ubrań i biżuterii kobiet. W ten sposób ukazywano status i przynależność kobiety do danej grupy społecznej. Błędy urody retuszowano. W późniejszym czasie panie fotografowane były na tle blejtramów na których ukazywane były normalne salony, które miały dawać wrażenie, że fotograf zaproszony został do domu. Pomocą dla kobiet w tymże salonie były fotele lub krzesła, na których siedziały lub się opierały. Czytały one najczęściej książki lub zajmowały się kwiatami. Ważne było, aby poza wybrana dla kobiety była dostojna. Plecy proste, ramiona przy ciele, ręce ułożone poniżej talii, głowa lekko na stronę skłonią, a wzrok skierowany do góry. Ten sposób zachowania był polecany w książkach *savoir-vivre*. Skromność i wstrzemięźliwość były w tamtych czasach cnotami kobiet, które miały być także widoczne na fotografiach.



Właśnie w ten sposób została przedstawiona moja piękna, tajemnicza ciotka Omiędzyńska, sfotografowana w Królewcu przez fotografa Johanna Stefana Schroeder'a, mającego także zakład fotograficzny w Elblągu.

Znalazłam jej zdjęcia w innym albumie rodziny Thiel, ale i tak jej imię pozostanie tajemnicą. Wszystkie zdjęcia z jej postacią są porysowane ostrym przedmiotem. Ale zostawmy ten problem, który możliwe że kiedyś zostanie wyjaśniony.

Portrety mężczyzn były właściwie skromne.



Omieczyński z Pieniężna sfotografowany został w latach 70-tych XIX wieku przez Alberta Dietz'a. Ukazany jest jako starszy, zadowolony pełen godności człowiek, którego wypełnione obowiązkami życie zbliża się do końca. Młody mężczyzna obok dopiero zaczyna z dumą i dyscypliną wypełniać swoje obowiązki na służbie wojskowej w Berlinie. Odwiedził tam fotografa Postlep'a w 1894 roku, aby mieć pamiątkę ze służby wojskowej.



Pan Omieczynski z Olsztyna został przez następcę fotografa Blaschy upozowany w ten sposób, aby mimo wizytowego stroju pokazać jego pewność siebie i siłę. Inny młody Omieczynski, odbywając służbę wojskową w latach 90-tych XIX wieku w Nidzicy, przesłał do rodziny zdjęcia wykonane przez znakomitego tamtejszego fotografa Wilhelma Hermana Schumacher'a

Przy fotografowaniu mężczyzn nie przykładano zbyt dużej wagi do rekwizytów. Fotograf wspomagał się jedynie nielicznymi akcesoriami, były to: cygara lub papierosy, kapelusz, skórzane rękawiczki, laseczki albo parasole. Piękno nie było pierwszoplanową rzeczą. Wtedy gdy kobietom retuszowano zmarszczki, u mężczyzn wyrażały one ich charakter. Na portretach męskich jedynie retuszowano brody, które miały być gęste i pełne. Fotograf zwracał uwagę na sposób ułożenia ciała klientów. Z wizerunku portretowanego powinna wiać duma, pewność siebie, dyscyplina i aktywność.

Fotografie stały się ważną pamiątką rodzinną. Istniała potrzeba ukazania siebie i rodziny, a przede wszystkim jej statusu społecznego. Fotografowie pojęli to prędko i wyposażyli swoje atelier w odpowiednie akcesoria. Utworzono w małych pomieszczeniach świat marzeń, który uwieczniano na szklanych płytach. Postronny obserwator mógł zobaczyć, że rzeczywistość na fotografii nie miała nic wspólnego z codziennością. Fotografia stała się środkiem do tworzenia iluzji.

Zdjęcia pochodzą ze starych albumów, dlatego ich jakość nie jest najlepsza. (red.)

Lokalizacja grodu na podstawie relacji J. H. DEWITZA z 1752 roku

„W archeologii polskiego wczesnego średniowiecza są dokonania różnej rangi. Niektóre z nich mają wszakże wymiar szczególny. To właśnie im poświęcamy najwięcej uwagi. Chodzi o odkrycia głośne, niekiedy zapomniane, które podzieliły i nadal dzielą środowiska naukowe. Prezentujemy też problemy będące od lat przedmiotem dyskusji i polemik... opinie, które burzą utarte schematy rozumowania, ale jednocześnie otwierają nowe horyzonty poznawcze. I choć w wielu kwestiach jest za wcześnie, aby pokusić się o zarysowanie ostatecznych rozstrzygnięć, warto przedstawić, a w niektórych przypadkach zarysować perspektywy dalszych poszukiwań.” (Prof. Andrzej Buko „Archeologia Polski wczesnośredniowiecznej” Warszawa 2005 r.)

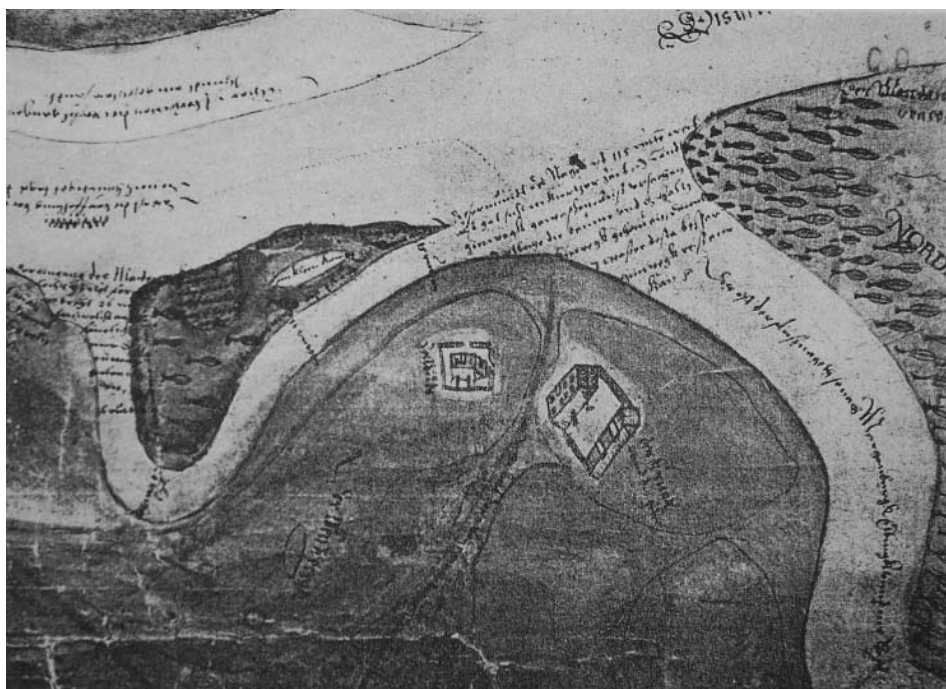
Sprawa Zantyru podzieliła środowiska naukowe i od lat jest przedmiotem dyskusji i polemik. Spowodowane jest to tym, że naukowcy nie znają współczesnej lokalizacji tego grodu, aby móc przeprowadzić szerokie badania archeologiczne.

Czas określić położenie Zantyra dokładnie!

Po pięciu latach intensywnej pracy badawczej mogę nareszcie zaprezentować rozwiązanie tajemnicy grodu Zantyr. Złożyło się na to ponad 50 wyjazdów w okolice Białej Góry. Wszystkie badania były prowadzone pod patronatem Muzeum Zamkowego w Malborku, metodami nieinwazyjnymi, zawsze za zgodą właścicieli terenu. Na podstawie zawężonego obszaru poszukiwań, studiowaniu map współczesnych i wszelkich innych przesłanek zostało przebadanych w latach 2006-2010 18 miejsc. Prace były prowadzone metodycznie od Benowa w kierunku północnym.

Równolegle w latach 2007-2008 prowadził wykopaliska archeologiczne Zbigniew Sawicki z Działu Archeologii Muzeum Zamkowego w Malborku na terenie wsi Biała Góra. Efektem jego pracy jest nowa wystawa w Przyziemiu Zamku Wysokiego pt. „Prusowie – Życie i kultura mieszkańców średniowiecznej Pomezanii w XII-XV wieku”.

Moje, poniższe spostrzeżenia są nowatorską koncepcją opartą na relacji J.H. Dewitza z 1752 roku. I chociaż teoria z roku 2006 opublikowana w internecie – www.zantyr.neostrada.pl, dzięki której udało się sprowadzić w okolice Białej Góry archeologów i ożywić znowu badania nad Zantyrem, rozminęła się w większości z prawdą to rozwiązała jednak bardzo ważny problem, a mianowicie, że „Zantyr leżał na białej górze”, a nazwa wsi Biała Góra wzięła się od góry, a nie odwrotnie. Okazało się to kluczem do rozwiązania tej tajemnicy.



Plan Białej Góry w 1582 roku.

Dokumenty określające położenie Zantyra. Z dostępnych w literaturze historycznej opisów, sugerujących lokalizację grodu Zantyr (do badań została wybrana tylko część dokumentów):

1. Piotr Dusburg „Kronika ziemi pruskiej” z I połowy XIV wieku – rozdział 45:

„... Wybudował (Świątopętk – W.K.) bowiem u zbiegu rzek, a mianowicie Wisły i Nogatu, zamek zwany Santyr, w którym osadził bezbożnych mężów, którzy nie pozwalali poddanym braci ani spokojnie wsiadać ani wysiadać z łodzi...” – rozdział 208 – „W roku 1280 Santyr zmienił nazwę i miejsce, a mianowicie został przeniesiony w to miejsce, gdzie znajduje się obecnie; nadano mu nazwę Marienberg...” (tłumaczenie Sławomir Wyszomirski Toruń 2004). Na tej podstawie Jan Długosz w XV wieku, w swoim dziele „Roczniki czyli kroniki sławnego Królestwa Polskiego” zmienił sens tego zdania powodując podział środowisk naukowych w temacie lokalizacji Zantyr. W księdze VII – Rok pański 1280 zapisał : „... Za jego rządów (Mangolda v. Sternberg – mistrza krajowego w latach 1280-1283 – W.K.) na miejscu zamku i miasta Sątyr wzniesiono gród Malbork, a dawną nazwę zniesiono.”

2. Itinerarium wielkiego mistrza Konrada von Jungingen z 1402 roku – „przeprawa w Santyrze leżała po drodze z Mątówów Wielkich w południowej części Wielkiej Żuławy do Benowa...” za prof. Janem Powierskim „Na marginesie najnowszych badań nad problemem misji cysterskiej w Prusach i kwestią Santyra” Prussica tom I Malbork 2004, str. 96.

3. Opisy działań wojennych w trakcie wojny trzynastoletniej zaczerpnięte z książki Mariana Biskupa pt. „Trzynastoletnia wojna z Zakonem Krzyżackim 1454-1466”, Warszawa 1967. Dowiadujemy się z nich, że w okresie maj – wrzesień 1466 rok w santyrskim kościele, który leżał naprzeciw Kreuzlache, broniła się załoga krzyżacka. Zbudowane palisady z bastejami biegly aż do Wisły. Zbudowana przez Polaków basteja znajdowała się naprzeciw na Wielkiej Żuławie. W trakcie działań wojennych toczyły się walki łodzi na Wiśle i Nogacie. Nocą 23-24 VII dotarła do obrońców piesza załoga ze Starogardu. Od 10 IX Polacy rozpoczęli regularne oblężenie. 300 konnych Krzyżaków z Przezmarka przedarło się 16 IX, a następnie po spaleniu umocnień załoga uciekła do Kwidzyna. Następnie wojska polskie zburzyły inkasztelowany – umocniony kościół w Zantyrze.

4. Nadanie ziemi dla Jana Balińskiego w 1525 roku - „...LACUM SGNY-ELA LACHA NUNCUPATUM, INTER LIMITES VILLAE CZANTER ET INTER SILVAS NOSTRAS MATRICA ET ROSENKRANZ SITUM” („... Ciek wodny Zgniła Łacha biegnie pomiędzy granicami dworu wiejskiego Zantyr a granicami lasów Metricz i Rozenkranz.”)

5. J. H. Dewitz „Historiche Briefe. Eine Reise durch Preussen” 1752 – „... przewoźnicy w Białej Górze utrzymywali, że na miejscu zwanym Kirchhof (cmentarz), położonym o strzał ze strzelby powyżej karczmy leżał niegdyś Malbork, w pobliskim lesie zachowały się wały ziemne.” - za prof. Janem Powierskim „Na marginesie najnowszych badań nad problemem misji cysterskiej w Prusach i kwestią Santyra” Prussica tom I Malbork 2004, str. 102.

Świat naukowy zajmujący się sprawą Zantyru podzielił się na dwa obozy:

1. Pierwszy uważa, że Zantyr to wcześniejsza nazwa Malborka.
2. Drugi (liczniejszy) jest zdania, że Zantyr leżał w okolicach dzisiejszej wsi Biała Góra, ale wszelkie ślady grodziska zostały zniszczone na przełomie XIX i XX wieku w trakcie budowy śluzy i wałów powodziowych.

Na podstawie w/w dokumentów opisujących w różny sposób położenie Zantyra określiłem zawężony obszar poszukiwań:

1. Na południu – na północ od Benowa – wynika to z itinerarium wielkiego mistrza z 1402 roku
2. Na północy – na południe od Pogorzałej Wsi na podstawie opisów działań wojennych w 1454 roku – „... transport żywności z Gdańska, ... 16 maja przybył Wisłą do Zantyru. Ponieważ przewoźnicy obawiali się ataku



Fragment palisady w Białej Górze. (fot. W. Kunicki)

wroga z wałów żuławskich, Jordan musiał przeładować transport na wozy sprowadzone spod Wielbarku i ściągnięte z okolicznych wsi i 18 V przewiózł go do obozu. W przeddzień ostrzeliwał w Pogorzalej Wsi umocnienia krzyżackie, skąd miano zablokować przejazd łodzi gdańskich na Nogacie.” M. Biskup „Trzynastoletnia wojna z Zakonem Krzyżackim 1454-1466”, s.194.

Założenia określone w 2006 roku okazały się aktualne, tzn.:

1. Zantyr to nie jest wcześniejsza nazwa Malborka – opisy wojny trzynastoletniej wykluczają taką możliwość . W 1466 roku zamek i miasto Malbork były w rękach Polaków. Gdzie więc miały toczyć się opisane działania wojenne w okresie od maja do września?

2. Zantyr nie leżał na Wielkiej Żuławie. Na Żuławach nie stwierdzono ani jednego grodziska średniowiecznego. Wynika to z tego, że były to tereny często zalewane przez Wisłę i Nogat.

3. Grodzisko „Bronki” w Węgrach koło Gościszewa to nie Zantyr – grodzisko leży powyżej Pogorzalej Wsi.

4. Siatka hydrograficzna obecnie jest całkiem inna niż w XIII wieku – rzeki były szersze i płytsze. Delta Wisły i Nogatu dopiero tworzyła się. Położenie dawnego Cypla Montowskiego na podstawie istniejących cieków wodnych i map XVII - wiecznych wytyczyłem na wysokości Żydziej Góry.

5. Zantyr leżał w okolicach dzisiejszej Białej Góry. Z tym założeniem zgadza się zdecydowana większość historyków.

Wróćmy do koncepcji Dewitza z 1752 roku. J. H. Dewitz "Historiche Briefe. Eine Reise durch Preussen" 1752 – przewoźnicy w Białej Górze utrzymywali, że na miejscu zwanym Kirchhof (cmentarz), położonym o strzał ze strzelby powyżej karczmy leżał niegdyś Malbork w pobliskim lesie zachowały się wały ziemne, za prof. Janem Powierskim (na wschód od karczmy, za M. Haftką „Uwagi w sprawie wczesnośredniowiecznego osadnictwa północnej Pomezanii i kwestia lokalizacji Santyra”).

Przejdźmy więc do konkretów i zajmijmy się w/w relacją i ustalmy o jakim miejscu pisał w połowie XVIII wieku J. H. Dewitz. Rozłóżmy relację na czynniki pierwsze:

A – BIAŁA GÓRA

Nazwa Biała Góra była używana do określenia wielkiej piaskowej góry dużo wcześniej niż pojawiła się wieś o tej samej nazwie. Mapa z roku 1656 pokazuje nam, że w ówczesnym okresie nazwę Biała Góra używano do określenia pasma wzgórz od Benowa aż po Węgry. Jeszcze w roku 1692 nie ma wsi. Biała Góra oznacza jedną dużą górę. Pragnę zwrócić uwagę również na położenie Cypla Montowskiego na tej mapie, który znajduje się na wysokości obniżenia krawędzi wysoczyzny na północy góry. Ta sama sytuacja występuje również na mapie z 1722 roku i na mapie Johana Friderika Enderscha w 1753 roku (rok po relacji J. H. Dewitza). Jeszcze wtedy w tradycji Biała Góra istniała jako nazwa góry – wieś nie została oznaczona. Świadczy o tym brak piktogramu oznaczającego wieś tak jak w przypadku okolicznych miejscowości. Do początków XIX wieku (mapa Schroettera 1802 rok) Biała Góra oznaczała pasmo gór pomiędzy Benowem (30 m n.p.m. krawędź wysoczyzny na zachodzie) a Uśnicami (10 m n.p.m.).

W czasach krzyżackich Biała Góra była porośnięta Puszcą Sztumską. Dlaczego więc nazwa Biała Góra? Tu odpowiedź daje nam „Lustracja Województw Prus Królewskich z 1624 roku”: „...Była kiedyś puszcza niemała w starostwie sztumskim, spólna z zamkiem malborskim, od lasu ryjowskiego począwszy aż po Węgry.... Ale teraz nie masz, jeno barci kilkanaście, a chrostów po trosze...Gdyśmy się pytali, co by za przyczyny zniszczenia tej puszczy były, dano nam sprawę, iż za króla ś.p. Stefana, gdy była wojna pode Gdańskiem, siła jej wycięto dla hamru, który tu był zbudowany do lania kul przy lesie ryjowskim”.

A co mówią inne opisy Królewszczyzn o Białej Górze wykonane w XVI i XVII wieku, w których jest mowa o granicach opisywanych wsi. Często są wymienieni mieszkańcy z nazwiska oraz wszystkie podatki, które wieś powinna płacić. Okazuje się, że nie ma tam mowy o wsi Biała Góra. A co jest?:



Fragment odwiertu w Białej Górze. (fot. W. Kunicki)

Opisy królewszczyn:

1565 „... item z przewozu u Białej Gori za Benowem ku Miedzilieńcu, który przewóz zowią lachą ku Gniewu, płaci przewoźnik” (u podnóża – W.K.).

1624 rozdziały: Wieś Brunsualdt, Wieś Nowy Targ, Wieś Grunau, Wieś Benowo i nagle Biała Góra – „ ...tam nie masz jeno karczma a przewóz , na co oboje ma prawo dożywotnie od KJM p. Marcin Bobiński „(tam nie masz nic – W.K.)

1664 rozdział: Wieś Benowo przy Nogacie będąca – „... przy tym Benhowie jest Białagora. Tam tylko sama karczma a przewóz trzyma pan Jakub Thomas.”

Wzgórze 54 od którego zaczynałem przygodę z Zantyrem w 2006 roku to tylko małutka, nie najwyższa część olbrzymiej góry. O jej rozmiarach łatwo się przekonać jadąc do wsi Biała Góra, na rowerze od strony Sztumu.

B – PRZEWÓZ w Białej Górze

I tu znowu niezastąpione okazały się opisy Królewskich. W cytowanym już roczniku 1664 – rozdział : „Wieś Benowo przy Nogacie będąca” - czytamy: „Drugi przewóz w półmili dobrej od Białejgóry naprzeciwko Wsi Pogorzalej do zamku sztumskiego należącej mieszka przewoźnik Jan Weysza”.

Za „Encyklopedią Popularną PWN” z 1982 roku: mila w Polsce dawna miara geograficzna – 7146 metrów, nowopolska po 1819 – 8534,31 metra.

Oczywiście chodzi nam o milę starą a dokładniej o dobre półmili. 7146: 2 = 3573 metry.

Wystarczy wyznaczyć na mapie 3500 metrów od Pogorzalej Wsi na południe. Tylko jeden punkt na mapie mógł być kiedyś miejscem przeprawy. Świadczy o tym ułożenie wałów i bliskość rzeki. To miejsce to gospodarstwo nr 25 w Uśnicach położone przy wałach Kanału Uśnickiego. Właśnie nie-naturalny przebieg wałów w tym terenie zwrócił moją uwagę. Biegają one wzdłuż Kanału Uśnickiego a następnie odchylają się w kierunku wschodnim a następnie załamują się pod kątem 90 stopni i prowadzą do dużego wzgórza przed gospodarstwem.

C – KARCZMA

W tym przypadku z pomocą przyszła kartografia. Plan Białej Góry z 1582 roku. Jest to schematyczny rysunek ręczny, gdzie trudno powiedzieć, aby autor zachował jakąś skalę. Mamy na nim zaznaczone dwa obiekty. Z lewej strony dom celny, który znajdował się zapewne przy przeprawie i z prawej strony karczmę. Na północ od gospodarstwa uznanego przeze mnie za przewóz po drugiej stronie polnej drogi znajduje się podwyższenie terenu zwane przez miejscową ludność Piaskową Górą lub Baranią Górą. Wzgórze zasypane jest licznymi skorupkami średniowiecznymi i nowożytnymi co może wskazywać na istnienie kiedyś w tym miejscu karczmy.

D – KIRCHHOF – CMENTARZ

Z wyznaczeniem cmentarza poradziłem sobie na szczęście bez strzelania ze strzelby, której zasięg ówczesny w literaturze ocenia się na 500-600 metrów. W kierunku na wschód, trochę powyżej karczmy rozwiązanie tej zagadki istnieje do dzisiaj. Między gospodarstwami na niewielkiej obecnie przestrzeni są pozostałości po starym cmentarzu. Najstarszy czytelny pochówek udało się wydatować (na podstawie zachowanych napisów) na 1810 rok, czyli 58 lat po relacji Dewitza. To musi być ten cmentarz.

E – WAŁY ZIEMNE

Dośłownie kilkanaście metrów za cmentarzem rozpościerają się w lesie czytelne i świetnie zachowane ślady po małych wałach – palisadach . Zdawało mi się na początku, że pochodzą z wojen szwedzkich. Omawiane

wały biegną jednak na przestrzeni ok. trzech kilometrów. Co ok. 50 metrów mają mini-bastiony, przerwy w wale osłonięte z przodu dużym kopcem ziemi. Kierunek ich przebiegu, aż do przystani sugeruje jednak, że pochodzą one z wojny trzynastoletniej. Każda zmiana kierunku przebiegu palisady następuje pod kątem ok. 90 stopni i jest zabezpieczona basteją. Bogata warstwa spalenizny świadczy o tym, że uległy one spaleniowi tak jak umocnienie w Zantyrze w 1466 roku. Jak wyglądały te umocnienia w 1466 roku, możemy sobie wyobrazić na podstawie obrazu „Oblężenie Malborka w 1460 roku”. Obraz został namalowany ok. 1480 roku i autor znał na pewno z autopsji palisady budowane w tej wojnie a małe mini-bastiony okazały się śladami po drewnianych bastejach. Opis umocnień pod Malborkiem w 1460 roku znajdujemy również w książce Andrzeja Nowakowskiego „Wojskowość w średniowiecznej Polsce” Malbork 2005: „Plan oblegających zmierzał do otoczenia miasta linią umocnień drewniano-ziemnych, złożonych z rowów z palisadami oraz bastei.... Przy rowach stanąć miało kilkanaście dużej wysokości bastei z drewna i plecionki wypełnionej ziemią o dużej wysokości....” Były to stanowiska artylerii i broni palnej o czym świadczy inny fragment z w/w książki: „Wieki mistrz... nie mógł przełamać oporu stawianego przez załogi bastei, które ostrzeliwując nieprzyjaciela z dział oraz ręcznej broni palnej, zmusiły go do rezygnacji z walki...” A więc mini bastiony okazały się kopcami po bastejach. Drewniana konstrukcja uległa spaleniowi a duże kopce uległy zaś erozji. W terenie znajduje się jeszcze ok. 36 czytelnych śladów po bastejach. Każdy w formie kopca o średnicy ok. 4,5 -5,0 metra.

Nie są to jedyne czytelne wały w tej okolicy. Mogą być to większe basteje otaczające kościół a najprawdopodobniej, ponieważ wały nakładają się z palisadami, w niektórych miejscach są to pozostałości po wałach grodziska. Są one zdecydowanie szersze u podstawy i większe.

W tym miejscu wg relacji Dewitza znajdował się dawniej Marienburg – czytaj Zantyr!

Skoro udało ustalić się nam współczesną lokalizację Zantyru odpowiedzmy na pytanie: Czy pasują do tej lokalizacji wcześniej wymienione opisy oraz inne opisy istniejące w literaturze przedmiotu, a pominięte przeze mnie na początku poszukiwań?

Odpowiedź brzmi – TAK !

* Kronika Piotra Dusburga i itinerarium wielkiego mistrza z 1402 roku

* Dokument z 1525 roku, który miał być decydujący w literaturze o lokalizacji grodu w okolicach wsi Biała Góra . Skoro lasy Metrycz i Rozenkranz nie sąsiadowały z granicami Zantyr na południu to aż dziwne wydaje się, dlaczego nikt przez 100 lat nie szukał Zantyr na północ od wymienionych lasów, których położenie jest ściśle określone na podstawie kartografii.

* „Zgadzałoby się to z tradycją lokalną określającą północno-zachodnią część wsi Biała Góra jako BURG – A. Semrau” - Za M. Haftka „Uwagi w sprawie wczesnośredniowiecznego osadnictwa północnej Pomezanii i kwestia lokalizacji Zantyr” – Wystarczy wykreślić słowo wieś, skoro wieś Biała Góra pojawia się dopiero w kartografii na przełomie XVIII i XIX wieku, a nasze wały znajdują się w północno-zachodniej części góry.

* Z opisu działań wojennych z 1466 roku (według M. Haftka) wynika, że kościół w Zantyrze był położony w południowej części wsi od strony Wisły - „jako wieś rozumiemy Uśnice, notowane na kartach historii jako Wanszenig w 1402 roku a potem w 1498 jako Wusenitz. W tym okresie najprawdopodobniej nie istniała nazwa wsi Zantyr. Została ona zniesiona a Zantyr oznaczał tylko miejsce przeprawy i kościół, który obsługiwał okoliczne wsie, np. mieszkańcy Gościszewa płacili czynsz dla kościoła w Zantyrze.

* „Opis królewskich ziem z 1664 roku zwraca uwagę na wieś Biała Góra sąsiadującą z terenem dawnego grodu zantyrskiego.” - za Marzeną Pollakówną, która dotarła do wydania Opisu Królewskich ziem z 1938 roku. Niestety, nie odnalazłem takiego sformułowania w tym roczniku. Jeżeli natomiast skreślimy znowu słowo wieś, ponieważ mówimy o roku 1664, rzeczywiście góra Biała Góra sąsiaduje z terenem dawnego grodu w Zantyrze.

I na koniec zostawiłem sobie mapę Suchodolca z lat 1700-1703. Jest to chyba jedyna mapa na której znajdują się dwa punkty jednocześnie: Weisenberg – Biała Góra i Zantyr. Już dużo wcześniej z matematycznych wyliczeń odległości między punktami Biała Góra (traktowany jako środek współczesnej wsi), grodzisko Bronki w okolicach wsi Węgry i Zantyr, wyszło, że ten ostatni powinien znajdować się gdzieś w połowie Uśnic. Niestety, kilka lat temu ta lokalizacja wydawała mi się niemożliwa, a wyliczenia sądziłem były błędne z powodu niedokładności ówczesnych map.

Odkrycie niezbadanego jeszcze stanowiska archeologicznego potwierdziły liczne odwierty wykonane świdrem geologicznym oraz badania georadarowe przeprowadzone przez Zakład Badań Nieniszczących z Krakowa pod kierunkiem dr Wiesława Nawrockiego. Najprawdopodobniej udało się również zlokalizować fundamenty po dawnym kościele zantyrskim. Oczywiście dokładne wyniki badań przekazane zostaną archeologom, którzy podejmą się badań w wyznaczonym miejscu. Myślę, że nastąpi to już w niedługim czasie. Prowadzone w dalszym ciągu badania nieinwazyjne przynoszą ciągle nowe, interesujące szczegóły dotyczące omawianego terenu. Mam nadzieję, że kolejny artykuł będzie już relacją z badań archeologicznych.

Mapy pochodzą ze zbiorów Gdańskiej Biblioteki PAN.

Zdjęcia z archiwum autora.

Jacek Albrecht

ZANTYR JEST W MALBORKU



„Szkoła Łacińska” w Malborku - Zamek Zantyr.

Ten wymieniany w XIV-to wiecznej „Kronice Ziemi Pruskiej” Piotra z Dusburga mityczny nieco, a prekursorski dla stołecznego Malborka zamek Zakonu Krzyżackiego intrygował historyków od początku badań nad architekturą państwa zakonnego. Nie natrafiono dotąd na żadne materialne jego ślady w dotychczasowych, tradycyjnych obszarach poszukiwań, a spór wciąż toczy się o ewentualne miejsca lokalizacji warowni w okolicy Białej Góry. Możliwe jednak, że właśnie odnaleziona została owa zaginiona twierdza.

Nazwa Zantyr pisana też Santyr, Sątyr, Dzierter czy Zantir, dotyczy według wspomnianej kroniki zamku murowanego, jaki Zakon wzniósł po pierwszym powstaniu pruskim z lat 1242 – 47. Tu umieścił też wkrótce konwent, żeby w roku 1280 przenieść go do nowego zamku Marienburg. Ale nazwa Zantyr, wiązana też czasem z polską nazwą Ścierz, określa również gród księcia pomorskiego oraz powstałe około roku 1230 siedlisko misji chrystianizacyjnej cysterskiego biskupa Chrystiana. To tu wybudował także swój obronny zamek książę pomorski Świętopełk, który przejęli Krzyżacy, jakoby od jego brata Sambora około roku 1250. Dziać się to wszystko miało u zbiegu rzek Wisły i Nogatu, a cała wiedza na ten temat pochodzi z kilku przypadkowo rozrzuconych zdań w „Kronice” zakonnika krzyżackiego Piotra z Dusburga, znanej jedynie z prac późniejszych kopistów. Zarówno gród księcia pomorskiego, jak i siedziba biskupa z murowaną katedrą, obronnym dworem i osadą oraz murowany zamek konwentu w Zantyrze zniknęły dla współczesnych badaczy bez śladu.

Dzisiejsze interpretacje zapisów Kroniki poszły w kierunku identyfikacji Zantyru z grodem pomorskim w obecnym rozwidleniu Nogatu i Wisły, gdzie siedzibę swojej misji miał założyć, po oddaniu Chełmna Krzyżakom, biskup Chrystian. Do bliższego określenia obszaru poszukiwań posłużyły tu dwa dokumenty z XV i jeden z XVI wieku, wymieniające nazwę Santyr w opisach rejonu Białej Góry. Trwają więc poszukiwania resztek zakonnego zamku w rejonie wsi Biała Góra u współczesnego zbiegu tych rzek. Przy braku, jak dotąd, rezultatu, zakłada się, że były to umocnienia wyłącznie drewniane – ziemne i ślad po nich zaginął, ewentualnie, że rozebrano je doszczętnie, łącznie z wybraniem kamieni fundamentowych, a odzyskaną cegłę zużyto przy wznoszeniu nowej warowni. Nie peszy badaczy przy tym za bardzo fakt, że takiego rozwiązania nie zastosowano nigdzie więcej i że zniknęła także, bez wątplenia murowana biskupia katedra. Zniesiona w jednym miejscu nazwa mogła być natomiast dla niewielkiej osady wtórnie zastosowana gdzie indziej przez np. sentyment dawnych mieszkańców.

Na terenie Starego Miasta w Malborku tymczasem, niestaranie wtopiona w ciąg murów skarpowych i wysunięta przed ich lico znajduje się tajemnicza budowla gotycka zwana „Szkołą Łacińską”. Usytuowana została ona na wychodzącej przed mur platformie ziemnej, na wysokości około 4 m nad dzisiejszym poziomem wody mniej więcej w połowie wysokości obwarowań

miejskich. Oficjalnie swą historię zaczyna „Szkola” od zakonnego dokumentu fundacyjnego na rzecz miasta z roku 1352, ale jej architektura i struktura budowlana przeczy takiemu pogładowi w sposób oczywisty. Powstała ona bez wątpienia dużo wcześniej od murów miejskich, z którymi połączona została w dwóch etapach w sposób mocno przypadkowy. Elewacja budowli z wysokimi, ślepyimi arkadami powtórzona ideowo jedynie w Pałacu Wielkich Mistrzów nowego zespołu zamkowego nie ma też odpowiedników ani w architekturze rozbudowywanego wówczas Starego Miasta, ani w całym budownictwie zakonnym. Obowiązywało też nie uwzględniane często przez badaczy, a zawarte w prawie chełmińskim, zobowiązanie Krzyżaków do nie wznoszenia w miastach jakichkolwiek nowych budowli.

Jan Długosz w księdze VII swojej „Kroniki” pisze o roku 1280 i urzędowaniu Konrada Feuchtwangena: „Za jego rządów na miejscu miasta i zamku Sątyr wzniesiono gród Malbork, a nazwę zniesiono”. Według tej relacji więc zamek Zantyr znajdował się na terenie późniejszego Malborka. Także kronikarz polski Marcin Murinius w swojej „Kronice mistrzów pruskich” z 1582 roku podaje: „Tegoż roku mając Krzyżacy ustawiczne z Litwą i Prusami burdy, Marienburg poczęli budować, zamek i miasto, a na tym miejscu było pierwiej miasteczko Dzianter rzeczzone, do którego dla lepszej obrony Nogat rzekę od Wisły przywiedziono.” Powołuje się przy tym na tłumaczenie „Kroniki” Daubmanna, chociaż badacze dopatrują się u niego polskiej tradycji historiograficznej wywodzącej się z tradycji „Kroniki” Strykowski. Jedynie w kronice Piotra z Dusburga, zakonnika krzyżackiego z XIV wieku jest że: „Zamek Santyr zmienił nazwę i miejsce i przeniesiony został tu gdzie obecnie się znajduje, oraz nazwany Marienburg”, co jednak rozumieć też można jako przeniesienie w bezpośredniej bliskości.

„Kronika Ziemi Pruskiej” Piotra z Dusburga jest podstawą źródłową kolejnych opracowań, ale znana jest dzisiaj jedynie z późniejszych o kilkadziesiąt lat odpisów. Nie wiemy też z jakiej wersji korzystali także polscy kronikarze pisząc wprost, że Malbork powstał na miejscu osady Zantyr a starą nazwę zniesiono. Możliwe jest natomiast założenie, że tak właśnie było. Że zamek Zantyr to późniejsza, tak zwana Szkoła Łacińska, o czym zaświadcza cały szereg dowodów i przesłanek.

Po pierwsze zatem, w średniowieczu pradolina Wisły zamieniała się u ujścia rzeki w szeroką, zalewową deltę. Na północnym krańcu Wysoczyzny Malborskiej, w miejscu gdzie stoi zamek Malbork kończyło się, odchylające się ku wschodowi prawe ramię ograniczającej pradolinę skarpy. Tu brało początek prawe (wschodnie) ramię delty - płynący bagnistymi rozlewiskami Żuławy Malborskiej w kierunku Zalewu Wiślanego, Nogat. Lewe ramię delty - główne koryto Wisły, zmieniało w czasie trasę swojego biegu, przesuując się w obszarze szerokiej pradoliny. Nie było też ono w tej okolicy zbyt czytelne, ponieważ niezagospodarowane Żuławy stały w dużym stopniu pod

wodą, pocięte siecią strumieni różnej wielkości. I właśnie to miejsce właściwego początku Nogatu na krańcu rozszerzającej się pradoliny Wisły miał na myśli kronikarz krzyżacki, mówiąc o księciu pomorskim: "Wybudował bowiem u zbiegu rzek, a mianowicie Wisły i Nogatu, zamek zwany Santyr." Tak więc śladów grodu Świętopełka, misji cysterskiej biskupa Chrystiana, a także pierwotnego zamku zakonnego Zantyru szukać winniśmy na terenie zamku i miasta Malborka.

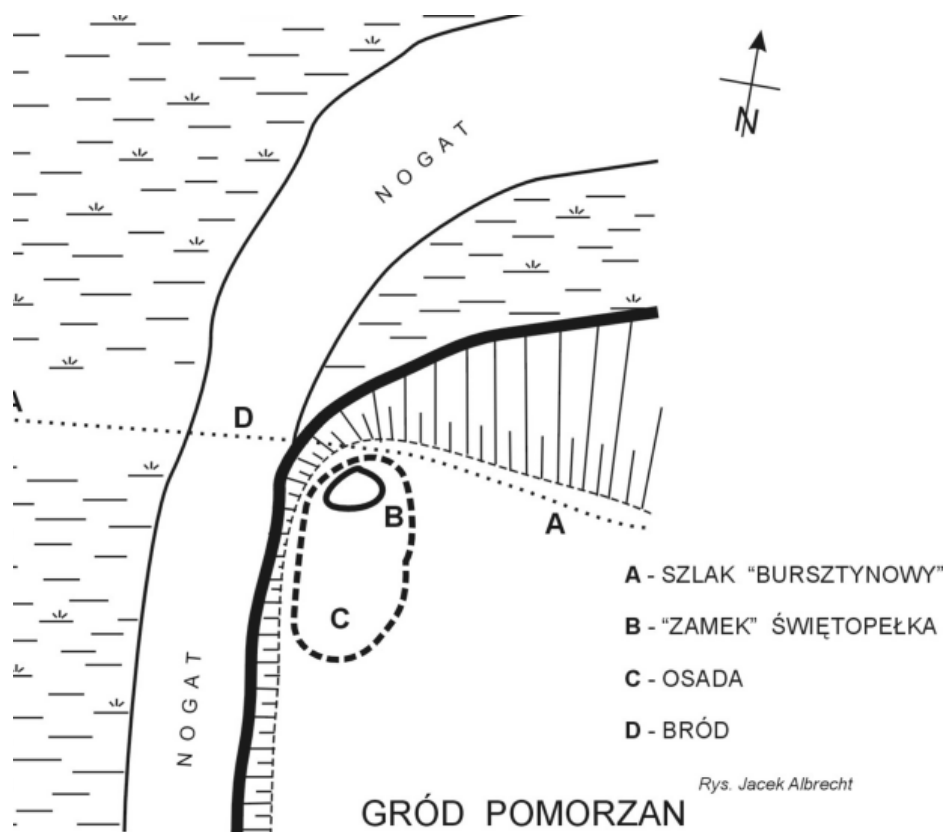


Rys. Jacek Albrecht

WYSOCZYNA MALBORSKA W XIII W.

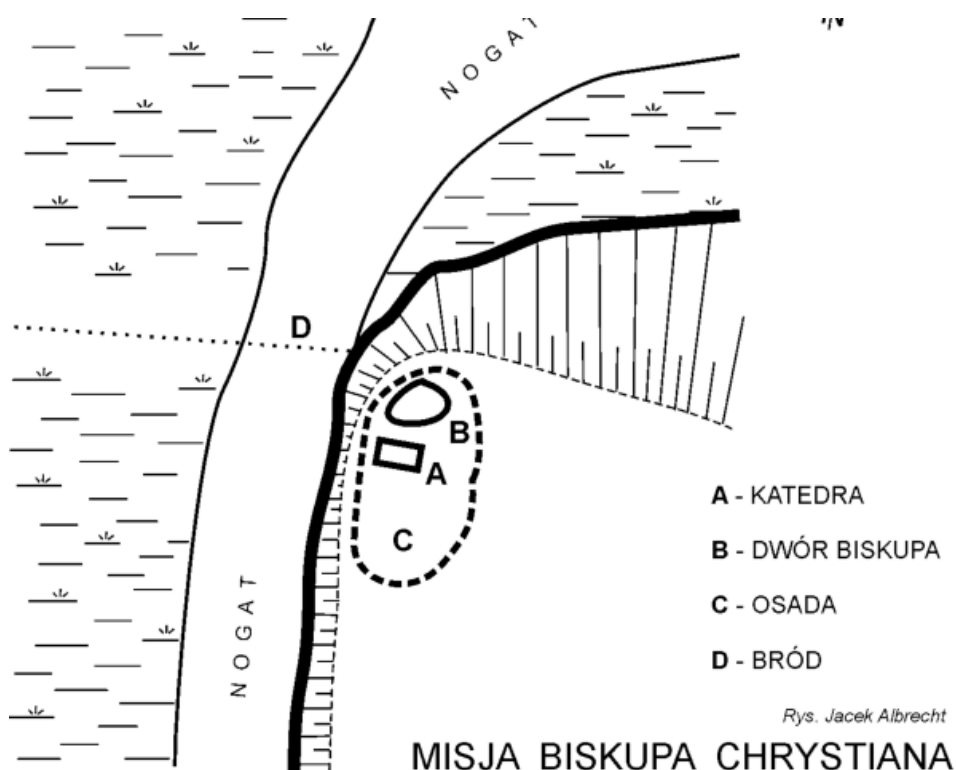
Po wtóre, niewątpliwie istniał gród pomorski w Prusach o nazwie łacińskiej Santyr, polskiej prawdopodobnie Śącirz, a niemieckiej Zantir, w polskiej literaturze chętnie też nazywany Zantyr. Wybudował go książę pomorski Świętopełk, wznosząc jednocześnie w jego obrębie dwór obronny. Gród ten, po oddaniu Krzyżakom Chełmna, otrzymał na siedzibę swojej misji biskup Chrystian, który wybudował na jego obszarze kościół katedralny. Pozostawał też on zapewne nadal pod militarną ochroną księcia pomorskiego. Podczas niewoli biskupa, Krzyżacy zajęli misję wykorzystując ją jako punkt etapowy między sąsiednimi zamkami, nie obsadzając jej jednak stałą załogą.

Kronikarz wspomina też, że Santyr został przez rycerzy zakonnych zdobyty i zniszczony. W innym miejscu zaś, że podarował go Zakonowi brat Świętopełka, Sambor. Zapisy te dotyczą zapewne zbudowanego na terenie misji przez księcia drewnianego dworu obronnego, nazywanego przez kronikarza zamkiem.



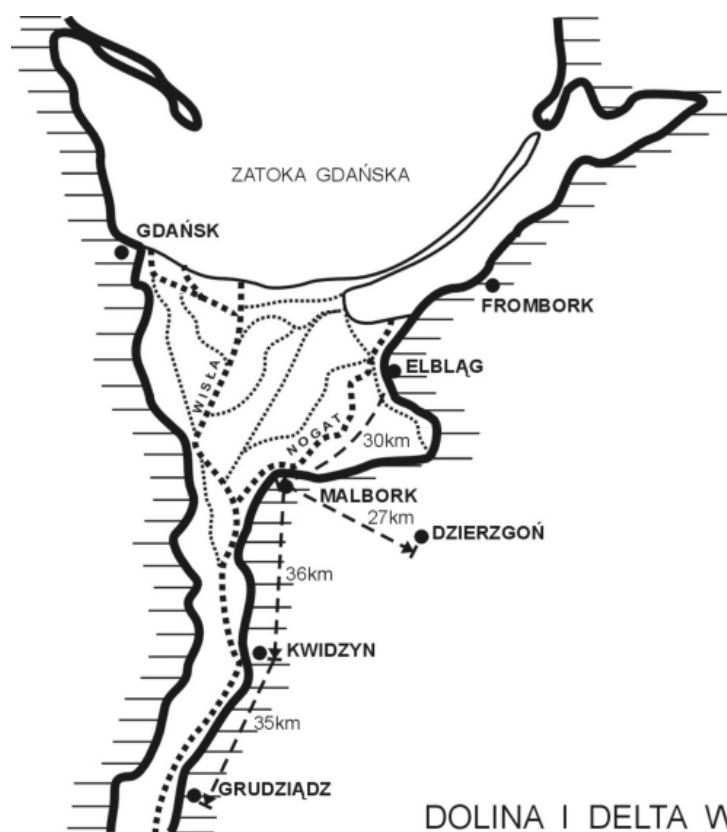
Gród Zantyr położony był w opisywanej okolicy rozwidlenia Wisły i Nogatu i stanowił bazę kolonizacyjną księstwa pomorskiego na terenie pruskim. Z planami Krzyżaków kolidowała niewątpliwie zarówno pokojowa misja cystersów, jak i aspiracje pruskie Pomorzan. Ze Świętopełkiem toczyli oni, z przerwami na okresy przyjaźni, walkę zbrojną, natomiast akcję misyjną biskupa starali się jak najbardziej pomniejszyć i zatrzeć w pamięci ludzkiej. W tym celu po śmierci biskupa Chrystiana doprowadzili do nie powoływania jego następcy, a sami przejęli na stałe teren misji. Zniszczonego obronnego dworu nie odbudowali wznosząc po przeciwnej stronie osady swój pierwszy zamek murowany, przez tożsamość miejsca również zwany Zantyr.

Po likwidacji biskupstwa pruskiego dawna katedra misyjna stała się, wraz z nadaniem praw miejskich Malborkowi, jego kościołem parafialnym. Pozostałością więc misji biskupa Chrystiana jest kościół św. Jana na terenie Starego Miasta w Malborku. Nie rozebrano wówczas samego budynku kościoła, łącznie z mozolnym wybieraniem kamieni z fundamentów, niemniej katedrę misyjną faktycznie udało się Krzyżakom „całkowicie” zlikwidować. Mylący jest też dzisiejszy ogład świątyni datowanej na wiek XV, bowiem podczas wielkiej przebudowy w tymże wieku otrzymała ona późnogotyckie sklepienia i pogrubiającą dla nich mury zewnętrzne warstwę elewacji. Zadziwiające jednak jest, że kościół ten pozostał kościołem misyjnym do dzisiaj.



Po trzecie, pozostałością pierwszego zamku krzyżackiego w rejonie Malborka - Zantyr, jest budowla z terenu Starego Miasta zwana „Szkołą Łacińską”. Jej wzniesienie związane było z wizytą w Prusach w 1247 roku Wielkiego Mistrza Henryka Hohenlohe oraz stłumieniem pierwszego powstania pruskiego. Do tego czasu jako dogodnego miejsca etapowego na trasie swoich podbojów używali Krzyżacy, zajętej w 1237 roku siedziby biskupiej. W tym samym też 1237 roku około 30 km dalej założyli oni Elbląg, a rok później odległy o 27 km Dzierżoń. Około 30 km było stąd również do

sąsiedniego Kwidzyna, zgodnie z liczoną na 30 – 35 km zasadą „etapu jeźdźca na grzbiecie konia” związaną z zakazem nocowania poza „domem” członków zgromadzenia. Był to pierwszy okres zakładania obiektów obronnych przez Krzyżaków, kiedy wykorzystywali oni chętnie zdobyte umocnienia pruskie i miały warownie te charakter drewniano – ziemny. Natomiast po pierwszym powstaniu pruskim nastąpiła fala inwestycji murowanych, chętnie lokowanych nad samą wodą w celu zapewnienia dostaw zaopatrzenia załogom. Nieznacznie korygując położenie zachowano wówczas ukształtowaną już siatkę zamków z uwagi na wymogi komunikacyjne. Po drugim

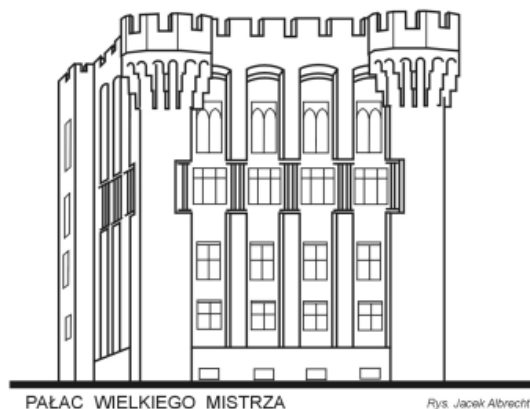
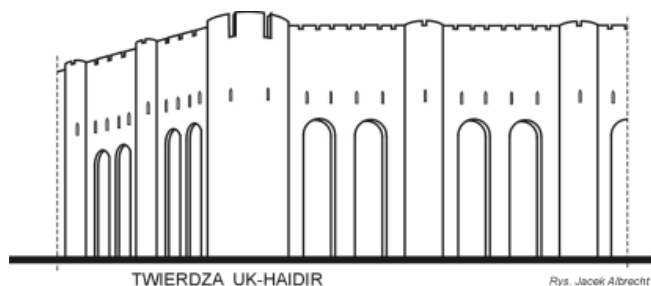


DOLINA I DELTA WISŁY W XIII w.

powstaniu pruskim nastąpiła zaś trzecia fala inwestycji zakonnych charakteryzująca się powstaniem wykształconych już całkowicie typów warowni krzyżackich.

Po czwarte architektura nowego zamku wzorowana została na pustynnej twierdzy arabskiej Uk-Haidir. Mistrz Henryk przybyły właśnie z Ziemi Świętej mógł poznać ją w jednej z misji dyplomatycznych Krzyżowców. Za-

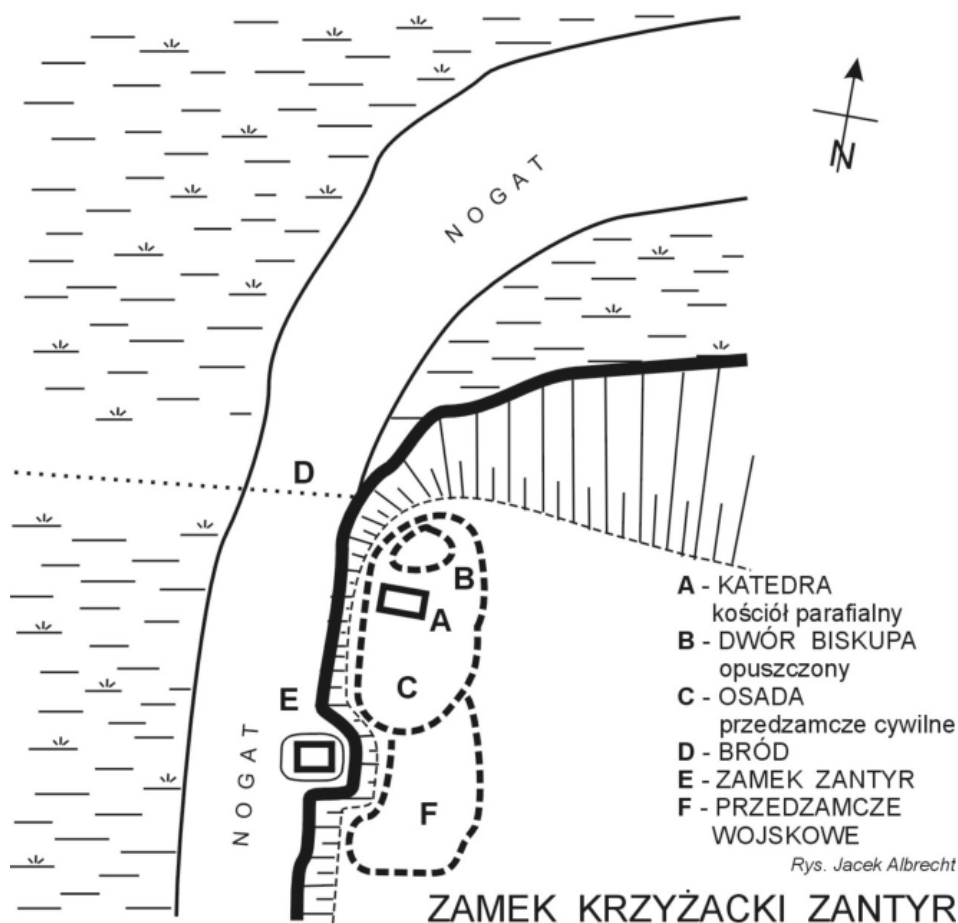
czerpnięte z Bliskiego Wschodu rozwiązanie architektoniczne nowej warowni było spowodowane nie tylko osobistym sentymentem, ale też potrzebą konstrukcyjną. Elewację wzniesionego zamku wyposażono, podobnie jak w Uk-Haidir, w ślepe arkady wydatnie obniżając tym jej ciężar na niepewnym gruncie. Było to rozwiązanie całkowicie nowatorskie. Nie znane też jest jego zastosowanie w późniejszej architekturze zakonnej, z wyjątkiem Pałacu Wielkich Mistrzów nowego zamku malborskiego. Wspomniana budowla



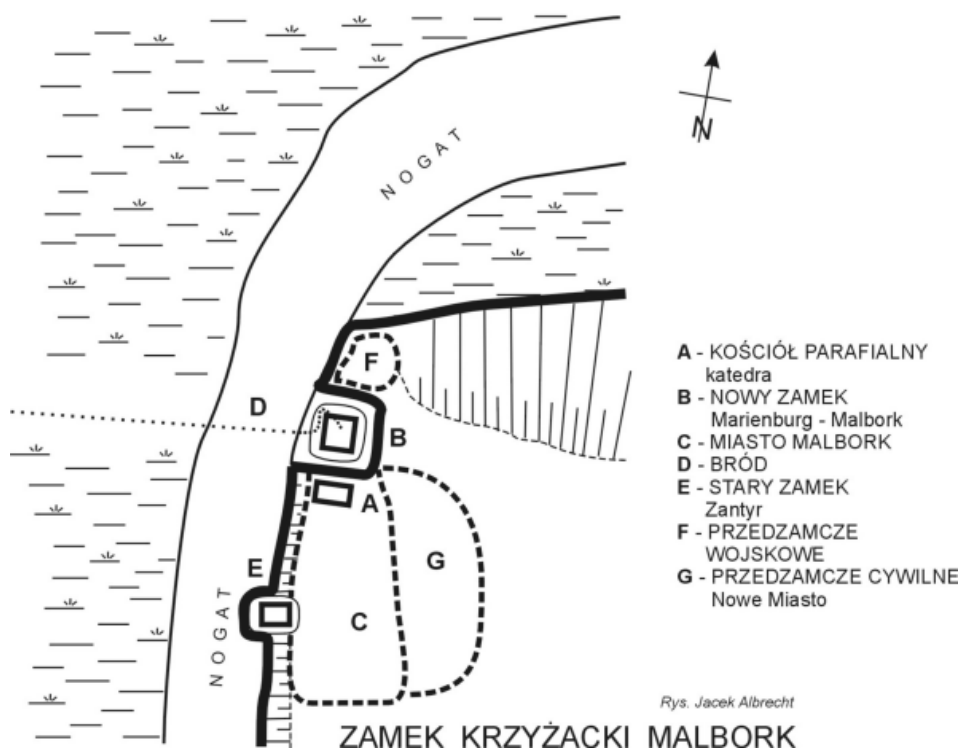
arabska leżała około 100 km na południowy-zachód od Bagdadu i mogła być miejscem spotkań politycznych. Dziwnie duże jest też podobieństwo nazwy, pisanej w niemieckiej literaturze Zantir, do brzmienia Uk-Haidir.

PORÓWNANIE

Po piąte, w drugiej połowie XIII wieku umieszczono w Zantyrze konwent zakonny. Nie zachowała się kronika żadnego przekazu o jego aktywności zbrojnej, chociaż opisy walk sąsiednich konwentów są obszerne, a miejscami nawet szczegółowe. Usunięto więc, być może, z odpisów Kroniki zapisy dotyczące działalności konwentu krzyżackiego w Zantyrze, lub w ogóle ich tam nie zamieszczono. Wstawiony został jedynie jednozdaniowy rozdział



o przenosinach konwentu do nowego zamku między opisy walk w innej okolicy, w Sambii. Ujednolicona została też nazwa łacińska Santyr dla pomorskiego grodu Śacirz z misją biskupa Chrystiana, oraz zamku zakonnego Zantir. W polskiej literaturze przyjęło się, być może pruskie brzmienie nazwy – Zantyr.



Po szóste, w roku 1280 konwent zakonny z Zantyru przeniesiony został do nowego zamku, któremu nadano nazwę – Marienburg (Malbork). Założenie nałożone zostało na teren dawnej misji cysterskiej zacierając całkowicie po niej ślady. W tym momencie stara warownia Zakonu stała się też niewygodna, jako umieszczona pierwotnie przy ośrodku misyjnym, co przypominało o jego niegdyś istnieniu i sugerowało nad nim opiekę Krzyżaków.



Po siódme, dawna osada biskupia została najpierw przedzamczem zamku Zantyr, następnie zamku Marienburg. Mieszkańcy jej byli pochodzenia pruskiego, pomorskiego i polskiego, stopniowo osiedlający się wokół misji. Krzyżacy zabiegali o ich przychylność nadając im miejski dokument lokacyjny już w 1276 roku, a następnie przenosząc wszystkich do Nowego Miasta, gdzie dalej pełnili funkcje cywilnego zaplecza kompleksu zamkowego. W tym czasie Stare Miasto potrzebne stało się dla realizacji funkcji zaplecza bytowo – usługowego stolicy państwa.



Przypadkowe spotkanie muru miejskiego z budynkiem. (fot. J. Albrecht)

Po ósme, pierwotny zamek Zantyr ukryto, wtapiając go etapami w ciąg murów wznoszonego na terenie osady biskupiej nowego miasta Malborka. Miejskie mury skarpowe nie dochodziły najpierw do pierwotnego zamku kończąc się na dawnych fosach, by w drugim etapie po zasypaniu przekopu fos w przypadkowych miejscach dojść do starej budowli. Skarpowy mur miejski wygięty został z dodatkowym uskokiem by połączyć go z filarem ar-



Pałac Wielkich Mistrzów. (fot. J. Albrecht)

kad warowni. W kronikach zaś opisana została ona jako fundacja Wielkiego Mistrza z połowy XIV wieku na rzecz miasta, a od połowy XV wieku zaczęto używać nazwy „Szkola Łacińska”.

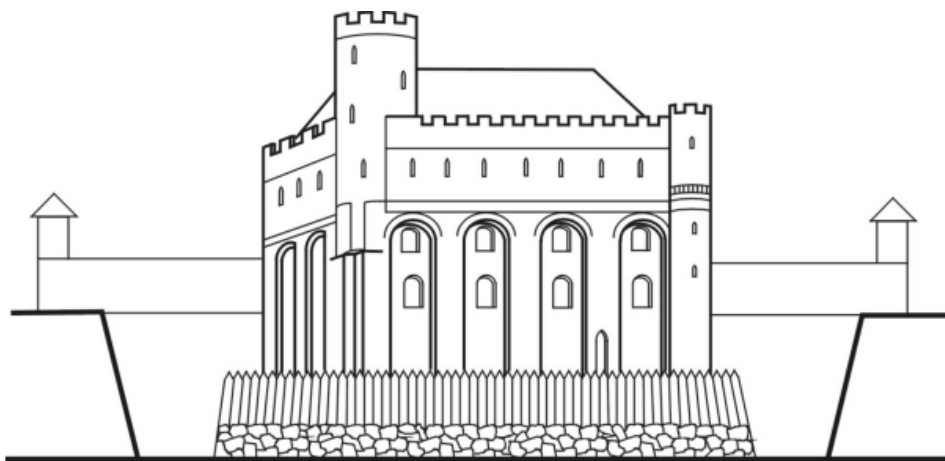
Po dziewiąte, na elewacji pierwotnego zamku Zantyr wzorowano się rozbudowując w pierwszej połowie XIV wieku Pałac Wielkich Mistrzów zamku malborskiego. Powody tego były podobne. Chciano zmniejszyć ciężar wysuniętej poza lico ówczesnego zamku budowli dając możliwość silnego przeświecenia wewnątrz, przy ciągle wysokiej obronności i zachowanej sztywności

konstrukcyjnej założenia. Żywe też wciąż były w Zakonie sentymenty bliskowschodnie, o czym świadczą podobieństwa do rozwiązań znanych z Uk-Haidir także w innych partiach nowego zamku.

Po dziesiąte wreszcie, nie pokrywają się informacje zawarte w dokumentach Zakonu według dzisiejszej ich interpretacji, oraz wyniki analizy zachowanych murów. Znana skłonność Krzyżaków do posługiwania się fałszerstwem w zabiegach dyplomatycznych czyni w tej sytuacji ich dokumenty mało wiarygodnymi. Zapisy źródłowe bywają też współcześnie mylnie zinterpretowane. Możliwe, na przykład, że nazwę Santyr nadano wtórnie i dużo później niewielkiej osadzie w okolicach sąsiedniego Sztumu, żeby spotęgować pożądane zamieszanie lub przez sentyment dawnych jej mieszkańców. Stąd mogła się ona pojawić w pojedynczych dokumentach z wieku XV i XVI, dotyczących tamtej okolicy. Możliwe też, że Jan Długosz wskazując jednoznacznie na przemianę grodu Zantyr w Malbork opierał się na niezaginionym jeszcze i nieco inaczej brzmiącym oryginale „Kroniki” Piotra z Dusburga.

Przemieszano więc nazewnictwo w relacjach sugerując całkowite opuszczenie cysterskiego ośrodka misyjnego. Miało to wykazać niepowodzenie misji chrystianizacyjnej biskupa Chrystiana, oraz zasadność starań prawnych o przejęcia przez Krzyżaków jego roli i dóbr w Prusach. Nowego biskupa dla całych Prus, już też dzięki zabiegom Zakonu nie powołano i biskupstwo misyjne uległo likwidacji.

Tymczasem jednak ośrodek misyjny całkowicie nie zniszczono i nie wysiedlono przymusowo ludności, a jedynie marginalizowano wszelkimi sposobami jego znaczenie. Przeniósł natomiast zakon własny konwent z Zantyru w nowe miejsce, co też udokumentował w kronice. Pierwszy zamek nie został jednak rozebrany, a jedynie ukryty przez wtopienie w ciąg skarpowych murów obronnych nowopowstającego miasta. Wkrótce też został przekazany magistratowi jako fundacja Wielkiego Mistrza, a późniejsza tradycja nadała mu nazwę „Szkoly Łacińskiej”.



ZAMEK ZANTYR - REKONSTRUKCJA

Rys. Jacek Albrecht

Również katedry biskupiej z XIII w. nie zniszczono doszczętnie, a jedynie zamieniono, po likwidacji biskupstwa pruskiego na miejski kościół parafialny i przebudowano w XV wieku.

Pierwotny zamek krzyżacki Zantyr więc, była to niewielka warownia o murowanym budynku głównym w typie donżonu i pozostałej zabudowie drewnianej, oraz obwałowaniach drewniano – ziemnych. Usytuowana została nad brodem, wysunięta poza skarpę wysoczyzny malborskiej, na sztucznie uformowanej wyspie przybrzeżnej. Budynek główny zbudowano na wyniesionej platformie ziemnej z palisadą, nad samą wodą i oddzielono przekopem od lądu, tworząc założenie obronne mogące, przy braku dróg oraz niespokojnym kraju, otrzymywać zaopatrzenie drogą wodną. Narastała jednak potrzeba wzniesienia większej warowni w nowym, wykształconym już typie zamku-klasztoru, koniecznie w bezpośredniej bliskości, żeby zachowana została niezbędna siatka komunikacyjna.

Dzisiejszy budynek tak zwanej „Szkoły Łacińskiej” natomiast to obiekt wolnostojący, połączony w przypadkowy sposób z murami miejskimi. Mur skarpowy od strony północnej zmienia tu uskokowo kierunek, żeby połączyć się z filarami arkad budowli. Sugeruje to uzupełnienie muru w drugim etapie rozbudowy umocnień miejskich. Charakter architektury owego budynku różni się też wyraźnie od elementów zabudowy miasta takich jak ratusz czy kościół, jak i od najstarszych części zamku i przypomina, w bardziej surowej formie, elewacje zamkowego Pałacu Wielkich Mistrzów. Jest również wyraźnie wcześniejszy, przez braki symetrii i niekonsekwencje stylu architektonicznego, oraz wątku cegły. Położenie zaś wysunięte przed lico obwarowań jest tu, z uwagi na potrzeby miasta wysoce niepraktyczne. Datowany w literaturze jest na rok 1352 zgodnie z dokumentami Zakonu, jako fundacja Wielkiego Mistrza, mimo że obowiązywał zakaz prowadze-

nia przez krzyżaków nowych inwestycji budowlanych w miastach. Z tego samego roku natomiast pochodzą prace budowlane od strony wschodniej obwarowań miejskich. Podwyższono wówczas mury i wzniesiono trójścienne baszty. Ze zbliżonego okresu jest też ratusz staromiejski. Wszędzie tu spotykamy staranny wątek gotycki, występujący w Polsce, skąd pochodzić mógł warsztat murarski, od XIV wieku. Polegał on na ułożeniu na zmianę główki i wozówki z przesunięciem spoin o $\frac{1}{4}$, co dawało na przemian widok krzyża i kowadełka.

Budynek „Szkoły Łacińskiej” robi wrażenie cięższego, oraz mniej starannie zaprojektowanego i wykonanego. Wątek cegły jest niekonsekwentny i ułożony mało precyzyjnie, niemniej miejscami wyraźnie wcześniejszy, wendyjski. Są to dwie wozówki i główka, przesunięte o $\frac{1}{4}$ cegły, to jest taki jak w najstarszych partiach zamku z lat 70-tych XIII wieku, tam jednak jest starannie i konsekwentnie ułożony w całość, zachowanej do dzisiaj partii murów.

Potrzeby obronne dominowały też nad symetrią w elewacjach budowli wymuszając w południowo-zachodnim narożu na przykład wieżyczkę schodów na całą wysokość. W narożu północno zachodnim widoczny jest



Zamek zantyr - widok współczesny. (fot. J. Albrecht)

nadwieszony, wygięty łukowo fragment, sugerujący istnienie w tym miejscu, wtopionej w masyw muru, wieży obserwacyjnej. Strona ta robi też wrażenie przerwanej budowy większego założenia. Zastosowanie ślepych arkad na całej niemal wysokości elewacji jest tu całkowicie nowe i wzorowane na budownictwie bliskowschodnim. Miało też bardzo istotne uzasadnienie. Zmniejszało ono mniej więcej o jedną trzecią ciężar murów zewnętrznych warowni nie obniżając ich walorów obronnych i sztywności konstrukcyjnej. A przecież grunt poza skarpą, gdzie zamek usytuowano, musiał być nie aż tak stabilny.

Reasumując, tak zwana „Szkoła Łacińska”, z ciągu murów skarpowych Starego Miasta w Malborku, to pozostałość krzyżackiego zamku Zantyr. Stał on na sztucznej wyspie częściowo wysuniętej w nurt rzeki wyciętej w skarpie wysoczyzny, oddzielony od niej przekopem fosy. Był to pojedynczy obiekt murowany, otoczony najprawdopodobniej palisadą drewnianą. Zastosowano w nim nowatorskie, ślepe arkady w elewacjach zewnętrznych dla zmniejszenia ciężaru budowli. Wzorowane one były na rozwiązaniach twierdzy arabskiej z epoki Abbasydów Uk-Haidir, której wszystkie elewacje zewnętrzne otaczających dziedziniec budynków posiadają wielopiętrowe wnęki ślepych arkad. Przedzamcze warowni zantyrskiej stanowiła, otoczona umocnieniami drewniano – ziemnymi dawna osada misji biskupa Chrystiana.

Także elewacja Pałacu Wielkiego Mistrza z malborskiego zamku ma w skali budownictwa zakonnego charakter unikatowy. Zbliżona jest ona wyglądem do prekursorskiego Zantyr, gdzie jest jednak prostsza, cięższa, niesymetryczna, o niestarannym, zmiennym wątku i mniejszej cegle. Nie podobna jest też elewacja starej warowni do pozostałych, zachowanych obiektów miejskich ani w wątku i wymiarach cegły, ani w rozwiązaniach czy stylu architektury. Odnaleziony zamek krzyżacki Zantyr jest zatem obiektem wyraźnie wcześniejszym i na nim wzorował się blisko wiek później inwestor Pałacu Wielkiego Mistrza, Zakon.

W ten sposób Malbork posiada na swym obszarze dwa zamki krzyżackie, obrazujące cały rozwój murowanego budownictwa obronnego zakonu. Stać się to może wielką atrakcją turystyczną i szansą na realizację marzenia o odbudowie Starego Miasta, Starówki stanowiącej o duszy każdej zdrowej aglomeracji.

Andrzej Lubiński

OŚWIATA POLSKA NA POWIŚLU W OKRESIE MIĘDZYWOJENNYM*



Nauczyciel Juliusz Hewner z dziećmi ze szkoły w Mikołajkach Pomorskich.

Po zakończeniu I wojny światowej ludność polska na Powiślu zaczęła się organizować w Rady Ludowe. Ważnym problemem stała się nauka języka polskiego. 30 listopada 1918 roku minister nauki i oświaty rządu pruskiego wyraził zgodę na nauczanie religii po polsku w pierwszych trzech latach nauczania od roku szkolnego 1919/1920. W powiecie sztumskim wprowadzenie języka polskiego zapoczątkowano w Nowym Targu, Postolinie, Dąbrówce Pruskiej, Starym Targu, Straszewie i Trzcianie. W roku szkolnym 1920/1921 działacze polscy domagali się, aby w niemieckich szkołach uczono w każdej klasie 6 godzin języka polskiego, 3 godzin religii, 2 godzin śpiewu kościelnego.

Komisja Międzysojusznicza w Kwidzynie 27 marca 1920 wydała rozporządzenie o nauce języka polskiego i religii w tych miejscowościach, gdzie jest przeważająca liczba dzieci polskich a rodzice żądają nauki po polsku. Dzięki temu rozporządzeniu w 33 miejscowościach powiatu sztumskiego i 7 powiatu kwidzyńskiego naukę rozpoczęło blisko dwa tysiące uczniów. W obwodzie sztumskim inspektorem szkolnym został Henryk Śniegocki, po nim Ludwik Sulczewski.

Po przegranej plebiscycie Niemcy zaczęli likwidować polskie szkoły. Na Powiślu dzięki interwencji Patronatu Szkolnego Związku Polaków w Prusach Wschodnich zaprzestano rugowania języka polskiego ze szkół, gdzie nauka się odbywała. W powiecie sztumskim w sierpniu 1922 roku nauka po polsku prowadzona była w Nowej Wsi, Nowym Targu, Pierzchowicach, Postolinie, Dąbrówce Pruskiej, Sułkowicach, Starym Targu, Waplewie. Łącznie korzystało z niej 700 dzieci.

Specjalne miejsce zajmowały przedszkola. Pierwsze powstały w Białej Górze, Mikołajkach, Nowej Wsi, Postolinie, Sztumskim Polu. Łącznie działało 15 przedszkoli, a opiekę znalazło tam 650 dzieci. Po plebiscycie udało się uratować przed likwidacją w sierpniu 1922 roku siedem przedszkoli.

Doświadczenia okresu plebiscytowego będą wykorzystane w późniejszych latach. Chodziło o przygotowanie kadry nauczycielskiej oraz sprawy organizacyjne. Do Seminarium Nauczycielskiego w Lubawie z Powiśla wyjadą M. Golisz, F. Kulecki, W. Redmer, K. Smoliński. Za kilka lat podejmą pracę w instytucjach oświatowych. Na zjeździe działaczy oświatowych w Olsztynie 11 listopada 1921 roku powołano Polsko Katolickie Towarzystwo Szkolne na Warmię a 16 grudnia podobne na Powiślu z prezesem Heleną Sierakowską i sekretarzem Franciszkiem Barczem.

W pierwszej połowie lat dwudziestych naukę języku polskim prowadzono trzy razy w tygodniu w godzinach popołudniowych. Liczba dzieci ciągle się zmieniała. W 1923 roku niemieckie władze w Sztumie i Kwidzynie zaprezentowały bardziej ugodowe stanowisko, czego efektem było prowadzenie lekcji po polsku w 18 szkołach.

10 czerwca 1923 roku w Berlinie zwołano zjazd Związku Polskich Towarzystw Szkolnych. Na jego czele stanął poseł Jan Baczewski. Od tego czasu zaczęto wysyłać dzieci z Niemiec do Polski na kolonie letnie. Miały tam zapewnioną naukę języka polskiego i odpoczynek. Do 1928 roku trwała walka o powstanie polskiego szkolnictwa w Niemczech. Lepiej przedstawiała się sytuacja w przedszkolach. Takie placówki istniały w Mikołajkach Pomorskich, Nowym Targu, Starym Targu, Postolinie, Trzcianie, Waplewie. Myślano o otwarciu kolejnych. Przygotowując się do tego wysyłano dziewczęta do Seminarium Nauczycielskiego w Królewcu i na specjalne kursy do Polski.

Uchwalenie 31 grudnia 1928 roku ordynacji szkolnictwa dla mniejszości polskiej dało asumpt do nasilenia działań w kwestii powołania polskiego szkolnictwa. Powstające szkoły miały być prywatnymi, ale korzystającymi z subsydiów jeżeli do szkoły zgłoszono 40 dzieci. Na Powiślu powstaną jednoklasowe i dwuklasowe szkoły z nauką podzielną obejmującą oddział niższy, średni i wyższy. Szkoła zatrudniała jednego nauczyciela w wymiarze 32 godzin tygodniowo. Szkoły były o niskim stopniu organizacyjnym. Uczono religii, polskiego, niemieckiego, historii i nauki o państwie, geografii, przyrody, rachunków, śpiewu, gimnastyki, zajęć technicznych i prac ręcznych.

Pierwsze szkoły na Powiślu powstaną dopiero, gdy wydana została zgoda na otwarcie polskich szkół przez władze rejencji zachodniopruskiej w Kwidzynie. 25 maja 1929 roku. zezwolono na działalność szkół w Trzcianie, Starym Targu, Waplewie. Zanim pozwolono na przyjazd nauczycieli polskich z kraju upłynęło kilka dni. Oficjalna działalność rozpoczęła się 3 czerwca. Pracę nauczycielom we wsi utrudniało pochodzenie z zewnątrz i słaba znajomość miejscowych stosunków, przyzwyczajzeń. Najważniejszym zadaniem nowo przybyłych nauczycieli było zdobycie zaufania wśród mieszkańców wsi. Po rozpoczęciu nauki w trzech szkołach trwały przygotowania do otwarcia nowych. W powiecie sztumskim planowano otwarcie w Dąbrówce Pruskiej, Nowej Wsi, Cygusach, Krasnej Łące, Mikołajkach. Latem 19 sierpnia 1929 roku, po wielu kłopotach, otwarto w końcu szkołę w Postolinie. Następne rozpoczną pracę w 1930 w: Dąbrówce Pruskiej - 10 maja, Nowej Wsi - 23 czerwca, Mikołajkach - 18 sierpnia, Nowym Targu - 28 sierpnia. Ostatnia szkołę na Powiślu otwarto 14 kwietnia 1931 roku w Sadłukach.

Władze niemieckie nie mogąc czynić przeszkód w powstaniu szkół polskich wykorzystywały każdą możliwość, by utrudnić właściwe funkcjonowanie. Charakterystycznym przykładem jest Postolin. Po letnich wakacjach nauczycielem został Jan Boenigk, wcześniej pracujący w Trzcianie. Niemcy wydali pozwolenie jedynie do pracy w Trzcianie. Nie pamiętając o konieczności uzyskania zezwolenia przystąpił do pracy. 7 września został wezwany do landratury w Sztumie i zakomunikowano mu, że szkoła będzie zamknięta ze względów formalnych, bo władze rejencji nie udzieliły zgody na jej otwarcie. Boenigk musiał podpisać oświadczenie, że przyjął to do wiadomości. Po



Nauczyciel Konstanty Nowakowski z klasą ze szkoły w Dąbrówce Pruskiej.

rozmowie z Maksymilianem Goliszem, sekretarzem Towarzystwa Szkolnego, okazało się, że wysłany 29 lipca list do rejencji, nie był polecony, dlatego Niemcy oświadczyli, że nie dotarł do nich. Wówczas złożono nowe podanie. Po konsultacji z Heleną Sierakowską, M. Golisz i J. Boenigk we trójkę udali się 9 września do Kwidzyna, by interweniować. Wniosek przyjęto, ale na czas uzyskania odpowiedzi dzieci miały przejść do szkoły niemieckiej. Jeżeli rodzice nie puścili by dzieci do szkoły, zostali by oskarżeni o niedopełnienie obowiązku szkolnego lub takie działanie miało zostać uznane jako strajk szkolny i rodzice musieli by zapłacić grzywnę po 25 marek za każdy dzień. W szkole polskiej lekcje przzerwano. Sołtys postoliński z polecenia władz zwierzchnich chodził od domu do domu by rodzice podpisali oświadczenie, że wiedzą o tym, że mają dzieci posłać do niemieckiej szkoły. Zdecydowano, że rodzice będą wozić dzieci samochodami do Trzciana i Waplewa. Wcześniejsza interwencja posła Baczewskiego w ministerstwie w Berlinie poskutkowałą. Wieczorem Boenigk dowiedział się, że następnego dnia może rozpocząć lekcje. Przerwa w nauce była krótka. Dzieci przywiązały się do swojej szkoły, zwiększył się autorytet Boenigka w całej wsi.

Nauczyciele niemieccy robili wszystko aby pokrzyżować pracę polskich szkół. Straszono, że kto ukończy polską placówkę nie dostanie żadnej pracy, nie zostanie przyjęty na naukę zawodu. Tak mówiono do rodziców w Trzcia-

nie, Postolinie, Mikołajkach. W tej ostatniej wsi Józef Pakalski za posyłanie swych dzieci do polskiej szkoły nie mógł dostać przez kilka lat pracy. Nauczyciel Jaedtke z Barlewic obiecywał Jerzemu Bayerowi, że pomoże mu w zdobyciu ziemi (resztówki) w Bukowie, gdy ten wycofa swoje dziecko ze szkoły polskiej. Józef Kalinowski z Nowej Wsi stracił mieszkanie wynajmowane u Lemparta za to, że dziecko nie uczyło się w szkole niemieckiej. Policjant Prange z tej samej wsi groził pani Redmer utratą renty, jeśli wynajmie mieszkanie polskiemu nauczycielowi.

Walka z polskim szkolnictwem była prowadzona różnymi metodami. Na rodziców wywierano naciski gospodarcze, a dzieci, które chodziły do polskiej szkoły były bojkotowane przez swoich kolegów ze szkoły niemieckiej. Niektórzy nauczyciele niemieccy wykazujący zrozumienie dla polskich szkół byli przenoszani do innych miejscowości lub przechodzili na emeryturę. Nowi niemieccy nauczyciele czynnie angażowali się w walkę z polskimi szkołami. Gdy bojkot lub szantaż nie dawał rezultatu, starano się przekupować uczniów i rodziców.

Głośnym echem odbiły się wydarzenia w Mikołajkach Pomorskich. Przygotowania do otwarcia szkoły bacznie obserwowali nacjonaści niemieccy i powstała we wsi komórka partii hitlerowskiej. Rozpoczęły się prowokacyjne demonstracje przed domem państwa Osińskich, gdzie była szkoła. Obiektem napadu stał się nauczyciel Juliusz Hewner. Przed otwarciem szkoły w nocy z 2/3 sierpnia 1930 roku połamano płot. 15 sierpnia Niemiec Patschinski mówił od pani Osińskiej: „Polska świnia musi iść precz”, „Trzeba wyrzucić wszystkich Polaków. Osińskiego i Lengę dostanę w swoje ręce, nauczycielowi polskiemu rozpruję brzuch”. 16 sierpnia urządzono polowanie na Juliusza Hewnera, gdy wracał do domu. 18 października wybito szyby i zniszczono płot przy szkole. Dzień później bojówkarze napadli na koło młodzieży polskiej, mające próbę przedstawienia teatralnego w szkole. Mimo zranienia dwóch osób napastnicy musieli uciekać. Kolejny atak Niemcy przeprowadzili 28 października, wybili szyby, wyrwali ramy okienne, zniszczyli meble i pomoce naukowe. Zdemolowali mieszkanie Osińskich i Kozłowskiej, gdzie mieszkał J. Hewner. Nauczyciel przez trzy dni musiał się ukrywać. O tych zajściach było głośno w Polsce i Niemczech. Sąd musiał ukarać sprawców zająć, choć bardzo starał się szukać argumentów łagodzących.

Dojście Hitlera do władzy oznaczało zwiększenie bezpośrednich napadów, szykan i gwałtów. Nastąpiło ograniczenie udziału Polaków w życiu publicznym, zmniejszyło się zainteresowanie szkołami polskimi wśród zstraszonej ludności. Ważną rolę w walce z ruchem polskim odegrał Związek Niemieckiego Wschodu, organizacja powstała w maju 1933 roku. Od marca 1933 policja zaczęła przeprowadzać rewizje w lokalach polskich organizacji



Konferencja metodyczna nauczycieli na Powiślu - lata 30-te XX wieku.

pod byle jakim pretekstem. Nasilenie akcji antypolskiej nastąpiło jasnienia 1933 roku. W szkole w Sadłukach liczba dzieci po letnich wakacjach zmniejszyła się z 16 do 8.

Ważną rolę we wzmacnianiu aktywności narodowej były organizowane koła przysposobienia rolniczego i świetlice. Od 1935 działało 9 świetlic tam gdzie były szkoły polskie. Dużą wagę przywiązywano do działalności harcerskiej. Nauczyciele polscy żyli pod ciągłą groźbą odebrania im prawa nauczania. Wykorzystywano każdy pretekst. 1 lutego 1936 roku prawa nauczania pozbawiono Pawła Hansa w Dąbrówce Pruskiej, bo posiadał polskie książki w bibliotece szkolnej. Skierowano tam Józefa Neugebauera, jednak do 19 lipca nie dostał zgody na objęcie szkoły. Aby nie zamknąć szkoły lekcje zastępczo prowadził Alfons Kosteński z Mikołajek. W lipcu 1936 roku pozbawiono prawa nauczania Franciszka Jujkę ze Starego Targu i wtedy lekcje prowadził Leon Wiśniewski z Nowego Targu. Głównym przeciwnikiem ze strony niemieckiej wobec polskich szkół był inspektor J. Irmeler, dążący do ich całkowitego zniszczenia.

Od 1929 do 1939 na Powiślu istniały szkoły w 9 miejscowościach. W 1929 roku naukę podjęło 124 uczniów, w następnym było 185, w 1931 - 194, 1932 - 186, 1933 - 215, 1934 - 168, 1935 - 157, 1936 - 144, 1937 - 125, 1938 - 114, 1939 - 95.

Jeszcze dzisiaj słyszy się z przekąsem, zwłaszcza wśród Niemców którzy po wojnie znaleźli się RFN, że do polskich szkół polskich uczęszczała jedynie garstka dzieci. Jeżeli weźmie się pod uwagę fakt, że posyłanie wtedy dzieci do polskiej szkoły było aktem odwagi i przywiązania do polskości, to nie taka mała liczba. Wielu za to poniosło różne prześladowania w czasach hitlerowskich i II wojny.



Zdjęcie z roku 1939. Nauczyciele i działacze Związku Polaków w Niemczech - górny rząd: od lewej Antoni Matyjaszek, Stefan Potarzyński, Nikodem Broma, Jan Mondry, Leon Wiśniewski. rząd dolny od lewej: Florian Wichłacz, Józef Neugebauer, Franciszek Dybowski, Franciszek Wojciechowski, Władysław Walasiak, Jan Różeński. Potarzyński i Wojciechowski byli etatowymi pracownikami Związku Polaków w Niemczech.

Wszyscy nauczyciele swoją działalnością zapisali się trwale w historii szkolnictwa na Powiślu. Do najwybitniejszych należeli: Jan Boenigk, Franciszek Jujka, Leon Malczewski, Leon Wiśniewski, Florian Wichłacz, Franciszek Jankowski, Franciszek Piotrowski. Warto podać kilka faktów z życia tych postaci.

Jan Boenigk na Powiślu pełnił funkcje sekretarza Towarzystwa Szkolnego, pomagał Maksymilianowi Goliszowi organizować życie kulturalne. Współpracował z Towarzystwem Młodzieży, św. Kinga, bibliotekami. 3 czerwca 1929 rozpoczął pracę w Trzcianie, 19 sierpnia 1929 w Postolinie, gdzie pracował do 30 września 1930. Na Powiśle wrócił 1 października 1932 i kierował Polsko - Katolickim Towarzystwem Szkolnym do 1 stycznia 1935. Został przeniesiony do Berlina do centrali i kierował redakcją „Małego Polaka w Niemczech”. Ożenił się z Małgorzatą Kwela pochodzącą z Powiśla. Miał trzech synów. Gdy Niemcy nie chcieli wpisać do dokumentów urodzenia polskich imion jego synowie aż do 1946 roku mieli zamiast imion cyfry rzymskie Boenigk I, Boenigk II, Boenigk III. Był autorem wspomnieniowej książki „Minęły wieki a myśmy ostali”.



Antoni Sarnowski z uczniami ze szkoły w Starym Targu.

Franciszek Jujka rozpoczął pracę w Nowej Wsi 15 października 1930. Szkoła liczyła 10 uczniów, w 1932 – 14, a w 1933 – 20. W kwietniu 1933 został przeniesiony do Starego Targu. Był wysoko oceniany przez przełożonych, miał wszechstronne zainteresowania, umiał wytworzyć atmosferę współżycia z miejscowym społeczeństwem. Jeszcze w poprzedniej wsi założył zespół śpiewaczy, w Starym Targu założył zespół mandolinistów „Oj dan”, liczący 11 osób. Prowadził też chór przy Towarzystwie Młodzieży. Zbierał folklor powiślański. Pisał wiersze pod pseudonimem Lech Malbork. Najbardziej znane to: „Pieśń ziemi malborskiej”, „Prusy Wschodnie”, „Polskie serce”, „Młodym przyjaciółom”, „Hymn Rodła”. 22 lutego 1936 inspektor J. Irmiler zarzucił mu, że przekroczył zakres objęty programem nauczania podczas lekcji historii. 1 sierpnia pozbawiono go nauczania w Starym Targu, opuścił Powiśle w październiku 1936 roku.

Leon Malczewski rozpoczął pracę w Postolinie 1 września 1930 roku z 30 uczniami. Przy szkole zorganizował dwa zespoły – muzyczny i teatralny. Organizował rejonowe konferencje nauczycielskie, prowadził lekcje otwarte, wygłaszał referaty. Od 1935 do wybuchu II wojny pracował w Zakrzewie.

Leon Wiśniewski podjął pracę w Trzcianie 1 sierpnia 1930, a już 8 sierpnia został kierownikiem szkoły w Nowym Targu. Miał dobre kontakty z rodzinami Górskich, Paturalskich, Piaseckich. Doświadczeniami dzielił się podczas konferencji metodycznych, publikował w „Poradniku Nauczycielskim”.

Ściśle współpracował z Franciszkiem Jujką. Gdy tego ostatniego pozbawiono prawa nauczania przejął obowiązki nauczyciela w Starym Targu do czasu gdy pracę podjął nauczyciel Mondry.

Franciszek Jankowski obowiązki w Sadłukach objął po Stefanie Piecho-
wiaku w dniu 1 kwietnia 1933. Dużą pomoc okazał Jankowskiemu Jan Boenigk,
gdy groziło zamknięcie szkoły, bo uczyło się tylko 6 uczniów. W niedługim
czasie liczba dzieci zwiększyła się do 18. Formą kontaktów z rodzicami były
zebrania Rady Rodzicielskiej. Był niezwykle umuzykalniony i tę umiejęt-
ność wykorzystywał w pracy pedagogicznej i harcerskiej. Ożywioną pracę
mógł prowadzić, bo miał obywatelstwo niemieckie.

Franciszek Piotrowski propozycje pracy w Niemczech otrzymał od Jó-
zefa Mozolewskiego, który go uczył w Seminarium Nauczycielskim w Byd-
goszczy. Pracę rozpoczął w Mikołajkach po Juliuszu Hewnerze. Aktywnie
włączył się w działalność kulturalną. Zorganizował „Święta Pieśni”. 1 wrze-
śnia 1931 w tym święcie uczestniczyły wszystkie szkoły polskie. Podczas na-
padu na polską zabawę w Postolinie 2 lipca 1933 roku został dotkliwie po-
bity przez bojówkę hitlerowską. Przeniesiony został na Warmię i pracował
w Worytach do wybuchu II wojny.

Florian Wichłacz przybył na Powiśle do Postolina 1 lipca 1935 roku
i objął posadę po Leonie Malczewskim. W Postolinie uczyło się wówczas
37 uczniów. Aktywnie działał w towarzystwie Nauczycieli Polskich w Niem-
czech. Prowadził lekcje otwarte. Na konferencji w Postolinie 15 czerwca 1936
roku omówił rezultaty współpracy nauczycieli z redakcją „Małego Polaka
w Niemczech”. Inspirował działania polskie w Postolinie. Po zakończeniu
II wojny wrócił do Postolina i pracował do 1957 roku. Potem przez 20 lat był
posłem na Sejm z ziemi gdańskiej.

**W ubiegłym roku minęła 80 rocznica utworzenia polskiego szkolnictwa
na Powiślu. Wyrazem upamiętnienia tego wydarzenia była zorganizowana
przez Towarzystwo Miłośników Ziemi Sztumskiej wystawa okolicznościowa
i wykład autora niniejszego publikowanego tekstu jaki miał miejsce we wrze-
śniu 2009 na zamku sztumskim. Muzeum Zachodnio - Kaszubskie w Byto-
wie zorganizowało sesję pt „Działalność narodowa Polaków na północnym
pograniczu polsko-niemieckim w dwudziestoleciu międzywojennym”. Wygło-
szono tam 15 referatów z czego cztery dotyczyły oświaty. Mimo upływu czasu
problematyka szkolnictwa polskiego w Niemczech jest w dalszym ciągu ba-
dana i wydobywa się nieznane fakty, które pogłębiają naszą wiedzę o polskiej
oświacie przed wybuchem II wojny światowej.*

Zdjęcia pochodzą ze zbiorów archiwalnych autora.

Leszek Sarnowski

OCALONA PAMIĘĆ

Szkic do portretu Żydów sztumskich



Rodzina Zimmak w Postolinie 1906 rok - od lewej Leonhard, Helene, Frieda, Otto.
(archiwum rodzinne)

Królowej Jadwigi w Sztumie to niewielka uliczka, niemal w centrum miasta, a jednak mimo bliskości drogi przelotowej z Malborka na Kwidzyn, zaciszna i spokojna. Dom, w którym mieszkam od kilku lat, zbudowano na początku lat trzydziestych. Zachowało się tu kilka podobnych posesji, w których przed wojną mieszkali głównie niemieccy urzędnicy. Wtedy ulica nazywała się WeichselStrasse. Po wojnie wrócono najpierw do tej nazwy w polskiej wersji jako Wiślana, a obecnie Królowej Jadwigi.

Do 1945 roku mieszkała w nim niemiecka rodzina Lindenau. Spokojni mieszczenie. Ojciec był dyrektorem powiatowego banku – „Sparkasse des Kreises Sthum”. Segregator od dokumentów bankowych z takim napisem to jedyna po nim pamiątka, którą znalazłem w przydomowym garażu. Matka zajmowała się gospodarstwem domowym. Mieli jednego syna, który w połowie lat 30 – tych, kiedy do władzy doszli naziści, był szefem lub jednym z ważniejszych przywódców miejscowego Hitlerjugend. Młodzi naziści pod jego okiem szkolili się w budynku obecnego szpitala, gdzie znajdowała się szkoła hitlerowskich janczarów. Tyle wiem od poprzednich właścicieli domu, rodziny Franciszka Baumgarta, który trafił tu po wojnie i jako aktywny działacz AK i uczestnik powstania warszawskiego, ukrywał się pod przybranym nazwiskiem.

Szkoły młodych nazistów czyli Narodowopolityczne Ośrodki Wychowawcze (Nationalpolitische Erziehungsanstalt), zwane NPEA lub w skrócie Napola powstawały od 1933 roku. Lokalizowano je głównie w szkołach wojskowych, koszarach lub zamkach. Do końca wojny w Niemczech działało około 40 takich szkół. Sztumską placówkę otwarto 1 października 1934 roku, a jej szefem był R. Prinz. Realizowano w nich program szkolenia ideologicznego i wojskowego, pod kątem sprawowania w przyszłości funkcji kierowniczych i dowódczych w strukturach partii NSDAP, Waffen-SS, Wehrmachcie, a także w strukturach administracyjnych Trzeciej Rzeszy. Obok nauczania akademickiego, wielki nacisk kładziono na trening fizyczny - uczono między innymi strzelania, boksu, jazdy konnej, żeglarstwa czy szybownictwa. Do szkół, w których panował wojskowy rygor, przyjmowano uczniów w wieku od 10 do 18 roku życia. Uczniowie i nauczyciele byli umundurowani. Nadzór nad placówkami sprawowało SS i warunkiem podjęcia w nich pracy była bezwzględna lojalność instruktorów i nauczycieli.

Z dużym prawdopodobieństwem można powiedzieć, że przyszli wodzowie Trzeciej Rzeszy, z poważnymi, mimo młodzieńczego wieku, minami, często pewnie maszerowali ulicami Sztumu sięgając najpierw zaciekawienie, może uśmiech akceptacji, że chłopcy mają zajęcie, a później postrach wśród miejscowej ludności, szczególnie nielicznych już wówczas Żydów. Pewnie karmiono tych młodych chłopców nie tylko lokalnymi baśniami i strachami, że muszą bać się Żydów, bo jeżdżą po okolicy tajemniczym wozem z wielką



Postolin w 1932 roku - na zdjęciu od lewej Mitzka, Hellen Zimmak, Frieda i Wendelin Richert. (fot. L. Zimmak)

metalową beczką, z ostrymi nożami w środku, do której wrzucają schwyte dzieci, by utoczyć z nich chrześcijańskiej krwi na macę. Nikt wozu oczywiście nie widział, ale wieść gminna niosła...

W Sztumie żyło w tym czasie kilkanaście żydowskich rodzi, między innymi Levy, Less, Abraham, Flatow, Stein, Krauss, Salomon, a w okolicy, głównie w Postolinie, Mikołajkach Pomorskich, Straszewie i Ryjewie, rodziny - Rosenberg, Seelinger, Zimmak. Zajmowali się głównie handlem, mieli kilka sklepów w mieście i na wsiach. Ciężko pracowali, jak inni. Do lat 30-tych żyli spokojnie obok siebie, z Polakami i Niemcami. Musieli mijać się na ulicy, robić zakupy w swoich sklepach, zachodzić do kawiarni i zdążać na wieczorne modły do swoich świątyń. A kościół katolicki, ewangelicki i żydowską synagogę dzieliło od siebie zaledwie kilkanaście kroków. Wszystkie świątynie zlokalizowane były bowiem wokół Starego Miasta. Musieli słyszeć swoje wieczorne modły. Psalmi pastora, katolickie pieśni maryjne i wyśpiewywane przez kantora wersety Tory, współbrzmiały w małomiasteczkowej przestrzeni. Każdy był przekonany, że jego Bóg jest najważniejszy, a on sam wybrany, ale na co dzień dało się z tym żyć, nie wchodząc sobie w drogę.

Na pewno stali obok siebie w jednym szeregu na rynku 14 czerwca 1931 roku, jako pruscy patrioci, kiedy miasto odwiedzał prezydent Niemiec Hindenburg. Może, to też ich dzieci machały chorągiewkami kiedy zdjęcie prezydenta w rządowej limuzynie uwieczniał fotograf na tle sklepu Rosenthala.

Być może wiwatowali na jego cześć, nie wiedząc, podobnie jak on, co przyniosą kolejne lata, dla niego, a szczególnie dla nich. Byli tam, bo czuli się obywatelami niemieckiego państwa.



Wizyta prezydenta Hindenburga w Sztumie w 1931 r. (fot. archiwum autora)

Po 1933 roku, kiedy do władzy doszli naziści, nie było już tak integracyjnie. Obudziły się demony. Być może właśnie młody Lindenau, były lokator mojego obecnego domu, wędrował ulicami miasta na czele młodocianych bojówek nazistowskich, realizując wytyczne narodowosocjalistycznej partii. Idąc Bromberger Strasse (obecnie Nowowiejskiego) w stronę parku miejskiego, mijając po drodze centralne więzienie, można było w dziesięć minut trafić na usytuowany na obrzeżach parku cmentarz żydowski. Stamtąd ulicą Kieslinger (obecnie Kochanowskiego), dalej Hindenburg Strasse (obecnie Mickiewicza) w stronę rynku, Peter Mogge Strasse (obecnie Osińskiego) w ciągu kilku minut dochodziło się do Synagoger Strasse (obecnie Związku Jaszczurczego) i istniejącej tam synagogi żydowskiej. Ze skromnych urywków zachowanych wspomnień wynika, że młodzi naziści z zapamiętaniem ćwiczyli swe barbarzyńskie skłonności, najpierw niszcząc oryginalne macewy na żydowskim kirkucie, by potem przejść do drobnych zaczepek, wyzwisk, obraźliwych napisów na murach domów, wybijania szyb w oknach sklepów i domów, obrzucanie kamieniami synagogi czy wyśmiewanie Żydów zdarzających na modlitwy. Agresja przyszła w noc kryształową w 1938 roku. Wówczas zniszczono poważnie żydowski cmentarz, który od tego cza-

su zaczął popadać w ruinę i zapomnienie. Spalona została synagoga, po której nie zostało żadnego śladu, nawet zdjęcia. Skończyły się złudzenia, tym bardziej, że do podobnych zajęć dochodziło w całych Niemczech, a takie wieści rozchodziły się szybko.

Ustawodawstwo żydowskie

Stosunek do społeczności żydowskiej ewoluował przez wiele lat. W Rzeczypospolitej szlacheckiej Żydzi nie mieli praw obywatelskich, a jedynie nieliczne przywileje królewskie i książęce. W połowie XVIII wieku obszar Rzeczypospolitej zamieszkiwało ok. 750 tysięcy Żydów. Stanowili 6% ludności. Większość zajmowała się handlem i rzemiosłem. W miastach nie mieli żadnych praw, a na wsi nie mogli nabywać dóbr ziemskich. Stąd wybór zawodów był oczywisty i jedyny z możliwych. Płacili jednak podłowne. Od 1764 roku było to 2 zł od osoby powyżej jednego roku życia. Mieli swoją autonomię.

Pierwsze ustawodawstwo, które zapewniało Żydom równouprawnienie przyniosła Deklaracja Niepodległości USA oraz rewolucja francuska. Potwierdziły je statuty napoleońskie. W 1797 roku Statut Generalny dla Żydów w Prusach dopuszczał Żydów do ograniczonego obywatelstwa w miastach. W 1806 roku mieli już prawo osiedlania się w miastach i przynależności do miejskich korporacji kupieckich i rzemieślniczych. Edykt marcowy z 1812 roku nadawał im pełne prawa miejskie, z prawami wyborczymi do samorządów, możliwość nabywania ziemi, a od 1814 roku zostali objęci obowiązkiem służby wojskowej.

W 1816 roku w Prusach zamieszkiwało ok. 124 tysiące Żydów, w połowie XIX wieku było już ich 219 tysięcy. W latach 1808 – 1812 Żydzi w Prusach byli zmuszani do przyjmowania nazwisk. Wcześniej, w całej Europie wschodniej i centralnej, Żydzi nie posiadali nazwisk dziedzicznych we współczesnym rozumieniu. By ułatwić identyfikację do imion dodawali na przykład miejsce urodzenia, miejsce pracy lub miasta skąd pochodzili. Często dodawali imię ojca lub matki, np. Salomon ben Aron czyli Salomon syn Arona. W zaborze rosyjskim obowiązek przybierania nazwisk został wprowadzony od 1845 roku. Często nazwisko zależało od kaprysu urzędnika, dlatego nazwiska Żydów zawierały różne elementy językowe - hebrajskie, aramejskie, niemieckie, jidysz, a nawet słowiańskie. Żydzi, którzy opuszczali zabór pruski i trafiali do rosyjskiego, zamieniali często aszkenazyjskie nazwiska na bardziej spolszczoną formę, najczęściej była to fonetyczna wymowa niemieckiej wersji, np. Goldstein na Goldsztajn. Z kolei Żydzi, którzy na ziemi polskiej przybyli z Bliskiego Wschodu swoje nazwiska tworzyli od swoich hebrajskich imion, dodając polskie końcówki np. Abram-owicz, Dawid-owicz, Izrael-owicz. Potwierdzeniem na ustawowy obowiązek przyjmowania nazwisk przez Żydów jest dokument dotyczący Dolnego Powiśla, zachowany w Deutsches Histo-

risches Museum. To świadectwo obywatelstwa Daniela Issaacsohna (czyli syna Izaaka) z Dzierzgonia, który takie nazwisko przyjął, co potwierdził urząd pruski w Kwidzynie w dniu 15 lutego 1813 roku.

23 czerwca 1847 r. władze pruskie wydały „Ustawę o Stosunkach Żydowskich”, która regulowała liczne kwestie prawne dotyczące organizacji i funkcjonowania gmin żydowskich. Każda dzielnica synagogałna miała mieć swój statut, kolegium reprezentantów i zarząd, powoływany zgodnie z ordynacją miejską. Zarząd gminy składał się z trzech członków. Długość kadencji wynosiła 6 lat, przy czym po trzech latach ustępowało dwóch członków, a na ich miejsce wybierano nowych. Członkowie Zarządu byli zatwierdzani przez władze państwowe. Każdy samodzielny i pełnoletni mężczyzna był zobowiązany do przyjęcia co najmniej jednego urzędu w gminie nieodpłatnie. Jedynym zwolnieniem od tego obowiązku była choroba lub osiągnięcie wieku 60 lat. Prawo wyborcze uzyskiwali pełnoletni mężczyźni, należący do gminy przynajmniej od trzech lat, posiadający nieposzlakowaną opinię i regularnie płacący składki. Wybierali oni spośród siebie kolegium reprezentantów liczące 9 osób. Mogli działać tylko wspólnie i odpowiadali przed całą gminą. Kadencja członków trwała 6 lat. Wybory zarządzał komisarz państwowy. Były to wybory tajne, a decydowała większość głosów. Kolegium reprezentantów za zgodą Zarządu wybierało urzędników kultu (rabina, kantora, mohela itp.), którzy sprawowali swoje obowiązki przez 3 lata.

W głównej miejscowości każdej dzielnicy musiał istnieć cmentarz żydowski. Gmina posiadała osobowość prawną, a jej członkowie byli zobowiązani do płacenia składek na jej utrzymanie. Wysokość składek była uzależniona od posiadanego majątku i osiąganych dochodów. Najbiedniejsi byli zwolnieni. W każdej gminie synagogałnej musiało być prowadzone nauczanie religii. Gmina sprawowała opiekę nad biednymi i chorymi członkami swojej społeczności. Za miejsca siedzące w synagodze pobierano opłaty.

Z dokumentów zgromadzonych w Centralnym Archiwum Historii Żydów w Izraelu wynika, że już w 1919 roku prowadzone były w Sztumie lekcje religii, a że gmina nie należała do najbogatszych, więc lekcje te były dotowane przez inne żydowskie instytucje. Z posiadanego zapisu wynika, że 14 listopada 1919 roku H. Aron z zarządu Gminy w Sztumie otrzymał pismo z Biura Zarządu Zachodniopruskich Gmin Żydowskich w Gdańsku w którym prosili o przesłanie do Gdańska „pokwitowania na sumę 100 marek, jako dotację na lekcje religii, abyśmy tą sprawę mogli zamknąć”. Najprawdopodobniej była to kwota przeznaczona na opłacenie nauczyciela, gdyż należało to do ustawowych obowiązków gminy. W 1919 roku przewodniczącym gminy w Sztumie był Krombach. Jego zastępcą od 1922 roku był miejscowy rzeźnik Hermann Less.

Żydzi w powiecie sztumskim

Żydzi na ziemi sztumskiej

[illegible]

Stary Targ

Jedyna informacja o społeczności żydowskiej w Starym Targu pochodzi od Freda Zimmaka ze Sztokholmu, potomka Żydów przed wojną mieszkających w Postolinie. Odnalazł on w Muzeum Żydowskim we Frankfurcie informację o żydowskim cmentarzu w Starym Targu (Altmark). To spis nagrobków żydowskich na startotarskim kirkucie wykonany w latach 30-tych przez pracownika elbląskiego rabinatu Neufelda. Był to już wówczas niewielki cmentarz, otoczony rozsypującym się drewnianym płotem. Tylko część grobów była wyposażona w kamienne nagrobki, dzięki którym udało się odczytać nazwiska pochowanych. Większość macew była w dobrym stanie. Usytuowane były w trzech rzędach. Na dziesięciu grobach nie było żadnych informacji o zmarłych. Wśród pozostałych 12 nagrobków udało się rozszyfrować między innymi rodziny - Ascher, Wunderlich, Freundlich, Rozenberg, Hallewi, Loeffler. Najstarszy nagrobek Naftali ben Dow K' pochodzi z 29 maja 1827. Ostatni, to pochówek Friedericke Wunderlich z domu Abraham, która w wieku 92 lat zmarła 28 września 1878 roku. Jak wynika z niemieckich statystyk (Gemaindelexikon) w następnych latach Żydzi mieszkali nadal w Starym Targu, bo na przykład w 1905 roku było ich w gminie 14, ale zmarli grzebani byli na cmentarzu w Sztumie.

Po żydowskim cmentarzu w Starym Targu nie ma dziś żadnego śladu. Jan Kikut, były mieszkaniec Starego Targu, wspomina, że w dzieciństwie wraz z kolegami często bawili się w pobliżu starego cmentarza żydowskiego, który znajdował się przy drodze do Nowego Targu, za dzisiejszym ośrodkiem zdrowia, naprzeciwko cmentarza katolickiego. W 1945 roku do rodzinnej zagrody Kikutów Rosjanie przynieśli fragment kamiennego postumentu, który do niedawna stał na podwórku. W miejscowej pamięci pozostało niewiele na temat żydowskich współmieszkańców. Można domniemywać, że do 1939 roku wszyscy Żydzi zdołali opuścić gminę.

Postolin

Zimmakowie byli jedyną żydowską rodziną w Postolinie (wówczas Pestlin). Otto Zimmak i jego żona Helena z domu Rosenberg oraz ich dzieci – Frida (ur. w 1906 roku) i Leonard Lewin (ur. w 1907 roku). Otto Zimmak, syn Wolfa Zimmaka i Julii Simson, urodził się w Gilgenburgu (dziś Dąbrówno) koło Ostródy w 1879 roku. Jego żona Helen (ur. 1874 roku) była córką Lewina i Sophie Rosenberg z Ryjewa. Do marca 1902 roku Zimmakowie mieszkali w Sztumie, a potem w Postolinie. Otto był przedsiębiorcą, zajmował się przede wszystkim handlem. W czasie pierwszej wojny światowej służył w niemieckim wojsku. Był ciężko ranny, a za waleczność odznaczony został żelaznym krzyżem zasługi. Mimo, że z przekonania był socjaldemokratą, znał bardzo dobrze język hebrajski i udzielał się w synagodze. W latach 1918 – 1925 był członkiem zarządu gminy żydowskiej w Sztumie. Pomagał też



Helena i Otto Zimmak w Postolinie w 1930 roku. (fot. L. Zimmak)

rabinowi w czytaniu świętych ksiąg w czasie szabasowych modlitw i większych świąt. Uczył także swojego syna Leonarda zasad religijnych, gdy ten przygotowywał się do swojej Bar Micwy.

Od rodziny Rosenthal z Postolina, Zimmakowie najpierw wynajęli, a potem kupili sklep w Postolinie, w którym handlowali artykułami spożywczymi i ubraniami. Sklep był na parterze, a na piętrze mieszkała rodzina. Ze wspomnień wynika, że wiodło im się bardzo dobrze. Otto Zimmak często nawet żartował, że do jego sklepu można było wejść nagim i głodnym, a wyjść ubranym i najedzonym. W 1929 Otto Zimmak zbudował piekarnię. Zatrudniał czterech czeladników. Jeden z nich, Wendelin Richert, został w 1930 roku mężem jego córki Friedy. W sklepie pomagała im dziewczyna ze wsi Mitzka (Maria Hansen z domu Grochowski), która była prawdopodobnie Polką. Frida bardzo się z nią przyjaźniła. Mieli sporo klientów, bo polscy i niemieccy gospodarze chętnie korzystali z ich usług. Dostarczali do piekarni zboże, a odbierali żywność. Zimmak miał umowę z dużą żydowską firmą „Pflattauer i syn”, która miełła zboże i dostarczała do Postolina mąkę. Mieli konia, Lottę, który był przede wszystkim środkiem transportu i dzięki niemu mogli sprowadzać zboże i inne towary. Leonard w latach 20-tych kupił angielski motocykl, ale na początku lat 30-tych sprzedał go i kupił samochód marki Breenerbor. Był bardzo wygodny i cała rodzina mogła

z niego korzystać. To był jeden z pierwszych samochodów w okolicy. Później, kiedy nadeszły ciężkie czasy i ludzie nie kupowali już tak dużo w sklepie, Zimmakowie jeździli po okolicy i sami sprzedawali pieczywo. Leonard najpierw woził rolnikom towary konno, później na motocyklu i w końcu samochodem. Zaczynał bardzo? wcześnie, o 7 rano. Później Wendelin, mąż jego siostry, także kupił samochód i dwoma samochodami rozwozili towar. W sklepie pracowała również matka Helena.

Często jeździli do Sztumu do synagogi, ale też na zakupy, do innych żydowskich sklepów. W Sztumie, wspólnie z innymi rodzinami obchodzili większe żydowskie święta. Lubili też biesiadować, a Otto był nawet specjalistą od urządzania zabaw. Rodzina była bardzo muzykalna, każdy grał na jakimś instrumencie. Otto na flecie, Frieda na pianinie. To z jej wspomnień wynika, że żyło im się wtedy dość beztrosko i radośnie.

Frieda Zimmak chodziła do szkoły przez 10 lat, więc jak na ówczesne czasy, była dobrze wykształcona. Nie chodziła do szkoły wiejskiej, bo rodzina nie miała dobrego zdania o jej poziomie nauczania. Rodzice od początku chcieli, żeby poszła do lepszej szkoły. Frieda zamieszkała więc z babcią Sophie Rosenberg w Sztumie i tam chodziła do szkoły Höherene Töchter. Mieszkała w Sztumie aż do wybuchu I wojny światowej. Potem wróciła do Postolina i pomagała rodzicom w sklepie i piekarni.

Leonhard również chodził (dosłownie - 10 km dziennie) do szkoły w Sztumie, ale mieszkał w Postolinie z rodzicami. Najgorzej było zimą, kiedy trzeba się było przedzierać przez zasypy śniegu. Był bardzo pilnym uczniem. Jeszcze pilniejszym niż jego siostra Frieda i miał lepsze stopnie od niej. Frieda uczyła się dodatkowo francuskiego, a Leonhard strożytniej greki. Po skończonej edukacji Leonhard przez trzy lata uczył się jeszcze zawodu elektryka w Sztumie. Jego nauczyciel, Vutter, miał duży zakład elektryczny. Prawdopodobnie był w połowie Żydem. Później Leonhard pracował w fabryce Siemens w Niemczech. Przez jakiś czas mieszkał również w Hamburgu i pracował w sklepie wuja Benjamina Zimmaka. Wrócił do Postolina, bo w międzyczasie jego ojciec otworzył piekarnię i potrzebował pomocy. Często bywał w Gdańsku i kupował towar do sklepu rodziców w Postolinie. Kiedy później cała rodzina przeniosła się do Hamburga, Leonhard pracował jako elektryk. Nie wiedział jeszcze, że fach ten pomoże mu przeżyć wojnę.

Na zdjęciach rodzinnych z Postolina, udostępnionych przez syna Leonharda, Freda Zimmaka ze Sztolholmu, które zostały wykonane w latach 30-tych, widać fragment codziennego życia spokojniej żydowskiej rodziny. To zdjęcia z rodzinnych uroczystości, które pokazują, że do skończenia świata było jeszcze daleko. Otto Zimmak wydaje za mąż swoją córkę Fridę, za swojego pomocnika z piekarni. To znak, że widział przyszłość. Nie zraziło go nawet to, że córka wychodziła za mąż za katolika, bo uważał, że miłość, niezależnie od wyznania, jest najważniejsza. Matka Fridy była bardziej or-

todoksyjna i nie podobało jej się takie łamanie żydowskich obyczajów. Ale jakoś dało się to wszystko pogodzić. Na zdjęciu widać rękawy zakasane do pracy, ani śladu udręki, ot zwykła codzienność. Praca, choć nie w takim sensie jak później obwieszczał ich rodakom napis nad obozowym wejściem do obozu Auschwitz, naprawdę czyniła wolnym. Bo trzeba było z czegoś żyć. Piekarnia dawała życie i przetrwanie, tak jak innym sąsiadom w tym czasie – Polakom i Niemcom. Kiedy Frieda i Wendelin, już po ślubie fotografują się za ladą swego sklepu z pieczywem, widać tam przede wszystkim spokój codzienności i nadzieję, że kolejne lata też takie będą. i, że to właśnie ich wybrane miejsce na ziemi, którego nie zamienili by na inne. To samo pewnie myślał przechodzący obok sąsiad, który po drodze do pracy właśnie tu kupował pieczywo, słodką chałkę, drożdżówkę z makiem czy pyszny sernik na deser. Tajemniczy uśmiech Fridy wskazywał, że wspólne przedsięwzięcie może się udać. Byli dwa lata po ślubie i z nadzieją patrzyli w przyszłość. Przejmą po ojcu piekarnię i będzie dobrze, bo nie wyobrażali sobie życia poza swoją wsią. Tu było od lat dobrze, więc dlaczego miało być gorzej. Nawet jeszcze w 1935 roku, mimo złych wieści z okolic i od rodziny z Niemiec, trudno było spodziewać się najgorszego, bo na następny dzień piekarnia i sklep musiały działać. Nie uciekli jak inni, choć możliwości były i rodzina namawiała. Ameryka, Kanada czekały. Ale oni zostali. Rodzice tu właśnie zapuścili korzenie, choć na co dzień nie o tym rozmawiali, a raczej jaką mękę i za ile trzeba kupić na kolejne wypieki. Nie o tożsamości tu rozprawiano, a o konkretnych, bo interes tego wymagał. Tym bardziej, że Otto czuł się Niemcem. Był całkowicie zasymilowanym Żydem, odznaczonym medalem kombatan-tem niemieckiej armii. Był z przekonania socjaldemokratą i niemieckim patriotą. Nic to jednak nie miało znaczyć w obliczu nadciągającej katastrofy.

Kiedy w Niemczech do władzy doszli faszyci represje dotknęły Żydów nawet w najmniejszych wsiach. Najsmutniejsze było zapewne to, że agresorem i prześladowcą okazywał się spokojny dotąd sąsiad. Mieli może nadzieję, że sytuacja się poprawi jak, za namową rodziny, wyjadą do większego miasta. Około 1932 roku Frida i Wendelin założyli własną piekarnię w Malborku. Sklep z roku na rok miał jednak coraz mniej klientów i w 1936 roku przenieśli się w końcu na stałe do Hamburga, gdzie mieszkala już od wielu lat część rodziny Zimmaków - matka Ottona i jego siostry.

Matka Ottona, Julie Zimmak, z domu Simson była bardzo wierząca, stąd niewiele zachowało się jej zdjęć, bo uważała, że człowiek jest obrazem Boga, a Boga, zgodnie z żydowską doktryną, nie można w jakiegokolwiek postaci przedstawiać. Zmarła w 1923 roku, ale siostry Ottona nadal mieszkaly w Hamburgu. Mieszkał tam również brat Heleny Zimmak, Albert Rosenberg i jego rodzina. W 1937 roku do Fridy w Hamburgu dołączyła reszta rodziny z Postolina - Otto, Helena i Leonhard. Frida znalazła dla nich mieszkanie, ale życie nie było dużo łatwiejsze niż w Postolinie, gdyż represje faszystow-

skie się nasilały. Sklep, który prowadziła Frieda z mężem podupadał, a dom był systematycznie obsmarowywany obraźliwymi napisami, wybijano szyby w oknach.

Otto, dzięki miejscowej gminie żydowskiej, dostał pracę w domu starców i zajmował się tam finansami. Helena zajmowała się głównie domem, ale nigdy nie polubiła Hamburga i często mówiła, że chciała by wrócić do Postolina, choć nie było już dokąd wracać, bo wyjeżdżając sprzedali za grosze cały swój dobytek. Wielu członków rodziny trafiło na krótko do obozów pracy, części udało się z nich wyjść, ale jak się okazało później, na krótko. Louis Wartelski, drugi mąż Berthy Zimmak, siostry Ottona, kiedy został po raz drugi aresztowany w 1938 roku, w obawie przed spodziewanymi cierpieniami w obozie, popełnił samobójstwo na posterunku policji w Hamburgu.



Else i Leonhard Zimmak w Hamburgu w 1940 roku.
(fot. archiwum rodzinne)

6 grudnia 1941 roku rodzina Zimmak została deportowana do obozu koncentracyjnego Salaspils do Rygi. Przymusową podróż tak wspominał po wojnie Leonhard Zimmak: "Po naszym rozstaniu zostaliśmy "wsadzeni" do pociągu osobowego w Hamburgu, skąd większość Żydów była deportowana. Cel był nieznany. Pociąg był ogrzewany i dobrze wyposażony w zapasy żywności, więc nie czuliśmy głodu. Byliśmy wszyscy w jednym przedziale – matka, ojciec, ciotka Betti, Else, ja i dziecko (Otto i Helene Zimmak, Bertha Wartelski, z domu Zimmak, Leonhard i jego żona Else z domu Herbst, Denny Zimmak - przyp. aut.). Dla dziecka mieliśmy mały hamak. Trzeciego dnia podróży wylądowaliśmy na stacji w Rydze, gdzie odebrali nas Niemcy z S.A. Dwoje Żydów zostało zabitych na naszych oczach. Każdy miał się zbliżyć i wtedy byli przejmowani przez estońskie oddziały SS, które były jeszcze bardziej przerażające niż niemieckie. To był obóz śmierci, dziennie ginęło tam 30-35 osób. Albert Rosenberg (brat matki Leonharda - przyp. aut.) także tam był i został zabity po 3 dniach. Dowiedziałem się tego dopiero po 3 tygodniach".

Nie przetrwali zbyt długo w obozowych warunkach. Matka Leonharda, Helena, została zamordowana w lutym 1942. To była bardzo ciężka zima i mieszkali w stodole, bez ogrzewania. Otto Zimmak, zmarł z wycieńczenia, w ramionach swego syna Leonharda 22.02.1942 roku. Żona Leonharda, Else i ciotka Bertha Wartelski, wraz z wieloma innymi Żydami, zostały zabite 26.03.1943 w Bieckernicker Hochwald, Jungfernhof, w Rydze. Leonhardowi przydały się zawód wyuczony przed wojną w Sztumie, bo SS zatrudniło go w Rydze jako elektryka samochodowego. Przeżył, bo był potrzebny. Wraz z wycofującymi się, pod naporem frontu rosyjskiego wojskami niemieckimi, także Leonhard na początku 1945 roku trafił do Hamburga. W marcu 1945 wraz z innymi Żydami musiał maszerować z Hamburga do obozu koncentracyjnego Kiel, gdzie został pobity do nieprzytomności. 2 maja 1945 roku wycieńczony znalazł się w rękach Czerwonego Krzyża. Po uwolnieniu z obozu Leonhard wyjechał do Szwecji.

Siostra Leonharda, Frieda w 1943 roku była operowana w szpitalu w Hamburgu podczas ataków bombowych. Niemcy wpadli do szpitala i wyrzucili Friedę i innych cywilów, żeby zrobić miejsca dla rannych żołnierzy. Frieda i jej mąż zostali ewakuowani do Kalmsee. Tam Frieda została „wydana” w ręce gestapo, bo ktoś doniósł władzom, że jest Żydówką. Zesłano ją do obozu Stutthof. W lutym 1945 roku, w obliczu nadciągającej Armii Czerwonej, Niemcy podjęli decyzję o ewakuacji obozu. W trakcie morderczego „marszu śmierci” więźniowie zostali uwolnieni przez Armię Czerwoną. Dzięki temu Friedzie udało się wrócić do Hamburga. Tam odnalazła swojego męża i tam zostali.

Leonhard zmarł w 1993 roku w Sztokholmie. Jego siostra Frieda zmarła w 1999 roku w Hamburgu. To dzięki ich opowieściom, synowi Leonarda, Fredowi Zimmakowi udało się odtworzyć fragmenty rodzinnej historii.

Ryjewo

W Ryjewie (wówczas Rehof) mieszkała rodzina Rosenbergów, matka i rodzeństwo Heleny Zimmak z Postolina. Głową rodziny była Sophie Rosenberg. Urodziła się 21 stycznia 1855 roku w Gdańsku, ale dorastała w Tczewie (Dirschau). Mieszkali tam do 1870 roku. Sophie nie mówiła wiele o swoich rodzicach. Prawdopodobnie była nieślubnym, albo adoptowanym dzieckiem, bo urodziła się półtora roku po śmierci swego ojca. Matka (Frederike Rosenberg z domu Goldschmidt) była Żydówką, ale biologiczny ojciec prawdopodobnie był chrześcijaninem. W tym czasie to było nie do pomyślenia wśród religijnych Żydów. Nie można było o tym rozmawiać w rodzinie, to był wielki sekret. Kiedy Sophie miała 16 lat, została zmuszona do poślubienia Lewina Rosenberga, starszego krewnego, który miał wówczas 50 lat. Nie chciała za niego wyjść, ale decyzja rodziców była ostateczna. Była drugą żoną Lewina Rosenberga. Pierwsza zmarła. Lewin był kupcem i właścicielem hotelu w Sztumie. Z pierwszą żoną Lewin miał dwóch synów. Jeden z nich



Ryjewo 1925 - stoją Gustav Rosenberg, Helene Zimmak, Otto Zimmak, siedzą - Johanna, Sophie i Ernestine Rosenberg. (archiwum rodzinne)

wyemigrował do USA, a drugi był pochowany na cmentarzu w Sztumie. Ze wspomnień rodzinnych wynika, że syn który wyjechał do Stanów pod przybranym nazwiskiem realizował filmy fabularne w Hollywood.

Sophie miała siedmioro dzieci (Ernestine, Albert, Helen, Albert, Johanna, Ella, Gustav), jedno z nich zmarło tuż po urodzeniu. Od 1870 roku mieszkali w Sztumie. Mąż zmarł w 1889 roku i Sophie sama zajmowała się wychowaniem dzieci. Żeby się utrzymać, została położną. Po jakimś czasie była odpowiedzialna za cały okręg sztumski. Musiała ciężko pracować. Do pracy jeździła wozem z końmi lub chodziła pieszo. Po wybuchu wojny w 1914 roku rodzina przeniosła się do Ryjewa.

Ze wspomnień Friedy Zimmak wynika, że Sophie była niekwestionowaną głową rodziny. Każdy musiał pytać ją o zdanie, nawet zięć Otto Zimmak. Jego córka Frida będąc dzieckiem miała lekcje gry na pianinie. Nauczyciel mówił, że jest bardzo zdolna, ale musi dużo ćwiczyć w domu. Kiedy Otto chciał córce kupić pianino w Sztumie, Sophie, powiedziała mu, że powinien kazać córce uczyć się cerować i robić na drutach jak należy i gotować, bo to jest ważniejsze dla żydowskiej dziewczyny, niż gra na pianinie. Otto nie kupił pianina, a Frida zarzuciła lekcje muzyki.

Dzieci Sophie Rosenberg, Gustav, Ernestine i Johanna prowadziły w Ryjewie sklep. W 1936 roku zmarła córka Johanna. Zostali w Ryjewie do końca. Nieznana jest data ich deportacji. Wiadomo tylko, że syn Albert zginął w 1941 roku w obozie koncentracyjnym w Rydze. Sophie, jej córka Ernestina i syn Gustaw zginęli w 1942 roku w obozie koncentracyjnym Stutthof.

Mikołajki Pomorskie

W Mikołajkach Pomorskich (Nikolaiken) jedyną rodziną żydowską byli Seelingerowie. Meyer Seelinger urodził się w 1844 roku w Starym Targu. Od 1876 roku on i jego żona Henriette, z domu Freundlich mieszkali w Sztumie. Był kupcem, handlował końmi. Interes dobrze prosperował. Byli bogaci, bo kiedy ich córka Johanna wychodziła za mąż dostała w posagu 20 000 złotych marek. Meyer zmarł w 1918 roku, a jego żona Henriette w 1926 roku. Zostali pochowani na cmentarzu żydowskim w Sztumie. Mieli czworo dzieci - Johanna, Siegfried, Adolf i Sigesmund.

Johanna, która urodziła się w 1887 roku w Sztumie, zginęła w obozie koncentracyjnym w Rydze pod koniec stycznia 1942 roku.

Jej starszemu bratu Siegfriedowi udało się przeżyć wojnę we Francji. Zmarł w 1964 roku w Kopenhadze. Jego córka Margot, w 1943 roku trafiła do obozu koncentracyjnego w Auschwitz i tam zginęła.

Kolejny syn Seelingerów, Adolf (Chaim) w czasie I wojny światowej walczył w armii niemieckiej, był ranny. Po wojnie wyjechał ze Sztumu. Miał dużą fabrykę artykułów żelaznych w Westfalii. W lutym 1943 roku został deportowany do Auschwitz i tam zginął, razem ze swoją żoną Huldą. Mieli

pięcioro dzieci - Kurt, Herbert, Artur, Erna i Millie. Kurt i Herbert w 1934 roku zostali ciężko pobici przez gestapo w Malborku. Udało im się uciec do obozu syjonistycznego w Hascharze w Niemczech, gdzie młodzi Żydzi uczyli się zawodu przed wyjazdem do Izraela. Udało im się uciec. Kurt przeżył wojnę, zmarł w 1982 roku. Artur trafił w 1943 roku do obozu Auschwitz, skąd już nie wrócił. Podobny los spotkał w 1940 roku ich siostrę Ernę. Herbert Seelinger przeżył wojnę, ma obecnie 105 lat. Jego siostra Millie ma 104 lata, w czasie wojny uciekła do Izraela, a potem do Chile. Syn Kurta, Giora Seeliger mieszka w Austrii, a córka Ilana w Izraelu.

Sigesmund Seeliger urodził się w 1885 roku w Sztumie. Był rzeźnikiem. Najpierw miał sklep mięsny w Mikołajkach, a potem również w Ryjewie, gdzie rywalizował ze sklepami Herzogów i Rosenbergów. Ożenił się z Ellą Rosenberg, siostrą Heleny Zimmak z Postolina, z domu Rosenberg. Do 1931 roku mieszkał w Sztumie, potem przeniósł się do Kwidzyna, by w końcu w 1935 roku osiedlić się w Berlinie. Nie został tam długo, bo w obliczu nasilających się represji nazistowskich w 1939 roku udało im się uciec do Szanghaju. W 1948 roku wyjechał do USA, do San Francisco. Po wojnie myślał o powrocie na ziemię sztumską, ale rodzina odradzała, tłumacząc, że ziemie te są pod sowiecką okupacją. Zmarł w 1974 roku w wieku 89 lat. Jego córka Frida (po mężu Rosen) urodziła się w 1908 roku w Sztumie. Mieszkała tu do 1939 roku. Potem z ojcem uciekła do Szanghaju, a w 1948 roku do San Francisco. Zmarła w Filadelfii w 1994 roku. Podobną drogę życiową przebyła druga córka Sigismunda, Gerda Seelinger (po mężu Neumann). Zmarła w Chicago w 1996 roku.



Sigesmund Seeliger z żoną Ellą w USA w latach 50-tych. (fot. archiwum rodzinne)

Losy Żydów pochodzących z Mikołajek Pomorskich opierają się głównie na informacjach uzyskanych przez Freda Zimmaka od Gerharda Herzoga. Gerhard Herzog urodził się w 1916 roku w Mikołajkach Pomorskich. Był synem Johanny (córka Meyera i Henrietty Seeliger) i Roberta Herzoga. Często wraz z rodzicami odwiedzał rodzinę Zimmaków w Postolinie. Rodzina nie chodziła do synagogi w Sztumie, gdyż łatwiej, ze względu na połączenie kolejowe, było pojechać do bardzo ładnej, jak wspomina, synagogi w Malborku. Znajdowała się ona na dzisiejszej Alei Rodła, między pocztą, a liceum. Tam też Gerhard miał swoją Bar micwę. Kiedy nasilały się represje naziistowskie Gerhard trafił do obozu przejściowego dla emigrantów w Hascharrze. W czasie Krwawej Nocy w 1938 roku ich obóz został zaatakowany przez nazistów. Trafił najpierw do więzienia w Szczecinie, a potem do obozu koncentracyjnego w Sachsenhausen. W połowie grudnia 1938 roku udało mu się wyjść z obozu. Trafił do Danii, skąd dzięki pomocy ruchu oporu udało mu się przedostać do neutralnej Szwecji. Mieszkał tam kilka lat, a po wojnie trafił do Francji do swego wuja Hermana Seeligera. Dziś mieszka w Danii. W Jerozolimie jego imieniem i jego żony Ingi nazwano park, gdyż przez wiele lat wspierali finansowe państwo żydowskie. Jego brat Siegfried, który urodził się również w Mikołajkach także przeżył wojnę. Na początku lat 40-tych udało mu się z Berlina, przez Holandię uciec do USA, gdzie zmarł w 2007 roku. Większość potomków rodziny Seeliger, Rosenberg i Zimmak mieszka dziś w USA, Izraelu, Austrii, Danii i Brazylii. To rodzina Rosen, Cohen, Stern, Esquenazi, Hollander.

Dzierzgoń

Gmina żydowska w Dzierzgoniu należała do jednych z najstarszych w Prusach Wschodnich. Pierwsze informacje pochodzą z 1772 roku. Wynika z nich, że w Dzierzgoniu mieszkało wówczas 124 osoby pochodzenia żydowskiego, a w 1858 - 318. W Deutsche Historisches Museum (www.dhm.de/datenba - za Forum Marienburg) znajduje się dokument z 1813 roku, potwierdzający nadanie praw mieszczańskich dla Benjamina Isaacsohna z Dzierzgonia. Być może był on założycielem pierwszego domu modlitwy, bo synagoga zbudowana została dopiero w 1838. W tym samym roku zbudowano prawdopodobnie cmentarz. Datowanie cmentarza żydowskiego w Dzierzgoniu przeprowadzić można jedynie w oparciu o zachowane nagrobki, gdyż materiał archiwalny na ten temat jest znikomy. Najstarszą częścią, w oparciu o zachowany drzewostan, jest fragment przy południowo - wschodnim narożniku muru cmentarnego. Mur ten prawdopodobnie pochodzi z okresu założenia cmentarza. Część południowa, jak wynika z mapy topograficznej na początku XX wieku była ogrodzona w inny sposób

niż część północna. Stało się tak być może w sytuacji, gdy część północna cmentarza została zapelniona nagrobkami i cmentarz trzeba było poszerzyć. Wtedy powstała lipowa aleja wejściowa i boczna świerkowa.

Nagrobki zachowały się jedynie w części północnej, choć prawdopodobnie było ich znacznie więcej niż w tej chwili. W wyniku kolejnych dewastacji i braku opieki uległy zniszczeniu. Część nagrobków posiada formę tradycyjnej żydowskiej macewy, jednak najbardziej charakterystyczne są nagrobki klasycyzujące, z kolumnami na postumentach i stele. Większość znacznie uszkodzona i zdewastowana. Z ewidencji Wojewódzkiego Konserwatora Zabytków w Elblągu opracowanej w 1985 roku przez Jacka Gzowskiego wynika, że na cmentarzu zidentyfikowano 14 zabytkowych obiektów nekropoli. Większość z nich istnieje nadal.

Najstarsza macewa, zachowana we fragmencie, datowana jest na 1861 rok. To nagrobek Tamre Therese Berendt z domu Moses, która zmarła 12 sierpnia 1861 roku. Z 1865 roku pochodzi nagrobek Dorothea Rosenthal z domu Rosenblath, która zmarła w wieku 47 lat. Nagrobek w formie steli z piaskowca z cokołem i prawdopodobnym zwieńczeniem, które nie zachowało się, pochodzi z 1871 roku. Niemiecki napis głosi, że spoczywa tam „nasz kochany, dobry ojciec i dziadek, kupiec Markus Ksaver Hamerstein, honorowy obywatel tutejszego miasta, ur. 04.05.1795, zm. 15.01.1871. Głęboko pogrążeni w żałobie. Niezapomniany przez nas wszystkich, którzy go znali. Niech w spokoju spoczywają jego prochy”.

Nagrobek wolnostojący w stylu neoklasycystycznym z 1875 roku w formie steli, z półkolistym zwieńczeniem. Na zwieńczeniu płaskorzeźba z dzbanem, znakiem rodu Lewitów czyli kapłanów, być może to nagrobek rabina. Inskrypcja w języku hebrajskim i niemieckim wskazuje, że jest to nagrobek Hirscha Jontofsohna, który zmarł wieku 41 lat. Rok późniejsza, podobna macewa z wypukłym reliefem na zwieńczeniu z wieńcami laurowymi i wiciami bluszczu informuje, że spoczywa tam Josephine Kaminski z domu Jantafsohn, która zmarła 21 sierpnia 1876 roku. Z 1877 roku pochodzi stela z piaskowca wykonana z jednego bloku z cokołem i czterospadowym zwieńczeniem. To grobowiec Emmy Hammerstein z domu Simonetty.

Z 1879 pochodzi nagrobek Juliusa Cohna, a z 1881 Samuela Vaserstein. Macewa datowana na 1893 rok to grobowiec Ernestine Bluhm z domu Pattlizer. Z drugiej połowy XIX wieku pochodzą fragmenty postumentów i kolumn oraz wsporniki pod tablice inskrypcyjne w kształcie pni dębowych ze ściętymi konarami oraz rzeźbioną fakturą kory i gałązkami z liśćmi i owocami. Inne fragmenty macew, ze względu na poważne zniszczenia i brak wyraźnych inskrypcji, trudno jest jednoznacznie datować - np. macewy z nagrobków Barbary Jitzing i Leo Warszawskiego. Prawdopodobnie pochodzą z lat 70-tych XIX wieku.

Przez wiele dziesięcioleci po wojnie cmentarz w Dzierzgoniu ulegał stopniowej dewastacji, a właściwie zapomnieniu. Brak zainteresowania paradoksalnie okazał się szczęśliwy dla cmentarza. Granitowe i piaskowe macewy i stele nie zostały bowiem, tak jak w przypadku cmentarza w Sztumie czy Kwidzynie, rozgrabione i być może zagospodarowane do innych celów. Nagrobki dzierzgońskie, w nie najlepszym stanie, ale przetrwały do naszych czasów i są znakomitą świadkiem historii. Dziś cmentarzem opiekują się uczniowie z Zespołu Szkół w Dzierzgoniu. To najskuteczniejsza nauka historii, pamięci i tolerancji.

Żydzi odeszli stąd nie z własnej woli, skazani na śmierć i zapomnienie. Nie ma ich w miejscowej pamięci, bo ślady ich obecności zacierają kolejne lata. Pozostały resztki nagrobków, zarys cmentarzy, domów modlitwy. W wielu miejscach na Dolnym Powiślu i Żuławach upamiętniono już Polaków walczących przeciwko wynarodowieniu, uratowano pozostałości po cmentarzach i domostwach Mennonitów i Niemców. O Żydach zapomniano. To prawda, było ich tu najmniej, ale byli...

To tylko szkic do żydowskiego portretu na Dolnym Powiślu. Powstał wyłącznie dzięki Fredowi Zimmakowi ze Sztokholmu, potomkowi Żydów mieszkających przed wojną na ziemi sztumskiej, któremu składam podziękowania za współpracę i za możliwość skorzystania z fragmentów rodzinnych wspomnień, ze zdjęć i dokumentów. Dziękuję również internautom z Forum Marienburg, a szczególnie Pawłowi Głogowskiemu, dzięki któremu udało mi się dotrzeć do żydowskich potomków dawnych mieszkańców ziemi sztumskiej i spróbować odtworzyć fragment ich tutaj obecności. Być może dalsze badania archiwalne dadzą nam w przyszłości pełniejszy obraz życia tej zapomnianej tutaj społeczności. Dziękuję też za pomoc przy tłumaczeniu tekstów Danucie Thiel-Melerskiej oraz mojej córce Martynie.

Wszystkie zdjęcia zamieszczone w tekście pochodzą z rodzinnego archiwum Freda Zimmaka ze Sztokholmu.

Stefan Piazza-Branicki

Z POWSTANIA NA POWIŚLE



Stefan Piazza-Branicki w 1945 roku. (fot. archiwum rodzinne)

Nazywam się Stefan Piazza-Branicki, ale w czasie od urodzenia do 2005 r. posługiwałem się tylko pierwszym członem nazwiska Stefan Piazza. Urodziłem się 28 sierpnia 1925 r. w Kruszwicy. Ojciec mój Stanisław Piazza urodził się w 1897 r. w Sandomierzu. Brał udział w wojnie polsko-bolszewickiej w 1920 r. Po otrzymaniu Świadcstwa Uzdolnienia (obecne prawo jazdy) w dyspozycji sztabu pojechał na front pod Warszawę. Muszę wspomnieć, że prawo jazdy miał wydane 18 maja 1920 r. przez Dowództwo Kadry Samochodów w Krakowie. Dziadek Karol Piazza ur. ok. 1850 r. był pracownikiem Urzędu Celnego na granicy Austro-Węgier i Rosji. Pradziadek (z relacji mojego ojca) przybył z Włoch z legionem na wsparcie powstania w 1831 r. Pochodzenie jest w trakcie poszukiwań, a prowadzi je mój syn Jerzy.

Ustaliłem i posiadam dokumenty z archiwum, że mojej mamy Jadwigi Piazza babcia to Łucja Branicka ur. w 1836 r., córka Wincentego Branickiego ur. około 1795 r. Dalsze pochodzenie jest obecnie w trakcie poszukiwań, a sprawę prowadzi mój syn Witold. W 2005 r. przyjąłem drugi człon nazwiska – Branicki ze strony mojej matki. Nazwisko Piazza po ojcu, dziadku, pradziadku zachowuję, ponieważ życiorys mój wiąże się z tym nazwiskiem w dokumentach-dowodach. Ale nazwisko Piazza jest obce – włoskie, a jestem Polakiem – patriotą i dla podkreślenia polskości moich korzeni – rodowodu przyjąłem drugi człon nazwiska Branicki ze strony mojej matki po prababce Łucji Branickiej. Jestem żonaty, mamy dwóch synów, trzeci zmarł. Mieszkamy w Sztumie.

W roku 1937 zamieszkaliśmy w Warszawie na Grochowie, a w lipcu 1944 r. rodzina moja przeniosła się do Śródmieścia na ulicę Nowy Świat 24, na mieszkanie mojego ojca jeszcze sprzed wojny. Przeprowadzka wydawała się lepszym schronieniem w czasie walk zbliżającego się frontu. Ja pozostałem – z rozkazu dowódcy plutonu podchorążego Jerzego Tężyckiego ps. „Konrad”, byliśmy w stanie czuwania przed wybuchem Powstania. Przed wojną w 1939 r. ukończyłem siedem klas Szkoły Powszechnej przy ul. Kordeckiego. Mama zajmowała się domem, ojciec pracował jako taksówkarz.

W czasie okupacji ojciec zajmował się handlem, a ja pomagałem. Pracowałem także na Okęciu, na terenie przyległym do lotniska. Praca to: sprzątanie, złomowanie – rozbiórka wraków fragmentów samolotów i innego sprzętu przywożonego z frontu oraz roboty murarsko-remontowe. Pilnowali nas Niemcy z formacji wojskowej i poganiali, bo był też załadunek wyselekcjonowanego złomu na samochody. Wstęp na teren lotniska był zabroniony. Byli też na tym terenie sowieccy jeńcy, którzy mieszkali w baraku za drutami. Prosili o papierosy i jedzenie - czasem im przynosiłem i dawałem. Niemcy z ochrony mieli w tym budynku biuro. W biurze paliłem w piecu i doglądałem ognia. Zauważyłem jak Niemiec naprawiał pistolet i chował do szafy. Na chwilę nieobecności Niemca zabrałem dwa pistolety i z popio-

łem w wiadrze wyniosłem do śmietnika, a później poza teren. Broń przekazałem dowódcy plutonu „Konradowi”. Pracę porzuciłem w obawie przed aresztowania przez gestapo.

Na przełomie 1941 i 1942 r. wstąpiłem do konspiracyjnej wojskowej organizacji o nazwie „Polska Niepodległa” – PN¹, Rejon XVII, Obwód VI Warszawa – Praga, dowódca plutonu „Konrad” (Jerzy Tężycki), dowódca kompanii por. „Huzar” (Michał Wolański), mój pseudonim „Mars”. Do organizacji PN wprowadził mnie kolega Jerzy Tężycki, który przynosił nam do domu prasę konspiracyjną. Jurek znał moją rodzinę, a mnie udzielał korepetycji na tajnych kompletach. Był starszy ode mnie, przed wojną chodził do Liceum Lisa Kuli. Mama moja domyślała się, że należę do organizacji konspiracyjnej, a ojciec dowiedział się przed powstaniem.

W konspiracji wykonywałem różne zadania zlecone przez dowódcę w zakresie tzw. „Małego Sabotażu”. Były też poważniejsze akcje: dywersja, zdobywanie broni na Niemcach i praca w Referacie Informacji. Kierownikiem Referatu był podchorąży „Konrad” (Jerzy Tężycki). Przekazywałem meldunki o ruchach wojsk hitlerowskich, formacjach policji, urzędach niemieckich i konfidentach. Wiedziałem, jak zachowują się Niemcy – żołnierze w Parku Skaryszewskim na Pradze. Zameldowałem dowódcy plutonu o możliwości zdobycia broni. Porucznik Wolański „Huzar” wyraził zgodę na rozpoznanie. Byli ze mną Janusz Chmielewski, wysoki w okularach, i Henryk Strączek ps. „Junak”. Park obserwowaliśmy kilkakrotnie. Był czas popołudniowy, Niemiec z dziewczyną siedzieli na ławce. Koledzy z bronią rozkazali „Hände hoch!”, a ja wyjąłem z kabury pistolet „Parabellum”. Druga akcja była podobna, tylko 2-3 miesiące później.

W czasie Powstania PN weszła w skład Rejonu I AK kapitana „Gawryło”, do zgrupowania 641 porucznika „Rafała” – teren Praga, Bródno, Gołędzinów. Brałem udział w walkach na odcinkach Gołędzinów, Bródno, Kampinos, gdzie w czasie odwrotu z akcji Babice-Borzęcin zostałem kontuzjowany. W południe 1 sierpnia 1944 r. z rozkazu dowódcy udałem się do porucznika „Huzara” (Michał Wolański), na ul. Grochowską, Zakład Foto. Porucznik dał mi dwie paczki z rozkazem dostarczenia dowództwu zgrupowania na Pradze. Po bardzo trudnym marszu pieszo i tramwajem dotarłem pod wskazany adres. Mieszkanie było duże na I piętrze. W pokoju grupa ludzi. Paczki

¹ Polska Niepodległa (PN) – organizacja konspiracyjna założona 1 XI 1939 r. przez pracownika Zarządu Miejskiego Warszawy inż. Józefa Sulińskiego ps. „Zawisza”. Pod względem terenowym dzieliła się na 8 okręgów – Warszawa stanowiła Okręg I, a województwo warszawskie Okręg II. Organami prasowymi PN były tygodnik „Jutro” oraz miesięcznik „Głos Wolny Wolność Ubezpieczający”. W 1942 r. PN została podporządkowana AK zachowując jednocześnie autonomię organizacyjną. W wyniku akcji scaleniowej PN przekazała do AK około 15 tys. żołnierzy i kilkaset 5-6 osobowych kobiecych patroli sanitarnych. Ujawnienie działalności konspiracyjnej PN nastąpiło 20 IX 1945 r. (F. Wojciechowski, Polska Niepodległa. Organizacja konspiracyjna, Warszawa 1997).



Stefan Piazza – Branicki w szkole polskiej w Niemczech w 1945 roku. (fot. archiwum rodzinne)

doręczyłem. Oczekiwano jeszcze na kilka osób. Wreszcie rozpoczęto odprawę ostatnią przed godziną „W”. Wydano pakietki opatrunkowe, wydano rozkazy dowódcom oddziałów i skierowano w rejony koncentracji.

Do oddziału dotarłem na ulicę św. Wincentego. Byłem w plutonie podchorążego „Konrada” (Jerzy Tężycki). Powstańcy z naszej kompanii byli w różnych cywilnych ubraniach, mieliśmy tylko opaski biało-czerwone, niektórzy furażerki. Broń otrzymaliśmy przed wymarszem na akcję – granaty obronne i filipinki², a dowódcy broń krótką, pistolety i PM-y. Stan osobowy naszego plutonu liczył około 30 żołnierzy, bo nie wszyscy zdążyli dotrzeć na czas. Już przed godziną „W” rozgorzały walki od strony Marymontu, Żoliborza, Pragi. Z marszu ruszyliśmy do natarcia na koszary w Gołędzinowie³, gdzie stacjonowali Kałmucy⁴ i Niemcy, ale zaskoczenia nie było. Myślę, że

² „Filipinka” – popularne określenie granatu konstrukcji konspiracyjnej, autorem projektu był pirotechnik Edward Tymoszak, nazwa nawiązywała do przybranego imienia i nazwiska konstruktora – Filip Tarło, średnica u podstawy: 4,8 cm, wysokość: 9,4 cm. (<http://www.muzeumwp.pl/emwpaedia/filipinka-granat-konstrukcji-konspiracyjnej.php>)

³ Koszary gołędzinowskie przy ul. Modlińskiej składały się z 7 budynków murowanych, jednopiętrowych i 4 baraków drewnianych. Kompleks koszar otoczony był zaporami z drutu kolczastego, a przy dwóch bramach wjazdowych znajdowały się betonowe bunkry wyposażone w erkaemy. (L. Bartelski, Praga. Warszawskie Termopile 1944, Warszawa 2002, s. 76).

⁴ „Kałmucy” – potoczna nazwa wschodnich formacji Wehrmachtu oraz jednostek pomocniczych w służbie niemieckiej złożonych z mieszkańców ZSRR. W odniesieniu do tego typu formacji używa się zamiennie nazw „Kałmucy”, „Ukraińcy”, „Mongolowie”, „własowcy” lub „ostlegiony”.

atak frontalny na bramę koszar i bunkry to było błędne założenie – była dyskusja. Takie działanie mogło być tylko pozorowane, a główne uderzenie od strony Wisły mogło mieć powodzenie. Pod silnym ogniem nieprzyjaciela musieliśmy wycofać się na Bródno, do szkoły na ul. Białolecką róg Bartnicznej, na placówkę porucznika „Rafała”.

W budynku szkoły panował ożywiony ruch, napływało coraz więcej ludzi – powstańców. Przy wejściu po prawej stronie organizowano magazyn – rusznikarnię, gdzie było sporo różnej broni i amunicji. Wyznaczony zostałem na pozycje obronne przy bramie. Byli też koledzy: Janusz Chmielewski ps. „Juno”, Strączek Henryk ps. „Junak”. Ja byłem przy murze – parkanie z lewej strony od bramy. Od strony Żerania nadjechały niemieckie samochody ciężarowe. Na rozkaz rozpoczęliśmy ostrzał. Pierwszy samochód został unieruchomiony, a drugi wycofał się. Niemcy poddali się. Ciężarówkę wprowadziliśmy na dziedziniec szkoły. Zdobyliśmy sporą ilość papierosów, odzież, obuwie i kilka sztuk broni. Na stanowisku nastąpiła zmiana. Był posiłek – zupa i chleb, który przyniosły kobiety z pobliskich domów, a może też żołnierze powstańcy. Następnie były różne zadania, ja trafiłem do rusznikarni, było czyszczenie broni, naprawa.

Następnego dnia 2 sierpnia budowaliśmy barykadę. Po południu nadjechały czołgi. Niemcy rozpoczęli ostrzeliwać budynek szkoły. Pocisk uderzył w murowaną przybudówkę, ranny został na stanowisku obronnym „Junak” z naszego plutonu. Pracowałem w rusznikarni, kierownikiem był starszy wiekiem specjalista. Szykowaliśmy „Piat”⁵, lecz uszkodzenia nie można było usunąć.

Front niemiecko-sowiecki zbliżał się. Dowódca placówki wydał rozkaz opuszczenia szkoły⁶. Do rozpoznania sytuacji po lewej stronie Wisły dowódca „Konrad” wyznaczył mnie, „Juno” i „Stena”. Padał deszcz, odpłynęliśmy łodzią rybacką, mieliśmy dopłynąć do Marymontu, ale prąd rzeki zniósł nas pod Bielany. Na łachach piaskowych pod pontonami z 1939 r. zastaliśmy powstańców z Bielany, Marymontu, Żoliborza, którzy ukrywali się przed Niemcami. Wieści były tragiczne, że powstańcy ponieśli wielkie straty w zabitych i rannych, że Powstanie załamało się. Wracaliśmy, na połowie Wisły, Niemcy oświecili nas racami i rozpoczęli ostrzeliwać – chyba z CIWF-u⁷. Uratowała

⁵ „Piat” – brytyjski granatnik przeciwpancerny (Projektor Infanterii Anti Tank) produkowany od września 1942 r., ciężar (bez granatu): 14,5 kg, długość: 99 cm. (<http://www.muzeumwp.pl/emwpaedia/reczny-granatnik-przeciwpancerny-piat.php>)

⁶ Powstańcom walczącym w szkole na rogu ulic Białoleckiej i Bartnicznej poświęcono tablicę, która znajduje się na budynku działającego obecnie w tym samym miejscu Zespołu Szkół Nr 41. Na tablicy znajduje się napis: „Z tego budynku i Domu Nauczyciela w dniach 1 i 2 sierpnia 1944 r. zgrupowania 632 i 641 Armii Krajowej, składające się głównie z oddz. organizacji Polska Niepodległa pod dowództwem por. „Rafała” – Zygmunta Skowrona z PN przeprowadziły efektywne akcje bojowe i odparły atak niemieckich czołgów” (Na Targówku kamienie mówią. Przewodnik po miejscach walk i pamięci, Warszawa 2008, s. 26).

⁷ CIWF – Centralny Instytut Wychowania Fizycznego na Bielanach.

nas duża wysepka porośnięta wikliną. Po godzinie lub dłużej strzały ucichły. Byliśmy uwalani błotem, zmoczeni. Na szczęście łódź była przy wysepce. Do brzegu dotarliśmy późno wieczorem w okolicy Piekietka – Wiśniewa. Plutonu naszego nie odnaleźliśmy. Gospodarz z pobliskiego domu skierował nas pod Jabłonnę na przeprawę do Puszczy Kampinoskiej. Nocą zostaliśmy przerzuceni do Kampinosu.

Do Sierakowa przychodzili licznie powstańcy z Żoliborza, Bielan, Marymontu, Bródna, Pragi. W Truskawiu organizowano rezerwy Batalion Zgrupowania „Kampinos”. Spotkałem kolegów z naszego plutonu i dowódcę „Konrada”. W sierpniu 1944 r. brałem udział w składzie II Batalionu w akcji na trakt Babice-Borzęcin. Nasz pluton we wsi Borzęcin ostrzelał i zlikwidował patrol niemiecki. Spodziewanych taborów nie było, nastąpił odwrót, dostaliśmy się w pole ostrzału z dział. Pociski padały z każdej strony – zostałem kontuzjowany i ogłuszony, miałem liczne okaleczenia. Nad ranem dotarliśmy do Truskawia. Z tej akcji wielu nie powróciło, poległ w walce. W Sierakowie nastąpiła demobilizacja II Batalionu. Po rozwiązaniu II Batalionu Zgrupowania „Kampinos” część powstańców i partyzantów postanowiła powrócić w swoje strony zamieszkania, na drugą stronę Wisły.

Kolega z Powstania „Sten” poprowadził nas do oddziału partyzanckiego pod dowództwem porucznika „Czycibora”. Oddział nie brał udziału w żadnych akcjach bojowych. Na terenie Grabina, Choszczówka, Henryków stali Węgrzy – sojusznicy Niemców. Front zbliżał się i Węgrzy odeszli, a pojawiła się dywizja pancerna niemiecka. W tych warunkach oddział „Czycibora” uległ likwidacji – decyzją dowódcy.

Kolega „Sten” z PN-AK poprowadził nas do rodziny Majlertów – duże ogrodnictwo w Henrykowie, a następnie do Marcelina. Tam była kontrola do wysiedlania. Nas jako ukrywających się potraktowano jak partyzantów i postawili pod ścianą, żegnaliśmy się.

Po czasie dołączyli nas do grupy młodych ludzi i pognali przez most na lewy brzeg Wisły. Z Łomianek do Fortu Zakroczym za druty, dzień i noc na ziemi.

W pierwszych dniach października wywieźli nas do obozu w Brunshwiku. W grupie roboczej pracowaliśmy w cukrowni w Schöppenstedt, a po kampanii przy budowie fabryki chemicznej aż do wyzwolenia przez wojska amerykańskie. Po wyzwoleniu pracowałem jako nauczyciel w polskiej szkole w Watenstedt, obóz 8-10⁸. Do Polski powróciłem w 1946 r. Czas jakiś przebywałem w Warszawie – szukałem rodziny. W Komendzie Miasta dowiedziałem się, że w ramach osadnictwa wyjechali na zachód, że są w Malborku.

⁸ Zaświadczenie wystawione przez kierownika obwodu szkolnego Watenstedt-Salzgitter w Lobmachtersen z dnia 25.5.1946 r. podaje, że „p. Piazza Stefan pracował w Szkolnictwie Polskim w Niemczech w charakterze tymczasowego nauczyciela w Szkole Powszechnej w Hallendorfie – Obóz 8-10 od dnia 7.9.1945 r. do dnia 25.5.1946 r.”.



Stefan Piazza-Branicki pod pomnikiem „Rodła” w Sztumie w 2007 roku.
(fot. archiwum rodzinne)

W 1946/47 uczyłem się w Liceum Pedagogicznym w Wejherowie, a następnie Liceum Ekonomicznym w Kwidzynie. Pracowałem jako księgowy w spółdzielczości, a ostatnio w służbie zdrowia w Sztumie. Do żadnej partii nie należałem. W roku 1982 decyzją sekretarza PZPR zmuszono mnie do odejścia z pracy ze stanowiska zastępcy dyrektora ds. administracyjno-ekonomicznych ZOZ w Sztumie.

Przypisy opracował Adam Langowski.

Seweryn Pauch

ZGUBA W NIEMIECKIM MUNDURZE¹



A. Kurzem jak „maskotka” niemiecka. (fot. archiwum autora)

¹ Na ślad Henryka Słotwińskiego natrafiłem przypadkiem przygotowując wystawę eksponatów historycznych przyniesionych przez uczniów Szkoły Podstawowej nr 11 w Tczewie. Jedna z uczennic przyniosła mi zdjęcie, które jej babcia (siostra Słotwińskiego) otrzymała od brata w końcu lat 70-tych. Rozmawiałem z krewnym Słotwińskiego (pan Gierszewski z Tczewa), który jednak nie znał szczegółów dotyczących Henryka. Tekst oparłem więc, w przeważającej mierze na tym, co Słotwiński opowiadał o sobie w programie „Świadkowie”. Informacje na temat batalionu pochodzą z zasobów internetowych. Na temat spotkania z rodziną trudno jednoznacznie coś powiedzieć. Spotkanie przed kamerami TVP z rodzicami było ich kolejnym. Jak objaśniał narrator, nie chciano rodzinie przeszkadzać w takim momencie. Rodzice byli wzruszeni, gdyż przed pierwszym spotkaniem widać na filmie (gdy oglądają apel H. Słotwińskiego), że matka płacze, a ojciec jest pełen zadumy. Dodatkowych źródeł w postaci spisanych wspomnień, relacji, dzienników, na temat losów Słotwińskiego niestety nie ma.

W ostatnich latach głośno było o kilku postaciach, na których życiu swe piętno odcisnęła druga wojna światowa. Jedną z takich osób był Aleks Kurzem, Żyd pochodzący z Białorusi. Jego prawdziwe nazwisko brzmiało Ilia Sołomonowicz Galperin. Na życiu tego człowieka absolutnie zaważyły wydarzenia, które działy się w październiku 1941 r., kiedy był świadkiem wymordowania społeczności swojego rodzinnego sztetla – Kojdanowa. Udało się mu zbiec, ale po krótkim czasie trafił w ręce łotewskich jednostek pomocniczych, wspomagających nazistów. Cudownym zbiegiem okoliczności nie został zabity, ale stał się maskotką batalionu Kurzeme, jednej z 50 jednostek, które hitlerowcy utworzyli na Łotwie. Przez 2 lata wędrował z oddziałem obserwując wiele zbrodni, z których część ujawnił w swoich wspomnieniach. Po skomplikowanych kolejach losu, udało się mu wyemigrować do Australii, gdzie po kilkudziesięciu latach przypadkiem zaczął odkrywać swoje korzenie.

O jego historii opowiadają dwie książki. Pierwsza autorstwa Piotra Głuchowskiego i Marcina Kowalskiego zatytułowana „Nie trzeba mnie zabijać”, wydana w Warszawie w 2008 oraz Marka Kurzema pod tytułem „Maskotka. Nazistowski sekret mojego żydowskiego ojca”, wydana również w 2008 roku. Lektura to wciągająca a zarazem refleksyjna.

Dzięki zbiegowi okoliczności, udało mi się dowiedzieć, iż człowiek, którego życie w dzieciństwie było podobne do losów Kurzema, szereg lat mieszkał we Francji. Ktoś mógłby w tym miejscu zadać pytanie, cóż to nas interesuje. Otóż najbliżsi krewni bohatera o którym napiszę poniżej, mieszkali w Prabutach. Warto więc zapoznać się bliżej z historią niejakiego Henryka Swotwskiego, mieszkańca Grenoble we Francji.

Postać Henryka Słotwińskiego, bo tak dokładnie brzmiało jego nazwisko, można uznać za symbol tego, do czego doprowadziła II wojna światowa. Historia tego człowieka została zaprezentowana Polakom wiele lat temu, w roku 1978, podczas programu telewizyjnego „Świadkowie”. Do osób produkujących to nagranie trafił list, który nosił datę 16 kwietnia 1975 r. Jego autor, mieszkający we Francji, w Grenoble, Henri Swotwinski od lat poszukiwał kontaktu z rodziną; pamiętał iż mieszkał w Polsce przed wojną. Spisał wszystkie swoje wspomnienia z okresu dzieciństwa, związane z miejscem zamieszkania. Do listu dołączył komplet dokumentów – dwa zdjęcia z okresu „służby w wojsku” i własnoręcznie sporządzone mapy. Rozesłał wiele takich zestawów, z czego jeden do Polski.

We wspomnianym liście przytoczył kilka konkretnych faktów z dzieciństwa. Zapamiętał, że na pewno jest Polakiem. Jak wspomniałem, zrobił mapę domniemanych stron rodzinnych, a także skopiował i powielił dwa zachowane zdjęcia z tego okresu. Skontaktował się również z prezydentem

Francji, ale nawet on nie był w stanie pomóc w odnalezieniu śladu rodziny. Warto zwrócić uwagę na zdjęcie, na których widać postać około sześćcio – siedmio – letniego chłopca w niemieckim mundurze.

Wiele lat wcześniej do siedziby polskiego Czerwonego Krzyża trafił list datowany na 7 marca 1958 r., w którym ojciec – Ludwik Słotwiński – poszukiwał zaginionego syna. Autor tego listu został w latach siedemdziesiątych odnaleziony przez osoby tworzące program „Świadkowie”. Pewne fakty przez niego podane zgadzały się z tym, co zapamiętał Henryk Swotwinski. List ten został wyciągnięty na światło dzienne w czasie poszukiwań czynionych przez Henryka Swotwskiego.

Produceni, podejrzewając, iż Henryk Swotwinski jest synem Ludwika, nadali w telewizji apel obywatela Francji, który obejrzeliby również jego domniemani rodzice mieszkający ówczynie w Prabutach. Program ten wyemitowano w 1977 roku w programie drugim Telewizji Polskiej.

Z relacji Henryka dla programu: Miałem wtedy 6 lat. Zapamiętałem nazwy: Antonówka, Kostopol. Na podstawie mapy z 1886 r. zrobiłem ten szkic [pokazano odręczny plan miejsc, które Henryk zapamiętał z dzieciństwa – S.P.]. W okolicach Kostopola są dwie Antonówki, jedna 30 km na wschód od miasteczka i 10 km od rzeki Słucz i druga nad rzeką Styr – 60 km na północny – zachód od Kostopola. Pamiętam, że ojciec miał we wsi gospodarstwo i kontaktował się z miejscową partyzantką. Pamiętam, że w domu zbierali się uzbrojeni ludzie. W moim domu mówiło się po polsku, ale także jak to na pograniczu po rosyjsku i ukraińsku. Zapamiętałem pewne wydarzenia. Może i inni je zapamiętali. W pobliżu domu była farma, w niej konie, krowy, i ja bawiąc się zapalnikami spowodowałem pożar. Farma spłonęła całkowicie razem ze zwierzętami. Matka i moja babka, z obawy przed gniewem ojca, wysłały mnie do jakiejś ciotki – do innej miejscowości. Pożar spowodowałem razem z bratem – nie pamiętam już czy był starszy ode mnie czy młodszy. Po napaści na Związek Radziecki latem 1941 r., straciłem wszelki kontakt z rodziną. Zabрани przez gestapo trafiłem do jakiegoś obozu kobiecego, byłem tam jedynym dzieckiem. Nie wiem, gdzie był ten obóz, ale pamiętam, że spędziłem w nim zimę. Nie wiem, w jaki sposób wydostałem się na wolność. Miałem już 7 lat i próbowałem na własną rękę odszukać domu moich rodziców. Wędrowałem wzdłuż torów kolejowych, w kierunku wskazanym przez przygodnych ludzi. I wtedy na jakiejś stacji natknąłem się na ten pociąg, wypełniony żołnierzami w niemieckich mundurach. Ktoś przywołał mnie po polsku i oni mnie po prostu wzięli ze sobą jako maskotkę. Niesamowity, bardzo kosmopolityczny batalion 202, złożony z przymusowo wcielonych do niemieckiej armii różnych nie Niemców, tzw. młodych ochotników, których rodziny były zakładnikami na wypadek dezercji. Dowódcami i oficerami byli Niemcy. Byłem z nimi 2 lata, mam z tego czasu 2 zdjęcia, maskotka batalionu 202 w niemieckim mundurze i oczywiście bez broni. Wędrowałem



Henryk Słotwiński w mundurze niemieckim. (fot. archiwum autora)

z nimi od Ukrainy, przez Polskę, Niemcy aż do Alzacji [...] w 1945 r. oddano mnie Polce od dawna zamieszkałej w Niemczech. Miałem wtedy 9 -10 lat. I to już wszystko. I jeszcze jedno. Z dzieciństwa zachowały się na moim ciele bardzo głębokie blizny. Moi prawdziwi rodzice, jeżeli się znajdą, potrafią wskazać ich rozmieszczenie.

Po emisji programu Ludwik i Antonina Słotwińscy bezbłędnie wskazali gdzie znajdują się rany z dzieciństwa. Nie było wątpliwości, iż Henri Słotwiński to w rzeczywistości Henryk Słotwiński, którego imię i nazwisko zostało po prostu zniekształcone.

Od momentu rozstania z rodzicami minęło 36 lat. W roku 1978, kiedy ponownie Henryk spotkał rodziców, byli to już ludzie w podeszłym wieku, gdyż ojciec miał 73 zaś matka 65 lat. W programie Henryk spotkał się z licznym rodzeństwem, ale z dzieciństwa zapamiętał tylko starszego brata Stanisława. Z pamięci umknęły mu osoby dwuletniej ówczesnej siostry Danuty i kilkumiesięcznego brata Romana.

We Francji Henryk założył rodzinę, miał żonę i dzieci. Z relacji żyjących obecnie w Tczewie krewnych naszego bohatera, wiadomo w jakich okolicznościach Henryk rozstał się z rodzicami. W okresie II Rzeczypospolitej rodzina Słotwińskich zamieszkiwała na wschodnich kresach ówczesnego państwa polskiego. Dzisiaj Kostopol wraz z okolicą leży na terenie Ukrainy. W rodzinnej wsi Henryka – najpewniej Antonówce – doszło latem 1941



Henryk Słotwiński w 1978 roku w studiu TVP. (fot. S. Pauch z programu TVP)

roku do jakichś działań zbrojnych, prawdopodobnie związanych z ofensywą Niemiec na ZSRR. Chłopiec uciekał wraz z matką oraz bratem i w pewnym momencie się zgubił. Niestety, nie mógł odnaleźć rodziny. Dalszą historię już poznaliśmy. Wspomniany batalion był kolaboracyjną jednostką, złożoną z Polaków pochodzących z Generalnego Gubernatorstwa. Nie dziwi więc to, że do Słotwińskiego ktoś zawołał po polsku. Batalion ten powstał w marcu 1943 r., nie wiadomo jednak kiedy dokładnie Henryk Słotwiński w nim się znalazł. Być może od wiosny 1942 r. przez cały rok przebywał w innym ugrupowaniu, a dopiero od 1943 stał się członkiem 202 Batalion Schutzmannschaft. W maju lub czerwcu 1943 roku jednostka została skierowana do Kostopola. Czy to właśnie wtedy rozegrała się scena „zwerbowania” na dworcu kolejowym do batalionu? Gdzie znajdował się wspomniany przez Słotwińskiego obóz, w którym miał wcześniej przebywać? Na te pytania już chyba nie uzyskamy odpowiedzi. Być może nigdy nie będzie nikomu dane poznać szczegółów wojennej tułaczki kilkuletniego chłopca wraz z 202 batalionem, gdyż Henryk Słotwiński już nie żyje.

Warto na koniec pokusić się o sięgnięcie po chociażby jedną ze wspomnianych książek dotyczących życia Aleksa Kurzema, a podobieństwa w kolejach życia obu postaci zaczną nasuwać się same.

Andrzej Wiłun

WIELKIE ŻARCIE W „CELULOZIE”

Mój siedmioletni pobyt w Kwidzynie w całości był związany z pracą przy wznoszeniu obiektów Zakładów Celulozowo-Papierniczych w tym mieście. Moja ówczesna pozycja w hierarchii zawodowej nie upoważnia mnie do opisanego całego procesu powstawania tej fabryki. Aktualnie jestem w stanie odtworzyć tylko pewne epizody i to z pewnym przymrużeniem oka. Niezależnie od tego pragnę podkreślić, że okres mego życia, spędzony w Kwidzynie w owym czasie zaliczam do najbardziej udanych oraz szczęśliwych.

Treść szokującego i dekadentckiego filmu francuskiego z 1973 r. p.t. „Wielkie żarcie”, będącego artystyczną prowokacją jego reżysera, stała się kanwą, na której chciałbym oprzeć tę część moich wspomnień. Czytelnik musi sobie zdać sprawę, że był to już schyłkowy okres epoki Gierka, z czego przeciętni obywatele tego kraju jeszcze niezupełnie zdawali sobie sprawę, wobec rozbijania ich aspiracji w tym okresie przez gierkowską ekipę. W sklepach zaczęły już pojawiać się pierwsze oznaki kryzysu w postaci reglamentacji towarów spożywczych. Wprawdzie jedynym oficjalnie widocznym jej przejawem były kartki na cukier, wprowadzone w 1976 r., ale w rzeczywistości istniało już o wiele więcej ograniczeń handlowych, jak chociażby sprzedaż mięsa i wędlin po tzw. cenach komercyjnych. Stąd też, kiedy podczas zamieszkiwania jeszcze w Toruniu w moje ręce wpadła gazeta z opublikowanym w niej wywiadem z kierownikiem jakiejś stołówki na budowie Zakładów Celulozowo-Papierniczych w Kwidzynie, w którym ów kierownik opowiadał o swej ofercie w postaci palety stu rodzaju posiłków, osiągalnej każdego dnia przez konsumentów, moja wyobraźnia została poruszona.

Skuszony tą ofertą, zaraz po moim pojawieniu się w Kwidzynie i na jego sztandarowej budowie mogłem skonfrontować informacje z wspomnianego wywiadu z rzeczywistością. Tak na marginesie, o ile mi wiadomo, była to ówczesnie trzecia co do wielkości inwestycja w kraju, po Hucie „Katowice” i Elektrowni „Bełchatów”, z niemal czterdziestoma przedsiębiorstwami ją wznoszącymi i zatrudniającymi ponad 3 tysiące pracowników. Do tego należałoby jeszcze doliczyć załogę samych ZCP Kwidzyn, produkującą i pracującą w już uruchomionych obiektach. Ten spory potencjał ludzkiej siły roboczej podlegał wyżywieniu przez trzy stołówki:

- „Centralna” – zlokalizowana w centrum placu budowy,
- „Wrzos” – w pobliżu Dyrekcji Budowy Generalnego Wykonawcy Gdańskiego Przedsiębiorstwa Budownictwa Przemysłowego, licznych kierownictw przedsiębiorstw podwykonawczych oraz baz transportu i zaplecza budowlanego,
- „Słoneczna” – w odległości 2 - 3 km od placu budowy w sąsiedztwie zaplecza hotelowo-mieszkalnego na ul. Polnej.

Uzupełnieniem dla tych jadłodajni były kioski spożywcze, zlokalizowane w kilku punktach budowy.

Każdy pracownik, podejmujący pracę na budowie, otrzymywał tzw. kartki żywnościowe, stanowiące praktycznie bony na dożywianie o nominałach, o ile dobrze pamiętam, 10 zł za przepracowany dzień. Wartość ta mogła się zmieniać nieco w przestrzeni czasowej. Dni nieobecności w pracy były rozliczane w następnym miesiącu. Niektóre firmy stosowały jeszcze dodatkowe bony żywnościowe, ale te należało skonsumować w barze „Popularnym” – zlokalizowanym w centrum Kwidzyna przy ul. Chopina, w pobliżu dworca kolejowego. Pozornie mogłoby się wydawać, że był to wielki ukłon władz państwowych w kierunku klasy robotniczej dla zapewnienia jej dobrobytu. W rzeczywistości było tak, że żadna władza nie lubi dawać cokolwiek za darmo i owa rekompensata żywieniowa wynikała z całkiem racjonalnych przesłanek. Ta władza żądała za to ponad ośmiogodzinnego dnia pracy, sięgającego niemal normatywnie w pewnych okresach 12-tu godzin, a nierzadko więcej. Pracownik nie miał praktycznie możliwości zakupu artykułów spożywczych po cenach detalicznych i przygotowania posiłków we własnym zakresie. Był zmuszony do odżywiania się we wspomnianych obiektach gastronomii, a te naliczały do cen detalicznych i swych kosztów własnych marżę. Wysokość tej marży i kosztów własnych miały pokrywać bony żywnościowe. Czy rzeczywiście pokrywały i jak to w praktyce się odbywało?

Realizacja kartek do baru „Popularnego” w centrum Kwidzyna odbywała się według opisanego poniżej rytuału. Samo wejście do owego baru w stanie „niewskazującym” wiązało się już z pewnym ryzykiem popadnięcia w stan dezorientacji dla osób nieprzywykłych do konsumpcji w tych warunkach. Zresztą o jakiej konsumpcji ja mówię? „Galareta i lorneta”. Wszystkie stoliki w porze popołudniowo-wieczornej były zajęte, a gwar przy nich wskazywał na rychłą przemianę w „Saloon” w wersji Hollywood. Nasi rodzimi kowboje, nawet broni palnej nie potrzebowali. Załatwiali to „ręcznie”, a niektórzy padali już przy próbie wstania od stolika w celu udania się do toalety. Niektórym ten przybytek zdawał się zbyteczny. Ci, którym ten rodzaj konsumpcji nie odpowiadał, wchodzili w poufny kontakt z personelem baru i dokonywali jednorazowej wymiany owych bonów na inne dobra konsumpcyjne, np. papierosy. Nie potrzebuję tutaj dodawać, że cały ten proceder wymiany towarowej odbywał się przy stosowaniu pewnych odchyłeń cenowych od normatywnych, co stanowiło źródło dorabiania sobie do własnej kieszeni przez personel pracowniczy baru. Dla obu stron wymiana ta nosiła znamiona pewnego rodzaju przestępczości gospodarczej, ale nie wiem, czy stanowiło to kiedykolwiek przedmiot zainteresowania organów śledczych. Ci mieli inne, ważniejsze misje do spełnienia, dla wspierania utykających władz państwowych.

Wróćmy jednak do stołówek na budowie, bo tam odbywał się prawdziwy festiwal żarcia. Wkrótce okazało się, że wspomniana liczba stu asortymentów w codziennej ofercie żywieniowej stołówek jest mocno umowną. Była ona może bliska prawdy, ale tylko przy uwzględnieniu wszelkich mutacji rdzennych form serwowanych dań, zwłaszcza w zakresie wywarów z kompotów i kisielei w zależności od stopnia kondensacji i rodzaju użytego do nich owocu. Nie to jest jednak najistotniejsze.

Formalnie obowiązywała 8-godzinna dniówka pracownicza z zawartą w niej 15-minutową przerwą śniadaniową. W tych warunkach była ona praktycznie nie do zrealizowania. Jeżeli stołówki otwierały swe podwoje o godzinie 9-tej, to nic nie przeszkadzało całym brygadam zajmować miejsce w kolejkach już od chwili rozpoczęcia pracy, czyli między godziną szóstą, a siódmą. Niektóre brygady wybierały spośród siebie dyżurnych, którzy już od rana rezerwowali miejsca w kolejce przed stołówką. Kierownicy budów i majstrowie próbowali koordynować czasy udawania się brygad na posiłki tak, aby ulegały one pewnej dekoncentracji w czasie. Nie pomagało to wiele, bo ci którzy przychodzili później, mieli znacznie ograniczoną ofertę asortymentową, co wprowadzało ich w stan rozgoryczenia. Niektóre firmy próbowały rozładować problem, wożąc swych pracowników na posiłki do odległej stołówki na ul. Polnej, ale to też nie rozwiązywało w pełni problemu. Tam kolejki, acz krótsze, też były, a poza tym czas dowozu i problemy z zapewnieniem środka transportu koncentrowały kadrę techniczną na ich rozwiązywaniu bardziej niż na problemach wynikających z technologii robót budowlanych. Jakiegokolwiek próby rozładowania tego problemu paliły na panewce, po krótkim czasie nie sprawdzały się i wszystko wracało do normy. W ten sposób czas 8-godzinnej dniówki stawał się pojęciem wirtualnym i umownym, kwitowanym mrugnięciem oka.

Dodatkowy element miejscowego folkloru stanowił znaczny odsetek robotników, werbowanych do pracy spośród miejscowej ludności rolniczej, czyli tzw. chłopo-robotników. Ci, oprócz napełnienia się na stołówkach, mieli dodatkową misję do spełnienia. Przede wszystkim zakup chleba w okolicznych kioskach spożywczych dla swego przychowku. Nie były to bagatelne ilości, bo wielu z mojej budowy niemal codziennie po zakończonej dniówce było poważnie objuczonych tym produktem. Dla mniej wtajemniczonych spieszę z wyjaśnieniem, że wtedy ceny chleba były na tyle niskie, że opłacało się je skarmiać gospodarzom hodującym 2 - 3 świnki. W tamtych latach taka liczba gospodarstw rolnych z tak nielicznym przychowkiem była całkiem pokaźna i istotnie wpływała na obraz gospodarki hodowlanej w rolnictwie. Mięso tak odżywianej świnki miało też swoje walory, bo warstwa słoniny była relatywnie cienka. Zaabsorbowanie sporej liczby robotników w zaopatrzenie ich żywego inwentarza miało spory wpływ na ich negatywne zaangażowanie w wydajną pracę na budowie.

Oddzielny problem to stan sanitarny owych miejsc zbiorowego żywienia. Wprawdzie nie są mi znane jakieś spektakularne przypadki zatruc pokarmowych, ale któżby w tamtych czasach nadmiernie zwracał uwagę na skutki dolegliwości żołądkowych, których bardziej szczegółowych opisów oszczędzę w tym miejscu Czytelnikowi. Nie zwiedzałem zapleczy produkcyjnych tych obiektów, ale zapachy snujące się w znacznym oddaleniu od nich nie zachęcały do konsumpcji, a nawet zalecały trzymanie się w pewnej odległości od nich. O stanie higienicznym naczyń, sztućców i pozostałego wyposażenia nie będę tutaj też wspominał, bo dla tych, którzy to pamiętają, jest to niepotrzebne, bowiem znane, a uzmysłowienie tego pozostałym przekracza moje możliwości literackie. Wspomnę tylko, że meble stołowe były oblepione taką warstwą wszelkich lepiszcz budowlanych, że próba zajęcia przy nich miejsca w cywilnym ubraniu wiązała się z poważnym ryzykiem jego unicestwienia.

Dwie z owych stołówek: „Centralna” i „Słoneczna” posiadały wydzielone pomieszczenia na zapleczu biurowym ich kierownictw. Nosiły one nieoficjalnie umowne nazwy „karmazynowych sal” i przebywanie w nich było wyrazem pewnego rodzaju nobilitacji ich gości. Ich „karmazynowa” symbolika była bardzo umowna i raczej stanowiła odzwierciedlenie drewnianego wystroju późnej epoki gierkowskiej, przykrytej czerwonymi płachtami. Właściwie nigdy nie było jakichś oficjalnych kryteriów dopuszczających do prawa konsumpcji w tych wydzielonych pomieszczeniach, ale z pewnością służyły one obsłudze gości z najwyższych półek hierarchii służbowej tego placu budowy. Ci, którzy z nich korzystali, wiedzieli, że mają do tego nieformalne prawo. Na pewno było tam schludniej, ale w odniesieniu do dzisiejszych standardów ogólnie dostępnych, z pewnością znacznie poniżej nich. Kilka razy miałem okazję znaleźć się tam w charakterze osoby towarzyszącej miejscowemu VIP-owi, ale nie zauważyłem, aby jakość posiłku znacznie się różniła od tego powszechnie serwowanego i z pewnością pochodziła z tego samego kotła. Jednak samo bycie w tej wydzielonej salce już jakoś nobilitowało i nieco zaspokajało moją próżność.

Z pewnością w połowie lat osiemdziesiątych obraz „wielkiego żarcia” nie odpowiadał już ofercie studaniowego asortymentu z drugiej połowie lat siedemdziesiątych. Należy tutaj jednak uwzględnić, że plac budowy swoje apogeum zatrudnienia miał już za sobą, budowa straciła swój priorytetowy charakter, a bony żywnościowe były powoli wycofywane, aż do ich likwidacji.

Chociaż był jeden promyczek, który na krótko zajaśniał, ale wkrótce zgasł. Dzisiaj może to dla wielu Czytelników jest niewyobrażalne, ale świeża truskawka w sprzedaży w tamtych latach na przełomie stycznia - lutego była czymś niewyobrażalnym. Kiedy po raz pierwszy znalazłem się na kapitalistycznym Zachodzie na przełomie tych właśnie miesięcy w 1981 r. i ujrzałem na półkach sklepowych świeże truskawki, owoc ten stał się dla

mnie synonimem dobrobytu i niemal rozpasania w żarciu. Zapytałem osobę tam mieszkającą i obytą z tego rodzaju widokami, skąd im się bierze ta truskawka o tej porze roku. Odpowiedziała z zupełnie naturalnym odcieniem głosu, nie znamionującym zdziwienia moim pytaniem, że z Izraela. Znając kłopoty transportowe naszych rodzimych plantatorów truskawek zapytałem wtedy, jak oni to transportują. Osoba ta z takim samym odcieniem głosu jak poprzednio odpowiedziała, że samolotami. Zdębiałem, iż ten rodzaj transportu był dla tego rodzaju ładunku opłacalny i tak oczywisty.

Czas pobytu i fascynacji Zachodem minął, powróciłem do realu i formy odżywiania zbiorowego na budowie „Celulozy”. Wchodzę na stołówkę „Centralną” i oczom moim w drugiej połowie lutego 1981 r. nie wierzę. W plastikowych kubkach wystawione są truskawki wyglądające na świeże i polane jeszcze śmietaną. Myślę, że kryzys minął i już nadszedł kapitalizm, a z nim wymarzony dobrobyt. Dobieram taki kubek jako deser do posiłku i oddaję się konsumpcji podstawowego dania, łakomie spoglądając na przedmiot mego pożądania, którym miałem sobie okraszyć smak wtłaczanego w siebie posiłku. Kiedy dochodzi do pierwszej próby degustacji wymarzonego deseru, moją twarz wykrzywia grymas porównywalny do tego, który staje się udziałem tych, którzy doznali udaru mózgowego, a moim zębom jakby zaczęły luzować się wszelkie istniejące w nich plomby. Truskawki były totalnie zmrożone. Niemal biegiem i w pewnym szoku opuszczałem stołówkę.

Dopiero po przybyciu do mego biura doszedłem do siebie i nieco ochłoniąłem. Wykręciłem numer telefonu „Centralnej” i rozpocząłem rozmowę z jej kierowniczką od pytania, czy ona sobie zdaje sprawę, jakie truskawki serwuje się dzisiaj klientom na deser. Kierowniczka, przeczuwając powód treści mojego pytania, zareagowała od razu kontratakiem: – A jakie miałam panu podać o tej porze roku? Moje zdumienie arogancją tej pani skomentowałem tylko różnicami w rodzaju wykształcenia i w zawodowej praktyce gastronomicznej pomiędzy nią, a moją małżonką, której zawód nie ma nic wspólnego z branżą kulinarną. Moja żona ma znacznie więcej powodów, aby się na mnie odegrać, ale tego ona nie czyni. Ostatnio przestała mi gotować, więc robię to sam.

**Z DZIENNIKA
MŁODEJ EMIGRACJI**

Matra

TYDZIEŃ W CARDIFF

Poniedziałek - Początek tygodnia - zawaleni jesteśmy pracą, mamy do zrobienia więcej niż jesteśmy w stanie zrobić więc szefostwo zamówiło nam ludzi z agencji do pomocy (typowe na wyspach, ludzie z agencji pośrednictwa pracy są bardzo wygodni przyjdą na 1 - 2 dni, a jak nie są potrzebni to się im płaci i dziękuje - żadnych zobowiązań). Przychodzą różni ludzie - przed recesją byli to głównie Polacy i Murzyni, teraz „Brytole” w przewadze. Jeden z nich pracował w teatrze kilka lat jako dyrektor od nagłośnienia, przyszła recesja - redukcje etatów i koleś stracił pracę. Od tamtej pory, mówił, wysłał około 200 CV do różnych miejsc, ale nic stałego dla niego się nie znalazło, więc łapie się każdej pracy byle by się utrzymać i recesję przetrwać... Coraz więcej artykułów w gazetach, że ludzie popełniają samobójstwa, a czasami nawet swoje dzieci mordują, bo nie widzą wyjścia, po tym jak tracą pracę, a potem dom zostaje przejęty przez bank, no bo z czego raty kredytu spłacać, sporadycznie się to zdarza ale i tak za często. W sumie dużo smutnych informacji w mediach, a rząd cały czas trąbi, że koniec recesji. Łatwo wpaść w pułapkę życia codziennego - karty kredytowe: banki rozdają je na lewo i prawo, a ludzie mają potem problem ze spłacaniem. U nas w pracy prawie wszyscy mają po kilka kart, a na każdej po kilka tysięcy limitu. Dave to rekordzista w sumie musi oddać 15000 funtów i mówi, że nie wie na co wydał. Babki, co prawda kupę ciuchów mają, coraz to nowsze buty, ale wszystko na kartę kupowane. Nawet moja szefowa jest uzależniona, i jak idzie do Debenhamsa (ogromny sklep, który ma chyba wszystkie kolekcje ciuchów dostępnych na rynku kończąc na Channel), to limit zawsze wyczerpie - straszna wieśniara mimo wszystko, nawet najfajniejsze ciuchy na niej źle wyglądają. Dziś po rozmowie z ludźmi z agencji cieszę się bardzo, że mamy pracę...

Wtorek - Jest tak dużo do zrobienia, że zostajemy dłużej przez kolejne trzy dni, aby nadrobić. Dziś w radio mówili, że do końca 2012 zwolnią kolejne 1000 osób w sektorze publicznym (mówili też, że nie powinno się kupować dużych jaj, ponieważ to jest niezdrowe, aby kura musiała się męczyć znosząc je - pękamy ze śmiechu, jak już „Brytole” coś wymyślą, to już na maksa (posłuchać można na www.bbc.co.uk/radio2/jeremyvineshow). Walia w recesji ucierpiała chyba najbardziej ze wszystkich rejonów Wielkiej Brytanii, jako że była bardzo przemysłowa. Fabryki Hondy, Toyoty czy Panasonica wszystko padło, okropna ilość ludzi straciła pracę z małą możliwością znalezienia nowej w swoim zawodzie. My w sumie jesteśmy w super sytuacji: praca stała w małej, ale dobrze rozwijającej się firmie, a co dla nas najważniejsze - pracujemy z mężem razem! Dużo ludzi uważa, że to co najmniej dziwne, ale dla nas to wymarzona sytuacja. Oprócz tego, że oszczędzamy na dojazdach czy wspólnym jedzeniu, możemy się dzielić ze sobą bieżącymi

sprawami, tym, co akurat mamy w głowach, myślami głębokimi czy takimi całkiem głupimi. Wiemy, że możemy na sobie totalnie polegać, być blisko siebie non stop, dzielić się każdą chwilą zamiast spotykać tylko parę godzin w tygodniu i ewentualnie spędzać razem weekendy, bo każde z nas miało-by własną pracę. A mimo wszystko nie mamy siebie dość! Każde z nas ma własne zainteresowania i czas na własne życie, np. teraz Maras chce zrobić kurs z mechaniki, a ja dekorację wnętrz, to nam pozwoli rozwijać się osobno i poznawać nowych ludzi. Do tej pory razem chodzimy na lekcje angielskiego, które zakończą się brytyjską maturą (GSCE) - głównie robimy to dla obywatelstwa, myślimy, żeby sobie paszporty brytyjskie wyrobić - łatwiej po świecie podróżować. Każdy po pięciu latach ma szansę zostać Brytyjczykiem jeśli spełni kilka warunków, my za rok spełnimy wszystkie, więc jeśli jest możliwość, to dlaczego nie? Jednak nie robimy tego na pokaz, tylko dla siebie, bo to my i tylko my na tym zyskamy. Wielu ludzi, czasami nawet członkowie rodziny, tego nie rozumieją i odbierają nasze działania jako chęć pokazania się jak to my mamy dobrze i jak dużo pieniędzy mamy i w ogóle że żyjemy, jak w bajce. W sumie to prawda, bo jak przychodzimy do pracy, to siadamy na naszej podgrzewanej skórzanym sofie, włączamy 60 calową plazmę, a nasze szefostwo tylko donosi nam pizzę i otwiera kolejne piwa. Trudno jest czasem zaakceptować, że chcesz się podzielić swoimi przeżyciami z podróży na Maltę (cudowne miejsce), a otoczenie odbiera to jako totalną przechwałkę. Ale tacy właśnie są Polacy. Widać to dopiero z pewnej perspektywy. Taka polska zazdrość i zawziętość. Zazdrość, że ktoś ma lepiej niż ja i ma czelność się z tym obnosić. Zawziętość, to ja sama doświadczam, mimo iż staram się z tym walczyć jak tylko mogę. Czasami ciężko jest komuś odpuścić, i trzeba za wszelką cenę pokazać, że się jest lepszym, że ten drugi się myli - tak za wszelką cenę nawet za cenę śmieszności. Dlatego lubię Brytyjczyków, mimo, że są strasznie obłudnym narodem, nie są nastawieni tak walecznie, raczej luzacko, łatwiej odpuszczają, są bardzo wyluzowani, nie musi przecież zawsze być idealnie. Moi rodzice zdziwieni byli (będąc u nas w odwiedzinach), gdy poszliśmy na pocztę wysłać kartki do znajomych. Pannie przy okienkach były miłe, cierpliwe uśmiechnięte, pomogą, doradzą, a nawet znaczek za ciebie nakleją. Ja raczej przeżyłam szok, gdy w Sztumie, Pani z poczty nawet na moje dzień dobry, nie odpowiedziała, tylko mnie wzrokiem zmierzyła jakbym była winna, że ona mnie musi obsłużyć, brrrr...

Środa - Dzień śmietników, już nie budzą nas mewy jak zwykle, bo nowy pomysł wszedł w życie -zamykane śmietniki. To jest jedna z niewielu rzeczy, która się „Brytolom” nie udało. Musisz swoje śmieci wystawić na chodnik o 7 rano wyznaczonego dnia (w naszym przypadku środa) aby śmieciarka je zabrała. Od 7 rano mewy i szczury miały raj!!! Tyle worków do rozerwania, więc nie wiem dlaczego się o nie biły tak głośno? Radni uchwalili, że teraz mamy zamykane śmietniki (jakże to proste), dzięki temu mamy dodatkową

godzinę snu więcej, ahhhh... W Tesco promocja - dwa kartony piwa za 16 funtów, gdzie jeden wcześniej kosztował 12! Po przerwie na lunch, w kuchni aż do sufitu pilar Carlsberga stoi. Terry kupił 10 kartonów mówi, że już na Święta, założę się, że do końca miesiąca nie wytrzymają. My też jedziemy do Tesco, co tu dużo mówić, pogoda słaba, a promocja jak ta nie zdarza się przecież codziennie.

Czwartek - Pracy nadal dużo, tak samo jak i czasu na rozmyślanie. Dzwonię do siostry, mam chwilę wolną, akurat jest na zakupach, opisuje mi pasek, który chce kupić, no ładny mówię żeby sobie kupiła, a co. Życie na emigracji osłabia więzy rodzinne czy tego chcesz czy nie, to się po prostu dzieje, bo w żyjąc w UK zdajesz sobie sprawę, że możesz więcej, że możesz inaczej, po prostu możesz, a w Polsce czasami po prostu wiary i chęci brak. I nie da się tego wytłumaczyć rodzinie, powstaje mała przepaść, tematy, których lepiej nie poruszać, bo po co psuć sobie tak krótkie chwile w domu rodzinnym. Mimo, że był to nasz wspólny wybór aby wyemigrować, nigdy nie zdawałam sobie sprawy z ceny jaką muszę płacić każdego dnia z dala od Polski. I choć wiem, że nigdy nie mogłabym sobie pozwolić w rodzinnym kraju, na to co mam teraz, nic nie zgłuszy tęsknoty, jaka czasami mnie dopada, mimo telefonów, skypa czy polskiego sklepu. Czasami naprawdę pytam się czy warto....

Piątek - Na szczęście koniec morderczego tygodnia, co prawda praca nie gotowa całkiem, ale nie dużo zostało, będziemy się martwić w poniedziałek. Dziś zdałam sobie sprawę, że najlepszą wymówką młodych Polaków jest posiadanie dzieci. Mamy znajomych w Norwegii, którzy mają dwoje dzieci, w wieku 5 i 3 lata i za każdym razem jak ich do nas zapraszamy, czy pytamy co z wakacjami robią, odpowiadają że mają małe dzieci, a z takimi dziećmi trudno podróżować i w ogóle. Tak samo brat Marasa - Mateusz, wiele razy zapraszaliśmy ich do nas, z czego zawsze nowa wymówka się pojawiała, ostatnio „małe dzieci nie powinny latać” - w telewizji mówili. Gdybym nie widziała jak wracaliśmy z Ibizy sześciuosobową rodziną, gdzie najmłodszy dzieciak miał kilka miesięcy, to może bym uwierzyła, że tak to trudno z dziećmi podróżować. Jednak rzeczywistość, lepiej nie wychodzić poza swoją strefę komfortu i wakacje spędzić w domu, bo jak gdzieś wyjeżdżasz to przecież musisz kasę wydać, a jak nie wydasz to sobie coś kupisz - albo do lepszego samochodu dołożysz albo obijesz ściany boazerią (yeahhh) i w sumie kasa jest a przeżycia? A kto teraz myśli o przeżyciach? Kto myśli żeby sobie odpocząć na słonecznej plaży - teraz to tylko mieć, mieć i mieć, oby lepsze niż sąsiad.... Aż z tego wszystkiego gotować się nam nie chce. Lećmy do ulubionego Takeaway (przyp. Jedzenie na wynos) po Lamb pasande (owca w kokosowym curry) i saga loo (szpinak z ziemniakami na ostro), karton browara już się chłodzi - dziś czeka nas przyjemny wieczór w domku ;-)

Sobota - Nareszcie wypoczęci, spaliśmy do południa! Wstaję bo muszę ubezpieczenie na samochód kupić - najpierw szperam w necie: mają tu kilka stron porównawczych, wpisujesz swoje dane i wyskakują ci ceny ubezpieczenia od około 200 różnych ubezpieczycieli. Znalazłam całkiem tanie więc dzwonię na bezpłatny numer, co by się dodatkowo upewnić, płacę przez telefon i po 30 minutach dokumenty przychodzą mi na maila. OK, załatwione. Kręcimy się jeszcze trochę po domu. W końcu wsiadamy w autobus lecimy do kina na parę filmów (karta stałego klienta jest w sumie tania, a można oglądać ile się chce - nasz rekord trzy w jeden dzień - padało...) a potem spotykamy się ze znajomymi w pubie. Coraz mniej polskich znajomych mamy, bo albo musieli się wyprowadzić, albo dzieci... Jest super, parę ciderków (jabłkowy napój, o zawartości alkoholu ok. 4 - 4,4%) i lecimy na disco. W sumie fajnie jest od czasu do czasu wyjść się pobawić. Straszny jest tylko widok, kiedy decydujemy się wracać do domu (oczywiście najpierw podwójny cheesburger z Maca - pomaga na kaca). Cardiff znane jest z konkretnego imprezowania (w końcu jest stolicą gejów, a oni to imprezować umieją), w niedzielę rano ulice dosłownie zmywane są gorącą wodą z detergentem, bo tak dużo jest różnego rodzaju, hmm pozostałości po ludziach (mam na myśli wszelkie możliwe nawet te niewyobrażalne). Dziś właśnie widzimy, jak laski przebrane za kowbojki na kolanach z pupami na wierzchu, przechodzą przez ulice gęsiego (ruch jest zawsze wstrzymywany, co by imprezowicze czuli się swobodnie, a co dziesięć metrów można spotkać policjanta który jeśli poprosisz, wezwie ci nawet taksówkę - bardzo pomocni ludzie). Również inna laska wystawia głowę przez okno taksówki, myślimy chce się odświeżyć, ale ona po prostu wymiotuje, a taksówka nadal jedzie. Ach, to nasze Cardiff... No cóż i tak bywa. Młodzi Brytyjczycy czasami nie znają swoich granic, ale bawić się potrafią.

Niedziela - Ostatni dzień wolnego, chcemy ją jak najlepiej spędzić. Dzięki recesji ludzie o stałym zatrudnieniu naprawdę mogą skorzystać, wszystko jest dużo tańsze i bardziej dostępne. Lecimy więc na basen ze zjeżdżalnią dwa bilety za cenie jednego! Na urodziny mojej przyjaciółki mam już zaplanowany wspólny babski wypad do SPA, zapłaciłam za niego voucherami z Tesco! Za każdego wydanego funta dostajesz dwa punkty, które potem można wymienić na różne rzeczy: gry, CD, kolacje w restauracjach, bilety lotnicze czy właśnie wypad do SPA. Już nie mogę się doczekać! Te zjeżdżalnie strasznie dużo energii wyciągają. Dla relaksu idziemy na spacer na pobliskie molo, taka ładna pogoda trzeba się cieszyć, bo jak zaczną padać, to przestanie w kwietniu;-). Cieszymy się więc widokami Kanału Brytolskiego i pięknego Penarth, jedząc typowo brytyjskie jedzenie fish and chips (przyp. smażona ryba z frytkami). Och nasze polskie jedzenie, tak

tęsknię. I znowu poniedziałek: i tak nam w życiu jest. Nie jest źle, nie jest ciężko, ale jednak czegoś brakuje i dopóki nie odkryjemy czego, to będziemy nadal cieszyć się życiem tu na obczyźnie.

Iga

ZAPACH DOMU

Dominik wtedy studiował. Był dokładnie na drugim roku studiów budowlanych. Pieniądze, które dostawał od rodziców ledwie wystarczały na codzienne potrzeby. Bardzo chciał iść do pracy ale to nie było możliwe przy dziennym trybie studiów. A gdyby nawet je rzucił, to bez wykształcenia, nie mógł liczyć na wiele w kraju z tak wysokim bezrobociem.

Jego kolega właśnie wrócił z Londynu, miał tam ciotkę u której pomieszkiwał kiedy chciał dorobić. Opowiedział Dominikowi ile można tam zarobić i zaproponował mu pobyt u ciotki. Dominik długo się nie zastanawiał. Postanowił dalej uczyć się w Londynie, ale już nie na uczelni. Granice udało mu się przekroczyć za pierwszym razem - zaproszenie i rekomendacje uznano za wiarygodne. Potem pierwsza praca, z tym też nie miał większych problemów. Chłopak, którego przypadkowo poznał na przystanku obiecał zapytać szefa, czy nie przyda mu się pomocnik. Dominik bardzo szybko się uczył, a szef to doceniał. Podwyżki, awanse, nowe obowiązki. Prędko stał się prawą ręką szefa. W końcu zdecydował, że nauczył się dość, by być samodzielnym. Teraz sam był sobie szefem, a kilku kolegów po fachu jego pracownikami.

Dziś prowadzi własną firmę budowlaną. Ma stałych klientów i choć od czasu studiów potrzeby finansowe znacznie wzrosły, pieniędzy spokojnie wystarcza. Oczywiście wszystko co dziś ma zawdzięcza ciężkiej pracy. Gdyby nie jego asertywność i oszczędność dziś nie miałby tego wszystkiego, na co wiele lat pracował. Pierwsze odłożone pieniądze wpłacił na depozyt za mieszkanie. Sam zajmował jeden pokój, a pozostałe wynajmował trzem innym osobom. Żył tak przez trzy lata. Było ciasno i czasem miał dość, ale wiedział że to się kiedyś skończy. Dziś jego pokój wynajmuje Anka, a on sam mieszka kilka ulic dalej. Tylko on i jego narzeczona w trzypokojowym mieszkaniu.

Jestem Iga i przyjechałam tu do Dominika. I to on jest głównym powodem, dla którego tu jestem. W Polsce niby nie żyło mi się najgorzej. Mieszkałam sama w wynajętej kawalerce, co prawda pracowałam „na dwa fronty”, bo tylko tak mogłam się utrzymać. Pensja nauczycielki nie wystarczyła, więc wieczorami pracowałam dodatkowo jako lektorka w szkole językowej. Dzięki tej drugiej pracy nie narzekałam na brak gotówki, mogłam pozwolić sobie na znacznie więcej niż moje koleżanki z pracy. Ale byłam tym zmęczona, wiedziałam że długo nie dam rady pracować całymi dniami. Wtedy poznałam Dominika. Chcieliśmy być razem. On mieszkał w Londynie, ja w Polsce.

Gdzie zamieszkamy razem, nie było wątpliwości. Oprócz rodziny nic mnie w Polsce nie trzymało. Choć rodzice mieszkali trzydzieści kilometrów dalej, widywaliśmy się raz w miesiącu, bo zwyczajnie nie miałam czasu, albo siły żeby ich odwiedzić. Z tego samego powodu zaniedbywałam znajomych, choć czułam się bardzo samotna.

Czy tęsknie za domem? Oczywiście. Pierwszej Wigilii bez rodziców nie zapomnę nigdy. Wtedy zrozumiałam, jak boli puste miejsce przy stole. Choć nie brakowało wigilijnych potraw, była choinka i polskie kolędy, ale święta to klimat, który stworzyć mogą tylko najbliżsi. Jeśli chodzi o życie codzienne sędzę, że najtrudniej jest mi przyzwyczaić się do samej myśli, że dzielą nas setki kilometrów, bo przecież przez ostatni rok odwiedzaliśmy się siedem razy i wcale nie były to krótkie odwiedziny. Bilety lotnicze nie kosztują już fortuny, poza tym rozmowy telefoniczne do Polski to kwestia groszy, no i jest Skype dzięki któremu możemy zobaczyć się w każdej chwili.

Dom to także zapachy. Ale i na to jest rozwiązanie. Rodzice dbają o to, by w naszym zamrażalniku nigdy nie brakowało zapasów pysznej polskiej kiełbasy i szynki. A polski sklep można dziś w Londynie znaleźć na każdej dzielnicy. Kupuję tam świeży chleb, ser rycki, twaróg i ogórki kiszone, bo te produkty w polskim wydaniu są niezastąpione. Lubię gotować i odkrywać nowe smaki, resztę zakupów robię więc w pobliskim supermarkecie, bo kupię tam każdy możliwy składnik.

Różnorodność i możliwości, to nie tylko półki w supermarkecie, tak w dwóch słowach opisałabym Londyn. To zlepek kultur widoczny na każdym kroku. Weźmy na przykład nasz blok. W naszej klatce mieszka sześć rodzin a każda z nich mówi w innym języku. Co takiego jest w Londynie, że tak przyciąga ludzi? Na pewno intrygująca historia, tolerancja i wszechobecny optymizm. Tutaj myśli się pozytywnie. Obcy ludzie na ulicy ciepło się uśmiechają a policjanci wzbudzają respekt, bo są po to by pomóc. I choć można tu, tak jak w Polsce, narzekać na służbę zdrowia czy szkolnictwo to przynajmniej nauczyciele zarabiają lepiej, a wiele badań i leków jest tu za darmo.

Jakie mamy plany na przyszłość? Zamieszkać w starym domku z dużym ogrodem na pięknej, angielskiej wsi, założyć rodzinę i podróżować. Czym chciałabym się zająć za jakiś czas? Jeszcze nie wiem. Ale jestem pewna, że znajdę pracę, która przyniesie mi nie tylko satysfakcję, ale również przyzwoite zarobki. I co ważne, będę mieć czas dla rodziców i znajomych. Co prawda mam na myśli głównie kontakty wirtualne, ale przynajmniej będziemy na bieżąco.

Na razie, wspólnie z Dominikiem, prowadzimy firmę i mamy nadzieję, że za parę lat nasze mieszkanie wynajmie jakaś Anka, a my przeprowadzimy się poza Londyn. Czy będziemy szczęśliwi z dala od najbliższych? Czas pokaże. Na pewno nigdy nie przestaniemy tęsknić. No cóż, nie można mieć wszystkiego. Każdy kto chce żyć "lepiej" musi podejmować trudne decyzje, a wyrzeczenia to niestety konsekwencje, z którymi musi się liczyć....C'est la vie.

Bogumił Wiśniewski

MISTRZ KRZYŻACKI W KWIDZYNIE



Poświęcenie krypty wielkich mistrzów w Kwidzynie. Obecny wielki mistrz krzyżacki ks. Bruno Platter i bp elbląski Jan Styrna. (fot. A. Lubiński)

W pierwszym numerze „Prowincji”, ukazał się tekst dotyczący badań archeologicznych w kwidzyńskiej katedrze p.w. Św. Jana Ewangelisty, które odbyły się w 2007 r. Odkryto w tamtym czasie dwie murowane krypty. W jednej z nich, spoczywali trzej wielcy mistrzowie krzyżacy, a w przestrzeni prezbiterium biskupi pomezańscy. Po blisko trzech latach w dniu 31 lipca 2010 r. odsłonięto i oddano zrekonstruowaną kryptę dla zwiedzających.

Uroczystość rozpoczęła się w katedrze mszą świętą koncelebrowaną (w języku polskim i niemieckim), w której uczestniczył m.in. biskup elbląski Jan Stryna i obecny wielki mistrz Zakonu Niemieckiego ks. dr Bruno Platter oraz licznie zaproszeni goście w tym wiceambasador Austrii, konsul Niemiec w Gdańsku, przewodniczący Zarządu Związku Niemieckich Stowarzyszeń, a także honorowy obywatel miasta Kwidzyna prof. Leszek Balcerowicz. Przełomowym wydarzeniem w trakcie nabożeństwa był symboliczny uścisk dłoni księdza biskupa i wielkiego mistrza w geście pojednania historycznego.

Przed rozpoczęciem Mszy świętej ks. proboszcz Ignacy Najmowicz stwierdził symbolicznie, że to Błogosławiona Dorota, wskazała groby wielkich mistrzów. Jednocześnie podkreślił, że jest to liturgia sprawowana za pojednanie oraz za to, aby Dorota z Mątów nam błogosławiła i wskazywała drogę do Boga.

Natomiast ks. biskup Jan Stryna na wstępie swojej homilii powiedział, że: „z wielką pieczołowitością poszukiwano doczesnych szczątków Bł. Doroty z Mątów, jeżeli Pan Bóg zechce, jeżeli to będzie potrzebne - być może kiedyś - te święte relikwie, staną się nam dostępne, na razie dostępne nam jest żyjąca Święta Dorota, wielbiona w chwale Bożej”.

Ksiądz biskup zwrócił uwagę również, że „w tych poszukiwaniach odnaleziono inne szczątki - tych, którzy w swoim czasie w ludzkiej hierarchii byli ważni i wielcy. Dlatego ich ciała chowano w rejonie prezbiterium świątyni, aby je uszanować. Poszukiwaczom, fachowcom udało się zidentyfikować szczątki trzech osób - wielkich mistrzów: Wenera von Orseln, Ludolfa König von Wattzau, oraz Henrycha von Plauen”.

Na zakończenie homilii ks. biskup Jan Stryna, wypowiedział do wiernych doniosłe słowa: „Niech ta kaplica, która będzie eksponować historię, przeszłość, a nawet konkretne osoby, będzie szczególnym miejscem pamięci. Niech nam pomaga przyjmować i szerzyć pokój, którego dawcą jest Chrystus. Niech Święta Dorota z Mątów, która tutaj dochodziła do ziemskiego finału życia i świętości, będzie jak dawniej tą jednoczącą, dążącą, ukazującą możliwość zbliżenia się ludzkich serc i wspólnego działania dla dobra”.

Natomiast wielki mistrz Bruno Platter, pod koniec Mszy świętej, rozpoczął przemówienie do licznie zgromadzonych wiernych od przypomnienia postaci Bł. Doroty z Mątów. Wspomniał również wielkiego teologa Zakonu Krzyżackiego Jana z Kwidzyna, który był między innymi autorem rozprawy teologicznej „Super Symbolum Apostolarum” i spowiednikiem Świę-

tej z Kwidzyna: „Jednak właściwym powodem – powiedział ks. B. Platter – dla którego jestem dzisiaj w katedrze kwidzyńskiej wraz z niewielką grupą przedstawicieli Zakonu Krzyżackiego jest pobłogosławienie krypty, w której pochowani są trzej Wielcy Mistrzowie Zakonu Krzyżackiego. Odkrycie grobów krzyżackich i przeprowadzone następnie badania naukowe ujawniły wiele nowych ciekawych szczegółów”.

W swoim przemówieniu podkreślił, że „Po tym wielkim odkryciu, które na całym świecie nie ma sobie równych, oraz pieczołowitej renowacji krypty, pragnę z tego miejsca ponownie udzielić błogosławieństwa moim poprzedni-



Autor tekstu oprowadza prof. L. Balcerowicza po krypcie krzyżackiej. (fot. A. Lubiński)

kom prosząc dla nich o żywot wieczny w królestwie Ojca Niebieskiego. Dzięki szczęśliwemu zrządzeniu losu odkryto miejsce ich pochówku, co przybliżyło nam postaci owych średniowiecznych osobistości, Wielkich Mistrzów potężnego w owym czasie Zakonu Krzyżackiego, a wraz z nimi niespokojne czasy pełne fascynujących zdarzeń i ciekawych procesów. Aranżując groby i kryptę w tak godny sposób oddajemy im cześć i przywracamy pamięć o nich. Z tego miejsca chciałbym szczerze podziękować wszystkim tym, którzy się przyczynili do tego, że groby i krypta zostały zaaranżowane w sposób pozwalający nam na godne uczczenie pamięci o Wielkich Mistrzach.

Bracia, siostry i familjarzy Zakonu Niemieckiego, z poczuciem głębokiego szacunku i ogromnym wzruszeniem uczestniczymy dziś w tejże uroczystej mszy świętej w katedrze Kwidzyńskiej, którą możemy celebrować wraz z księdzem biskupem, kanonikami katedralnymi oraz tutejszymi wiernymi. Pamięć o błogosławionej Dorocie, o działających tu biskupach i kanonikach ówczesnego Zakonu Krzyżackiego, jak również widok tejże monumentalnej świątyni wzniesionej przed wieki przez naszych poprzedników sprawiają, że po dziś dzień jesteśmy z tym miejscem związani szczególną głęboką wewnętrzną więzią, zarówno na płaszczyźnie historycznej jak i duchowej. Pragniemy w związku z tym wyrazić naszą ogromną wdzięczność, ponieważ właśnie z tego czerpiemy naszą siłę i radość do dalszego działania i życia w zakonie”.

Mszę świętą ks. dr Bruno Platter zakończył słowami, które dla wszystkich były znaczące: „Odkrycie szczątków trzech wielkich mistrzów zakonu krzyżackiego i ich uhonorowanie to znak, że przyszedł czas na nasze pojednanie. Dzisiejsze wydarzenie pozwala nam skupić się na prawdziwej historii i tym co nas łączy, a nie dzieli. A wiadomo, że łączy nas wiara chrześcijańska.”

Po przejściu do prezbiterium, w obecności księży i władz samorządowych, ksiądz biskup Jan Styrna i wielki mistrz ks. Bruno Plater, uroczyście poświęcili odrestaurowaną kryptę, zawierającą doczesne szczątki trzech wielkich mistrzów krzyżackich oraz biskupów pomezańskich. Nad grobami dostojników Zakonu oraz biskupów pomezańskich symbolicznie zapalono podarowany przez Zakon paschał.

(Tłumaczenia homilii ks. Bruno Platara dokonał Aleksandra Belzyt.)

Tomasz Drózda

MALBORK W CZORAJ I DZIŚ



Synagoga w Malborku znajdowała przy obecnej ulicy 17 Marca.
(fot. z książki Atlantyda Północy)

Pomysł zorganizowania wystawy ukazującej dawny i obecny Malbork zrodził się praktycznie w tym samym czasie, co moment powstania Stowarzyszenia Miłośników Malborka „Forum”, a więc pod koniec 2008 r. Podczas jednego ze spotkań organizacyjnych padła propozycja, aby rozpoczęcie działalności stowarzyszenia zaakcentować wystawą fotograficzną, która miałaby za zadanie pokazać różne obiekty i miejsca w Malborku na zasadzie porównania jak wyglądały dziesiątki lat czy też wieki temu, a jak wyglądają dzisiaj. Nie mieliśmy doświadczenia w organizowaniu przedsięwzięć w postaci wystaw fotograficznych, jednak przystąpiliśmy do prac przygotowawczych.

Na początku 2009 roku rozpoczęliśmy spotkania, w trakcie których wybieraliśmy dawne ujęcia. Pojawiły się pierwsze problemy. Mieliśmy wybranych ponad 50 dawnych ujęć, jednak nie wszystkie były w dobrej rozdzielczości, inne po debatach odpadły, gdyż nie pasowały do koncepcji wystawy. Sporo z nich odłożyliśmy na przysłowiową „półkę”, gdyż wykonanie współczesnego ujęcia, albo graniczyło z cudem, albo widz zobaczyłby gęszcz krzaków, którego w żaden sposób nie mógłby umiejscowić za pomocą wyobraźni. W sumie omówiliśmy ponad 100 dawnych ujęć. Demokratyczne głosowanie nad wyborem dało wynik w postaci 77 starych fotografii i pocztówek, które zamierzaliśmy zaprezentować. Dyskusje nad formatem zdjęć, kolorystyką (odcienie szarości, sepia) nie miały końca.

Pod koniec marca 2009 r. ochoczo ruszyliśmy w teren, aby wykonać współczesne ujęcia. Grupami i pojedynczo przez wiele dni przemierzaliśmy malborskie ulice w celu jak najlepszego wykonania współczesnych fotografii. Nie mieliśmy drogich aparatów cyfrowych, ale chęci i zapał spowodowały, że wykonano wtedy sporo ciekawych fotografii naszego miasta.

W międzyczasie pojawił się problem z miejscem wystawowym. Początkowo staraliśmy się o możliwość zorganizowania wystawy w „Karwanie”, jednak rozmowy z Muzeum utknęły w martwym punkcie. Byliśmy bliscy zrezygnowania z wystawy. O nastrojach panujących wokół organizacji wystawy może świadczyć wypowiedź jednego z naszych kolegów: „Ujęcia nie wszystkie, ale są... Odpowiedniki w większości są... Pieniądzy nie ma... Drukarni czy jak to zwał nie ma... Konkretów nie ma... Sprawa nas mili państwo najwyraźniej przerosła, czas to sobie powiedzieć. Zostało niecały miesiąc na obróbkę, opisy i realizację (przyjmując za termin połowę maja). Czas powiedzieć sobie prawdę, że nie zrobimy tej wystawy”.

Prace nad wystawą ustały na kilka miesięcy. W międzyczasie powstał pomysł wystawienia kilkunastu antyram w miejscach użyteczności publicznej. Wspólnie z właścicielami serwisu www.starymalbork.pl przygotowano i umieszczono antyramy z dawnymi i współczesnymi fotografiami Malborka, m.in. na korytarzu Starostwa Powiatowego oraz w barze „Puchatek”.

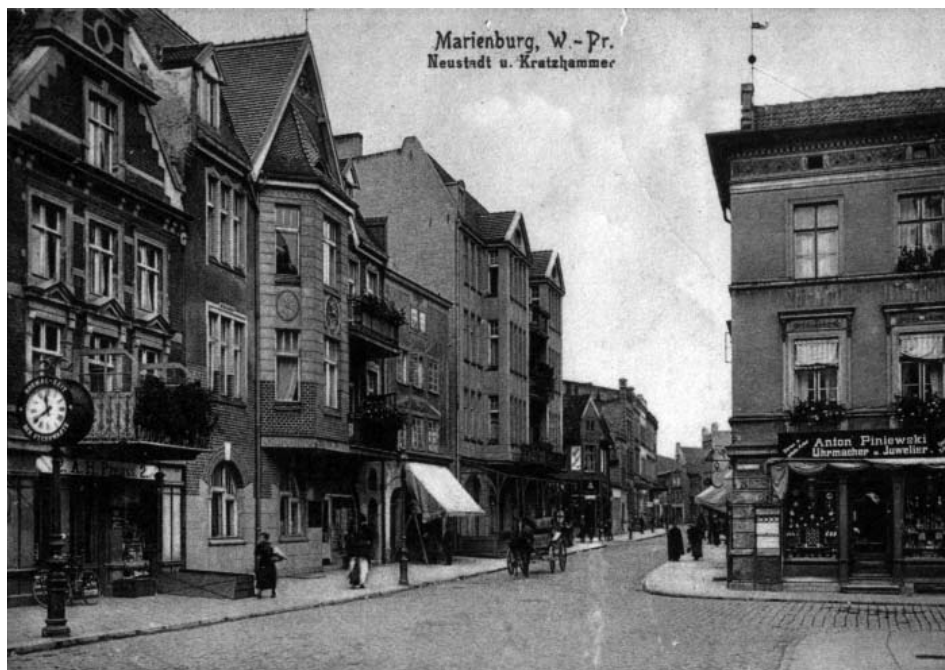


Obecny widok miejsca w którym stała synagoga. (fot. Bartosz Busz)

Pod koniec 2009 r. doszło do zmian w funkcjonowaniu stowarzyszenia „FORUM”. Przyjęliśmy nowych członków, zmieniliśmy model zarządzania, podejmowania decyzji i organizacji pracy. Od razu powrócił temat wystawy pt. „Malbork wczoraj i dziś”. Wrócił też entuzjazm, zwłaszcza, że na początku 2010 r. udało nam się uzyskać zgodę na organizację wystawy w Galerii „Na Lewo” w Miejskim Domu Kultury w Malborku. Termin otwarcia wystawy wyznaczono na początek września 2010 r.

Do momentu otwarcia wystaw 2 – 3 razy w miesiącu organizowaliśmy spotkania robocze. Na spotkaniach każdy prezentował zrobione przez siebie współczesne ujęcia, a grupa dokonywała wyboru najładniejszego. Stworzyliśmy prowizoryczną stronę internetową, aby móc porównywać dawne i nowe ujęcia. Grupa pracująca przy organizacji wystawy liczyła kilkanaście osób. Samo robienie fotografii w najdokładniejszym odwzorowaniu kadru w stosunku do dawnego ujęcia nie zawsze było łatwe. Niektóre miejsca stały się niedostępne, inne w znacznym stopniu zarosły i ujęcia współczesne nie były na tyle ciekawe, aby włączyć je do serii zdjęć na wystawę.

W wielu przypadkach z pomocą przyszły nam instytucje państwowe, firmy i osoby prywatne. Jedno z dawnych ujęć przedstawiało dawne Seminarium Nauczycielskie, którego budynek jest obecnie siedzibą Młodzieżowego Ośrodka Szkolno-Wychowawczego. Ustaliliśmy, że osoba fotografująca wykonała zdjęcie z okien jednego z budynków jednostki wojskowej. Skon-



Równoległe do dawnego Rynku, po jego wschodniej stronie, biegła ulica Neustadt (Nowe Miasto) wraz z przedłużeniem - Kratzhammer Strasse (ul. Karczmarską), zabudowana dużymi murowanymi kamienicami mieszkalno - handlowymi. Ten ciąg komunikacyjny połączony został z Rynkiem kilkoma wąskimi przecznicami. (fot. z kolekcji Bernarda Jesionowskiego)



Obecny widok ulicy (fot. Grzegorz Kus)



Stare Miasto w Malborku na przełomie XIX i XX wieku.
(fot. z kolekcji Bernarda Jesionowskiego)



Obecny widok Starego Miasta. (fot. Grzegorz Kus)

taktowaliśmy się z rzecznikiem prasowym 22 Bazy Lotniczej mjr mgr inż. Krzysztofem Partyką, który po uzyskaniu zgody od dowódcy bazy płk dypl. pil. Roberta Dziadczykowskiego zaprowadził nas do przedmiotowego budynku i tam, z kilku okien wykonaliśmy zdjęcia.

Podobna sytuacja miała miejsce w przypadku pocztówki prezentującej budynki Mazurskiego Oddziału Taborowego nr 21 czyli dawnej jednostki wojskowej na Piaskach. Dzięki uprzejmości pani Iwony Błaszczuk ze Stowarzyszenia Wspierania Przedsiębiorczości mogliśmy wykonać współczesne ujęcia z dachu budynku, przez co uzyskaliśmy niemal idealną kopię dawnego ujęcia. Z kolei dzięki uprzejmości państwa Patrzalków, mimo trwającego remontu piętra ich restauracji udało nam się wykonać fotografię ul. Kościuszki, która miała być odwzorowaniem dawnej fotografii ukazującej przemarsz wojsk niemieckich ul. Langgasse.

Mimo szczerych chęci ze strony Komendy Powiatowej Państwowej Straży Pożarnej w Malborku nie udało się wykonać fotografii ukazującej widok dawnego Malborka, a zrobionej prawdopodobnie z komina nieistniejącej słodowni. Zwróciliśmy się z prośbą do PSP o udostępnienie podnośnika w celu podniesienia osoby wykonującej fotografię na wysokość dawnego komina, jednak uszkodzone zabezpieczenia kosza stanowiły zagrożenie dla fotografujących i ostatecznie musieliśmy z tego ujęcia zrezygnować.

W lipcu wykonaliśmy ostateczne wersje niektórych współczesnych ujęć. W czasie całego cyklu przygotowań współczesne fotografie wykonali: Karolina Manikowska, Joanna Paciorek, Joanna Skopczyńska, Tomasz Wąsik, Artur Szmidt, Grzegorz Kus, Tomasz Kloss oraz Bartosz Busz.

Przystąpiliśmy też do finalnego kompletowania dawnych fotografii i pocztówek. Przy okazji pojawił się temat praw autorskich. Postanowiliśmy wykorzystać tylko te pocztówki i zdjęcia, na które uzyskamy zgodę na publikację od właścicieli. Nie zdecydowaliśmy się na wykorzystanie materiałów, których właściciele nie są znani. Stare fotografie oraz pocztówki, których użyliśmy pochodzą z archiwalnej dokumentacji fotograficznej Muzeum Zamkowego w Malborku oraz kolekcji Panów: Bernarda Jesionowskiego, Bogdana Popielarza oraz Hansa Dziedzica. Skorzystaliśmy także ze zdjęć zamieszczonych w książkach: „Atlantyda Północy - Dawne Prusy Wschodnie w fotografii” (Olsztyn 1993 r.) oraz „Marienburg” autorstwa Bernharda Pawelcika (Berlin 1930).

W ostatnim etapie przygotowań Karolina Manikowska, Joanna Skopczyńska oraz Bernard Jesionowski przygotowali opisy poszczególnych ujęć. Nie obyło się bez problemów, gdyż informacji o niektórych obiektach na próżno szukać w dostępnych publikacjach na temat miasta lub są one skąpe. Dlatego niektóre opisy zdjęć nie zostały zbyt rozwinięte.

Jednym z pobocznych przedsięwzięć powiązanych z wystawą było zaplanowanie przez nas wydania broszury, która przedstawiałaby wszystkie ujęcia oraz opisy poszczególnych obiektów. Niestety, nie uzbieraliśmy stosownych środków do wydania broszury. W rozmowach między nami dało się słyszeć głosy, że być może jesteśmy zbyt mało znani w mieście i dopiero intensywna praca w kilku planowanych przedsięwzięciach pozwoli nam pozyskać zaufanie ewentualnych sponsorów.

Sam wernisaż wystawy, który odbył się 8 września 2010 r. był dla nas niewiadomą. Z opinii różnych osób można było wywnioskować, że tego typu wydarzenia nie cieszą się w naszym mieście dużym zainteresowaniem. Postanowiliśmy, że na otwarcie wystawy zaprosimy wszystkie znaczące osoby w mieście. Przygotowaliśmy kilkadziesiąt imiennych zaproszeń, które rozśleliśmy do instytucji państwowych, samorządowych, organizacji pozarządowych, szkół i osób prywatnych. Zależało nam na obecności na wernisażu nauczycieli i dyrektorów szkół. Jeśli wystawa spodobałaby się to liczyliśmy na to, że po wernisażu zobaczą ją uczniowie malborskich szkół. Słowo wstępne przed otwarciem wystawy wygłosił Dyrektor Miejskiego Domu Kultury Bohdan Paczkowski oraz Michał Falkowski – prezes Stowarzyszenia Miłośników Malborka „FORUM”.

Liczba osób przybyłych na wernisaż przerosła nasze oczekiwania. Potwierdziła ona fakt, że tematyka wystawy była trafna i zainteresowała wielu mieszkańców naszego miasta. Wśród osób oglądających wystawę był przedwojenny mieszkaniec Malborka, który urodził się w jednej z nieistniejących już kamienic na Starym Mieście. Pochlebne opinie osób oglądających to co przygotowaliśmy były dla nas najlepszą nagrodą za wysiłek włożony w organizację wystawy.

Pierwsze dni po otwarciu wystawy pokazały, że było warto podjąć się jej przygotowania. Do Galerii „Na Lewo” przychodzi coraz więcej młodzieży szkolnej oraz osób zainteresowanych przedstawioną przez nas tematyką.

Wacław Bielecki

CHOPIN W WAPLEWIE*



Reiko Fezu i Wojciech Rajski podczas koncertu plenerowego w Waplewie Wielkim
w czerwcu 2010 r. (fot. W. Bielecki)

Obchodzona w tym roku dwusetna rocznica urodzin Chopina stała się powodem do zorganizowania w kraju, Europie i w całym muzycznym świecie niezliczonych koncertów z muzyką naszego najślawniejszego kompozytora. Chopin zabrzmiał także w pałacu Sierakowskich w Waplewie Wielkim na Dolnym Powiślu. Jak wiadomo siedemnastoletni Fryderyk przebywał tu w sierpniu 1827 roku na zaproszenie ówczesnego właściciela pałacu hrabiego Antoniego Sierakowskiego.

W maju i czerwcu oraz październiku 2010 roku odbyły się w Waplewie dwa cykle koncertowe: wiosenny i jesienny, w sumie sześć koncertów.

W sobotni wieczór 8 maja 2010 r. na gabinetowym fortepianie japońskiej firmy Yamaha grał Bogdan Czapiewski, świetny gdański pianista i profesor tamtejszej Akademii Muzycznej. Godzinny recital był bardzo udany. Złożyły się nań: Nokturny Des-dur i c-moll, rzadko grane Rondo c-moll op. 1, Walce – cis-moll i As-dur oraz Ballady g-moll i f-moll. Czapiewski grał bardzo precyzyjnie i potrafił z instrumentu wydobyć różne odcienie dynamiczne od prawdziwego forte po pianissimo. Podczas gry był bardzo skupiony, na oddaniu wszelkich romantycznych niuansów (może zbyt skupiony na muzyce kosztem kontaktu ze słuchaczami). Wykonany przez artystę Walec cis-moll wydał mi się trochę za mało taneczny, a grane na bis Preludium Des-dur, tzw. deszczowe było, moim zdaniem, grane w nieco zbyt szybkim tempie. Dopisała publiczność, przybyła – co można była odczytać z tablic samochodowych – głównie ze Sztumu, Malborka i Gdańska.

Drugi recital chopinowski dał w sobotę 15 maja 2010 r. pianista Bogdan Kułakowski, aktualny rektor Akademii Muzycznej w Gdańsku. Tym razem słuchaliśmy: Nokturna cis-moll, Fantasia-impromptu op.66, Walców a-moll, F-dur, cis-moll i Des-dur. Po tych utworach nastąpił wątpliwy przerywnik – jak to określił sam wykonawca - w postaci dwóch Preludiów – G-dur i gis-moll rosyjskiego kompozytora Siergieja Rachmaninowa. W moim odczuciu, te utwory rzeczywiście nie były potrzebne, tym bardziej, że po nich profesor znowu zagrał Chopina - dwie większe formy – Balladę f-moll i Sonatę b-moll ze słynnym marszem żałobnym. Ten ostatni utwór, jeśli wierzyć zapowiedzi pianisty, był wykonywany publicznie przez niego po raz pierwszy.

Recital był udany, ale nie sposób było nie zauważyć, że pianista grał Chopina nieco za głośno, prawie bez piana. Zbyt często używał prawego pedału przez co szybko następujące po sobie dźwięki zlewały się, brak im było – jak to się teraz mówi - „rozdzielczości”. Sala w pałacu w Waplewie nie jest wielką salą koncertową i potrzebuje „salonowego” dźwięku. Po tym koncercie wydaje mi się, że profesor Kułakowski ma większe predyspozycje do wykonywania utworów Rachmaninowa, niżli Chopina. Z drugiej strony pianista bardzo łatwo, w ujmujący sposób nawiązuje kontakt z publicznością.

ścią. Rzadko się zdarza, żeby przed wykonaniem utworu muzyk zwierzał się słuchaczom, że ma dużą tremę, bo wykonuje utwór po raz pierwszy, jak to było przed wykonaniem *Sonaty b-moll*.

W piątek 18 czerwca 2010 r. odbył się niezwykle, bo chyba pierwszy w historii Waplewa prawdziwy, wielki, plenerowy koncert z udziałem japońskiej pianistki Rieko Nezu. Była ona finalistką XV Konkursu Chopinowskiego w 2005 roku (a więc w tym, w którym zwyciężył Rafał Blechacz) i otrzymała wyróżnienie. Rok wcześniej zdobyła IV nagrodę na konkursie im. Paderewskiego w Bydgoszczy. Artystka po ukończeniu studiów w Tokio doskonaliła swoje umiejętności w Polsce pod kierunkiem profesor Ewy Pobłockiej.

Pianistce towarzyszyła Polska Filharmonia Kameralna z Sopotu pod dyrykcją Wojciecha Rajskiego. W programie były tylko dwa utwory na fortepian z orkiestrą, takie same jakie wykonał Chopin na pożegnanie z Warszawą w 1830 roku - *Fantazja* na tematy polskie oraz *Koncert fortepianowy e-moll*.

Filigranowa pianistka w szkarłatnej sukni grała przepięknie z dużą łatwością pokonując zawiłości chopinowskich utworów. Mimo że koncert odbywał na wolnym powietrzu, to słyszalność fortepianu i akompaniującej orkiestry była bardzo dobra, tym bardziej, że przenośna i zadaszona estrada ustawiona na placu przed pałacem była dobrze nagłośniona. Naliczyłem kilkanaście mikrofonów oraz 30 głośników. Dźwięk więc, jak to na koncertach plenerowych bywa, jednocześnie pochodził bezpośrednio z instrumentów, jak i z głośników. W odbiorze przeszkadzały nieco zbyt czułe mikrofony wyłapujące nawet szum wiatru, który wzmocniony przez amplifikatory dawał wrażenie odgłosów nadchodzącej burzy. Na szczęście pogoda dopisała.

Koncert e-moll Chopina słyszałem wiele razy. W tym wykonaniu był nieco inny, bo w akompaniującej solistce orkiestrze były tylko instrumenty smyczkowe. W związku z tym w pierwszej i drugiej części utworu zostały wyeksponowane w akompaniamencie solówki wiolonczeli i altówki. Na bis pianistka świetnie wykonała *Andante spianato* (bez Wielkiego Poloneza Es-dur) oraz *Etiudę rewolucyjną*. W grze artystki z Japonii wyraźnie słysząc wpływy jej mistrzyni – profesor Ewy Pobłockiej, której wykonania chopinowskiego *Andante spianto* i Wielkiego Poloneza Es-dur miałem przyjemność wysłuchać w lutym tego roku podczas koncertu na Uniwersytecie Muzycznym im. Fryderyka Chopina w Warszawie (tak od roku nazywa się tamtejsza Akademia Muzyczna).

Po koncercie wykonawcy i publiczność zostali zaproszeni na odsłonięcie tablicy upamiętniającej pobyt Fryderyka Chopina w Waplewie. Została ona umieszczona na dużym kamieniu znajdującym się na trawniku po prawej stronie, przed głównym wejściem do pałacu. Znajduje się tam napis:

„W dniach 15 – 20 sierpnia 1827
w pałacu w Waplewie Wielkim
na zaproszenie Antoniego hr. Sierakowskiego
przebywał i koncertował

FRYDERYK CHOPIN

1810 – 1849

W dwusetną rocznicę urodzin Fryderyka Chopina
Gmina Stary Targ
18 czerwca 2010 r.”

Odświeżenie tablicy dokonali kierownik oddziału Muzeum Narodowego w Gdańsku Maciej Kraiński oraz wójt gminy Stary Targ Wiesław Kaźmierski. Można tylko powiedzieć: nareszcie. Nareszcie jest coś, co przypomina, że Waplewo i Powiśle gościło muzycznego geniusza. To powinno być powodem naszej lokalnej dumy.

Na tym nie koniec. Jak dowiedzieliśmy się od gospodarza Waplewa, już niedługo z drugiej strony pałacu w zabytkowym (aczkolwiek nieco zaniedbanym) parku zostanie postawiona na kolumnie rzeźba z głową Chopina wykonana i ofiarowana przez Adama Romana, artystę rzeźbiarza z Warszawy.

W sobotę 19 czerwca 2010 r. w ramach IV Pomorskich Dni Chopinowskich w Waplewie Wielkim odbył się bardzo dobrze przyjęty przez publiczność koncert jazzowy Tria Andrzeja Jagodzińskiego z utworami Chopina, a w niedzielę 20 czerwca wyświetlono znany film w reżyserii Jerzego Antczaka pt. Chopin. Pragnienie miłości, niestety, bez udziału zapowiadanych twórców obrazu.

Drugi cykl koncertów IV Pomorskich Dni Chopinowskich w Waplewie Wielkim odbył się jesienią.

W piątek 15 października 2010 r., w pierwszej części wieczoru wystąpił prof. Bogdan Kułakowski, rektor Akademii Muzycznej w Gdańsku, ten sam który tu już grał 15 maja br. Na początku zagrał dwa Nokturny Es-dur op. 9 nr 2 i c-moll p.48. Wykonanie tych utworów było nieco dziwne, bo pianista zastosował jakieś niespotykane zwolnienia. Chwilami wydawało się, że zapomniał nut. Potem było dziesięć wybranych Preludiów z op. 28, te trudniejsze wykonane z nieco zamazanymi planami dźwiękowymi. Pierwszy Mazurek z op. 24 zagrany był mało posuwicie, drugi – lepiej. Ładnie zabrzmiał dodany do programu, przepiękny Walc cis-moll, a najlepiej Polonez As-dur op. 53, chyba dlatego, że wymaga mocnego forte, a to artysta lubi. Z kolei w brawurowo zgranym na bis Walcu Des-dur miejscami było można wysłuchać niemalże jazzowe „zaśpiewy”.

W drugiej części wieczoru Stanisław Daniel Kotliński, bas-baryton, pedagog śpiewu solowego z Gdańska wykonał osiem pieśni Chopina, w tym niektóre bardziej znane: Precz z moich oczu, Hulanka, Pierścień, czy Wo-



Odsłonięcie tablicy upamiętniającej pobyt Chopina w Waplewie Wielkim (od prawej): Wiesław Kaźmierski - wójt gminy Stary Targ, Maciej Krainński - kierownik oddziału Muzeum Narodowego w Waplewie, Wojciech Bonisławski - dyrektor Muzeum Narodowego w Gdańsku, Władysław Zawistowski - dyrektor Departamentu Kultury Urzędu Marszałkowskiego w Gdańsku.
(fot. Waław Bielecki)

jak. Śpiewakowi na fortepianie akompaniował Bogdan Kułakowski. Właściwie cały ten recital śpiewaczy zamienił się w audycję muzyczną. Artysta dużo, chyba za dużo mówił, a nawet cytował referat o pieśniach Chopina i zmieniał ustaloną w programie koncertu kolejność wykonywania pieśni. Jego głos był bardzo przyjemny, liryczny, co pasowało do wykonanego repertuaru, bowiem romantyczne pieśni Chopina są w większości smutne.

W sobotę 16 października 2010 r. w pałacowym salonie wystąpił w repertuarze chopinowskim Cezary Paciorek, znany akordeonista jazzowy z Gdańska. Ponieważ program tego występu nie został podany pozwolę sobie na bardziej dokładne jego przedstawienie. Artysta zaczął od Preludium A-dur, potem były przesławne Walce cis-moll i Des-dur (ten ostatni z mocno zmienioną harmoniką graną w basach), melodyjny Mazurek a-moll („na żydowską nutę”), Etiuda Des-dur w bałkańskich rytmach, Preludium F-dur z op. 28, nr 23 przerobione na bluesa (a raczej na boogie-woogie), Ballada g-moll op.23 z pięknie przetworzonymi tematami oraz słynny Polonez A-dur. Po tym utworze została zagrana własna kompozycja Cezarego Paciorka – Polonez „z domieszką francuską” – jak to zapowiedział akordeonista. Następnie znowu słuchaliśmy utworów Chopina - nastrojowego Nokturnu F-dur z op.9 nr 2 i mrocznego, acz przepięknego Marsza żałobnego z Sonaty b-moll oraz

na zakończenie zwiewnego Walca h-moll op. 69, nr 4. Na bis artysta zagrał Preludium Des-dur, tzw. deszczowe oraz własne (nie chopinowskie) wariacje na temat La ci darem la mano z mozartowskiego „Don Giovanniego”.

Występ Cezarego Paciorka bardzo się podobał, bo to niby ten sam Chopin, ale zagrany na innym instrumencie i przetworzony na jazzowo, mocno improwizowany. Artysta w sposób wirtuozowski grał na włoskim akordeonie PIGINI wzmocnionym przez aparaturę sterowaną laptopem. W grze jego widać było i słysząc, lekkość oraz – co najważniejsze – radość z grania.

Recital akordeonowy był ostatnim koncertem na IV Pomorskich Dniach Chopinowskich w Waplewie Wielkim. Z tej to okazji gospodarz pałacu Maciej Kraiński zaprosił wszystkich słuchaczy do sali bankietowej na lampkę wina i kawę oraz ... na przyszłe koncerty – za rok.

Jako słuchacza bardzo interesuje mnie, jak będą zorganizowane przyszłe koncerty chopinowskie w Waplewie Wielkim. Pozwolę sobie na kilka sugestii w tej sprawie z pozycji melomana z Powiśla.

Zacznę od frekwencji. Na koncertach urządzanych w sali pałacowej była ona bardzo dobra. Wszystkie miejsca były zajęte, a część słuchaczy musiała słuchać koncertów zza otwartych drzwi, z korytarza. Niestety, salka koncertowa jest ciasna i zdolna do pomieszczenia tylko około 60 słuchaczy. Stąd pytanie, czy nie lepiej byłoby przenieść koncerty do większej i bardziej reprezentacyjnej Sali Gdańskiej?

Notabene, marzy mi się przestronna sala koncertowa na 100 – 150 miejsc. W Waplewie jest dużo miejsca na taką salę, np. w skrzydle pałacu lub w jakimś odremontowanym budynku gospodarczym, których tu nie brak. Oczywiście, zdaję sobie sprawę z kwestii finansowych, ale jak zobaczyłem niegdyś bardzo zaniedbany, a dziś odnowiony i kwitnący Ośrodek Chopinowski w Szafarni koło Golubia-Dobrzynia, to myślę, że jest to możliwe. Tym bardziej, że Oddział Muzeum Narodowego w Waplewie ma być także Pomorskim Ośrodkiem Kontaktów z Polonią, a dla takich celów konieczna jest jakaś duża, wielofunkcyjna sala w której mogłyby się odbywać również koncerty.

Natomiast frekwencja na pierwszym i najważniejszym koncercie plenelowym z udziałem wybitnej pianistki i orkiestry symfonicznej była przyzwoita, ale mogła być lepsza. Szkoda, że w Sztumie i w okolicznych miejscowościach nie pojawiły się plakaty, ani informacje w lokalnej prasie zapowiadające koncert. Zabrakło także informacji na stronach internetowych, w tym także na podstronie pałacu w Waplewie. W celu ułatwienia przyjazdu do Waplewa, można by na wzór Ośrodka w Szafarni zorganizować „Chopin-busy”, z tanimi biletami (10 zł za bilet tam i powrotem spod ratusza w Toruniu, 50 km w jedną stronę), które przywozły by chętnych słuchaczy nie posiadających samochodów, np. ze Sztumu, Malborka, Kwidzyna, Dzierzgonia, Starego Targu, Mikołajek, Ryjewa itp. Myślę, że na taki

koncert chętnie przyjechaliby także nauczyciele i uczniowie z najbliższych szkół muzycznych w Malborku i Kwidzynie. Niechże Waplewo rzeczywiście stanie się pomorskim Soplicowem i promieniuje muzyką. Jednym słowem, organizacja koncertu plenerowego wymaga znacznego wysiłku i wcześniejszej promocji. Moim pragnieniem jest, aby w przyszłym roku nie zabrakło takiego koncertu.

Myślę także z pewną obawą, że jak dobiegnie końca rok chopinowski, to skończą się także koncerty w Waplewie. Z zazdrością spoglądam na przywołaną już Szafarnię w której koncerty odbywają się przez cały rok, raz w tygodniu w niedzielę o godzinie 17. Tak, co tydzień jest tam koncert! Czy oczekiwanie powiślańskich melomanów, żeby przynajmniej raz w miesiącu zorganizować przez cały rok cykliczne koncerty w Waplewie z udziałem dobrych muzyków, jest tylko nierealną mrzonką? Chętnie usłyszałbym tu, np. laureatów konkursu chopinowskiego (niekoniecznie tych z pierwszych miejsc) lub Międzynarodowego Bałtyckiego Konkursu Pianistycznego organizowanego przez Akademię Muzyczną w Gdańsku.

Wiem, że łatwo snuć jest projekty, ale także wierzę, że można je realizować. Jako przykład można podać wybudowanie wspaniałej sali koncertowej na Ołowiance w Gdańsku w budynku zrujnowanej elektrowni. Mało kto początkowo wierzył, że to się uda. Patrząc na poczynania kierownika pałacu w Waplewie Macieja Kraińskiego myślę, że to jest możliwe. Podczas jego krótkiego administrowania pałac pokryto nową dachówką i wzięto się za fundamenty budynku. Organizuje się koncerty. Gospodarz Waplewa doprowadził do upamiętnienia pobytu Chopina (i Jana Matejki) przez wmurowanie tablicy przez pałacem. Napisał też ciekawą książeczkę pt. „Panowie na Waplewie” z licznymi ilustracjami i tablicą genealogiczną rodziny hrabiów Sierakowskich z Bogusławic herbu Ogończyk. W czasie koncertów w sympatyczny sposób i z humorem zapowiada wykonawców. Wszystko to wskazuje, że dla Waplewa idą lepsze dni...

**** IV Pomorskie Dni Chopinowskie w Waplewie Wielkim. Organizatorzy: Muzeum Narodowego w Gdańsku – Oddział Muzeum Tradycji Szlacheckiej i Pomorski Ośrodek Kontaktów z Polonią w Waplewie Wielkim, Towarzystwo im. Fryderyk Chopina – Koło w Gdańsku, Starostwo Sztum, Gmina Stary Targ. Waplewo Wielkie, maj - październik 2010 r.***

Paweł Paziak

PROMOCJA W SAMO POŁUDNIE



Roman Klofczyński, współautor książki o Nowym Stawie.
(fot. P. Paziak)

Prawdziwe tłumy zjawiły się w sobotnie południe w nowej sali widowiskowej przy Zespole Służb Ratowniczych w Nowym Stawie, by uczestniczyć w promocji książki Wiesława Jedlińskiego i Romana Klofczyńskiego „Dzieje Nowego Stawu”, wydanej przez Urząd Miasta.

Na to jedno z najważniejszych wydarzeń powojennej historii miasta przybyły były i obecne władze powiatu malborskiego, wójtowie żuławskich gmin, duchowni, dyrektorzy szkół, sympatycy i miłośnicy tradycji i historii regionu żuławskiego oraz liczni mieszkańcy miasta, którzy swoją pracą i działalnością zapisywali i wciąż zapisują współczesne karty nowostawskich dziejów.

Spotkanie przy dźwiękach muzyki klasycznej w wykonaniu żeńskiego tercetu smyczkowego rozpoczął burmistrz Jerzy Szałach, szczególnie ciepło witając córkę Ewę i wnuczkę Hannę zmarłego w 2008 roku współautora książki, Wiesława Jedlińskiego oraz Jadwigę Wójcik, córkę Eudokiusza Oleszczuka, człowieka wielce zasłużonego dla Nowego Stawu, pomysłodawcę napisania współczesnych dziejów miasta.

– Z satysfakcją oddaję w Państwa ręce publikację, która przez wiele lat czekała, aby teraz być świadectwem powojennej historii naszego miasta – mówił Jerzy Szałach. – Jest ona poświęcona ludziom, którzy oddając temu miastu swoje życie, życie mu przywrócili. Inicjatorów tej publikacji panów Jedlińskiego, Oleszczuka i Klausa Dirschauera nie ma już między nami. Ale rozpoczęte dzieło zostało pomyślnie zakończone przez pana Romana Klofczyńskiego. Niech służy edukacji regionalnej i jako kronika lat minionych pomaga następnym pokoleniom kształtować własną teraźniejszość.

Po słowach powitania burmistrz dokonał symbolicznego odsłonięcia pierwszego egzemplarza książki. Wszyscy zainteresowani zgodnie podkreślali, że nie byłoby tej publikacji, gdyby nie mrówcza praca Wiesława Jedlińskiego. Postać kronikarza Malborka i żuławskiego regionalisty wspominał jego przyjaciel, Arkadiusz Binnebesel.

– Wiesław pochodził z Wielkopolski, ale pokochał Żuławę. Takie są losy ludzi – podkreślił pan Binnebesel. – Z rodziny wyniósł wiarę, nadzieję i miłość oraz poczucie, że ojczyzna jest nie tylko w słowie, ale w czynach. Przede wszystkim w czynach. To budowanie patriotyzmu cegła po cegle, kawałek po kawałku. Wielokrotnie przyjeżdżaliśmy do Eudokiusza Oleszczuka, który był siłą napędową dla Jedlińskiego. Zachęcił go do zainteresowania się dziejami Nowego Stawu. Kiedy był już ciężko chory, mówił do mnie: „Utrzymuj mnie przy życiu to, że mogę pisać o małej ojczyźnie”. To jest wasza książka – mówił pan Arkadiusz do zebranych – wasza, bo powstała z waszej pracy. To jest prawdziwy pomnik, który po nas zostanie.

„Dzieje Nowego Stawu” są pierwszą monografią miasta przedstawiającą czasy powojenne. O początkach swojej pracy nad książką mówił w rozmowie z „Gazetą Malborską” (53/2009) Roman Klofczyński. Na promocji w trakcie

swojego wystąpienia podkreślił fakt istnienia podwójnej historii miasta: Po II wojnie światowej mamy do czynienia z ponownymi narodzinami miasta, do którego, w miejsce dawnych mieszkańców, przybyli ludzie nowi, kulturowo obcy. Nowy Staw stał się miastem nowym. Nowy Staw – nowe miasto. Ale dla tych, którzy mieszkali w Neuteich przed 1945 rokiem, jest to wciąż miejsce szczególne, do którego chętnie wracają. To właśnie Klaus Dirschauer – przedwojenny mieszkaniec – zapoczątkował dialog między tymi, którzy w historii toczyli wojny. To wydana kilka lat temu z inicjatywy Dirschauera książka „Nowy Staw w dawnym spojrzeniu” otworzyła serca jednych dla drugich. Tego nie można zmarnować.

Roman Klofczyński zaakcentował także rzecz bardzo istotną w naszych czasach, w czasach mediów elektronicznych. Stwierdził, że ukazała się książka, dzieło słowa, czyli dokument naszej przynależności do kręgu kultury europejskiej.

Wspominając Wiesława Jedlińskiego, przytoczył jego słowa, którymi ten zachęcał go do podjęcia redaktorskiego trudu: „Nie zazdroszczę ci, bo czeka cię dużo pracy. Ale ty jesteś nowostawianin, ty tu wszystkich znasz i ciebie wszyscy znają, ty wszędzie dotrzesz”.

– Pan Wiesław nie mylił się, było bardzo ciężko, ale mam nadzieję, że się udało – powiedział Klofczyński

Współautor „Dziejów” skierował gorące słowa podziękowań do współpracowników, bez których ta praca by nie powstała. Nie ukrywał wzruszenia, dziękując rodzinie za pomoc i oparcie. Publiczność przyjęła tę chwilę szczerości gromkimi oklaskami, by po chwili ustawić się w kolejce najpierw po egzemplarz książki, a następnie do autora z gratulacjami i z prośbą o pamiątkową dedykację.

Na gorąco przeglądano i komentowano dzieło, korzystając z gościnności Nowostawskiego Ośrodka Kultury, organizatora spotkania, który zadbał o słodki poczęstunek przy kawie i herbacie.

Andrzej Lubiński

PANOWIE NA WAPLEWIE

Maciej Kraiński, Panowie na Waplewie, Waplewo Wielkie 2010, Muzeum Narodowe w Gdańsku.

W lipcu 2010 roku ukazała się publikacja autorstwa Macieja Kraińskiego kierownika Muzeum Tradycji Szlacheckiej i zarazem Pomorskiego Ośrodka Kontaktów z Polonią w Waplewie Wielkim koło Sztumu. Jest to druga pozycja po książce Andrzeja Bukowskiego „Waplewo zapomniana placówka kultury polskiej na Pomorzu Nadwiślańskim”, przedstawiająca rodzinę Sierakowskich. Przygotowana została z myślą o osobach odwiedzających pałac waplewski i zjeżdżie rodzinnym jaki miał miejsce 23 - 25 lipca 2010 roku.

Książka ma w popularny sposób przedstawić właścicieli rodu, który od 1760 roku posiadał dobra waplewskie w swoich rękach. Praca liczy 40 stron plus wywód genealogiczny z kolorowymi herbami Sierakowskich i ich krewnych. Autor koncentruje się na sześciu panach na Waplewie z rodu Sierakowskich, zamieszcza dwa krótkie biogramy dwóch ostatnich właścicieli - Zbigniewa Donimirskiego i Hansa Joachima von Mallenthin. O wcześniejszych panach żyjących w XV-XVIII wspomina krótko.

Pod rządami Sierakowskich Waplewo stało się nie tylko ośrodkiem kultury, ale również wzorowo prowadzonym gospodarstwem rolnym. Za Kajetana Sierakowskiego przebudowany został dwór, rozbudowany folwark, założony park który będzie należał do najpiękniejszych na Powiślu. Kajetan po śmierci żony Anny Teodory wyprowadził się do Osieka koło Rypina i był senatorem w Królestwie Polskim. Jego syn Antoni zapoczątkował kolekcję malarską w Waplewie, gościł u siebie przez pięć dni w roku 1827 Fryderyka Chopina. Następny właściciel Alfons Sierakowski przy pomocy architekta z Berlina wybudował kaplicę rodową istniejącą do dziś. Gościł w swoich progach przedstawicieli kultury polskiej w osobach Józefa Ignacego Kraśzewskiego, Jana Matejki. Adam Sierakowski - kolejny właściciel - znany był z tego, że prowadził badania naukowe, opublikował pracę „Pobyt Jana III Sobieskiego w Prusiech Królewskich w latach 1677 i 1678”. Należał do aktywnych członków Towarzystwa Naukowego w Toruniu, był posłem do parlamentu niemieckiego. Odbывał liczne podróże do Afryki i Azji. Natomiast Stanisław Sierakowski był po I wojnie prezesem Związku Polaków w Niemczech. Razem z żoną Heleną został zamordowany jesienią 1939 roku. Ostatni z Sierakowskich - Andrzej, który był prawnym sukcesorem, ale nie mógł objąć Waplewa po roku 1945, zmarł w Montrealu. Urna z jego prochami spoczęła w krypcie grobowej, gdzie leży jego dziadek i pradziadek.

W latach 1933-1939 właścicielem majątku był Zbigniew Donimirski, gdy Sierakowscy musieli opuścić Waplewo pozostał w ich rękach jedynie pałac, park i 15 hektarów ziemi. Na pozostałej ziemi, która wykupił dla syna Kazimierz Donimirski, gospodarował Zbigniew.

W czasie II wojny zarządcą w Waplewie był, od października 1939 do końca grudnia 1944 roku, Hans Joachim von Mallenthin. Mógł być wciągnięty w spisek przeciwko Hitlerowi. Spiskowcy spotykali się w Sztynorcie u Heinricha Lehndorffa. Jego żona była pasierbicą Mallenthina, a jej wnuczki mogły odwiedzić swoją babcię w Waplewie. Nie wykluczone, że spiskowcy mogli też być w Waplewie. Ta sprawa wymaga dalszych poszukiwań.

Wartość pracy podkreślają znakomite zdjęcia przedstawiające Sierakowskich, a także tablica genealogiczna. Jedyny błąd jaki zauważyłem, to podanie informacji, że Antoni Sierakowski był posłem do Sejmu Królestwa Polskiego. Mieszkał on w państwie pruskim i tam zasiadał w sejmiku prowincjonalnym (s. 10). W tablicy genealogicznej wystąpiła literówka zamiast „kamer junkier” jest „kumer”. To należy potraktować jako zwykły chochlik drukarski. Już po zjeździe rodzinnym autor uzupełnił dane brakujące w wywodzie o krewnych po kądzieli, dzieci i wnuków Róży Sierakowskiej, Carton de Wiart i innych potomków wywodzących się od Sierakowskich.

Miłośnikom historii małej ojczyzny śmiało można polecić tę wartościową książeczkę.

Leszek Sarnowski

BOGATE MIKOŁAJKI

Bogaci ludźmi. Mikołajki Pomorskie w historii i wspomnieniach, Praca zbiorowa pod redakcją Ks. Marka Karczewskiego, Mikołajki Pomorskie 2009.

Mikołajki Pomorskie to jedna z gmin powiatu sztumskiego. Po lekturze tej książki można powiedzieć, że gmina ma szczęście do ludzi. Dlatego jej tytuł - „Bogaci ludźmi”, jest bardzo adekwatny i wyjątkowo trafny. Inicjatywa wyszła z parafii katolickiej i to też nie przypadek, bo właśnie parafia od 90 lat była i jest tym miejscem, które integruje lokalną społeczność. W ostatnich latach życie religijne i parafialne ożywiło się, między innymi za sprawą obecnego (od 2001 roku) proboszcza ks.dr Marka Żmudzińskiego i dwóch innych księży, którzy wywodzą się z Mikołajek- ks.dr Marka Karczewskiego i ks.dr Waldemara Maliszewskiego. Odpusty i parafialne bale charytatywne organizowane przez nich i Radę parafialną od wielu lat są już słynne nie tylko w powiecie, ale w całym regionie. Inicjatorem i redaktorem książki jest ks.dr Marek Karczewski, a jego działaniom patronował wójt gminy Kazimierz Kulecki. We wstępie zapisano, że książkę przygotowano do druku „społecznie, jako efekt inicjatywy obywatelskiej”.

To wyjątkowa inicjatywa obywatelska. Na prawie dwustu stronach książki, bogato ilustrowanej, zebrano świadectwa dawnych i obecnych mieszkańców wsi - Polaków i Niemców, którzy, jak pisze w historycznym wprowadzeniu ks.Waldemar Maliszewski, żyli obok siebie w symbiozie przez wiele lat wspólnej historii, zburzonej nacjonalistyczną propagandą i wojenną zawieruchą. Wartość tego świadectwa dostrzega ks.prof.dr hab. Jan Wiśniewski pisząc we wprowadzeniu: „cenne są uwagi tych, którzy tworzyli przeszłość - autochtonów, stojących się pomostem spinającym dzieje przedwojenne i współczesne. Ludność napływowa zaś, stając się czynnikiem podejmującym i utrwalającym to, co zastałe, wnosi jednocześnie własne tradycje i kulturę, wzbogacając to, co tutaj istniało.”

Bezcenne jest także to, że na kartach książki ożywa dawna „gwara” sztumską. Owe „wenowej” (no proszę), „jo” (tak), „szperka” (słonina), czy choćby takie zdanie - „Stofy stojo w komorze koło trygli i grapy, a szondy leżeli na szlofach w szaurze” czyli „Małe garnki stoją w spizarni koło średnich garnków i dużego garnka, a nosidło (do wody) leży na niskich, roboczych saniach w garażu”. Mówili tak miejscowi, Polacy i Niemcy, którzy pytani kim są, odpowiadali- „tutejszy”, bo na codzień nie musieli się określać. Byli sąsiadami, część chodziła do kościoła katolickiego, część do ewangelickiego. I nikogo to nie dziwiło w tej małej społeczności, było normalnie, do czasu gdy

obudziły się demony nacjonalizmu, kiedy od sąsiadów zaczęto domagać się jasnego określenia narodowości. Wiemy jak to się skończyło. Tylko najstarsi mieszkańcy Mikołajek, potrafią jeszcze mówić lokalną gwarą i to ze zrozumieniem. Paradoksem jest, że najwięcej ich mieszka dziś w Niemczech, nawet tych z polsko brzmiącymi nazwiskami. To znak nie tylko miejscowej historii, historii pogranicza kulturowego, które po drugiej wojnie światowej niemal bezpowrotnie zniknęło. Wraca po latach we wspomnieniach między innymi Ericha Pakalskiego z Niemiec i Jadwigi Kuleckiej z domu Klatt z Mikołajek czy opisie dziejów miejscowej rodziny Kottke. W ludzkich losach, jak w zwierciadle odbijają się kataklizmy XX wieku, hitlerowskie zbrodnie i prześladowania, sowieckie represje „wyzwoliciele”, wywózki na Sybir czy powojenne, emigracyjne wybory „tutejszych”.

Osobne, nowe rozdziały historii gminy, tworzą nowi „tutejsi”, wspominając trud, ale i radość budowania. Janina Wasiakowska wspomina pierwsze, powojenne lata organizowania życia szkolnego w Mikołajkach. Zdzisława Kita trafiła tu niemal za karę, bo z nakazem pracy, jako młoda nauczycielka. Została i dziś nie wyobraża sobie życia nigdzie indziej. Jej mąż Kazimierz był tu przez wiele lat zawiadowcą stacji. Zygmunta Zakrzewska, Irena Wołoszyk, Dorota Izdepska opisują swoje szkolne, dziecięce lata, a Jadwiga Stępiak lata pracy w bibliotece. Dzieje mikołajskiej oświaty obszernie opisują Marzena i Roman Dobrzyńscy, a ks. Dr Marek Karczewski dzieje parafii katolickiej i takie postaci proboszczów, jak ks. Feliks i Johannes Schreiber czy ks. Jan Falk. Edward Górzyński z Iławy opisuje także barwną postać księdza Władysława Łęgi, związanego z ziemią sztumską i mikołajską.

Ks. dr Marek Karczewski, inicjator i redaktor książki w epilogu tłumaczy, że motywem jej powstania była, z jednej strony chęć zachowania wspomnień rodziców, dziadków, a z drugiej- chęć „pobudzenia lokalnego środowiska do podejmowania kolejnych wysiłków dla udokumentowania lokalnej historii, jej głębszego, bardziej dojrzałego odczytywania”. Wydana właśnie książka w intencji twórców, to rodzaj albumu złożonego z fragmentów przeżyć, strzępów fotografii, do którego każdy z mieszkańców wnieść może swoją osobistą i wyjątkową historię. Ksiądz Karczewski pisze w zakończeniu: „Być może towarzyszyć jej będą łzy, może wzruszenie, może jej efektem będzie lepsze zrozumienie kogoś, kto kiedyś tę małą Ojczyznę tworzył. Być może z refleksji nad przeszłością zrodzi się przebaczenie, albo współczucie. Niech ten symboliczny, wspólny dom, który tworzą Mikołajki Pomorskie oraz rozsypane wokół nich miejscowości będzie rzeczywistością, która łączy, skłania do dialogu i współdziałania.

Z bogatej treści książki i olbrzymiego odzewu z jakim się ona spotkała, można mieć pewność, że słowa te nie będą jedynie pobożnym życzeniem.

Marek Stokowski

PROWINCJONALIA
CZYLI
KRONIKA
ŻYCIA TERENOWEGO

Szanowni Państwo!

Minęło kilka miesięcy, a trębacz z Nowego Stawu nadal z uporem twierdzi, że życie – takie prawdziwe – kwitnie wyłącznie w Warszawie i Gdyni, zaś na prowincji panuje martwota. Dlatego jesteśmy zmuszeni do publikacji nowych opisów życia terenowego nad dolną Wisłą. Liczymy na to, że trębacz w końcu przestanie wrzeszczeć i ładnie zagra, za co pobiera miesięczną pensję i co trzy lata fasuje mundur.

Redakcja

Życie geograficzne

Specjalna komisja mieszana z udziałem uczonych z Chile, Japonii, Sierra Leone, Francji i Polski stwierdziła, że absolutny koniec świata znajduje się we wsi Gralewo, niedaleko opuszczonej stacji. Wydano na tę naukową ekspertyzę gdzieś z tysięcy złotych albo więcej, tymczasem trzy dziewczyny w wieku gimnazjalnym, które siadają co dzień na przystanku – Kotańska, Ryba i Wasiluk – wiedziały o tym fakcie już od dawna. Po prostu trzeba było się zapytać.

Życie społeczne

W przeciwieństwie do młodych: Kotańskiej, Wasiluk i Ryby, które siadają co dzień na przystanku, ci, którzy wysiadują przed spółdzielnią, to znaczy starzy: Bożyszkowski, Citko, Rychert i Gawryluk uważają, że Gralewo leży w samym środku. I niby jest już ekspertyza naukowa, mówiąca całkiem coś innego, ale wystarczy spojrzeć w cztery strony i wtedy bardzo dobrze, proszę Państwa, widać – nie tylko pola, wierzby i horyzont. Po prostu widać, że świat się kręci wokół ławki przed spółdzielnią. I aż miło. Człowiek ma powód do radości, nawet dumy.

Życie społeczno-ekonomiczne

Społeczeństwo obywatelskie to nie hasło, lecz wyzwanie. Na dowód tego nasz reporter, ten o męczącym zacięciu scenopisarskim, przedstawia relację z akcji społecznej, fatalnie zawalonej przez mieszkańców wsi Szymankowo, Lisewo i Lichnowy.

EXT. ŻUŁAWY, POLA – DZIEŃ

Brak zorganizowania na Żuławach. Pomimo apeli komisji społecznych, zniesiono za mało kamieni z okolic.

RADNY GMINNY GMITER

Tu są tacy ludzie. Było ustalone: wypiętrzamy góry, jak te w Zakopanem.

Tamte chłopcy mogli, no i teraz mają.

Na Żuławach – lenie. I brak konsekwencji: zwieziono materiał za ledwie w połowie. Owszem, są zarysy dolin, koryta potoków, ale nigdzie nie wzniesiono góry ponad piętro regli.

RADNY GMINNY GMITER

No co to za poziom? Nikt tu nie przyjedzie. Niepotrzebnie tylko poprzrabialiśmy lipy na samotne limby, kozy na kozice i wrony na orły.

Śmiech górali w Tatrach. I płacz w delcie Wisły.

RADNY GMINNY GMITER

A w dodatku trzeba teraz wybudować tunel dla kolei z Gdańska i podprzeć deską to, co usypano dotąd na obszarach nie zmeliorowanych wiosną.

Powracają gęsi, odfruwają orły. Pogłębia się silnie żuławska depresja.

Życie meteorologiczne

*

Ze względu na zapowiadany w mediach gwałtowny spadek ciśnienia barycznego, członkowie Ochotniczej Straży Pożarnej z Benowa postanowili w trybie pilnym podpompować atmosferę na obszarze sobie powierzonym. Zostanie do tego użyta wysłużona motopompa „Ukraina” i ręczne urządzenia typu „Rhurpenpumpsen”, przekazane przez niemiecką miejscowość partnerską Gottelhof am See. W razie poważnych kłopotów, strażacy wykorzystają także butle z tlenem wyniesione ukradkiem z ośrodka zdrowia w Ryjewie. Podobne akcje miały już miejsce w latach 70. i 80., i za każdym razem kończyły się sukcesem, wspólną zabawą w remizie, przyznaniem medali honorowych, skromnych nagród pieniężnych i bonów towarowych.

W roku 1983 mieszkańcy Benowa ufundowali także nowy hełm strażacki z piórkiem, który wręczono komendantowi C. Bełzie. Czy i dzisiaj nasze społeczeństwo stać będzie na taki lub podobny gest, nie wiemy. To się okaże po przejściu frontu.

*

W styczniu poczucie szczęścia osobistego i zawodowego kształtować będzie Wyż Azorski z centrum nad zabudowaniami gospodarczymi rodziny Odyńców w Barcicach. Warto o tym pamiętać, planując krótkie zimowe ferie.

Życie gospodarcze i finansowe

Nadchodzą wyższe podatki. Idą od strony Brachlewa, drogą koło sosnowego lasu. Wystarczyłoby trzech silnych chłopów, dwie siekiery, para widel i wiadomo. Ale co my tu będziemy mówić. Potem zaraz będą jakieś skargi, upomnienia i tak dalej. Zatem nie dajemy Państwu dzisiaj żadnych rad ekonomicznych. Może jutro, jak coś będzie szło przez pola.

Życie u przyjaciół

Wiadomość z zaprzyjaźnionej miejscowości w regionie Gór Sowich. Uchwałą gminnej rady w Walimiu, z jednego z przystanków PKS-u zdjęto w trybie pilnym tabliczkę informacyjną WALIM NA ŻĄDANIE. Jak skomentował to rzecznik rady, zdjęto tabliczkę, bo nikt nie wysiadał.

Życie naukowe

Mamy wreszcie coś nowego! Kazimierz Ligota, doświadczony wynalazca z Rybin, opracował sposób zginania widelca przez polizanie. Numer udaje się za każdym razem. Nie wiemy jeszcze i być może nigdy nie będziemy wiedzieć, czemu ma służyć nowa technologia, ale wygląda to fenomenalnie. Podobno z Ligotą kontaktowali się już specjaliści z NASA. A ci raczej swoje wiedzą.

Życie wojskowe

Poufne! Leśna strzelnica pod Grzypą otrzymała z kwatery głównej Układu Północnoatlantyckiego certyfikat, upoważniający jej użytkowników do palenia ognisk i pieczenia kielbasek. To ważne. Do tej pory uczestnicy ćwiczeń posilali się wyłącznie zimną galaretą. A potem – wiadomo: jak się trzęsie, to nie trafiaasz.

Życie z ogłoszeń

* Latanie po jedzeniu – pokazy na weselach. Halina Radzyńska lata po bigosie, a jej mąż po naleśnikach z mięsem. Niedrogo. Uwaga: Radzyńscy dysponują licencjami, własnymi środkami dojazdu i mapami nieba.

* Mało atrakcyjny pan z dotykem oszałamiającym panie. Mógłby komuś pomóc, ale nie we wtorki, bo wtedy zajmuje się domem. Kontakt z panem przez Redakcję.

Życie medyczne

Na Powiślu trwa kampania uświadamiająca społeczeństwo, co jeść, żeby było zdrowo. Lekarze rodzinni i ci z pogotowia pieką i gotują w gabinetach, i w domu pacjenta. W piątki, oczywiście, dania postne. Produkty zapewnia personel placówek medycznych, wciskając kasjerkom w spożywczych i mięsnych bezpłatne recepty, wystawiane na okaziciela. Od początku tej kampanii, nad naszym regionem unosi się zapach – tak piękny, że zbiegają się do nas wszystkie wolne psy z północy, południa i wschodu. Za Wisłą też stoją, ale most pod Tczewem jest w remoncie, a pod Gniewem – znowu jakiś kłopot z promem.

Życie kulturalne

Potwierdzamy – w sobotę, w Kwidzynie odbędzie się koncert Adama Wywicza. Wokalista publicznie przesuwa przedmioty śpiewem arii operowej „Szumią jodły na gór szczycie”. Zeszłotygodniowe prezentacje w Prabutach

i Sztumie zgromadziły tłumy melomanów. Przypuszczamy, że w Kwidzynie przyjdzie jeszcze więcej miłośników „Halki”, tym bardziej że Wyrwicz chce tym razem przesunąć fortepian, żyrandol i godzinę jesiennego zmierzchu.

Życie kryminalne

Znowu kradzież.

Niestety nie wiadomo, gdzie, kto, komu, co, kiedy, a nawet dlaczego. Domyślamy się jednak, że w Szropach, Jan Ciupiel, Lechowi Duckiemu, ulubiony grzebień, w sobotę wieczorem, w zemście za urwany rękaw.

Życie społeczno-polityczne

Jako że poprzedni sezon zupełnie nam uciekł i nie przedstawiliśmy Państwu żadnych sprawozdań z imprez masowych, pragniemy to teraz choć trochę nadrobić. Oto relacja z festynu w Gałdytach. Niestety, jak wiemy, nasz korespondent lokalny Gałęcki ma to potwornie irytujące zacięcie scenopisarskie i nie potrafi niczego powiedzieć zwyczajnie.

1. EXT. GAŁDYTY - DZIEŃ

Pomnik łódki motorówki. Gałdyty-kolonia, przy skrzyżowaniu. Przedstawiciele władz różnych szczebli, miejscowy poczet sztandarowy, wojskowi, trąby i sporo dzieci.

OSOBA Z WOJEWÓDZTWA

Niechaj mi wolno będzie...

Osoba z województwa nie może sobie akurat przypomnieć, co jej właściwie tak naprawdę wolno. Bogate doświadczenie mówcy pozwala jednak uratować sytuację i powagę chwili fenomenalną próbą imitacji brzmienia silnika łódki motorówki w pełnym ciągu.

Przytomny odzew zgromadzonych. Ryki kompanii mundurowej, dzieci i pozostałych grup ludności.

Prezydium wiecu, z pięknym dźwiękiem, obiega kilkakrotnie pomnik, a zaraz potem następuje uroczysta chwila złożenia trzech wiązanek kwiatów ciętych w folii, z przybraniem z zielonego i sreberkiem, oraz śmigielka wotywnego z szarfą.

REPORTER

W tym samym czasie zakończono uroczystość przed słynnym obeliskiem betonowej krowy w Starym Polu.

Niezwykłe intensywne życie obywatelskie województwa. Duma i satysfakcja z właściwie spełnionego obowiązku. Zapachy kwiatów i orkiestry męskiej. Rosół z kluskami i mizeria.

Koniec

Noty o autorach

Jacek Albrecht - ur. w roku 1951 w Łodzi. Od 1952 z przerwą 15 lat mieszkaniec Malborka. Konserwator zabytków architektury i artysta plastyk, autor książki popularno-naukowej „Tajemnice Malborka” i szeregu artykułów o tematyce konserwatorskiej, współwłaściciel firmy „Kopia”. Absolwent Wydziału Budownictwa Politechniki Koszalińskiej, Podyplomowego Studium Konserwacji Zabytków Politechniki Warszawskiej i Wydziału Edukacji Artystycznej ASP w Gdańsku. W 1989 przewodniczący Komitetu Obywatelskiego w Malborku oraz Klubu Obywatelskiego. Inicjator powołania pierwszej niezależnej gazety malborskiej „Nowiny Malborka”. Autor kilkunastu wystaw plastycznych w różnych miastach Polski. Uprawia malarstwo, grafikę i grafikę komputerową. Ulubioną tematyką prac jest portret psychologiczny.

Wacław Bielecki - od 1947 r. mieszkaniec Nowego Stawu, a od 1974 roku Sztumu. Absolwent pedagogiki Uniwersytetu Gdańskiego. Pracował jako nauczyciel w Szkole Podstawowej w Nowym Stawie i asystent w Katedrze Pedagogiki UMK w Toruniu. Dyrektor Wojewódzkiego Zespołu Szkół Policealnych w Sztumie. W 1980/81 roku redaktor naczelny tygodnika *Sztumska Solidarność*, a na przełomie lat 1989/90 członek kolegium redakcyjnego tego czasopisma. W latach 1990 - 1994 roku przewodniczący Rady Miasta i Gminy Sztum. Zainteresowania pozazawodowe: muzyka - nie tylko klasyczna, fotografia, spacerzy rowerowe i wnuki.

Witold Cyranowicz - ur. 1953 w Warszawie. Wykształcenie: mgr inż. elektryk. Zawody wykonywane: inżynier, analityk finansowy, specjalista PR. Publikacje w *Home & Market*, *Businessman Magazine*, *Gazeta Bankowa*, *Elektroinstalator*. Pasje - dawniej krótkofalarstwo, obecnie ekologia i socjologia internetu. Kanclerz Wielkiej Konfraterni Znacnego Jadła, Napitku i Rękodzieła. Mieszka w Parparach k/Sztumu.

Tomasz Drózda - ur. 1976 r. w Malborku. Absolwent Elbląskiej Uczelni Humanistyczno - Ekonomicznej (pedagogika resocjalizacyjna), Szkoły Wyższej im. Pawła Włodkowica w Płocku oraz UG (informatyka). Sekretarz Stowarzyszenia Miłośników Malborka „FORUM”. Zainteresowania - informatyka, historia lokalna, historia podziemia niepodległościowego w czasie i po II wojnie światowej.

Grzegorz Gola - prezes Stowarzyszenia Lokalnej Grupy Działania Żuławy i Mierzeja w Nowym Dworze Gdańskim. Współredaktor Rocznika Żuławskiego wydawanego przy Stowarzyszeniu Miłośników Nowego Dworu Gdańskiego - Klub Nowodworski, autor publikacji o Żuławach: Dwory żuławskie - W poszukiwaniu zaginionej tradycji budownictwa (2009), Tuga - królowa rzek żuławskich (2009).

Jan P. Grabowski - urodził się w Malborku. Absolwent Liceum Ogólnokształcącego im. Henryka Sienkiewicza w Malborku oraz filologii polskiej na UMK w Toruniu. Debiutował, jako prozaik w 1977 roku w tygodniku „Literatura”. Napisał i wydał dotychczas m.in. „Zabójstwo Ahuramazdy” opowiadania (1979); „Ukryte spojrzanie” powieść (1980); „Dotknięcie mroku” poezje (1981); „Żółta poczekalnia” poezje (1984); „Deszcz i płomień” poezje (1988); „Łaska widzenia” poezje (1990); „Wiersze wybrane” (1991); „Strefa nocy” powieść (1993); „Szkarałat i błękit” poezje (1994); „Kolor chryzopazu” poezje (1997); „Światło popielate” poezje (1999); „Poezje wybrane” (2000); „Sonata obojowa” poezje (2003); „Złoto i biel” poezje (2007); „W tempie andante” poezje (2009). W przygotowaniu: „Srebrne adagio” poezje. Otrzymał kilkadziesiąt wyróżnień i nagród za wiersze i prozę na ogólnopolskich konkursach literackich. Otrzymał także, za twórczość literacką, Medal Sint Sua Praemia Laudi oraz Złoty Krzyż Zasługi. Trzykrotny stypendysta Ministerstwa Kultury i Dziedzictwa Narodowego. W sierpniu 2008 r. otrzymał Nagrodę Specjalną od Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego. Członek Stowarzyszenia Pisarzy Polskich Oddziału Warszawskiego. Mieszka w Gdańsku.

Krystyna Gromek - ur. w Włodzimierzu Wołyńskim. Absolwentka Szkoły Muzycznej i LO w Kwidzynie. Studia: Wyższa Szkoła Pedagogiczna, Uniwersytet Śląski - Wydział Technologii Chemicznej, Uniwersytet Warszawski - Prawo i Administracja (3 letnie studium podyplomowe), Studium Dziennikarskie. Nauczyciel w średnich szkołach Trójmiasta, b. dyrektor Pałacu Młodzieży w Gdańsku, Wydziału Kultury UM w Gdyni, z-ca dyrektora w Wojewódzkim Ośrodku Kultury w Gdańsku i Nadbałtyckim Centrum Kultury w Gdańsku. Publikacje - reportaże w Dzienniku Bałtyckim, Głosie Wybrzeża, Naszej Wsi, Podróże. Książki - „Wiosenne lata w kwidzyńskim liceum”, „Kwidzynianie - Ptakom podobni” - I i II tom, „Kwidzyn - Drogi do Małej Ojczyzny”. Od 9 lat szefowa kapituły Klubu Małej Ojczyzny Kwidzyńskiej. Mieszka w Gdańsku.

Alicja Janiak - ur. 1984 r. w Elblągu. Absolwentka etnologii i antropologii kulturowej UAM w Poznaniu. Publikacje: Działalność zespołów regionalnych jako przejaw tożsamości współczesnych mieszkańców Żuław, w: Żuławy. W poszukiwaniu tożsamości, red. A.W. Brzezińska, Bursztyn w kulturze i biżuterii ludowej, w: Bursztynowy artefakt a kreowanie turystyki kulturowej, red. J. Hochleitner, Współczesna sztuka ludowa na Żuławach jako przejaw wielokulturowości, w: Żuławy w perspektywie turystyki kulturowej, red. J. Hochleitner, W. Moski. Współudział przy projekcie Ostatni Mistrzowie Kultury ludowej, CSE Światowid w Elblągu. Pracuje w Muzeum Archeologiczno - Historycznym w Elblągu. Mieszka w Elblągu.

Małgorzata Anna Jędrzejewska - bibliotekarka, nauczycielka jęz. polskiego, lifecoach. Mieszka w Nowym Stawie. Na co dzień pracuje w gimnazjum nowostawskim, starając się, ze zmiennym skutkiem, wyrobić u młodzieży pociąg do czytania, dlatego rokrocznie organizuje maratony czytelnicze, które cieszą się powodzeniem także u dorosłych mieszkańców miasta. A z uczniami, którzy nie za bardzo chcą czytać, robi filmy. Jej pasją jest teatr i realizuje ją głównie poprzez wszelkiego typu animacje teatralne, przeprowadzane z zespołami teatralnymi. Aktualnie podjęła studia podyplomowe na wrocławskiej PWST związane z reżyserią teatru młodzieżowego.

Andrzej Kasperek - ur. 1958 r. w Nowym Dworze Gdańskim. Absolwent filologii polskiej UG. Działacz SKS, NZS UG. Pracował w DKF "Żak" w Gdańsku. Nauczyciel języka polskiego w Nowym Dworze Gdańskim. Autor opowiadań "Back in the DDR i inne opowiadania" (2010). Mieszka w Nowym Dworze Gdańskim.

Kordian Kuczma - ur. 1976 r., absolwent III LO w Gdyni, licencjat dziennikarstwo i nowe media, absolwent stosunków międzynarodowych warszawskiego Collegium Civitas, aktualnie student Podyplomowych Indywidualnych Studiów z doktoratem w zakresie nauk o polityce Instytutu Studiów Politycznych PAN we współpracy z Collegium Civitas. W 2010 r. zadebiutował na łamach ogólnopolskiego kwartalnika Sport Wyczynowy. Współpracował z Muzeum Żuławskim w Nowym Dworze Gdańskim i Klubem Nowodworskim.

Wojciech Kunicki - ur. 1966 r. w Grudziądzu, absolwent Akademii Wychowania Fizycznego w Gdańsku, nauczyciel w Szkole Podstawowej nr 8 w Malborku, instruktor karate kyokushin w Malborskim Klubie Kyokushin Karate. Pasjonat historii lokalnej. Od roku 2004 mieszka w Gościszewie k/Sztumu.

Andrzej Lubiński - ur. 1952 r. w Gniewie, Absolwent LO w Sztumie i UMK w Toruniu (historia). Zainteresowania - historia regionalna Pomorza i Powiśla. Publikacje w Komunikatach Mazursko Warmińskich, Roczniku Elbląskim, Studiach Elbląskich, Z dziejów Sztumu i okolic. Współautor książki "Bank Spółdzielczy w Sztumie 1910-2010". Uczestnik i wykładowca kilku sympozjów naukowych. Prezes Towarzystwa Miłośników Ziemi Sztumskiej. Mieszka w Sztumie.

Karolina Manikowska - ur. w Malborku. Absolwentka PWSZ w Elblągu (język polski - licencjat) oraz UG (magister historii sztuki). Jest członkiem zarządu Stowarzyszenia Miłośników Malborka "Forum" oraz miłośniczką Żuław, które odwiedza na rowerze i utrwała na zdjęciach. Pracuje w elbląskiej delegaturze Wojewódzkiego Urzędu Ochrony Zabytków w Olsztynie. Mieszka w Malborku.

Dorota Maluchnik - ur. 1963 w Malborku. Absolwentka LO w Sztumie i teatrologii na UJ w Krakowie. Nauczycielka języka polskiego i angielskiego. Publikacje w "Regionach elbląskich". Nagroda poetycka w 2001 w Kaliszu oraz amerykańskiego portalu citic's award. Publicystka, tłumacz, krytyk teatralny. Opowiadanie zamieszczone w kwartalniku "Prowincja" jest jej debiutem prozatorskim. Mieszka w Sztumie.

Janusz Moździerz - absolwent Liceum im. H. Sienkiewicza w Malborku oraz ART w Olsztynie. Był nauczycielem w Młodzieżowym Ośrodku Wychowawczym w Malborku. Debiutował jako laureat Ogólnopolskiego konkursu na prozę współczesną opowiadaniem „Gdziekolwiek jesteś” w Almanachu Wyd. „Iskry” na początku lat osiemdziesiątych. Publikował prozę i poezję w „Tygodniku kulturalnym”. Elbląskie Towarzystwo Kulturalne wydało mu arkusz poetycki pt. „Szare Tatuaże”. W kolejnych latach jego opowiadania ukazywały się w „Akcencie”, „Autografie”, „Tyglu” i „Toposie” oraz w czasopiśmie regionalnym, a także w Polskim Radio w Szczecinie i Olsztynie (utwory nagradzane w konkursach literackich). Współpracuje od kilkunastu lat z prasą Wybrzeża; obecnie jako autor felietonów. Wydał 3 zbiory opowiadań: „Krzyk kani: (1999)”, „Konik polny” (2006) i „Dzikie trawy” (2007) – nie stroni też od utworów o zabarwieniu satyrycznym. Jest członkiem Stowarzyszenia Elbląski Klub Autorów. Mieszka w Malborku.

Przemysław Nehring - ur. 1967 r. w Sztumie. Absolwent LO w Sztumie. Filolog klasyczny. Absolwent, a obecnie pracownik naukowy Uniwersytetu Mikołaja Kopernika w Toruniu. Doktoryzował się w 1998 r. pod kierunkiem prof. Mariana Szarmacha, habilitował w 2006. Autor, główny współautor lub tłumacz następujących książek: Topika wczesnych łacińskich żywotów świętych. (Od Vita Antonii do Vita Augustini), Possydusz z Kalamy, Żywot św. Augustyna, Św. Augustyn, Pisma Monastyczne, Grzegorz Wielki i jego świat, Dlaczego dziewictwo jest lepsze niż małżeństwo. Spór o ideał w chrześcijaństwie zachodnim końca IV stulecia w relacji Ambrożego, Hieronima i Augustyna, Hilary z Arles, Kazanie o życiu św. Honorata; Honorat z Marsylii, Żywot św. Hilarego, biskupa Arles. Mieszka w Toruniu.

Paweł Paziak - ur. 1970 roku w Słupsku. Absolwent filologii polskiej WSP w Słupsku, w 2001 r. doktorat na UG. Na Żuławy przybył w 1994 roku „za chlebem”. Jak sam twierdzi, przyjechał na Żuławę tylko „na chwilę” i ona wciąż trwa. Mieszka w Nowym Stawie i tam pracuje jako nauczyciel w ZSP nr 5. Od 2005 r. współpracownik Gazety Malborskiej. Publikował w Poradniku Językowym, Gazecie Polskiej, Gościu Niedzielnym i Naszej Polsce.

Seweryn Pauch - ur. 1979 r. w Sztumie. Absolwent LO w Gniewie i Akademii Bydgoskiej (historia). Nauczyciel historii w Zespole Szkół nr 2 w Pelplinie. Publikuje w Kociewskim Magazynie Regionalnym w Tczewie, Nowinach Gniewskich, Informatorze Pelplińskim. Jest współautorem broszury wydanej na 30-lecie istnienia Tczewskiego Centrum Kultury i autorem broszury o ofiarach II wojny światowej mieszkających we wsi Lipia Góra (gmina Morzeszczyn). Mieszka w Pelplinie.

Stefan Piazza – Braniński - ur. 1925 r. w Kruszewicy, żołnierz AK, uczestnik powstania warszawskiego, autor wspomnień z powstania warszawskiego. Pracował w Powiatowym Związku Gminnych Spółdzielni w Malborku na stanowisku księgowego, później w Prewentorium Przeciwgruźliczym w Ryjewie na tym samym stanowisku, a następnie podjął pracę jako księgowy w szpitalu w Sztumie. Od 1976 r. do 1982 r. pełnił funkcję zastępcy dyrektora d/s administracyjno-ekonomicznych w Zespole Opieki Zdrowotnej w Sztumie. Mieszka w Sztumie.

Janusz Ryszkowski - ur. 1955 w Opaleniu. Absolwent Filologii Polskiej UWM w Olsztynie. W latach 1984-2009 dziennikarz Głosu Wybrzeża, Wiadomości Elbląskich i Dziennika Bałtyckiego. Jako poeta debiutował w 1975 roku w Nowym Wyrazie, jako krytyk literacki trzy lata później na łamach Nowych Książek. Opublikował tomiki: „Wiersze” (1983), „Stan podgorączkowy” (nagroda im. Kazimierza Iłkowi-czówny na najlepszy książkowy debiut 1985 roku), „Płatny romans”, „Prywatne śledztwo” (1992), „Do snu nie przemycisz domowych zapachów” (2001). Autor reportaży „Requiem dla hrabiego” (1997), „W po-dróży po ziemi sztumskiej” (2010), współautor albumów starych pocztówek oraz fotografii „Sztum-Stuhm” (2000) i „Odcienie szarości” (2003). Z Krystyną Błaszczuk - Ryszkowska przygotował antologię „Oko judasza” (2007), złożoną z prac literackich nadsyłanych od 1992 na Ogólnopolski Przegląd Sztuki Więziennej w Sztumie. Mieszka w Sztumie.

Leszek Sarnowski - ur. 1959 r. w Barcinie na Kujawach. Absolwent historii UG. Jako dziennikarz współ-pracował z Gazetą Wyborczą, Dziennikiem Bałtyckim, Radiem Gdańsk, Radiem Plus, TVP Olsztyn, TVP Gdańsk. Przewodniczący Komitetu Obywatelskiego „Solidarność” w Sztumie w 1989 roku. Redaktor naczelny Sztumskiej Solidarności i Gazety Sztumskiej w latach 1989-93. Wydawca i redaktor książki „Od „Solidarności” do społeczeństwa obywatelskiego” (2005). Prezes Stowarzyszenia Inicjatyw Obywa-telskich „Taka Gmina” w Sztumie, pomysłodawca, wydawca i redaktor naczelny kwartalnika Prowincja. Obecnie kierownik Działu Edukacji i Promocji Muzeum Archeologicznego – Historycznego w Elblągu i współpracownik Elbląskiej Orkiestry Kameralnej. Mieszka w Sztumie.

ks. Andrzej Starczewski - ur. 1963 r. w Malborku. Absolwent LO w Malborku, Wyższego Seminarium Duchownego w Olsztynie, magister teologii Papieskiej Akademii Teologicznej, 2004-2006 studiował zabytkoznawstwo i konserwatorstwo sztuki kościelnej na UMK w Toruniu. Wieleletni proboszcz pa-rafii w Miłoradzu i sanktuarium błogosławionej Doroty w Mątowach. Obecnie proboszcz parafii Św. Anny w Sztumie, delegat biskupa elbląskiego ds. Konserwacji zabytków kościelnych oraz przedstawiciel diecezji ds. funduszy unijnych i Europejskiego Funduszu Rozwoju Regionalnego w województwie po-morskim. Autor książki - Gotyckie zabytki sakralne na terenie gminy Miłoradz na Żuławach. Mieszka w Sztumie.

Mariusz Stawarski - ur. 1961 r. Absolwent Wydziału Architektury Wnętrz PWSSP w Gdańsku. Od 1990 roku mieszka i pracuje w zamku w Malborku, gdzie zajmuje się wystawianiem i grafiką użytkową. Od 1986 roku zajmuje się malarstwem liryczno - groteskowym, wystawianym i nagradzanym w wielu kra-jach i zagranicznych konkursach - Grand Prix Satyrykonu 1998, Secend Prize Istanbul - Turcja. Mieszka w Malborku.

Marek Stokowski - ur. 1957 r. w Warszawie. Absolwent Wydziału Polonistyki Uniwersytetu Warszaw-skiego. Kustosz w Muzeum Zamkowym w Malborku. Prowadzi unikalne w skali kraju gry edukacyj-ne i przygotowawcze dla młodzieży i dorosłych. Autor książek beletrystycznych i edukacyjnych. Członek Stowarzyszenia Pisarzy Polskich. Wydał m.in. - „Dzień nad ciemną rzeką” (1996), „Sny dla dorosłych i dla dzieci” (1998), „Legenda i opowieści zamku Malbork” (2002, 2005), „Krzyżacy, ich państwo i zam-ki” (2003), „Błazen” (2004), „Noc tajemnic” (2005), „Samo-loty” (2005), „Stroiciel lasu” (2010). Mieszka w Malborku.

Danuta Thiel - Melerska - ur. w Sztumie. Absolwentka historii UMK w Toruniu. Kustosz Muzeum Zamkowego w Malborku i kierownik Muzeum Powiśla w Sztumie do 1984 r. Kierownik Archiwum Miejskiego w Lörrach (Niemcy), obecnie na emeryturze. Zajmuje się historią fotografii, dziejami wsi pomor-skich, historią żelazek, genealogią i ogrodem. Mieszka w Nadbrzeżu gm. Tolkmicko.

Andrzej Wiłun - ur. W 1949. Absolwent wydziału budownictwa lądowego na Politechnice Warszawskiej. Pracował przy budowie kwidzyńskiej „Celulozy”. Od 1988 roku mieszka w Berlinie. Interesuje się tema-tyką stosunków polsko-niemieckich, polsko-żydowskich oraz Kresami Wschodnimi, skąd pochodzi jego rodzina. Aktualnie publikuje w polonijnym periodyku Akcenty w Berlinie i w kwidzyńskim kwartalniku Schody Kawowe.

Bogumił Wiśniewski - ur. 1966 r. w Kwidzynie. Absolwent archeologii UMK w Toruniu. Znawca i mi-łośnik historii Kwidzyna i okolic. Archeolog miejski w Urzędzie Miejskim w Kwidzynie. Publikował w kwidzyńskim kwartalniku Schody Kawowe oraz czasopiśmie Odkrywca. Współinicjował z ks. Ignacym Najmowiczem podjęcie poszukiwań doczesnych szczątków błogosławionej Doroty oraz pochówków wielkich mistrzów krzyżackich w katedrze pw. św. Jana Ewangelisty w Kwidzynie. Mieszka w Kwidzy-nie.

Jerzy Wiśniewski - ur. 1939 r. Malarz, karykaturzysta, dziennikarz. Publikował między innymi w Wia-domościach Elbląskich, Kurierze Kwidzyńskim, Kurierze Powiatu Kwidzyńskiego, Dzienniku Bałtyckim i Pulsie Kwidzyna. Mieszka w Kwidzynie.

Maciej Wróblewski - ur. 1968. Mieszka w Toruniu, pracownik Instytutu Literatury Polskiej UMK, zaj-muje się badaniami w zakresie literatury najnowszej, twórczości dla młodych czytelników, przeszłości polonistyki szkolnej oraz wybranych zjawisk kultury ponowoczesnej. Jest autorem cyklu opowieści Hi-storie Jakuba Blottona z widokiem na Toruń oraz kilku utworów dla dzieci.